

Hans Hellmut Kirst

***Skandal w
miasteczku***

Mężczyzna mrużył oczy w jaskrawym blasku słońca. Nazywał się Mutsch. Przewieszony przez ramię ciężki płaszcz dotykał zwirowanej drogi. Obok siebie postawił walizkę.

Pociąg, który go przywiózł do Wahlheimu nad Panzą, zagwizdał przeraźliwie, ale jeszcze nie odjeżdżał. Wydawało się, że cierpliwie czeka na mężczyznę nazwiskiem Mutsch, który jak gdyby się zastanawiał, czy ma przejść przez barierę dworca, czy w ogóle nie zatrzymać się w tym mieście.

Mutsch z wysiłkiem wpatrywał się w słońce. Mrużył mocno oczy; powietrze migotało. Ziemia, na której stał, zdawała się gotować. Czuł, że nadchodzi burza. To go ucieszyło. Podniósł walizkę, ujął mocniej płaszcz i ruszył.

Kontroler przy barierce spojrzał na niego uważnie. Rozchylił szeroko kołnierz, było mu gorąco. Potem posłał syna, który wałęsał się po peronie, do naczelnika stacji. — Powiedz mu, żeby wyjrzał przez okno, bo warto.

Chłopak popatrzył na Mutscha, ale nie zauważył nic ciekawego w mężczyźnie, który zbliżał się do bariery. Chłopak wszedł do budynku stacji i stanął przy oknie. Uznał, że zawiadomienie naczelnika to strata czasu; nie chciał, aby cokolwiek uszło jego uwagi, bo życie w Wahlheimie nad Panzą nie obfitowało w sensacje.

Kontroler zdobył się na przyjazny uśmiech; w jego oczach malowała się ciekawość, w głosie brzmiała życzliwość. — Czyżby to Mutsch? — zapytał.

— Od kiedy to jesteśmy na ty? — zabrzmiała odpowiedź.

Kolejarz rzucił uważne spojrzenie na okno budynku stacyjnego, a ponieważ nie widział tam naczelnika, uznał, że zachowywanie służbowej godności nie jest konieczne. — Już pan odsiedział wyrok? — zapytał. — Dostał pan przecież cztery lata.

— Można być zwolnionym wcześniej albo zwać — odparł Mutsch.

Kontroler pobieżnie sprawdził bilet, który mu podał; był to bilet trzeciej klasy z Buchenberga do Wahlheimu. W Buchenbergu mieściło się więzienie okręgowe. A przed trzema laty „Goniec Wahlheimski” podał na pierwszej stronie: „Bandyta Mutsch odstawiony do Buchenbergu”.

— W jakim charakterze jest pan właściwie zatrudniony na kolei? — zapytał Mutsch spokojnie. — Jako kontroler biletów, sędzia śledczy czy zapa komunikacyjna?

Kolejarz odsunął barierkę. Rozsądek nakazywał mu spokój; był bowiem mocno przekonany, że po wszystkim, co wówczas zaszło, ten Mutsch zdolny byłby zdemolować pół Wahlheimu!

Mutsch minął go, nie patrząc więcej w jego stronę. Przeszedł przez halę dworcową, wyszedł na plac przed dworcem i tam się zatrzymał. Znowu ogarnęło go gorące pragnienie, aby po prostu zawrócić. Ale nie zawrócił. Poszedł do miasta.

W ciągu ostatnich trzech lat miasto prawie się nie zmieniło. Drzemało jakby osłabione w popołudniowym słońcu. Domy były tu niewielkie, na zewnątrz sprawiały wrażenie czystych. Wahlheim leżało na uboczu wielkich arterii komunikacyjnych i na szczęście nie budziło zainteresowania żadnego rządu. Było to miasto, na którego widok tętniąca terażniejszość zaczynała okropnie ziewać. Nawet wojna wymigała się od Wahlheimu. Było to miasto, w którym nic się nie działo. Nie było tu nawet koszar. Ani więzienia. Ulice

wymagały tak samo naprawy jak przed trzema laty; wydawało się, jak gdyby przez ten czas prawie ich nie używano. Tylko na kościele lśnił nowy złoty kogut; spoglądał dumnie z góry na mały Wahlheim. A dalej, na horyzoncie, po drugiej stronie Panzy, wielki komin fabryki sukna wyrzucał w niebo smrodliwy dym.

Mutsch szedł niedbałym krokiem ulicą Dworcową, minął plac Jahna i podążał do ulicy Głównej, która prowadziła prosto do rynku. Spotkał po drodze niewielu ludzi, w tym kilku, którzy udali, że go nie znają. Kilkakrotnie odsuwano zasłony, a raz nawet zawołano do domu bawiące się na dworze dzieci.

Rynek drzemał w słońcu. W miejscu, gdzie stał pomnik ku czci poległych żołnierzy, znajdowała się teraz cementowa płyta — miała zaledwie sześć lat. Wyzwoliciele usunęli orła, a cokolwiek polecili wyszlifować, co oczywiście mocno rozgniewało lokalne siły narodowe, zwłaszcza że orła, który z uwagą spoglądał na zachód, wystarczyłoby tylko lekko obrócić i patrzyłby na wschód.

Młody człowiek, który kręcił się najwyraźniej bez celu w pobliżu ratusza, podszedł do Mutscha. Szedł trochę sztywnym krokiem, jak ktoś, kto ma za sobą długą jazdę motocyklem. — Jestem Flammer — rzekł i dotknął czoła, gdzie na ogół odgnieciony jest ślad furazerki. — Czy pan nazywa się Mutsch?

Mutsch spojrział na niego ze zdziwieniem. — Czy my się znamy?

— Właśnie się poznaliśmy — rzekł Flammer. — Pracuję tu w „Gońcu Wahlheimskim”, jedynym dzienniku w tym mieście. Jestem tu dopiero od roku. Zawarłem układ z tym bykiem kontrolerem na dworcu; on zawsze melduje mi, kiedy przybywają ciekawi ludzie, a ja za to wymieniam jego nazwisko, ilekroć jest coś nowego do powiedzenia na temat tutejszej kolei. Chce zostać naczelnikiem stacji i ja go w tym popieram.

— A czego pan chce ode mnie?

— Słyszałem, że wraca pan z więzienia? — Młody człowiek powiedział to tak spokojnie, jak gdyby pytał o stan barometru. — To mnie interesuje, może uda się coś dać do

gazety. Zawsze potrzebuję świeżych wiadomości. A teraz mamy martwy sezon.

Mutsch spojrzął ostro na Flammera, ale ten uśmiechał się niewinnie. — Po co to panu? — zapytał Mutsch — ledwie zdążyłem wrócić, a już mnie nagabują.

— Jeśli pan nie chce ze mną rozmawiać, to zwrócę się do innych o informacje. Tylko że ci powiedzą mi na pewno więcej, niż było naprawdę. A wolałbym trzymać się źródła.

— Człowieku — rzekł Mutsch — chcę mieć spokój. Mam za sobą trzy lata więzienia. A więc przeszłość, o której wolałbym zapomnieć.

— Właśnie tutaj, w Wahlheimie?

— Tutaj mi tę przeszłość doczepiono — tu pragnę się jej pozbyć. Siedziałem za wymuszenie zeznań świadków, za szantaż podczas zeznań i za pobicie.

Flammer spojrzął na niego rozpromieniony: — Panie — rzekł — ależ to arcyciekawe. Ilu pobić dopuścił się pan w Wahlheimie?

— Na razie jednego — rzekł Mutsch z namysłem — jednego, ale podobno bardzo cennego.

— I po co pan tu wrócił?

— Niech pan zgadnie — rzekł Mutsch, mrugając do niego.

Flammer był zachwycony. — A może chce pan jeszcze raz...?

— Kto wie — rzekł Mutsch zamyślony, po czym zostawił zdumionego młodzieńca i ruszył dalej.

Czarno-Biały Byk" był to największy i najelegantszy zajazd w miasteczku. Miał sześć pokoi, w każdym bieżącą wodę; podczas rozpraw sądowych, targów bydła lub różnych uroczystości, wszystkie były zawsze zajęte. Ściany restauracji wyłożono boazerią, wisiały na nich poroża.

Zajazd był jedynym obok kościoła miejscem w Wahlheimie, gdzie obywatele, niezależnie od wieku, zasobności

portfeli czy poglądów, zwykli się spotykać. Nawet nieprzejednani wrogowie często tutaj wspólnie przesiadywali, choć przy oddzielnych stolikach i w różnych kątach, ale pod tym samym sufitem z belek; a czasami stali zgodnie obok siebie w nowo urządzonym pisuarze, gdzie mieściło się dziesięć osób jednocześnie.

Elementem jednoczącym wszystkich w „Czarno-Białym Byku” były rozliczne i różnorodne zalety jego właścicielki. Pani Krampus, wdowa w kwiecie wieku i o posągowych kształtach, była magnesem, który wszystkich przyciągał. Miała na imię Irena i była Francuzką.

Podczas okupacji niemieckiej poznała we Francji strzelca Krampusa, który okazał się dżentelmenem. A że oprócz zalet ciała miał również dobre serce i w dodatku prowadził magazyn z prowiantem dla wojska, czynił wszystko, co było w jego mocy, by podnieść standard życia okupowanych Francuzów, czym przywrócił uśmiech na twarzy Ireny.

Tak więc Irena z Orleanu została żoną Krampusa i była szczerze zdziwiona, kiedy stwierdziła, że do okazałego Krampusa należał równie okazały zajazd, który w przyszłości miał odziedziczyć, gdy ojciec jego spocznie na pięknym wahlheimskim cmentarzu. Irenie spodobało się być gospodynią zajazdu. Ledwo stanęła za ladą, obroty się potroiły; teść Krampus z dumą i życzliwością spoglądał na wojenną żonę swego syna. Z równą życzliwością spoglądali na nią i na jej wdzięki wszyscy goście.

Echa wielkich bitew szybko i gwałtownie dały o sobie znać i bezpośrednio dotknęły Irenę z Orleanu. W ciągu tygodnia została wdową i właścicielką zajazdu. Krampus senior podczas wyprawy do stolicy landu po coroczne wielkie zakupy padł ofiarą nalotu bombowego; wiadomość ta nie dotarła już do Krampusa syna, który walczył w Rosji z partyzantami i podczas odpoczynku usiadł na minie.

Irena godnie nosiła żałobę i z zapalem przejęła „Czarno--Białego Byka”. Szturm mężczyzn na lokal stał się większy niż dotąd, ponieważ do powszechnej radości z samego widoku gospodyni doszła jeszcze perspektywa zdobycia jej wdzięków — a może nawet okazałego zajazdu. Irena była

dostatecznie mądra, by nie burzyć tych nadziei; była jak wielka obietnica, co do której nie było wiadomo, kiedy i wobec kogo się spełni. Zajazd przypominał twierdzę, którą uporczywie oblegano, ale która nigdy nie miała zamiaru się poddać.

Mutsch wszedł do „Czarno-Białego Byka”. Odstawił walizkę i zawiesił palto na wieszaku. Podeszedł do barmana Weinbergera, który był tu zarazem portierem i stał z kwaśną miną za ladą, przeglądając skąpe ogłoszenia w „Gońcu Wahlheimskim”. Spojrzał zrazu przelotnie na wchodzącego, potem zdumiony odsunął gazetę i wlepił wzrok w Mu-tscha.

— Nie do wiary — rzekł przeciągle — więc pan znowu tutaj? — A ponieważ Mutsch nie miał zamiaru odpowiedzieć, dodał: — Że też pan ma odwagę się tutaj pokazać, no, no!

— Potrzebny mi pokój, na razie na trzy dni.

Weinberger spojrział na niego ze zdziwieniem i niechęcią. — U nas? — rzekł, jakby nie wierzył własnym uszom. — Jesteśmy tu najlepszym hotelem.

— Do tego niewiele potrzeba — rzekł Mutsch. — Dosta nę pokój czy nie?

Weinberger, zmieszany, podrapał się w głowę. — Nie wiem — rzekł. Sytuacja była przykra. Nie można było bowiem przewidzieć, co szefowa, pani Krampus, na to powie. Oczywiście zawsze lubiła zarobić, ale nie znosiła przykrości. Przed wszystkim spoglądała na kiesę gościa, potem na jego zachowanie, nigdy jednak nie prosiła o zaświadczenie z policji.

— Co się z panem dzieje? — zapytał Mutsch.

— Chwileczkę — rzekł Weinberger, robiąc nieokreślony ruch ręką. Potem wszedł na schody; nawet dość skwapliwie, ale to wyłącznie z powodów osobistych; sprawiało mu bowiem przyjemność spoglądanie w ciemne oczy szefowej, nawet wtedy, kiedy z gniewu stawały się zielone. Mogłaby go nawet uderzyć, i tak sprawiłoby mu to tylko przyjemność.

Mutsch stał oparty o bufet i rozglądał się. Był sam w restauracji; goście, którzy jedli obiad, już poszli, a pierwsi

wieczorni goście nie zjawiali się przed piątą. Nic się tu nie zmieniło. W Wahlheimie czas jakby stanął w miejscu.

Pomieszczenia zajazdu były jasne, stoły wyszorowane do białości, podłoga lśniła. Przez czyste szyby widać było rynek i ową cementową płytę; stał na niej kiedyś cokolwiek z orłem, którego można było odwrócić w każdym kierunku. Kościół rzucał na płytę długi cień.

— Niebo ma dobre zamiary — rzekł Mutsch — ale kto to zauważy! — Potem wyprostował się; usłyszał kroki.

Irena Krampus zeszła na dół i zbliżyła się do niego. Była przyzwyczajona do skierowanych na siebie spojrzeń. Miała na sobie cienką jedwabną suknię; była luźna i niewiele zasłaniała. Mutsch poczuł zapach perfum, kiedy się do niego zbliżyła; był to słodki, ciężki zapach. I nagle oblała go obronna fala zapachów ostatnich lat: smród kibra, spleśniałego chleba i zmuszałego drewna. Teraz zmusił się do wdychania zapachu tej kobiety, po czym się uśmiechnął.

— Dzień dobry — powiedziała Irena.

— Ten pan chce wynająć pokój — wtrącił Weinberger. — To niech mu pan wynajmie — odparła Irena. Mężczyzna się cofnął.

— Nazywam się Mutsch — rzekł przybysz ostrzegawczo.

Kobieta skinęła głową, oczy jej były ciemnoniebieskie.

— Bardzo mi miło — rzekła. — Ja nazywam się Irena Krampus.

Mutsch potrząsnął głową. — Wracam z Buchenbergu. Siedziałem tam w więzieniu między innymi za pobicie. Dziś rano zostałem zwolniony.

— Słyszałam o tym. Na pewno potrzebuje pan szczególnie wygodnego pokoju. Weinberger, proszę dać panu Mutschowi pokój numer jeden.

— Tak jest, łaskawa pani — rzekł barman ze zdziwieniem, ale służbiście. W jego głowie kłębiły się dziwne myśli na temat Ireny Krampus; była to kobieta nieobliczalna, całkowicie nieobliczalna. Trudno było ją zrozumieć.

Weinberger nie mógł się pogodzić z tym, że szefowa przyjęła tego typu i w dodatku dała mu najlepszy pokój. Ważył klucz z numerem jeden w rękę i miał uczucie, że ten klucz jest czymś ważnym. Otworzył tak zwany książęcy

pokój, gdzie nocował kiedyś nawet prawdziwy generał, choć w cywilu.

— Czy coś jest nie w porządku? — zapytała Irena Weinberger pospiesznie zaprzeczył i przesunął po la dzie duże kółko, na którym był klucz z numerem jeden. Z wielkim trudem zdołał ukryć, że sprawia mu to przy kroś.

— Jeszcze chwileczką — rzekł Mutsch i spojrział na Irenę z niedowierzaniem i wdzięcznością. — Pani jest dla mnie bardzo miła, ale właśnie dlatego nie chciałbym, aby miała pani z mojego powodu jakiegokolwiek kłopoty. Aby pani wiedziała, co i jak, przyznam się pani, że to ja przed czterema laty pobitem dyrektora Seebauma. Kiedy mnie stąd zabierali, przyrzekłem sobie, że zdemoluję pół miasta.

— Mon dieu — rzekła Irena, lekceważąco machnąwszy ręką — to stara historia. Cóż mnie ona obchodzi? Jest pan tutaj gościem. Pan płaci, a ja chcę, aby się pan dobrze czuł. Reszta mnie nie interesuje.

— Dziękuję pani — rzekł Mutsch.

Irena podała mu rękę: — Witam serdecznie — rzekła z uśmiechem.

Dyrektor Seebaum, „król Wahlheimu”, którego willa położona była na drugim brzegu Panzy, tuż obok jego fabryki sukna, przyjął wiadomość o powrocie Mutscha z godnością. Twarz mu nawet nie drgnęła, trochę tylko zadrżały mu kolana. Opadł na fotel i wyciągnął przed siebie nogi.

Willibald Seebaum był najdostojniejszym obywatelem miasta Wahlheim. Dysponował większą sumą pieniędzy, niż była potrzebna, aby wykupić w okręgu wszystko, co było do wykupienia. Był nie tylko właścicielem fabryki sukna, należało do niego także kino, dobra wiejskie zaopatrujące miasto, dwie linie autobusowe, osiedle robotnicze, siedem kamienic czynszowych, drukarnia „Gońca Wahlheimskiego” i udziały w blisko dwunastu przedsiębiorstwach.

Występował także w roli dobroczyńcy. Tuż po wojnie ufundował dla kościoła złotego koguta, pozwolił mieszkańcom bezpłatnie i bezterminowo korzystać z placu sportowego i wspierał Narodowo-Liberalny Blok Obywatelski kwotami, które przesądzały o wyniku wyborów. Obywatele miasta witali go zawsze z szacunkiem, a ojcowie miasta posłusznie stosowali się do jego rad.

Cechowała go niezwykła energia i pogarda dla ludzi. W wieku lat trzydziestu pozbył się wszystkich członków kierownictwa fabryki, pięć lat później odkupił od nich wszystkie udziały, w momencie, kiedy umiejętnie sfabrykowane bilanse wskazywały jednoznacznie na nieuchronne bankructwo firmy. Gdy tylko to nastąpiło, otrzymał zamówienia rządowe i unowocześnił park maszynowy. Mundur z sukna Seebauma nosił nawet głównodowodzący armii. W wieku lat czterdziestu pięciu Seebaum był właścicielem połowy Wahlheimu. Przetrwał klęskę, ponieważ z zasady nigdy nie deklarował publicznie swej przynależności do żadnej partii, do wyznawania żadnego światopoglądu czy też religii.

Wcześniej zdołał zapewnić sobie szacunek, a teraz odnoszono się do niego niemal z czcią. Jego pozycja jednak została przed czterema laty mocno zachwiana. On, król Wahlheimu, został pobity. Stał przed nim człowiek, przed nim, do którego zbliżano się wyłącznie z pokorą, i wrzaskiem chciał go zmusić do fałszywego zeznania. Potem zamknął drzwi i pobił go. Nigdy tego nie zapomni, nigdy — do końca życia.

Dyrektor Seebaum zadzwonił na swoją gospodynię. Ta pospiesznie włożyła czysty fartuszek, przebiegła przez hall, poprawiła fryzurę i ubranie, po czym zapukała i weszła. Stała przy drzwiach i czekała, aż pan się do niej odezwie.

Willibald Seebaum właśnie zapisywał coś w notatniku. Nie przerywając swojego zajęcia, powiedział: — Za pół godziny będziemy mieli gości, pułkownika Gümpla i burmistrza Reissera. Niech pani schłodzi trzy butelki Johannis-bergera i przygotuje kilka kanapek. Poda to pani do gabinetu. To wszystko.

Kierowca otrzymał tymczasem polecenie, aby pojechać do pułkownika Gümpla i burmistrza Reissera, w takiej właśnie kolejności, i ich tu przywieźć. Następnie zgłosił się do niego księgowy, który opracowywał konta specjalne. See-baum wywnioskował z zestawienia, że datki na Narodowo--Liberalny Blok Obywatelski wpływają w skąpych ilościach, co mu teraz pozwoli na szczodrość, bez zbytniego przekraczania zaplanowanych z góry sum. Tymczasem powitał bardzo uprzejmie swoich gości, którzy przybyli punktualnie. Posadził Gümpla, pułkownika w stanie spoczynku, po swojej prawej stronie, burmistrza Reissera po lewej. Obaj mieli poważne miny, gdyż wiedzieli z doświadczenia, że taka przesadna uprzejmość będzie ich drogo kosztowała.

Seebaum nalał im osobiście. — Pogoda sprzyja nam w tym roku — rzekł. — Zapowiadają się dobre żniwa. Dzięki temu nasi chłopci zarobią więcej pieniędzy, co odbije się korzystnie na tutejszym handlu i kupcy będą mieli wszelkie powody do zadowolenia.

Wkrótce otworzył drugą butelkę. — Nastroje wśród ludności można określić jako pełne nadziei — powiedział. — Także niedawna przeszłość wymagała czasu, by się ponownie przebić. Doświadczenie to dobry nauczyciel, a obroty są zadowalające. Kto myśli prawidłowo, jest konserwatystą.

Przy trzeciej butelce, zgodnie z planem, przeszedł do rzeczy. — Nasz Wahlheim stał się oazą spokoju i dobrobytu. Żyjemy bogobojnie i odnosimy sukcesy. Główną zasługę należy niewątpliwie przypisać Narodowo-Liberalnemu Blokowi Obywatelskiemu, którego pan, panie pułkowniku, jest znakomitym przywódcą, i oczywiście panu, panie Reisser, jako wybranemu wolą większości burmistrzowi. Każdy logicznie myślący człowiek musi to przyznać i życzyć sobie, by nie nastąpiły żadne zmiany. Spodziewam się, że i przyszłe wybory ponownie potwierdzą tę słuszną decyzję. Panowie pozwolą, że przekażę do ich dyspozycji skromną sumę.

Dyrektor Willibald Seebaum wyrwał wypełniony już i podpisany czek z podłużnej książeczki, którą zawsze miał

przy sobie i położył na środku małego stolika pomiędzy kieliszkami. Taktownie pominął wręczenie go bezpośrednio jednemu z gości, był bowiem dość mądry, by nie zaznaczać różnicy w randze obu mężczyzn.

Burmistrz Reisser pierwszy wziął czek do ręki. Rzucił okiem na wpisaną sumę i bez słowa podał czek pułkownikowi, który na razie też się nie odezwał. Suma wynosiła dziesięć tysięcy marek i była pięciokrotnie wyższa niż dotychczasowe roczne składki, jakie Seebaum regularnie przekazywał.

— Spodziewam się, że zadowala panów ta suma.

Goście skinęli głowami.

— To wszystko jest do całkowitej dyspozycji panów. Mogą panowie zrobić z tą sumą, co zechcą. Jestem przekonany, że wykorzystacie te pieniądze z pożytkiem.

— A co my możemy dla pana zrobić?

— Nic. W każdym razie nic, co by i panom nie wydawało się słuszne. Panowie, jedyna właściwa polityka to opieka nad powierzonymi nam obywatelami. Popierać ich, to znaczy zarazem ich chronić. Musimy zatem strzec ich przed niepożądanym elementem. Proszę, pijcie panowie, za waszą pracę! A teraz porozmawiajmy jeszcze o pewnym człowieku nazwiskiem Mutsch. Wymaga on naszej szczególnej troski.

Starszy sierżant Pulver, strażnik porządku, przetrwał niejeden rząd; każdemu dochowywał wierności, dopóki ów rząd istniał. Był funkcjonariuszem policji, zawsze wypełniał swoje obowiązki i bronił godności świeckich i duchownych zwierzchników, kiedy byli u władzy. Nie uczynił niczego, co by nie było w zgodzie z obowiązującymi aktualnie ustawami.

Pulver był wysoki, barczysty i kanciasty jak skrzynia. Był dumny z siły swoich mięśni i bardzo buńczuczny. Dawniej, podczas każdej uroczystości czy zabawy, czekał

niecierpliwie na jakąś bijatykę, by jako osoba urzędowa wkroczyć do akcji. Nikt w Wahlheimie mu nie dorównywał, a walki, jakie staczał, przynosiły mu uznanie, które powoli przerodziło się w autorytet.

W ciągu ostatnich lat opadł nieco z sił i zaczął się bardziej troszczyć o wartości duchowe; czytał powieści kryminalne, a opisywane tam metody zaczął stosować w praktyce. Dzięki temu zaczęto praktykować w Wahlheimie metodę krzyżowego ognia pytań i nawet pospolitą kradzież Pulver starał się — o ile czas mu na to pozwalał — wyjaśniać za pomocą recepty Edgara Wallace'a.

Winę za to wycofanie się na drugi plan, do którego został zmuszony ten mężczyzna uważany dotąd za nie pokonanego, ponosił Mutsch. Ten Mutsch pobił nie tylko dyrektora Seebauma, co ze sportowego punktu widzenia nie było takie trudne, lecz przeciwstawił się bezczelnie także jemu — Pulverowi! — gdy chciał go aresztować. Dwa szybkie ciosy i Mutsch położył go na obie łopatki na dywanie w biurze dyrektora i jego sława siłacza przysła jak bańka mydlana. To było wielkie przeżycie dla Pulvera. Od tamtej pory nazwisko „Mutsch” działało na niego jak płachta na byka.

Tego dnia słyszał wszędzie tylko „Mutsch” i „Mutsch”. Najpierw zadzwonił kontroler z dworca i twierdził, że widział Mutscha. Pulver tłumaczył mu, że się myli, bo jeszcze nie minął termin odsiadki i Mutsch jest w więzieniu. Następny, który zawracał mu głowę Mutschem, był ten typ z „Gońca” nazwiskiem Flammer; miał czelność zapytać, czy to prawda, że dał się Mutschowi pokonać. Pulver, wściekły na taką obrazę władzy, cisnął słuchawkę. Potem zadzwonił burmistrz Reisser — on także wymienił nazwisko Mutscha. I w ten sposób coś, co było nie do pojęcia, stało się faktem: ten niebezpieczny Mutsch znów przybył do Wahlheimu.

Pulver nabrał głęboko tchu. Gdyby wówczas, przed czterema laty miał swój służbowy pistolet — tylko że wtedy niemiecka demokracja nie posunęła się jeszcze tak daleko jak dzisiaj — strzeliby do niego. I sprawa Mutscha byłaby raz na zawsze załatwiona, za pomocą dwudziestu

czterech gramów prochu i trzydziestu ośmiu gramów ołowiu. Bo przecież chodziło o czynny napad na władzę, którą on reprezentował. Ale sędziowie dali temu łotrowi tylko cztery lata, nie wliczając w to aresztu śledczego. A teraz na dodatek darowano mu część kary.

Sierzant Puhrer wstał, zdecydowanym ruchem obciągnął na sobie mundur, założył pas, sprawdził służbowy pistolet, uśmiechnął się z zadowoleniem i ruszył w drogę. Szedł ulicą Strzelniczą w stronę rynku. Tutaj zerknął badawczo i niechętnie na miejsce, gdzie kiedyś stał pomnik ku czci bohaterów, i na lśniącego koguta na wieży kościelnej. Następnie przeciął plac i podszedł do „Czarno-Białego Byka”. W oszklonych drzwiach odbijała się jego sylwetka. Pulver stwierdził, że jest okazała.

Wszedł do gospody, spojrzął na gości, którzy tymczasem już się zeszli i energicznym krokiem zbliżył się do Ireny Krampus. Siedziała ona jak zwykle przy małym narożnym stoliku i stamtąd wszystkim dyrygowała.

— Dobry wieczór, łaskawa pani — rzekł Puhrer elegancko i na chwilę rozjaśnił swoje surowe, służbowe oblicze. Wyprężył pierś, wciągając głęboko powietrze, zakołysał się, a jego oczy nabrały blasku.

— Dobry wieczór — rzekła Irena i spojrzała na niego z uśmiechem na ustach. Jej czerwony język przesunął się po jeszcze bardziej czerwonych wargach, uniosła brwi. — Proszę, niech się pan rozbierze. Czego się pan napije?

Pulver, wciąż jeszcze się kołysząc, podziękował. — Później łaskawa pani, może później. — Usiłował zajrzeć w jej dekolt. — Na razie — sprawa służbowa.

— Słucham pana.

— Czy mogę przejrzeć karty meldunkowe nowo przybyłych gości?

— Jutro rano prześlę je do komisariatu, jak zwykle. A o co chodzi? Czy coś jest nie w porządku?

— Pozwoli pani? — spytał Pulver i zanim otrzymał zgodę, usiadł obok niej. — Musi pani wiedzieć — oświadczył, pochylając się do przodu — że może pani na mnie polegać, pod każdym względem, w każdej sytuacji.

— Jest pan bardzo miły. — Irena wyprostowała się, wskutek czego jej suknia się napięła. — Czym sobie na to zasłużyłam?

Pulver przyglądał się jej rozanielony. — Znajduje się pani, że tak powiem, pod moją opieką i zapewniam ją pani nie tylko jako osoba urzędowa.

— Chętnie powrócę do pańskiej oferty przy sposobności.

— Może ta sposobność wcale nie jest taka odległa. — Pulver znów przyjął postawę służbową, co mu wcale łatwo nie przyszło. — Czy to prawda, że wśród pani gości jest niejaki Mutsch?

— Pan Mutsch jest gościem w moim hotelu. To się zgadza.

— A czy wie pani, co to za człowiek? Pytam w pani interesie. Czy zna pani jego przeszłość?

Irena niechętnie pokręciła głową. — A cóż mnie obchodzi jego przeszłość! Gość to gość! Przecież pana też nie pytam o pańską przeszłość, panie Pulver.

— To prawda — rzekł policjant. — Ale moja przeszłość jest bez zarzutu.

— No to miał pan szczęście.

— Szczęście? — Pulver był niemile zaskoczony. — To sprawa charakteru.

— A nie także okoliczności?

— Madame! — Pulver stał się niemal uroczysty. W niektórych ważnych chwilach zwracał się do Ireny Krampus „Madame”. To było po francusku i uważał, że robi wrażenie. — Madame — rzekł ponownie, dając do zrozumienia, że szczerze się tym przejmuje — ten człowiek wyszedł z więzienia. To awanturnik.

— To ciekawe. Czy kogoś pobił? Napastował kobiety?

Pulver wpatrywał się w kobietę przed sobą. Co to miało znaczyć? Czy jej słowa były naiwne, czy też kpiące? Przyjrzał się jej baczniej.

— Co panu jest? — spytała Irena łagodnie. — Czy pan się źle czuje? Wygląda pan, jakby miał bóle żołądka.

— Madame! — zawołał Puhrrer ze smutkiem. — Gdzie jest ten Mutsch? — zapytał, a zabrzmiało to bardzo urzędowo.

— Pan Mutsch — rzekła Irena, dalej spoglądając na nie- ; go życzliwie — jest w pokoju obok. Pragnął być sam i dobrze zjeść.

— To ja mu popsuję nieco apetyt.

Irena dalej patrzyła na niego życzliwie. — Niech pan posłucha — powiedziała — mam nadzieję, że nie będzie pan nagabywał moich gości!

Pulver uklonił się. — Wie pani — zapewnił — jak bardzo szanuję panią i wszystko, co panią otacza. Niestety, moje obowiązki służbowe zmuszają mnie do tego, że nie mogę każdej wizyty w pani domu traktować wyłącznie jako przyjemności. Ale przyrzekam pani, że załatwię sprawę szybko i dyskretnie.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

Pulver zbliżył się do drzwi sąsiedniego pokoju, wyprężył pierś i wszedł. Widok, jaki ujrzał, był dość niezwykły. W pierwszej chwili odebrało mu mowę.

— Niech pan zamknie drzwi — rzekł Mutsch, który nie znacznie podniósł wzrok — i to najlepiej z tamtej strony.

Pulver zamknął za sobą drzwi. Wprawnym okiem rejestrował wszystkie szczegóły: stół nakryty śnieżnobiałym obrusem, na nim trzy kieliszki, do koniaku, do czerwonego wina i do szampana; półmisek z ogromnym homarem, do . tego sos majonezowy, butelka Fine Napoleon, otwarta; butelka Beaujolais, rocznik 1918, otwarta; butelka szampana Cordon Rouge, extra dry, jeszcze zamknięta w wiaderku z lodem. Przy tym wszystkim siedział Mutsch, jadł z apetytem i popijał małymi łykami.

— Coś takiego! — mruknął Pulver.

— Czego pan chce? — zapytał Mutsch niecierpliwie.

— To kosztuje co najmniej trzydzieści marek — stwierdził Pulver.

— Nie pana interes — odparł Mutsch i upił trochę czerwonego wina — nie pan za to płaci. A teraz niech pan już sobie idzie. Przeszkadza mi pan.

Pulver nawet nie drgnął. — Jestem tu służbowo.

— To nie zmienia postaci rzeczy — pan mi przeszkadza.

Policjant z trudem się hamował. — Skąd pan przybywa?
— zapytał surowo.

— Napisałem w karcie meldunkowej.

— Jak długo ma pan zamiar tu zostać?

Mutsch wąchał koniak. — Dopóki będę chciał. Może dwa dni, może dwa lata, może całe życie. Któż to wie! Na pewno pan to zauważy. A teraz proszę odejść. Chciałbym spokojnie zjeść.

Pulver przysunął sobie krzesło i rozsiadł się na nim. — Tu jest gospoda. Pańskie życzenia nic mnie nie obchodzą. Zostaję.

— Niestety, nie mogę panu przeszkodzić — rzekł Mutsch obojętnie. Połał homara majonezem. — Trzy lata, trzy pełne lata tylko jadłem, a teraz delektuję się jedzeniem. Przez trzy lata musiałem pić kawę zbożową, teraz rozkoszuję się dobrym koniakiem. Zamiast suchego razowca jem delikatnego homara. Jeszcze nigdy w życiu nie jadłem homara, prawdopodobnie później też już nie będę go jadł. Chce pan wiedzieć, skąd mam pieniądze?

Pulver się nie odzywał. Siedział tylko i wpatrywał się w Mutscha. Irytowało go, że Mutsch jest taki spokojny.

— Miałem trzy lata, by coś niecoś zarobić. Siedemset osiemdziesiąt marek! W ciągu trzech lat przy ośmiogodzinnym dniu pracy. Kleiłem torby. Tysiąc sztuk za trzy i pół marki. Królewskie honorarium! Niech pan popatrzy: nalewam sobie koniaku, podnoszę kieliszek — nie za pańskie zdrowie — i piję. Tak! Doskonały! Kosztuje dwie i pół marki, mniej więcej siedemset dwadzieścia sklejonych to rebek. Homar — około trzystu torebek. Niech pan patrzy dokładnie i liczy wraz ze mną. Przejadłem tu za jednym posiedzeniem zarobek za sześć tygodni pracy w więzieniu.

Pulver wciąż jeszcze się nie odzywał. Przyglądał się Mutschowi ponuro. Był coraz bardziej wściekły.

— Trzy lata — rzekł Mutsch — całe trzy lata. Czy pamięta pan, kto mnie tam wpakował?

— Czy to groźba? — Pulver wstał ociężałe. — Ostrzegam pana. Nie ma pan w tym mieście czego szukać. A jeśli zechce pan rozpocząć z nami awanturę, będziemy strzelać z ostrych naboii.

— Rozumiem, to najwygodniejsza metoda.

— Coś takiego! — Pulver był oburzony. Czuł niepohamowaną potrzebę rzucenia się na Mutscha, ale wolał zachować powściągliwość. Bo po pierwsze, był on potwornym zabijaką, czego już dowiódł. Po drugie, siły Pulvera były już mocno nadszarpnięte — a to z powodu nadmiaru alkoholu, tłustego jedzenia i licznych miłostek. Poza tym nie był głupi! Z tym typem poradzi sobie skutecznie i to w dość prosty sposób, rozsądnie, przy pomocy burmistrza.

— No i co? — zapytał Mutsch. — Chce mi pan dać rewanż? Co prawda nie przywiązuje do tego wagi, ale też nie będę się uchylał.

— Chciałby pan! — zawołał Pulver. — Ostatecznie żyjemy w czasach, kiedy powraca się do starych, dobrych wartości. I dla ludzi pańskiego pokroju nie ma tu miejsca. Radzę panu w pana własnym interesie, niech pan spływa stąd możliwie jak najprędzej i więcej się tu nie pokazuje. Bo może się coś przydarzyć.

— A co takiego?

— O tym przekona się pan w odpowiednim czasie.

— Zaciekawia mnie pan — Mutsch babrał się do otwierania butelki szampana. Wypiję na to konto!

Pulver, przepelnięty oburzeniem, niechęcią i nienawiścią, nagle się odwrócił i opuścił pokój, trzasnąwszy drzwiami. Mutsch długo patrzył w ślad za nim.

Wkrótce potem drzwi znów się otworzyły. Irena Kram-pus podeszła do swego gościa i zapytała: — Czy nie stracił pan apetytu?

Mutsch pokręcił głową. — O to u mnie nie tak łatwo. — Spoglądał na kobietę z coraz większym uznaniem.

— Co pan teraz robi? Chyba zostanie pan w Wahlheimie?

— Jeszcze nie wiem. Wydaje mi się, że klimat tu nie jest zbyt korzystny.

Irena przysiadła się do niego. Powiedziała: — Może ci specjaliści od pogody zostaną usunięci i przyjdą inni. Żyjemy w ustroju, w którym to jest możliwe. Niech pan pogada o tym z Scheuermannem.

Mutsch nastawił uszu. Szukał wzroku Ireny, ale ona jakby skoncentrowała się na małej plamce na obrusie. — Skąd

pani wpadła na Scheuermanna? — zapytał. — Dlaczego właśnie Scheuermann?

Irena otworzyła usta i odsłoniła piękne zęby. — Sam pan się przekona — rzekła, jakby ją to bawiło. — A jak się pan już przekona, okaże się to wielką niespodzianką — nie tylko dla pana.

Karl Scheuermann był elektrykiem, ślusarzem i instalatorem. Był najzręczniejszym robotnikiem w Wahlheimie nad Panzą i politykiem, który uchodził za niebezpiecznego. Mógłby być zamożnym i niezależnym człowiekiem, ale wolał mieszkać w Wahlheimie, spawać rury i wygłaszać przy tym mowy, które ze zrozumiałych powodów mocno uszczuplały krąg jego klienteli.

Scheuermann przemierzył pół kuli ziemskiej i przeczytał wiele książek. Jako monter specjalista w pewnej znanej firmie podróżował po dalekich krajach, wreszcie wylądował znów w Wahlheimie. Dla niego cały świat to był Wahlheim. Uznał, że nie trzeba udawać się w podróż, by się dowiedzieć, jakie jest życie. Cokolwiek działo się na tej ziemi, mogło się równie dobrze dziać w Wahlheimie.

Pewnego dnia Scheuermann został członkiem partii politycznej; wybrano go na radnego miejskiego, wreszcie znalazł się na liście posłów do Landtagu.

Był jak wilk w owczarni. Mieszkańcy Wahlheimu, którzy byli albo wiernymi poddanymi, albo dążącymi do awansu przełożonymi, tolerowali go, cenili jako rzemieślnika i musieli z konieczności zgadzać się z jego poglądami. Scheuermann miał za sobą jedynie kilku robotników z fabryki sukna, ze dwa tuziny małych warsztatów rzemieślniczych, siedmiu autsajderów, w tym jednego z dwóch miejscowych głupków i listonosza, który chciał w ten sposób zrobić na złość żonie pochodzącej z „wyższych sfer urzędniczych”.

Wahlheim był konserwatywny. Wahlheim nie zerwał z przeszłością, nawet z tą najnowszą, ponieważ nie widział

po temu żadnych powodów; miasto nie doznało szkód, wszyscy spełnili jedynie swój obowiązek i nikt nie mógł zaprzeczyć, że gospodarka nie kwitła teraz tak jak przedtem. Synowie musieli wysłuchiwać od ojców, że za ich czasów litr wódki kosztował nie osiem marek, tylko cztery; dziadkowie zaś zapewniali, że nigdy nie płaciło się za nią więcej niż dwie marki. To były liczby, wobec których każdy światopogląd przegrywał.

Te przekonujące argumenty były przede wszystkim w nowatorów. Wahlheim przeżył dwa okresy osłabienia gospodarczego i w czasie obydwu rządy sprawowali demokraci, z czego wynikały określone konsekwencje. Człowiek taki jak Scheuermann, nędzny socjalista, nie miał w Wahlheimie szczególnych szans, ponieważ tutaj bardzo szybko wyciągnięto wnioski z doświadczeń pierwszego kryzysu, które znalazły odbicie w zachowaniu się mieszkańców podczas drugiego kryzysu. Nie przeprowadzano żadnych kosztownych eksperymentów partyjnych, tylko utworzono Blok Narodowo-Liberalny, który, jak się należy domyślać, przeszedł w powszechnych wyborach. Tak więc powołano do nowych czynów w starym duchu Friedricha Wilhelma Reissera jako burmistrza, który pozostawał w cieniu emerytowanego pułkownika Gümpla, lidera miejscowego ruchu narodowego. Karl Scheuermann został jedynie wybrany do rady miejskiej. Podczas nowych wyborów, które miały niebawem nastąpić, należało się spodziewać podobnych wyników — chyba, że stałby się jakiś cud!

Mutsch zjawił się u Scheuermanna późnym wieczorem, kiedy ten właśnie sprawdzał woltomierzem splątaną sieć obwodu czterofazowego. Szybko znalazł uszkodzenie i bardzo był z siebie zadowolony. Kiedy zobaczył Mutscha, spoważniał. Przerwał pracę i wyprostował się. — Już słyszałem, że cię zwolnili.

Mutsch skinął mu beztrzesko głową. — Widzę, że bardzo się z tego cieszysz!

Scheuermann nadal był poważny. — Spodziewam się, że tymczasem zrozumiałeś, iż pięść nie jest żadnym argumentem. Niczego tym nie osiągniesz — najwyżej trzy lata.

Mutsch milczał.

Scheuermann rzekł stanowczym tonem: — Nawet palcem wówczas nie kiwnąłem, by ustrzec cię przed skutkami. Jestem przeciwnikiem wszelkiej przemocy.

— Wiem, wiem, wolisz, żeby ciebie bito, niż sam bić. Dlaczego nie zostałeś administratorem w kościele? Zawsze się świetnie rozumieliście z księdzem Marcusem, zwłaszcza kiedy on był jeszcze politycznie podejrzany.

Mutsch pochylił się nad odbiornikiem radiowym, który Scheuermann zamierzał naprawić. Bez trudu znalazł usterkę. Pewnym ruchem uciął kawałek woskowanego drutu i włączył lutownicę.

Scheuermann obserwował go uważnie. — Po co tu wróciłeś?

— A dokąd miałem pójść?

— Czy to z powodu tamtej sprawy?

— Może.

— A może z powodu dziewczyny?

— I to możliwe. — Mutsch pochylił się niżej nad aparatem. Wyciągnął stary drut i przylutował nowy. Pasował co do milimetra.

— Gdzieś się tego nauczył?

— W więzieniu. Uzupełniałem tam swoje wiadomości. Teraz jestem także elektrykiem, instalatorem i technikiem radiowym. Lubię rozplątywać rzeczy zagmatwane; i to możliwe bez użycia przemocy. Chcę pracować, nic poza tym, zakładając, że dadzą mi pracować. Roboty jest dość, również dla mnie. Teraz chciałbym niejedno naprawić.

Mutsch pracował dalej. Scheuermann wziął kawałek papieru do pakowania, wyciągnął z kieszeni ołówek, napisał szereg cyfr i zaczął liczyć.

Tymczasem Mutsch wymienił kondensator. — Niczego od ciebie nie chcę — rzekł przy tym. — Nie musisz mi pomagać. Dam sobie radę. Chciałem tylko zobaczyć, jak ci się powodzi. Prawie się nie zmieniłeś. Zawsze byłeś biernym socjalistą i nie chcesz zrozumieć, że to zachowanie przeciwnika narzuca metody, jakie należy wobec niego stosować. Dobrze, to ci się chwali, ale daleko w ten sposób nie zajedziesz.

— Mogę ci dać dwieście pięćdziesiąt marek miesięcznie
— rzekł Scheuermann i jeszcze raz sprawdził obliczenia.

— Ale nie więcej.

Mutsch zdziwiony podniósł głowę: — Czy to ma być dowcip?

— To propozycja. Zgadzasz się?

— Nie. Wyszedłem z więzienia i mam jak najgorszą opinię. Ledwie tu wyładowałem, a już rozpętało się małe piekielko. Zaoszczędzisz sobie wielu przykrości, jeśli nie będziesz się do tego mieszał.

— Te dwieście pięćdziesiąt marek to pensja netto. Całą resztę, kasę chorych i ubezpieczenie, ja odpłacam.

Mutsch cofnął się. — Nie rób tego — rzekł poważnie.

— Gdybyś był pierwszym lepszym rzemieślnikiem, z wdzięcznością bym się zgodził. Ale ty maczasz palce w polityce, więc muszą one pozostać czyste. Nie możesz się mną obciążać.

Scheuermann spokojnie liczył dalej. — Możesz u mnie zamieszkać — rzekł. — Mam dość miejsca; odkąd moja żona przed ośmiu laty zginęła od odłamka pocisku, dom mój stoi prawie pusty. Poza tym będę miał cię w pobliżu warsztatu, a to, jak wiadomo, dobrze wpływa na pracę.

— Czyś ty to sobie dobrze przemyślał?

— Mam nadzieję, Mutsch, że zaprzyjaźnicie się z moją córką. Ula ma dopiero dwanaście lat, ale jest wyszczekana jak stara.

Mutsch skinął głową. — Z Ulą na pewno się zaprzyjaźnimy. Lubiliśmy się już wtedy, kiedy miała zaledwie dziewięć lat. Postanowiła, że za mnie wyjdzie, jak tylko skończy dwadzieścia jeden lat.

Scheuermann uśmiechnął się. — Obawiam się, że będziesz musiał długo czekać.

— I ja się tego obawiam.

— Więc co, zgoda? Przyklep, Mutsch!

Mutsch nie wahał się dłużej. Wyciągnął rękę, ujął dłoń Scheuermann'a i mocno ją uściśnął. — Zgoda — rzekł. — Ze wszystkimi konsekwencjami. Zobaczymy, jak długo się to uda. Ale nie miej do mnie pretensji, jak polecą tu wióry.

— Moim pierwszym zadaniem będzie jak najogólniej przygotować burmistrza na to, że zamierzasz tu pozostać. Kiedy go urobimy, już niewiele może nam zaszkodzić. Ale ten człowiek należy do przeciwnej partii. Poza tym mocno siedzi w siodle.

Mutsch wpadł teraz w dobry nastrój i był pełen ufności, że się uda. — Ten, kto wysoko siedzi, może bardzo nisko spaść! A czy Wahlheim nie ma jeszcze kilku takich, którym by się to bardzo przydało?

Tej pierwszej nocy Mutsch rzucał się bezsennie w dużym łóżku pokoju hotelowego. Księżyc przeświecał przez cienkie firanki i jakby się z niego naigrawał.

Mutsch zacisnął oczy i ujrzał przed sobą białą otynkowaną ścianę celi i kraty, które niczym duży krzyż wisiały w powietrzu. Ciężko dyszał. Czuł zapach świeżej pościeli i lekką woń perfum, którymi wydawał się przesiąknięty cały budynek, zapach Ireny Krampus.

Potem uśmiechnął się wyzwolony i otworzył oczy. Teraz mógł dokładnie rozróżnić przedmioty w pokoju. Światło księżycza podpełzło do lustra. Mutsch podniósł rękę i ujrzał jej odbicie w lustrze, pomachał, a ręka w lustrze również pomachała.

Roześmiał się. Potem wstał i ubrał się. Zegar na wieży kościelnej wybił dwunastą.

Zaszczekał pies, głośno, ochryple, przeciągle. Samochód przejechał przez noc z zapalonymi światłami; słychać było szum opon.

Policjant Pulver opuścił burmistrza, który siedział z pułkownikiem Gümplem w „Czarno-Białym Byku” i omawiał z nim ważne sprawy. Właśnie zamówili następną butelkę

i mieli zamiar opróżnić ją nie prędzej niż w ciągu godziny.

Pulver niedbałym krokiem przeszedł przez rynek, po czym zatrzymał się przed domem burmistrza, rozglądając się bacznie dokoła. — Proszę pani! — zawołał stłumionym głosem. — Mam z panią coś pilnego do omówienia.

Pani burmistrzowa ukazała się w otwartym oknie sypialni. — Męża nie ma w domu — rzekła.

— Ale to pilna sprawa.

— Więc proszę wejść na górę.

Wielebny Marcus leżał w łóżku i odmawiał brewiarz. Usta jego poruszały się bezwiednie. Znużony opuścił książkę i rzekł przed siebie: — O Panie, wszystko, co tu czynię, jest jak przelewanie z pustego w próżne; brak mi sił; a nawet gdybym zebrał wszystkie swoje siły, to nie starczy mi odwagi, by ich użyć. Zasłaniam się tym, co nazywamy mądrością wieku dojrzałego, ale jestem po prostu zmęczony. Moim pragnieniem jest śmierć. Następnie Marcus zamknął brewiarz i zapatrzył się przed siebie. — Panie — rzekł — wódz mnie na pokuszenie!

Większość mieszkańców miasta Wahlheim spała. W fabryce sukna płonął piec. W willi obok dyrektor Seebaum leżał bezsennie w swojej ogromnej sypialni i zastanawiał się, czy by nie zażyć środka nasennego.

Na ulicy Garncarskiej przyszło na świat dziecko. Dziecko krzyczało, a lekarz spojrzął na zegarek.

Dwie ulice dalej udusił się jakiś emeryt. Nikt go nie usłyszał.

Mamy obowiązek odrestaurować pomnik — oświadczył stanowczo emerytowany pułkownik Gümpel, zwilżywszy sobie usta dużym łykiem alkoholu. Mężczyźni siedzieli w „Czarno--Białym Byku”. — Zniszczyli go, nie wiedząc, że jest niezniszczalny. To oczywiście, że znów postawimy go na należnym mu miejscu.

Burmistrz Reisser ostrożnie się sprzeciwił. — Ale tych dziesięciu tysięcy ofiarowanych nam marek potrzebujemy na inne cele. Musimy sfinansować kampanię wyborczą. Musimy wesprzeć związki, które nam sprzyjają. Należy wziąć pod uwagę akcję pomocy dla najuboższych członków naszej partii.

— Zapomina pan — rzekł pułkownik Gümpel — że tu nie chodzi o dobroczynność, tylko o nasz honor.

— Oczywiście — potwierdził burmistrz — oczywiście. Wiedział z doświadczenia, że bezcelowa była dyskusja z Gümplem, zwłaszcza wtedy, kiedy alkohol rozpałał w nim gotowość obrony najwyższych wartości. Zamówił jeszcze jedną butelkę. Potem rzekł: — Musimy najpierw spełnić warunek postawiony przez Seebauma.

— Nic prostszego — rzekł pułkownik Gümpel. — Tego Mutscha szybko wyślemy do stu diabłów, to oczywiście. Jak pana znam, panie Reisser, załatwi to pan w mgnieniu oka.

Mężczyzna, który wyglądał jak cień, wysoki, chudy, pochylony, szedł powoli przez miasto. Wyszedł z domu Semperów, który stał w pobliżu mostu kolejowego i włókł się ulicami, przez rynek, w kierunku Panzy.

W pobliżu kościoła niemal wpadł na Mutscha, który stał przy murze; potrącił go, jakby nie zauważając. — Gdzie pan ma oczy? — odezwał się Mutsch. Mężczyzna, wyglądający jak cień, nic nie odpowiedział, jakby nic nie słyszał, jakby wsłuchiwał się tylko w to, co działo się w nim. Pochłonęła go ciemność.

Później z parku wyszedł nad rzekę. Wpatrywał się w wodę, długo spoglądał na księżyc, który odbijał się w rzece.

Potem podniósł ku niemu twarz.

Mężczyzna, który wyglądał jak cień i najwyraźniej nie wiedział, co ze sobą począć, załkał. Był jak zwierzę, które zdławionym głosem wyje do księżycy.

Obok kuźni, tuż przy drugim brzegu Panzy, oddzielony od fabryki sukna łąkami i betonową drogą, stał dom Loosa. Otaczała go nocna cisza; tylko zegar z kukułką głośno tykał. Kowal Loos spał. Twarz miał surową, pomarszczoną. Jego żony, jak zwykle, nie było widać.

W małej izdebce spała jego córka Ulryka. Przekręciła się na bok. Kiedy otworzyła oczy, wzrok jej padł na dziecko śpiące w dużym koszu na bieliznę. Uśmiechnęła się.

Gdy Mutsch wrócił ze swego nocnego spaceru, zastał w restauracji Irenę Krampus. Skinęła mu głową i przerwała obliczanie kasy. — Wydaje się, że tak jak i ja, lubi pan noc — rzekła życzliwie.

— Noce są spokojne, bo większość ludzi śpi.

Irena zamknęła metalową kasetkę. — Czy zostanie pan w Wahlheimie?

— Scheuermann mnie zatrudnił.

— Należało się tego spodziewać. A poza tym? Dlaczego chce pan tu pozostać?

Mutsch uśmiechnął się trochę zmęczony. — Powiadają, że zbrodniarz wraca na miejsce zbrodni.

— A kochanek w ramiona swojej kochanki — odparła Irena.

— Jeśli te ramiona są jeszcze dla niego otwarte.

Noc w Wahlheimie powoli wyciszała wszelkie sprawy. Policjant Pulver opuścił mieszkanie burmistrza, a potem towarzyszył jako honorowa asysta burmistrzowi i pułkownikowi, którzy z trudem oderwali się od butelki wina. Wielebny Marcus mocno spał; brewiarz spadł mu na podłogę i leżał otwarty obok bamboszy.

Zmęczenie i pożądanie ustąpiło miejsca troskom i chciwości. Nowo narodzone dziecko płakało ze strachu przed życiem, lekarz szedł wolno do domu i myślał o rachunku, jaki wystawi. Dziennikarz Flammer wysliznął się przez okno od swej przyjaciółki i przysiągł sobie, że z nią zerwie.

Mężczyzna, wyglądający jak cień, siedział w domu Sem-perów przy lampie i pisał. Usta miał otwarte, jego ręce poruszały się niespokojnie.

— To nie ma sensu — rzekł mężczyzna, który wyglądał jak cień.

— Musi być dobrze — rzekł Mutsch.

— Śpij słodko — rzekła Ulryka do swego dziecka.

Punktualnie o piątej rano kowal Loos wstał. Jego dzień był dokładnie zaplanowany. Poszedł do łazienki, następnie stanął na progu swego domu, rzucił badawcze spojrzenie na bramę kuźni, potem, poprzez rzekę, na miasto Wahlheim. I przez cały czas zaciskał pięści w kieszeni.

Mruczał pod nosem, przeklinał to miasto; uważał, że stamtąd płynie całe nieszczęście, a zwłaszcza hańba jego domu. To okropne wspomnienie hańby przypomniało mu o pracowicie zaplanowanym dniu. Ruszył, jakby go ktoś popchnął, do pokoiku swojej córki Ulryki i zawołał cicho: — Wstawaj! — Potem stanął przy koszu, w którym spało dziecko i długo się mu przypatrywał.

— Biedne dziecko — rzekł i westchnął, jakby miał ściśnięte gardło.

— On jest taki kochany — powiedziała córka.

Kowal Loos rzucił jej oskarżycielskie spojrzenie. Dziewczyna uśmiechnęła się. Uśmiechała się każdego ranka, kiedy się budziła. Bo każdego ranka przeżywała tę samą scenę ojcowskiego żalu.

Loos poszedł do kuchni. Przy piecu krzątała się jego żona, cicha i zwinna jak kotka. Kowal usiadł przy stole, przekartkował Biblię, wyszukał odpowiednie miejsce, przeczytał je, poruszając przy tym wolno wargami. Następnie włożył święty obrazek w wybrane miejsce, zamknął Biblię i położył w rogu stołu po prawej stronie.

Potem kowal wstał, wyszedł na dwór i udał się do kuźni. Otworzył dwie pokrzywione kłódki, wysunął sztabę i szeroko otworzył bramę. Wdychał zapach węgla, cuchnącej wody, oleju i rdzy. Ujął młot kowalski, podniósł go i opuścił na kowadło. Rozejrzał się i zobaczył przed sobą zadanie na dzisiejszy dzień: dwa pługi, koło, okucie wozu. Lubił swoją pracę.

Wybiła szósta. A więc pora, kiedy mleczna zupa powinna już stać na stole. Poszedł do kuchni, nie dlatego, że był głodny, ale po to, by sprawdzić, czy śniadanie zostało podane na czas. Owszem, było podane.

Płatki owsiane na mleku parowały w wazie. Zajrzał, zamieszał i uznał, że są dostatecznie gęste. Potem usiadł. Żona i córka zrobiły to samo.

Kowal Loos spojrział badawczo na żonę. — A teraz się pomodlimy — rzekł.

Wymamrotał „Ojcze nasz”, powiedział „amen” i wziął do ręki Biblię. Odczytał wybrany fragment mocnym głosem, jak herold Pana Boga.

Następnie znacząco skinął głową i zamknął Biblię. Teraz, jak to się działo już od miesięcy, przyszła kolej na codzienne pytania skierowane do córki. Brzmiały one zawsze tak samo i ojciec nigdy nie otrzymywał na nie odpowiedzi.

— Pytam cię ponownie, Ulryko, czy zdradzisz mi imię człowieka, który cię uczynił matką?

— Nie — odparła dziewczyna. — To jest moje dziecko. Ojciec nie ma tu nic do rzeczy.

Kowal spojrział na nią, jak gdyby była wcieleniem niegodziwości. — Czy zdajesz sobie sprawę z ciężaru swego grzechu i czy odczuwasz skruchę?

— To nie był grzech i dlatego nie odczuwam skruchy.

— Żal mi ciebie — rzekł Loos stłumionym głosem. — Będę prosił Boga, aby był dla ciebie litościwy. — Potem wyjął łyżkę wazową z gęstej zupy, która już mocno ostygła i nalał sobie pełen talerz.

Jadł łapczywie. Jego pomarszczona, zapadnięta twarz wyglądała, jakby stale nie dojadał. Niechętnie odsunął pusty talerz.

— Ten Wahlheim — rzekł szczerze zmartwiony — to się dlisko grzechu i rozpusty. Ale oni jeszcze się przekonają, do czego to doprowadzi.

Burmistrz Otto Reisser, który według metryki miał na imię Ottokar, był optymistą. Tak naprawdę to był on rzeźnikiem, ale pomyślnie czasy i przychylność wpływowych kół Wahlheimu wywindowały go na stanowisko głowy miasta. Przyjął ów wybór z zadowoleniem i nie bez dumy.

Jego działalność można by nazwać bardzo pozytywną — czemu początkowo sam najbardziej się dziwił — ponieważ nie dążył do osiągnięcia korzyści finansowych, ani nie podejmował decyzji o charakterze światopoglądowym. Był człowiekiem kompromisu. Przede wszystkim jednak lubił znajdować się w centrum uwagi. Wkrótce uznał, że jest stworzony do wyższych celów, wielkich rozstrzygnięć i pięknych kobiet. Zaczął marzyć o sławie i przygodach.

Bardzo prędko stwierdził, że jego dotychczasowe życie jest godne pożałowania. Był zamożny, ale nie bogaty, zadowolony, ale nie szczęśliwy. Jego masarnia prosperowała należycie i bez jego udziału; całą robotę wykonywał pewien uciekinier ze Śląska. Żona Ulryka była, jego zdaniem, niezbyt urodziwa; wniosła do ich małżeństwa dużo serca i jeszcze więcej pieniędzy, ale prawie się nie orientowała

w zagrożeniach obecnych czasów, a już wcale nie rozumiała jego osobistych psychologiczno-erotycznych problemów. Czuł się zanedbywany. Rzecz jasna, przezorność nakazywała mu traktować żonę ze szczególnym szacunkiem — zwłaszcza wobec ważnych osobistości — a nawet z serdecznością. Ale to wszystko nie zmieniało faktu, że noce w małżeńskiej sypialni wydawały mu się beznadziejne.

Tak więc miejscowa polityka stała się dla niego areną działania i wyczerpywała go ponad siły. Przygody erotyczne przeżywał co prawda tylko w myślach, ale za to bardzo intensywnie. Był zdecydowany urzeczywistnić swoje marzenia, tylko, niestety, nie miał kiedy. Urząd całkowicie go pochłaniał, Reisser oddawał mu się duszą i ciałem.

Skomplikowane, szarpiące nerwy życie polityczne zmuszało go, wbrew jego woli, do bardzo przyzwoitego życia. Szybko zdał sobie sprawę, że wybrano go nie dla jego poczciwej twarzy, lecz dla kupieckiego sprytu. Zdobył zaufanie tak zwanej narodowej większości i na tym zaufaniu bazował. Tylko z pomocą owej większości mógł bez przeszkód kierować, planować i władać. Początkowo jedynie szanował ową większość, potem nauczył się ją wykorzystywać, nigdy nie darzył jej miłością, ale tego nikt nie zauważał. Jedno było pewne: jeśli chciał, by go ponownie wybrano, większość musiała mu sprzyjać.

Każdego ranka punktualnie o ósmej pokazywał się mieszkańcom miasta Wahlheim — niezależnie od tego, czy poprzednia noc była krótka, czy wyczerpująca.

Reisser wyszedł ze swego domu położonego przy rynku, po lewej stronie kościoła, z dobrze wyćwiczoną powagą i godnością, która malowała się także na jego dobrodusznym obliczu. Przyglądał się, jak jego sekretarka, Małgorzata von Habern, zdąża w stronę ratusza. Czuł się dobrze i był pełen energii, ponieważ dzień zapowiadał się przyjemnie chłodny. Postanowił, że będzie dziś dużo dyktował. Wywijał dębową laseczką, która co prawda służyła tylko jako ozdoba, ale nadawała się także jako broń i zaczął się kręcić po rynku, by przyjmować i odwzajemniać pozdrowienia.

Pierwszą osobą, jaką napotkał, był Scheuermann, poseł socjalistów i jedyny w Wahlheimie przeciwnik, którego

traktował poważnie. Nie ufał temu ironicznie uśmiechającemu się człowiekowi, który nie nosił krawata, gdyż lubił udawać antyproletariusza i beztrzesko wdzierał się w uporządkowane życie Wahlheimu. Czasem Reisser go nienawdził, ponieważ czuł jego przewagę, ale traktował go zawsze z wyszukaną uprzejmością.

— Dzień dobry, panie pośle! — zawołał i uchylił kapelusza. — Jak się pan miewa?

— Dzień dobry, panie burmistrzu — odpowiedział Scheuermann. — Dobrze, że pana spotykam. Chciałem właśnie iść do pańskiego biura.

Otto Reisser postanowił, że nie będzie zwracał uwagi na nie ukrywaną niechęć Scheuermanna; był z góry nastawiony na trudności. — Co mogę dla pana uczynić, mój drogi? — zapytał uprzejmie.

— Chodźmy do ratusza — zaproponował Scheuermann rzeczowo.

— Możemy już tu zacząć — rzekł Reisser — ponieważ ja urzęduję w każdym miejscu i o każdej porze. Wykorzystajmy więc ten mały spacer po rynku. Pański czas jest cenny, a mój i tak jest własnością urzędu. — I po przyjacielsku położył dłoń na ramieniu opierającego się Scheuermanna, idąc z nim spokojnym krokiem przez centrum handlowe Wahlheimu.

Miasto już się obudziło i panował w nim ożywiony ruch. Świeży chleb leżał na wystawie, był jeszcze ciepły i błyszczący. Gazeciarki roznosiły „Gońca Wahlheimskiego”, a ślusarz Miegalka, konkurencja Scheuermanna, sprawdził natychmiast, czy w ogłoszeniu prawidłowo i dostatecznie dużymi literami wydrukowano jego nazwisko. Chłopi wyładowywali warzywa, jaja i masło, gospodynie domowe nieufnie badały oferowany towar i robiły zakupy. Właściciel sklepu papierniczego i księgarni, Hohlhander, stał jak zwykle beczynnie przed sklepem i *zastanawiał się*, dlaczego jego córka ma podkrążone oczy. Ksiądz Marcus spacerował wokół kościoła.

Burmistrz Reisser widział wszystko; odpowiadał na pozdrowienia, obserwował swoją sekretarkę, która przed ratuszem rozmawiała z tym nicponiem Flammerem, nędznym

dziennikarzyną i cały czas uważał na Scheuermanna, którego starał się traktować jak swego dobrego przyjaciela.

Scheuermanna to irytowało, bo znał ów chwyt burmistrza, który ostatnio nie pomijał żadnej okazji, by zademonstrować publicznie, jak bardzo jest za pan brat z tak zwaną opozycją. W „Czarno-Białym Byku” przepijał do niego, a podczas posiedzeń rady miejskiej wyglądał, jakby miał ochotę mu powiedzieć: gadaj zdrów, drogi Scheuermann, możesz mnie atakować, ostatecznie musisz to robić ze względu na swoich wyborców, ale poza tym, mój drogi Scheuermann, świetnie się rozumiemy! Bo co to jest opozycja, zwłaszcza u nas, w Wahlheimie? Lipa wyborcza!

— Zapewne pan już słyszał — rzekł Scheuermann i usiło wał odsunąć się od burmistrza — że wrócił Mutsch.

Reisser skinął głową. — Zawiadomiono mnie i muszę przyznać, że niezbyt się z tego ucieszyłem. Taki element psuje atmosferę naszego spokojnego miasta, którego dobro zarówno panu, jak i mnie leży bardzo na sercu. Tacy ludzie, o niechlubnej przeszłości, to ogniska niepokoju. Naszym obowiązkiem jest rozpoznać takie niebezpieczeństwo i w porę je usunąć. — Burmistrz szerokim gestem powitał listonosza i przebiegle spojrzął na Scheuermanna.

Scheuermann chrząknął. — Pan Mutsch — rzekł — odsiedział wyrok, a więc odpokutował za swój czyn, który, jak pan wie, ja także potępiłem.

— Miło mi to słyszeć — rzekł Reisser. — To dowodzi, ile mamy wspólnego, jeśli idzie o dobro naszego miasta. — Zerknął na ratusz i trochę się zaniepokoił, bo stała tam wciąż jeszcze jego sekretarka z tym przekłętym dziennikarzem.

— Nie chodzi tu o miasto — odparł Scheuermann — tylko o pojedynczego człowieka, który nie ma rodziny, któremu potrzebna jest praca i dom.

— Ale przecież nie w Wahlheimie, mój drogi! — oznajmił burmistrz. Zabrzmiało to jak wyrok, od którego nie ma odwołania. Z trudem oderwał wzrok od sekretarki, która stała przed drzwiami i szczyrzyła zęby do tego nędznego pismaka.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Scheuermann groźnym tonem. — Chce pan tu stosować prawo zwierzchności, jak w średniowieczu namiestnik, który mógł wypędzić z mias ta każdego, kto mu się nie podobał?

Burmistrz usiłował oderwać wzrok od tej flirtującej pary przed drzwiami swego urzędu. Pomyślał przelotnie: Może on tylko tak udaje! Następnie pomyślał: Jeśli ta dziewczyna będzie się tak dalej zachowywała, to nie zagrzeje u mnie długo miejsca; ona widzi tylko tego młodego nicponia i nie zauważa, że nadchodzi jej szef. I dalej: Taka głupia to ona nie jest; i wystarczająco sprytna; ta mała bestyjka na pewno mnie widziała i teraz specjalnie urządza scenę balkonową na rynku, by wzbudzić we mnie zazdrość.

— Nie żyjemy już w średniowieczu — rzekł Scheuermann. — Żyjemy w czasach, które starają się sprzyjać wolności. Każdy ma prawo przebywać tam, gdzie chce, i może robić, co chce, póki nie narusza prawa.

Burmistrz wziął się w garść. — Ależ ma pan rację! — zawołał. — I dobrze pan to ujął, drogi kolego. Zgadzam się z panem całkowicie. Ale proszę się rozejrzeć, proszę popatrzeć na nasze piękne miasto: rozrosło się, żyją w nim spokojni, godni zaufania obywatele. I wszyscy patrzą na nas, ponieważ to oni nas wybrali, wobec czego ponosimy odpowiedzialność...

Scheuermann przerwał ten potok słów. — Niestety, panie Reisser, każdy z nas inaczej pojmuje sens odpowiedzialności. Ja uważam, że ponosimy odpowiedzialność za Mutscha, któremu należy dać szansę.

— Oczywiście — powiedział burmistrz — oczywiście, trzeba mu dać szansę i damy mu — ale nie u nas! On potrzebuje mocnego gruntu pod nogami, nowego otoczenia, gdzie nikt go nie zna. Niemcy są wielkie. A w Wahlheimie nie ma dla niego miejsca; nasze miasto to oaza spokoju. Wprawdzie zawsze może się zdarzyć jakieś wykroczenie — kradzież, sprzeniewierzenie, zakłócenie porządku publicznego, czasem nawet fałszerstwo lub oszustwo. Ale nie akt przemocy! A od pobicia do morderstwa jest tylko jeden krok.

— Panie Reisser — rzekł Scheuermann poważnie i zatrzymał się. — Pana stanowisko wobec Mutscha wyływa

z czysto osobistych pobudek! Działa pan zgodnie z poleceniem, a przynajmniej zgodnie z opinią dyrektora See-bauma!

Burmistrz usiłował położyć dłoń na ramieniu swego rozmówcy, ale ten się usunął. — Jestem do tego przyzwyczajony — rzekł Reisser, szeroko rozkładając ręce — że mnie obrażają, wyszydzają. Jest to związane z moim urzędem. Ale nie jestem pamiętliwy, nie mam na to czasu; poza tym nie leży to w moim usposobieniu.

Scheuermann spojrział ostro na Reissera. — Jestem zdecydowany — rzekł — przyjąć Mutscha do siebie, do mojego domu, do mojego warsztatu. I dlatego proszę już temu położyć kres. Niech pan zapomni o tym, co było. Niech pan już o tym nie myśli. Tak będzie najlepiej — dla nas wszystkich.

Burmistrz myślał intensywnie. Nie zauważał nawet ludzi, którzy go pozdrawiali. Potem usłyszał głośny, wesoły śmiech i szybko się obejrzał: to jego sekretarka tak bezczelnie głośno się śmiała, że słychać było na całym rynku. A teraz znów zarzął ten prostak!

— Usilnie radzę panu zapomnieć o tym, co panu nakładł do głowy dyrektor Seebaum — rzekł Scheuermann.

— Niech pan pomoże zakopać topór wojenny.

— Ja niczego nie muszę zapominać — rzekł burmistrz, który teraz całkowicie skoncentrował uwagę na swoim przeciwniku, Scheuermannie. — Nigdy też nie wydobywałem topora wojennego. Jeśli o mnie chodzi, gotów bym przyjąć tego Mutscha, skoro okazuje skruczę, w poczet synów naszego drogiego miasta. Ale czy ja jestem wszechmocny? Jestem tylko sługą tego miasta i muszę się kierować życzeniami jego obywateli, jego dobrem. A pod tym względem, mój drogi kolego, widzę sprawę czarno.

— A więc pan nie chce?

— Oczywiście, że chcę. Ale to nie o mnie chodzi. Mogę tylko spróbować uregulować jakoś sprawę. I uczynię to. Ale już teraz muszę pana ostrzec, drogi kolego, pana szczególnie. Powiedzą bowiem, że pan popiera osobnika

— proszę zwrócić uwagę, mówię to, co oni powiedzą, nie

to, co ja sam myślę — osobnika, który dopuścił się pobicia i siedział w więzieniu, i to ciężkim.

— Siedział w zwykłym więzieniu.

— Przecież wiem. Oczywiście, że siedział w zwykłym więzieniu. Ale i tak będą mówili, że siedział w ciężkim więzieniu; będą go nazywać groźnym przestępcą.

Scheuermann chciał się odwrócić i odejść. Ale postanowił spróbować jeszcze raz. — Niech się pan dobrze zastanowi — rzekł ostrzegawczym tonem. — Pan szkodzi człowiekowi, który potrzebuje spokoju i który zasłużył na taki spokój, a być może, szkodzi pan także paru innym sprawom.

— Ależ, łaskawy panie! — powiedział burmistrz z wylewną serdecznością. Zobaczył, że jego sekretarka po prostu odwróciła się, zostawiła dziennikarza i weszła do ratusza, nie żegnając się z nim. — Jeśli ktoś tu powinien się zastanowić, to właśnie pan. Obawiam się bowiem — oświadczył na koniec bardzo uprzejmym tonem — że czeka pana ciężka, bardzo ciężka kampania wyborcza.

Ula Scheuermann pokochała wuja Mutscha całym sercem. Ta dwunastoletnia piegowata dziewczynka o zadartym nosku straciła matkę przed ośmiu laty i dorastała prawie bez opieki, bynajmniej nie rozpieszczana przez ojca i starą ciotkę Linę, która prowadziła im gospodarstwo, zbytnio się nie przemęczając i poza tym o nic się nie troszcząc.

Przez wiele lat Ula uchodziła za bardzo grzeczne dziecko, gdyż była milcząca. Patrzyła tylko ciekawie i wszystkiemu się przysłuchiwała. Przesiadywała w warsztacie ojca i słuchała jego rozmów z dostawcami, nosiła za nim narzędzia, kiedy szedł do klientów, by na miejscu coś zreperować. Aby dziewczynka nie siedziała sama w domu, ojciec zabierał ją czasami na zebrania i narady z towarzyszami partyjnymi. Ula zaś uważnie się przysłuchiwała, ale nic nie mówiła.

Przez jakiś czas uchodziła za grzeczne, ale niezbyt bystre dziecko. Scheuermann sądził, że Ula to wesoła, pogodna dziewczynka. Ale to się szybko zmieniło. Pewnego dnia bowiem Ula zabrała głos podczas narady partyjnej, gdy chodziło o podjęcie akcji, która miała na celu utracenie planowanego „projektu budowy rzeźni”, projektu, z którego najwięcej korzyści czerpałby burmistrz jako właściciel owej rzeźni. Towarzysze szukali szczególnie mocnych argumentów, ale nic im nie przychodziło do głowy. Wtedy Ula zawołała oburzona: — Rzeźnia! Po co? Niech najpierw wybudują ubikację w szkole. Chłopaki zawsze sikają na ścianę!

To był tylko skromny początek, bo wkrótce okazało się, że Ula słyszała więcej, niż było wskazane dla jej małej, wrażliwej główki. Odtąd zabierała głos w domu, krytykowała swoje koleżanki i nauczyciela; poza tym była silna jak chłopak, wytrwała i zwinna jak kot; słowem, Scheuermann był niezwykle zaskoczony nagłą zmianą u córki, która zarówno jego, jak i całe otoczenie zaczęła tyranizować z rozbijającą naturalnością.

Spowodowało to początkowo pewną obcość pomiędzy ojcem i córką, gdyż Scheuermann stał się bardzo ostrożny, kiedy jego pogodne, sentymentalne dziecko zrobiło się nagle krnąbrne i pyskate. Rzecz jasna, kochał ją jeszcze mocniej niż dotąd, był z niej bardzo dumny, ale rzadko ją zabierał na zebranie czy do gospody. Tak więc Ula zaczęła odczuwać coś, co dorośli nazywają osamotnieniem. I właśnie wtedy zjawił się Mutsch; zajął się nią i stał się jej uważnym słuchaczem. Bardzo go pokochała!

Pewnego razu przyszła do warsztatu, stanęła przed nim i uśmiechnęła się. Mutsch spojrział znad swojej roboty, uśmiechnął się także i rzekł:

- Przyszłaś mi poprzeskadzać?
- Chciałam ci sprawić przyjemność — odparła Ula poważnie.
- Mutsch skinął głową. — No to słucham.
- Chodź ze mną na spacer — zażądała.
- Nic z tego, moja panno. Jak widzisz, mam robotę.

Ula potrząsnęła głową. — Zostaw to — rzekła, wskazując brodą na odbiornik radiowy, który Mutsch naprawiał.

— To radio Lindnera, a on nastawia je na cały regulator, tak że wszyscy sąsiedzi się wściekają. Będą ci wdzięczni, jeśli tak prędko nie naprawisz go. Chodźmy na spacer!

Mutsch był innego zdania. — Zapominasz, że mam ustalony czas pracy. Fajerant dopiero za dwie godziny.

Ula jednak wiedziała swoje. — Ach, zawracanie głowy. Tata wyjechał, więc nikt cię nie sprawdzi. Poza tym tatuś mi powiedział, że kiedy go nie będzie, wujek Mutsch ma się mną zająć. Więc się teraz zajmij, wujku. Wyprowadź mnie na świeże powietrze, to mi dobrze zrobi.

Mutsch trochę się jeszcze wahał. Oczywiście, mógł sobie na to pozwolić, by zakończyć pracę dwie godziny wcześniej; wiedział, że Scheuermann tylko by się ucieszył, wiedząc, że zajął się Ulą. Ale lubił pracę; było w niej coś dziwnego; odwracała jego myśli, skupiała je na innych sprawach niż przykre wspomnienia, od których nie mógł się uwolnić.

— Pójdziemy do parku — kusila go dziewczynka.

— Usiądziemy na górce. Widać stamtąd Panzę i kuźnię Loosa.

Mutsch skinął głową; zgodził się. Także Ula skinęła; wiedziała, że on się zgodzi, jeśli wspomni o tej parszywej rzece i kuźni Loosa. Wujek Mutsch stale chodził nad Panzę i spoglądał na kuźnię, tylko ona nie wiedziała jeszcze, dlaczego.

Pomogła mu zamknąć okna i drzwi warsztatu, potem oddała klucz ciotce, która piła popołudniową kawę, i rzekła:

— Musimy teraz pójść do bardzo ważnego klienta.

Mutsch i Ula szli ulicami Wahlheimu, trzymając się za ręce. Minęli ulicę Główną i przecięli rynek.

Mutsch pozdrowił wyjątkowo uprzejmie Irenę Krampus, która stała przed gospodą.

Irena uśmiechnęła się do niego życzliwie, a potem ruchem ręki przywołała Ulę: — Chcesz czekoladę, moje dziecko?

— Nie jestem pani dzieckiem — rzekła Ula. — A jaką ma pani czekoladę?

Ula dostała tabliczkę ulubionej czekolady z orzechami i rozpromieniona poszła z Mutschem dalej; minęli kościół i szli w stronę parku.

— To prawdziwa dama — rzekł Mutsch.

Ula potwierdziła. — Tak, zgadza się. Często daje mi słodycze. Ale dlaczego?

Mutsch nie odpowiedział. Doszli do pagórka nad Panzą. Spoglądali na drugi brzeg leniwie płynącej rzeki, na budynki fabryki sukna tuż przy moście, na kuźnię Loosa. Mutsch usiadł i patrzył przed siebie zamyślony.

Ula podzieliła czekoladę na dwie równe części i jedną dała Mutschowi. Wziął ją do ręki. Wiedział, że Ula nie znosi, jak się jej odmawia, że lubi częstować i gdyby nie przyjął czekolady, sprawiłby jej przykrość. Wiedział także, że za godzinę lub dwie, kiedy już zje swoją część, zrobi szczególnie przymilną minę i zapyta od niechcienia, dlaczego nie je czekolady, czy mu nie smakuje i czy czeka, aż się rozpuści i nie będzie się nadawała do jedzenia. Potem on ją poprosi, żeby zjadła jego część, bo umrze z głodu, a ona łaskawie się na to zgodzi.

Podczas gdy Ula jadła, Mutsch obserwował okolicę, którą dokładnie znał i z którą łączyły go wspomnienia: tam była łąka, na skraju tej łąki pocałował ją po raz pierwszy; dalej na prawo duże drzewo otoczone zaroślami, tam spotykali się potajemnie; leniwa Panza, w której woda była czysta tylko późną nocą, kiedy ustawała praca w fabryce sukna, ta mętna woda, która sięgała zaledwie po szyję i w której często się kąpali.

Ula spoglądała na niego zadowolona. — Dlaczego tak zawsze patrzysz na tę kuźnię?

— Tak sądzisz?

— No pewnie! Dlaczego? Co cię tak w niej interesuje? To przecież zwykli ludzie. A ich córka ma nawet dziecko, tylko nie ma męża.

Jej słowa wyrwały go gwałtownie z zamyślenia. — Co ty mówisz? Ulryka Loos ma dziecko?

— Jasne. Tłuściutkiego bobasa, ale nie ma ojca.

— Skąd to wiesz?

— Wszyscy to wiedzą. — Ula nagle posmutniała, bo zjadła już ostatni kawałek czekolady.

Mutsch stał się niespokojny. Ula tego nie zauważyła. Zgniotła sreberko w kulkę i bawiła się nią. Mutsch oparł się na rękach. Przepelniony wspomnieniami, wpatrywał się w krajobraz w dole. Właśnie z powodu tych wspomnień wrócił do Wahlheimu, ponieważ towarzyszyły mu stale i nigdy go nie opuszczały w ciągu tych trzech lat, kiedy siedział w więzieniu, kiedy odbywał spacer na podwórzu więziennym, kiedy pracował w warsztatach, gdzie przez okna widać było tylko mur i mały skrawek nieba. Tego nieba, które rozpościerało się nad nim i nad Ulryką Loos.

— Co ci jest? — zapytała Ula ze współczuciem. — Czy źle się czujesz? Masz taką dziwną minę.

— Posłuchaj — rzekł Mutsch poważnie. — Czy wiesz, ile to dziecko ma lat?

— Jakie dziecko?

— Jak to jakie? Dziecko Ulryki Loos.

Ula spojrzała na niego badawczo i z odrobiną współczucia.

Bawiła się kulką. Mutsch stracił cierpliwość. — No powiedz wreszcie!

— Co się z tobą dzieje? — Ula zmarszczyła czoło; bardzo zastanawiało ją zachowanie wujka Mutscha. Nie mogła się połapać w tym wszystkim, ale było jej go żal, choć nie wiedziała, dlaczego. — To dziecko ma chyba około roku. Ale dlaczego pytasz?

Mutsch odchylił się, przesunął dłonią po czole. Westchnął ciężko i pomyślał: A więc urodziła dziecko, kiedy ja już dwa lata siedziałem w więzieniu. Ojciec dziecka jest nieznany. — Biedna Ulryka — powiedział.

— Dlaczego? Skąd wiesz, że ona jest biedna?

— Masz rację. Czy nie powinienem powiedzieć raczej: biedny Mutsch?

Ula zdziwiła się. — Do licha! — zawołała. — Pierwszy raz cię takim widzę. Co to ma znaczyć: biedny Mutsch? Przecież masz mnie!

— Jak mogłem o tym zapomnieć. — Mutsch usiłował się uśmiechnąć. — Powinnaś mnie za to ukarać.

Ula przytaknęła, — Słusznie. Oddaj mi natychmiast swoją czekoladę!

Emerytowany pułkownik Eitelheinz Gümpel był nie tylko bohaterem miasta Wahlheim nad rzeką Pan-zą, najślawniejszym synem tego miasta, ale był także najważniejszym wyborcą w mieście. Albowiem Gümpel nadawał ton i szanowali go wszyscy dawni i przyszli podwładni; poza tym miał dużo wolnego czasu i był niezwykle wytrwały; często rozmawiał z mieszkańcami, ale nie tolerował sprzeciwu, z którym się zresztą nie spotykał. Rzecz jasna, był przedstawicielem prawego skrzydła; tradycja i wierność przekonaniom określały jego wartość i drogę. Za radą dyrektora Seebauma został założycielem Narodowo-Liberalnego Bloku Obywatelskiego, który potrafił sobie z powodzeniem utorować drogę. Jego motto brzmiało: „Kto kocha ojczyznę — ten głosuje na nas! — Dla zdrajców ojczyzny nie ma wśród nas miejsca!” Niewielu było takich, którzy chcieli, by ich wytykano jako „kreatury” i odsądzano od czci i wiary; oczywiście wszystko to nie miało nic wspólnego z terrorem, bo przecież chodziło tylko o „zwycięstwo słusznej sprawy”, ugruntowanej na odziedziczonych wartościach.

Było powszechnie wiadomo, że pułkownik zrezygnował z nędznej emerytury, którą przyznało mu pogardzane przez niego państwo. Mógł sobie na to pozwolić, ponieważ był generalnym przedstawicielem firmy produkującej popularny środek do prania „Blanco” i miał zapewnione z tego tytułu niezłe dochody — nie wstając przy tym od biurka. Nie było co prawda całkiem tak, jak głosiła fama, że rzucił pod nogi rządowi federalnemu swoją emeryturę; była ona jedynie zawieszona, gdyż poprosił o to uprzejmie na piśmie.

Pułkownik Gümpel, również za radą dyrektora Seebauma, zaprosił liderów swego politycznego ugrupowania do gospody „Pod Czarno-Białym Bykiem”, do małej bocznej

salki. Tutaj, po kolejce piwa, podsumował to, czego dokonano, potem szczegółowo mówił o umocnieniu osiągniętej pozycji i wreszcie starał się zasiać „nienaruszalną nadzieję” na stałe zabezpieczenie i stałe rozwijanie tej postawy w sercach i umysłach przyjaciół o takich samych przekonaniach.

— Koledzy! — zawołał — nie ulega wątpliwości, że i w przyszłych wyborach odniesiemy pełny sukces. Nasza pozycja, na szczęście, bardzo się umocniła i nawet dawne, wrogie siły nie mogą odmówić nam uznania. To co prawda nam nie imponuje, ale uznajemy to za pozytywny objaw. Możemy z nadzieją spoglądać w przyszłość!

„Koledzy”, którzy patrzyli na niego z szacunkiem, wydawali się podzielać tę opinię. Kupiec towarów kolonialnych, Scheuwitz, kiwał potakująco głową; był zadowolony, bo jego interes prosperował. Mistrz ślusarski Miegalka, który zajął się polityką tylko ze względu na zawodową rywalizację z Scheuermannem, spoglądał z oddaniem w stalowo-błękitne oczy pułkownika; Gottlieb Bremer, naczelny redaktor „Gońca Wahlheimskiego”, utkwiał zadumany wzrok w obrusie; uznawał on i popierał wszystko, co dobrze brzmiało i było wygłaszane z entuzjazmem. Policjant Pulver, który siedział przy drzwiach, nie miał własnego zdania i czekał na wypowiedź burmistrza, by się do niego przyłączyć.

Burmistrz Reisser niecierpliwie bębnił palcami w swój kufel; najwidoczniej nie podzielał optymizmu pana pułkownika i sprawiał wrażenie, że go nie słucha, tylko przygląda się uważnie nogom swojej sekretarki, którą przyprowadził, by protokołowała zebranie. Wreszcie wykorzystał krótką przerwę w potoku słów pułkownika, by zabrać głos. — Cieszę się z pańskiej ufności, ale jej nie podzielam.

Pulver skwapliwie pokiwał głową, jakby i on, podobnie jak burmistrz, nie podzielał tej ufności. — Słusznie! — zawołał.

Pułkownik Gumpel popatrzył z wyższością, którą wyćwiczył podczas długoletniej służby wojskowej. — Patriotycznie nastawiony Wahlheim, a więc większość naszych oby-

wateli, jest za nami. Wielu starych żołnierzy przypomni sobie o swoim psim obowiązku. Nie ma prawie nikogo, kto by mnie nie tytułował panem pułkownikiem. Proszę mi wierzyć, koledzy, czasy, kiedy dreptaliśmy w miejscu, bezpowrotnie minęły.

Burmistrz nie zawahał się przyznać mu racji skinieniem głowy.

— Winszuję panu sukcesów. Są one cenne i cieszą.

— Spoglądał przy tym na skrzyżowane nogi sekretarki.

— Ale mimo to uważam, że jeszcze nie osiągnęliśmy celu i że jeszcze sporo jest do zrobienia.

— Słusznie! — zawołał Pulver ponownie.

Naczelny redaktor zauważył: — Historia uczy, że doskonałość zawsze pozostaje w sferze marzeń. Pułkownik Gumpel nie zaprzeczył. — Oczywiście

— przyznał — trzeba będzie stoczyć jeszcze niejedną bitwę. Wielka hańba, jaką jest usunięcie pomnika ku czci bohaterów, nie została jeszcze zmaszana. Jeszcze nie wolno się zreszczać dawnym weteranom wojny. Odznaczenia za odwagę spoczywają jeszcze w szufladach. Oczywiście to wszystko jest godne pożałowania. Ale i to przezwycięży my, bo musimy przezwyciężyć.

Burmistrz czekał cierpliwie; znał wszystkie argumenty pułkownika, ogromnie go nudziły, ale wiedział, że mądrzej będzie nie zaprzeczać. Zdawał sobie bowiem sprawę z zamięłowania większości mieszkańców miasta do symboli, górnolotnych słów i obietnic bez pokrycia. A pułkownik był arcymistrzem frazesów i opłacało się pozwolić mu działać.

— Zawsze — zapewniał pułkownik Gumpel — ilekroć idę przez rynek i spoglądam na to puste miejsce, na które wznosił się pomnik ku czci bohaterów, przysięgam sobie, że nie spocznę, póki nie zmaszę tej hańby z naszego honoru.

Redaktor Bremer spojrział na pułkownika ze wzruszeniem; to były słowa godne artykułu na pierwszą stronę, popierały wolę walki i miały przywrócić żołnierski honor.

Burmistrz Reisser usilnie starał się opanować ziewanie.

— Pan pułkownik — rzekł — jest idealistą i zasługuje na nasz podziw. Niestety, mój urząd zmusza mnie do tego, bym był realistą i dlatego pozwolę sobie przedstawić kilka

konkretnych propozycji. Proszę mi podać moje notatki, panno Małgorzato. Dziękuję. A więc: Przed każdymi wyborami czeka nas kampania wyborcza. Każda kampania wyborcza to walka, która opiera się na dwóch metodach: ataku i obronie. Obydwie posługują się argumentami za i przeciw.

— Bardzo dobrze! — zawołał Pulver, wyrażając tym razem opinię większości.

— Metternich — rzekł redaktor naczelny, chcąc wykazać się erudycją.

— Teraz proszę o propozycje. — Burmistrz odchylił się i rozejrzał wyczekująco. Z góry wiedział, że musi jakiś czas poczekać na odpowiedź. Znów poświęcił uwagę swojej sekretarce; była szczupła i zgrabna, miała profil Greta Garbo. Irena Krampus natomiast miała bardziej kobiece kształty. Obie były godne pożądania, gdyby tylko nadarzyły się czas i okazja.

— Zajmijmy się więc pozytywami — rzekł pułkownik Gumpel. — Potrzeba nam symbolu, wokół którego ludzie mogliby się gromadzić. Proponuję więc: postawmy nowy pomnik! To podniesie ludzi na duchu, a przy tym niezbyt wiele będzie kosztowało.

Zgromadzeni nie odzywali się; woleli, żeby najpierw zabrał głos burmistrz.

— Świetna propozycja — rzekł Reisser — ale praktycznie niewykonalna. Jeszcze nie nadszedł czas, aby stawiać pomniki ku czci poległych bohaterów — nawet w naszym Wahlheimie. A innego rodzaju pomnik chyba nie wchodzi w grę. Nie mamy, niestety, żadnego słynnego obywatela miasta, pomijając oczywiście Alfreda Planera, pisarza, który wprawdzie zdobył na emigracji pewną sławę, ale bardzo wątpliwą.

— Tego typu, pozbawionego czci, w ogóle nie należy brać pod uwagę — zdecydował pułkownik.

Burmistrz zerknął na swoje notatki, potem na uda sekretarki. — Pozwólcie, że ujmę sprawę w inny sposób. Mamy tu tylko jednego poważnego przeciwnika: partię socjalistyczną, której przewodzi poseł Scheuermann. Kościół pozostanie neutralny. A więc ataków należy oczekiwać tyl-

ko ze strony Scheuermanna i przed nim musimy się bronić.

— A przecież atak — rzekł pułkownik — był zawsze najlepszą obroną.

— Clausewitz — skomentował redaktor naczelny, rad, że może się popisać.

— Znane są argumenty natury politycznej — odezwał się Reisser. — Będą takie same jak podczas poprzednich wyborów. W tej dziedzinie nie należy spodziewać się zaskoczenia. Pozostaje tylko nienaganność moralna kandydata.

— U nas — bez zarzutu — zapewnił pułkownik.

Burmistrz skinął głową. — Jestem o tym przekonany — rzekł. — Ale popatrzmy na naszego przeciwnika. Przyjrzyjmy mu się dobrze.

— Prawdopodobnie miał bardzo niski stopień wojskowy — rzekł Gumpel.

— Tylko niewielu wybranych godnych jest stopnia pułkownika — rzekł Reisser z galanterią.

— Oczywiście!

Policjant Pulver zabrał teraz głos: — A co będzie z Mutschem? Ten były więzień jest zaprzyjaźniony z Scheuermannem. Nawet u niego mieszka. Czy to nie znamienne?

— Swój ciągnie do swego! — zawołał pułkownik.

— Przysłowie ludowe — wyjaśnił redaktor.

W zebranych jakby wstąpiło nowe życie. Mistrz ślusarski, Miegalka, bronił uczciwego rzemiosła, kupiec kolonialny, Scheuwitz, powoływał się na moralność, która jest zagrożona. Inni domagali się „absolutnej czystości”.

— Proszę sobie wyobrazić — rzekł ktoś z zebranych — że psuje się u mnie światło. Siedzę z rodziną w ciemnościach, a mam dwie nieletnie córki. I oto przychodzi naprawiać elektryczność były więzień i cała moja rodzina jest zagrożona.

— Wcale nie musi pan wzywać jego — odezwał się mistrz ślusarski, Miegalka — wezwie pan kogoś z mojej firmy. A ja nie zatrudniam kryminalistów.

— Jasne! — Pułkownik już zdecydował. — W wojsku — zapewnił — taki gość zostałby po prostu przeniesiony do innej jednostki. Nawiązując do naszej sytuacji: ten typ musi wynieść się z miasta.

Kupiec kolonialny myślał praktycznie: — Ale jest nam potrzebny w kampanii wyborczej.

— Wykończymy go, a tym samym i Scheuermanna. To najprostsza rzecz pod słońcem.

Burmistrz podniósł do góry obie ręce, by uciszyć powstałą wrzawę. — Ależ, moi panowie! — zawołał uspokajająco, po czym dał znak sekretarce, by zaczęła protokołować. — Bądźmy rycerscy. Szanujmy naszego przeciwnika, choć musimy z nim walczyć. Starzy żołnierze wiedzą, że wartość przeciwnika podnosi rangę zwycięstwa. Szanuję posła Scheuermanna, chociaż się z nim nie zgadzam. Ale że konfrontacja wydaje się nieunikniona, nie zawahamy się, bo nie wolno nam się wahać. I w związku z tym żałuję bardzo, że poseł Scheuermann toleruje w swoim otoczeniu człowieka, wobec którego buntuje się nasze poczucie moralności. Ubolewam, że okoliczności zmuszają nas do tego, byśmy wskazali z naciskiem na zło, które nie może liczyć na nasze pobłażanie! — I znów dał znak sekretarce: teraz ma skończyć protokołowanie.

Pułkownik natychmiast podsumował: — A więc krótko i węzłowato: damy temu Mutschowi w kość!

— W zasadzie tak — potwierdził burmistrz. — Ale proszę o delikatność i takt, o dyplomację. Celujmy w jednego tak, by trafić w drugiego. Polegam na was, panowie.

Mężczyzna, który wyglądał jak cień, mężczyzna z domu Semperów o szarej twarzy, siedział w swojej izbie i wpatrywał się w obrus w biało--niebieską kratę. Przed nim leżała kartka papieru, ale była pusta. Mężczyzna nasłuchiwał.

Zamknął oczy i wsłuchiwał się w siebie. Miał ostre rysy twarzy. Nagle głowa mu opadła, dotykała niemal papieru, ale ją uniósł, jakby czekając na cios.

Na dole rozległy się kroki, zbliżyły się do schodów prowadzących do jego izby. — Sebastian! — zawołał żalospny głos.

Mężczyzna, imieniem Sebastian, drgnął. Potem wstał nagle, wsunął pustą kartkę papieru do kieszeni i wyszedł z izby.

Nawet nie spojrzał na matkę stojącą na dole; czekała, zmęczona, oskarżająca, współczująca, a zarazem zła. Przelotnie zerknął na ojca, który siedział w kuchni i czytał gazetę.

Nie podnosząc głowy, ojciec rzekł: — Nic nie robisz, ciągle jeszcze nic nie robisz. Ja całe życie pracowałem. Teraz żyję z emerytury, ale ona na troje nie wystarcza. Czy mam ci to stale powtarzać?

Sebastian Semper zatrzymał się. Bardzo cicho powiedział: — Wszystko mnie mierzi! Wy wszyscy mnie mierzicie!

Ojciec odrzucił gazetę, zerwał się i zaczął krzyczeć. Nie można było zrozumieć jego słów. Matka cicho płakała.

Sebastian Semper trzasnął drzwiami małego domku i wyszedł.

Rozejrzał się bojaźliwie. Potem poszedł przez tory kolejowe w kierunku łąki. Niespokojnie krążył wokół miasteczka. Przeszedł przez park. Zbliżył się do szosy, która biegnie z Wahlheimu, przecina Panzę i obok fabryki sukna prowadzi do autostrady. Usiadł na jej skraju, znużony spoglądał na szeroki pas ze żwiru, kamieni i asfaltu.

Popatrzył na swoje ręce; były szczupłe, słabe. Zanurzył je w płytkiej wodzie; te ręce łądowały karabiny, podnosiły szklanki wódki, kruszyły chleb w obozie jenieckim, naciągały koce na marznące ciała i kradły odpadki.

Na te ręce, które oglądał w blasku słońca, padł teraz cień. Podniósł wzrok i ujrzał Ulrykę Loos.

— Jak się masz, Sebastianie? — zapytała i uśmiechnęła się do niego.

— Dobrze — rzekł — całkiem dobrze.

Usiadła koło niego. Dotknęła jego ręki.

— Czemu już nie przychodzisz? — zapytała.

— Bo to nie ma sensu — wszystko nie ma sensu.

Ulryka powoli pokiwała głową. — Czy to nie jest możliwe — rzekła — że nie zawsze wiemy od razu, po co jesteśmy na świecie? Że często mijają lata, zanim zrozumiemy,

jakie jest nasze właściwe zadanie? Nie wiem, tak sobie tylko myślę. Ale tak może być. Wiesz, ja nigdy za dużo nie myślę, bo wiem, że to nie ma sensu. Żyję, bo muszę żyć.

— Ale to żadne życie!

— Ja jestem zadowolona.

Sebastian Semper nie patrzył na nią. — A jak ty się miewasz?

— Dobrze.

— A dziecko?

— Też dobrze.

Odetchnęła głęboko i z nieśmiałym uśmiechem spojrzała na niego. — Sebastianie — rzekła — nie martw się o mnie. Ani o mnie, ani o dziecko. Nam jest dobrze.

Siedziała wyprostowana i uśmiechała się. On znów patrzył na swoje ręce.

Ulryka z wahaniem przerwała milczenie. — Proszę, powiedz mi, jeśli mogę coś dla ciebie zrobić. Zrozum, Sebastianie, chcę ci pomóc. Co mam zrobić?

— Daj mi spokój! To wszystko, co możesz dla mnie zrobić. Czy wy wszyscy nie możecie zostawić mnie w spokoju? Potrzeba mi spokoju. Tylko spokoju. Niczego więcej.

Fritz Flammer, zatrudniony na trzymiesięcznym kontrakcie w „Gońcu Wahlheimskim”, był tam zali razem redaktorem kroniki miejskiej i sportowej, autorem felietonów — politykę i gospodarkę Bremer, naczelny redaktor, zachował dla siebie — poza tym reporterem, akwizytorem ogłoszeń i posłańcem. „Goniec Wahlheimski” wychodził trzy razy w tygodniu, miał niewielki nakład (oficjalnie dwanaście tysięcy, a więc praktycznie sześć), ale mimo to wywierał wielki wpływ na opinię publiczną miasta i okolic. Niejeden obywatel Wahlheimu czytywał bowiem tylko dwie rzeczy w swoim życiu: „Gońca” i Biblię.

Flammer szybko zorientował się, czym jest gazeta, zwłaszcza gdy ukazuje się w Wahlheimie: jest to kompilacja

z innych gazet, okraszona kilkoma artykułami dotyczącymi spraw lokalnych, napisanymi przez najlepsze pióra Wahlheimu. To znaczy: Flammer prawie wszystko pisał sam, Bremer wykreślał z tekstów wszelkie ozdobniki i podpisywał artykuły swoim nazwiskiem. Flammer zaprotestował pewnego razu, ale potem już nigdy więcej; był inteligentny i szybko zrozumiał, że to Bremer zawsze ma rację. Odtąd Flammer, który nigdy nie traktował siebie poważnie, przestał traktować poważnie również „Gońca” i z powodzeniem udało mu się swoją pracę zamienić w przyjemność.

Zawsze poszukiwał materiału i zawsze coś znajdował, a czasem nawet wymyślał. Tak na przykład ubiegłego lata sprawił, że wszyscy mieszkańcy Wahlheimu, łącznie z naczelnym redaktorem i policjantem Pulverem, z zapartym tchem śledzili opisy serii włamań, których szczegóły Flammer znalazł w starej powieści w odcinkach. Ponieważ jednak należało co tydzień wypełnić całe trzy strony wydarzeniami z Wahlheimu — od wiadomości o urodzinach dziecka po nekrolog — zdarzało się, że powyginane w wypadku samochodowym błotniki stawały się treścią długiego reportażu i że comiesięczne zebrania hodowców psów były opisane tak dokładnie, iż protokolant wycinki z „Gońca” wklejał do swego zeszytu jako protokoły z zebrania.

Szperając intensywnie w drobiazgach, Flammer już po roku wychował obywateli Wahlheimu na gorliwych współpracowników: dwaj portierzy hotelowi dostarczali mu codziennie spisu gości; partie, organizacje, stowarzyszenia i związki organizowały ośrodki prasowe; Pulver co dwa dni sporządzał dla niego meldunki policyjne; poproszono urzędników burmistrza, by opatrywali oficjalne komunikaty dokładnymi komentarzami. Wszystko to docierało na biurko Flammera. Przeglądał, wybierał i z właściwą sobie beztrąską śledził szczególnie obiecujące tematy.

Lubił zwłaszcza bywać w ratuszu, odkąd Małgorzata von Habern pracowała tam jako sekretarka. Wchodził do sekretariatu, uśmiechał się na powitanie, siadał i beczelnie przyglądał się młodej kobiecie.

— Co nowego?

Małgorzata zręcznie ukrywała, że Flammer jej się podoba, a raczej, że podobałby się jej, gdyby choć trochę potrafił pohamować swoją beczelność w stosunku do niej. — Pan wciąż się źle zachowuje.

— A jak się łaskawa pani czuje?

— Źle, szczególnie kiedy pan tu jest. — Małgorzata von Habern usiłowała dalej pracować, ale nie mogła się skoncentrować. Pisała protokół z „nadzwyczajnego posiedzenia Narodowo-Liberalnego Bloku Obywatelskiego miasta Wahlheim na temat kampanii wyborczej do władz gminy" i w obecności Flammera pomyliła się trzy razy, wystukując na maszynie niewłaściwe litery.

— Co pani robi?

— A cóż to pana obchodzi?

Flammer podszedł do niej i pochylił się nad maszyną. Zobaczył tytuł. — To ciekawe! — powiedział. — Niech pani pokaże!

— Mowy nie ma. — Sekretarka zakryła tekst obiema rękami.

— Pani ma piękne ręce!

Cofnęła je natychmiast i spojrzała na niego z naganą. — Ależ pan jest beczelny!

— Wprost przeciwnie! Przy pani mam zahamowania. Niestety. Co mam na to poradzić?

— Niech pan mi zejdzie z drogi!

— Wykluczone. Pani jest moim najlepszym źródłem informacji. A poza tym nie chcę pani stracić.

Małgorzata potrząsnęła głową. — Pan jest nieznośny!

Flammer znów usiadł na krześle. — Proszę mnie poznać bliżej, a będzie pani zachwycona. Ale pani broni się przed swoim szczęściem.

— Czy chodzi o takie samo szczęście, jakim pan obdarza córkę właściciela księgarni i sklepu papierniczego?

Flammer się roześmiał. — Słyszała pani o tym? Widzi pani, to wszystko z żądy wiedzy. Muszę się orientować w najnowszej literaturze.

— A w czym chce się pan u mnie zorientować? Czy chodzi o informacje? Powiem panu tylko to, co burmistrz po-

zwoli opublikować. Nic więcej. Nie dowie się pan ode mnie niczego więcej, niż wolno mi powiedzieć.

— Spróbujmy więc jeszcze raz — zaproponował Flammer przyjacielskim tonem. Małgorzata milczała urażona. Że też muszę tolerować taką bezczelność. A przecież jeśli tylko chce, potrafi być miły i wesoły — czemu wobec mnie nie jest miły i wesoły?

Flammer jakby odgadł jej myśli. — Pani zawsze mówi „nie”, a to wielka szkoda. Czy mam przed panią paść na kolana i błagać drżącym głosem? Kiedy chcę pójść z panią do kina, mówi pani, że już ten film widziała. Kiedy chcę pani pokazać w parku nowe klomby, mówi pani, że nie zna się na kwiatach. Kąpać się ze mną w Panzie też pani nie chce, bo woda w wannie jest czystsza. Więc co mam robić?

— Niech pan przestanie — rzekła Małgorzata trochę zdenerwowana. — Mówi pan równie kwieciście, jak pisze. Pańska gazeta mi się nie podoba.

— Mamy o niej takie samo zdanie — zapewnił ją Flammer. — Myślę, że świetnie do siebie pasujemy. Może byśmy się o tym przekonali?

Małgorzata von Habern usiłowała przerwać ten drażliwy temat. — Lepiej niech mi pan powie, czy nie zna pan niejakiego Mutscha? Kto to jest? Co on ma wspólnego z Scheuer-mannem?

Flammer nastawił uszu. — Skąd pani przyszedł nagle do głowy ten Mutsch? I to w powiązaniu z Scheuermannem?

— Ach, tak tylko — odparła zmieszana.

Flammer jednak od razu spostrzegł jej zmieszanie i nie zadowolił się jej odpowiedzią. Pomyślał chwilę, spojrział na maszynę do pisania, zauważył, jak szybko zakryła zapisaną kartkę. — Ach! — powiedział. — To ma związek z narodowymi liberałami i wyborami.

— Niech pan nie mówi głupstw — rzekła Małgorzata porywczo.

Flammer cofnął się trochę. — Nie wydaje mi się to wcale takim głupstwem. To ogromnie interesujące!

Dziewczyna była zmieszana; jej duże ciemne oczy spoglądały na niego błagalnie. — Niech pan będzie rozsądny.

Nic panu nie powiedziałam. A może chce mi pan narobić kłopotu?

— Oczywiście, że nie — Flammer uśmiechnął się do niej. — To znaczy, jeśli się da tego uniknąć. Nie wiem bowiem, czy mam tę ważną informację zatrzymać dla siebie i nie ogłaszać jej publicznie, czy też byłoby celowe zamienić ją u burmistrza na inną informację.

— Bardzo proszę — rzekła Małgorzata poważnie — niech pan tego nie robi.

Flammer pokiwał głową: — Muszę się nad tym głęboko zastanowić. A gdyby mi pani pomogła? Proponuję, byśmy się wybrali wieczorem na spacer i wspólnie zastanowili nad tą sprawą. Zgadza się pani?

— To szantaż.

— Nic innego mi nie pozostaje. A więc przyjdę po panią o ósmej.

— Mowy nie ma, proszę po mnie nie przychodzić. Spotkamy się na boisku. O dziewiątej.

— Zgoda. O ósmej na boisku. Do zobaczenia. I serdeczne dzięki.

Flammer jak uskrzydłony zbiegał ze schodów; spotkał burmistrza, ale udał, że go nie widzi. Wyszedł na rynek, zadowolony spoglądał w słoneczny dzień. Niech żyje Mutsch! — pomyślał. — Dzięki temu człowiekowi udało mi się doprowadzić do upragnionej randki. Oby było więcej takich ludzi w Wahlheimie!

Zastanawiał się, czy nie pójść do redakcji, ale praca mogła poczekać. Odrzucił też pomysł, żeby pójść do „Czar-no-Białego Byka” i wypić kilka kufli piwa; myślał tylko o randce. Zrezygnował również z odwiedzin w księgarni. Ale dobrze byłoby przyjrzeć się bliżej temu legendarnemu Mutschowi.

Poszedł ulicą Główną w stronę domu Scheuermanna. Zanim tam dotarł, zobaczył, że Mutsch idzie mu naprzeciw.

— Dokąd pan idzie?

— Tam, gdzie poddany będę szykanom — rzekł Mutsch obojętnym tonem. — Pulver wyraził służbowe życzenie ujrzenia mnie.

— Pójdę z panem — oświadczył Flammer ochoczo.

— Po co?

— Chcę z panem pogadać i pozłościć trochę Pulvera. Czy pozwoli mi pan na tę przyjemność?

— Nie mam nic przeciwko temu.

Poszli przez rynek i skręcili w lewo w ulicę Strzelniczą, gdzie znajdował się komisariat. Flammer próbował wypytywać Mutscha, ale niewiele mógł się dowiedzieć z jego odpowiedzi.

Starszy sierżant Pulver czekał już na Mutscha. — Miał pan być o trzeciej — rzekł.

— A teraz jest wpół do czwartej — odparł Mutsch.

— A w Moskwie — wtrącił Flammer — jest dopiero druga trzydzieści.

Pulvera bynajmniej nie ucieszyła obecność dziennikarza.

— A pan czego właściwie chce?

— Podziwiać pana przy pracy.

— Wypraszam sobie takie żarty!

— Nikt tu nie ma zamiaru żartować, panie sierżancie — zapewnił Flammer poważnie. — Zbieram materiały do artykułu z cyklu „Zasłużeni obywatele naszego miasta”. Dziś kolej na starszego sierżanta policji Pulvera. Wraz z fotografią.

Pulver nadal uważał obecność dziennikarza za kłopotliwą; miał bowiem zamiar zająć się tym Mutschem bardziej energicznie i nie chciał mieć przy tym świadków. Niezadowolony spoglądał na obu mężczyzn, którzy stali po drugiej stronie barierki i uważnie mu się przyglądali.

— Czego pan chce ode mnie? — zapytał Mutsch. — Mam mało czasu.

— Ale ja mam dużo — odparł Puhrrer.

Chciał zachować się impertynencko, ale stwierdził, że lepiej będzie się opanować ze względu na dziennikarza.

Flammer udawał, że robi notatki i dość wyraźnie mruczał pod nosem: — Bardzo poprawny na służbie — bardzo rzeczowy — zawsze uprzejmy wobec petentów — policjant, twój przyjaciel i pomocnik.

To wprawiło Pulvera w zakłopotanie. A tak pięknie sobie wszystko wyobrażał: spojrzy na Mutscha zimnym wzrokiem, każe mu czekać, zamieni z nim kilka słów, potem

znów każe mu czekać, zrobi notatką, znów każe mu czekać, ryknie na niego i znów każe mu czekać. Facet na pewno skruszeje!

— Ja nie mam zamiaru marnować czasu — rzekł Mutsch szorstkim tonem. — Niech pan powie, o co chodzi, albo sobie pójdą.

— Spokój! — ryknął Pulver zirytowany, ale zaraz się pohamował, ponieważ Flammer spojrzał na niego zdziwiony i tylko pokręcił głową. Mutsch natomiast obrócił się na pięcie, jakby chciał zobaczyć, czy nie stoi za nim ktoś, do kogo ten wrzask był skierowany.

— A więc — rzekł Pulver znów spokojnie — potrzeba mi kilku danych, aby uzupełnić pańskie personalia. Przyniosę zaraz akta. — Wyszedł z pokoju i udał się do toalety.

Mutsch i Flammer spojrzeli na siebie.

— Przyj emniaczek, nie ma co — rzekł dziennikarz i aż piał z uciechy.

— Poza tym moje akta leżą tu, w zasięgu ręki, na stoliku obok. Sam pan widzi. Jest tak, jak panu mówiłem — podle szykany!

Flammer pochylił się zaciekawiony. — A co jest napisane w aktach?

— Chciałby pan wiedzieć?

— No pewnie!

Pulver znów się zjawił i usiadł przy biurku. — Szukają akt — powiedział. Potem pochylił się nad jakimś listem gończym i udawał, że czyta.

— Nie mam zamiaru dłużej tu czekać — oświadczył Mutsch. — Albo akta się znajdują i je pan uzupełni, albo ich nie ma, wobec tego sobie pójdę.

— Szukają ich — rzekł Pulver zdenerwowany.

— Jak długo to potrwa?

— Tego nie wiem.

Mutsch nacierał ostro. — Więc to może trwać całe godziny!

— A jeśli nawet!

— Ależ tu bałagan! — rzekł Flammer.

Pulver uderzył ręką w biurko, aż podniósł się kurz. Wypraszam sobie!

— Więc jak? — zapytał Mutsch grzecznie. — Ma pan te papiery, czy nie?

Pulver rzucił się do stołu obok. Chciał z tym skończyć. Ale niczego nie znalazł. Bezradnie patrzył na stos papierów, potem zaczął w nich grzebać. Pokręcił głową ze zdziwieniem. Potem podbiegł do półki i zaczął na niej szukać.

— Chodźmy — rzekł Flammer i wsunął swoją teczkę pod pachę — bo możemy tak czekać do rana.

Mutsch ochoczo poszedł za nim. Wyszli na ulicę i udali się w stronę rynku.

— Może długo szukać — rzekł Flammer pogodnie. — Mam tutaj te papiery — I triumfująco poklepał swoją teczkę. — Może ich szukać do sądnego dnia. Niech sobie poczeka kilka dni, potem wyślę mu je pocztą.

Mutsch zatrzymał się zaskoczony. Potrząsnął głową. Potem rzekł: — Ale z pana numer!

Flammer pomachał mu wesoło.

Atmosfera w „Czarno-Białym Byku” była niezwykle zgodna. Ciemne smugi dymu unosiły się ku rzeźbionemu belkowanemu sufitowi, a do dużego gościnnego pokoju dochodził z kuchni smakowity zapach. A więc będzie udziec barani, którego nikt w Wahlheimie nad Panzą nie potrafił przyrządzać tak wspaniale jak Irena Krampus. Każdego czwartku był udziec barani, wytrawni smakosze najwyżej cenili sobie to danie.

Powoli sala się zapełniała; punktualnie o dziewiętnastej podawano udziec, a kto się spóźnił, był stratny. Lecz wtajemniczeni nigdy się nie spóźniali; burmistrz, pułkownik i jego ludzie sadowili się przy stolikach w pobliżu okna; Scheuermann ze swoją świtą woleli miejsca w pobliżu bufetu. Pomiędzy tymi dwiema grupami siedział ksiądz Marcuś ze swym organistą i z kierownikiem szkoły, Kuhnem, i omawiał z nimi sprawy chóru kościelnego.

W atmosferze niemal uroczystego napięcia, przy gwarze przytłumionych rozmów, czekano zazwyczaj na porę, kiedy

zostanie podany udziec. Ale owego dnia wyczuwało się wyraźne zdenerwowanie, a jako źródło niepokoju można było z pewnością wskazać stolik, przy którym siedział Mutsch,

Mutsch siedział tam razem z Flammerem. W miarę, jak rosła ilość wypitego przez nich piwa, rozmowa stawała się coraz głośniejsza. Kiedy przysiadł się do nich Scheuermann, rozmowa zrazu trochę przycichła, ale już po pewnym czasie cała trójka śmiała się na cały głos, co w obozie przeciwnika uznano po prostu za alarmujące. Emerytowany pułkownik Gümpel bębnił palcami po stole, wystukując marsza paradnego.

Zbliżała się już pora na udziec, gdy starszy sierżant Pulver zjawił się w lokalu. Miał minę, jakby szedł na wojnę; rzucił piorunujące spojrzenie w stronę Mutscha, następnie zasalutował w kierunku burmistrza. Reisser podziękował ze zwykłą uprzejmością, pułkownik zaś nie przestawał bębnić po stole; w duchu gardził Puhrerem, ponieważ ten próbował się z nim spoufalać, a przecież był niższy rangą i często zapominał okazywać mu należyty szacunek.

Pulver przysiadł się do burmistrza i pochylił ku niemu. Nawet w takiej pozycji wyglądał jak wyprężony; wyrzucił z siebie potok słów, potem znów się wyprostował.

Burmistrz wytarł sobie ucho i zamyślony spoglądał na kufel piwa, napęczniony do połowy. Wreszcie wzruszył ramionami i rzekł dwuznacznie: — Niech pan spełnia swój obowiązek. Niech pan zawsze spełnia tylko swój obowiązek. A ja nigdy nie będę panu w tym przeszkadzał.

Pulverowi jakby urosły skrzydła; teraz nie wątpił, że może liczyć na mocne poparcie burmistrza. Znów zasalutował. Potem — wszystkie rozmowy tymczasem ucichły — przeszedł przez salę i podszedł do stolika, przy którym siedział Scheuermann z Mutschem i Flammerem.

Powiedział głośno: — Pan pójdzie ze mną!

Oczy Scheuermanną zwrężyły się. Mutsch odsunął krzesło i zaciekawiony spojrział na Pulvera. Flammer rzucił krótkie spojrzenie na swoją teczkę, którą Irena Krampus na jego prośbę ukryła za ladą. W dużym pomieszczeniu panowała groźna cisza, tylko w kuchni brzęczały talerze.

— Chyba się przesłyszałem — rzekł Scheuermann obojętnym tonem.

Pulver zaprzeczył: — Zechce pan pójść ze mną.

Teraz wtrąciła się Irena. — Drogi panie sierzancie — rzekła serdecznie — niech pan nie robi takiej groźnej miny! Czy chce mi pan wypłoszyć gości? Bardzo proszę! Chyba nie mówi pan tego poważnie?

Puhrer stracił kontenans. — Pardon — rzekł. — Ale spełniam swój obowiązek.

Irena spojrzała na niego promiennie; chciała go całkowicie rozbroić, ale Scheuermann rzekł jeszcze bardziej chłodno: — Proszę cię, nie wtrącaj się! — Nikt nie zauważył, że zwrócił się do niej po imieniu.

Irena od razu się wycofała, a Pulver odzyskał pewność siebie. Wydawało się, że Scheuermann jest zdecydowany podjąć rzuconą mu rękawicę.

— Każe pan ze sobą pójść, ale proszę wyjaśnić, który z nas trzech ma z panem pójść i dlaczego.

Pulver poczuł, że jest ośrodkiem zainteresowania. Ale powoli tracił pewność siebie. Wyobrażał sobie ową ekspedycję karną o wiele prościej i powoli zaczął sobie uświadamiać, że wcale nie jest takie pewne, czy wygra tę bitwę. — Jestem tu służbowo — rzekł.

— To już zauważyłem — rzekł Scheuermann. — Inaczej nie wdawałbym się z panem w rozmowę. — Spostrzegł przy tym, że to sformułowanie wywołało dezaprobatę przy stolikach koło okna. — Jak długo mam czekać na pańskie wyjaśnienie?

— No więc — Pulver nabrał powietrza — czy żąda pan wyjaśnienia tu, w obecności wszystkich?

— Domagam się tego.

Puhrer zerknął w stronę burmistrza, który nie patrzył na niego. Jednak pułkownik skinął mu energicznie. To znów pobudziło jego odwagę. Zaczął: — Dziś po południu, około godziny szesnastej z komisariatu zginęły akta Mutscha, i to w czasie, kiedy pan Mutsch tam przebywał. Początkowo sądziłem, że się gdzieś zawieruszyły. Ale poszukiwania nie dały rezultatu, papiery znikły. Podejrzenie pada więc na... tak jest! I dlatego muszę rozpocząć poszukiwania. Byłem

już w pańskim domu, panie Scheuermann, gdzie mieszka także pan Mutsch.

— To bardzo znamienne! — zawołał energicznie emerytowany pułkownik.

— Jestem całkowicie pańskiego zdania! — zawołał Scheuermann natychmiast. — Pański okrzyk jest bardzo znamienny.

Pułkownik chciał wybuchnąć, lecz burmistrz położył mu rękę na ramieniu.

— A więc chce pan przeprowadzić u mnie rewizję — rzekł Scheuermann do Pulvera.

— Właśnie tak — potwierdził Pulver.

— Chwileczkę — rzekł Scheuermann. Ogólne napięcie wzmoгло się, kiedy się pochylił do Mutscha i szepnął mu do ucha, tak, aby inni nie słyszeli: — Masz te papiery? Tak czy nie?

Mutsch potrząsnął głową. Zerknął na Flammera, który beztrąsko siedział rozparty na krześle. Potem szepnął do Scheuermann: — Nie mam ich, daję słowo. — I dodał: — Daj temu łajdakowi mocnego kopa w dupę.

Flammer włączył się do narady wojennej. Rzekł do Scheuermann: — Mogę w każdej chwili zeznać pod przy sięgą: przez cały czas byłem w komisariacie. Pulver wcale nie miał tych akt w ręku. Twierdzi, że szukano ich w sąsiednim pomieszczeniu. Ale Mutsch wcale nie wchodził do tego pokoju. Jestem świadkiem.

Po czym Scheuermann znów zabrał głos. Oświadczył: — Nie zamierzam traktować poważnie pańskich podejrzeń. Nie widzę też powodu, aby nam pan przeszkadzał podczas kolacji. Poza tym, czy ma pan nakaz rewizji? No właśnie! A więc ani myślimy słuchać pańskiego wezwania.

— Ale... — Pulver szukał gorączkowo argumentów.

— Czego pan jeszcze chce? Niech pan przestanie się nam naprzykrzać. A może chce nas pan aresztować? Czy ma pan nakaz aresztowania?

Pulver, ośmieszony, stał teraz markotny i rozglądał się, szukając poparcia. Słysząc było niechętny i pełen dezaprobaty pomruk. Burmistrz studiował kartę dań. Pułkownik Gumpel patrzył przed siebie, jak wytrącony z równowagi

dowódca: widział cofające się wojsko i nie mógł w to uwierzyć. — Niesłychane! — zawołał ostro. — Co za gangsterskie zachowanie!

— W tył zwrot — rzekł Mutsch ironicznie; musiał koniecznie pokazać Gümpłowi, który spoglądał na niego pogardliwie, co o nim myśli. Rzekł głośno do przyjaciół: — Myślałem, że ten związek już wykorkował.

Pułkownik podniósł się raptownie. Wielebny Marcus, człowiek usposobiony pokojowo, szybko pochłaniał ostatnie kęsy przystawki. Burmistrz miał niechętną minę.

— Udziec barani! — zawołała Irena Krampus, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

Pulver postanowił się wycofać i opadł na jedno ze stojących w pobliżu krzesel. Flammer, rozpromieniony, zacierał ręce. Mutsch wyglądał bardzo wojowniczo.

Pułkownik Gümpel podobny był teraz do posągu. Szeroko otworzył usta i głośno stwierdził: — Byle kryminalista nie może mnie obrazić.

Mutsch zbladł. Scheuermann spostrzegł to, odłożył serwetkę, odsunął krzesło i chciał wstać, ale Mutsch go powstrzymał. — To moja sprawa — rzekł. — To wyłącznie moja sprawa. Zostaw mi go. Lepiej żebyś się do tego nie mieszał.

Ksiądz Marcus, któremu trudno było oderwać myśli od baraniego udźca, rozpostarł ramiona i rzekł: — Ależ, proszę... Zachowajcie spokój!

— Nie jesteśmy tu w kościele — rzekł grubiańsko pułkownik. On także nie widział już teraz żadnej innej możliwości, jak doprowadzić ten atak do końca z właściwą sobie energią, dzięki której połowa Wahlheimu spoglądała na niego z podziwem.

Marcus chciał wybuchnąć gniewem, ale przypomniał sobie o swej godności, uświadomił sobie, że znajduje się w świeckim miejscu i przypomniał sobie słowa swego zwierzchnika, który wciąż nawoływał go do cierpliwości i miłości bliźniego. Wobec tego zrezygnował.

— Jeśli ja jestem kryminalistą — rzekł Mutsch wśród grobowej ciszy — to pan jest mordercą.

Pułkownik nie od razu pojął. — Co takiego? — zapytał zaskoczony.

Mutsch mu wytłumaczył. — Ja pobitem obywatela tego miasta. Nie uczynilem tego z chęci awanturowania się, lecz z przekonania. Sędzia nazwał to ciężkimi obrażeniami ciała i za to mnie zamknęli.

— Na śmiesznie krótki czas — rzekł pułkownik.

— Pan natomiast podczas wojny posłał na śmierć kilkuset ludzi.

Powstała ogromna wrzawa, zwłaszcza przy stolikach w pobliżu okna. Nawet burmistrz wziął w tym udział.

— Zdrajca ojczyzny! — ryknął ktoś przeraźliwym głosem.

— Łajdak!

— Dekownik!

— Spokój! — wrzasnął Mutsch i natychmiast zapadła cisza. — Dajcie mi skończyć! Ten pułkownik posłał zatem kilkuset ludzi na śmierć. I z pewnością nie uczynił tego z sadyzmu czy niedbalstwa — gotów jestem nawet przypuszczać, że uczynił to z przekonania!

— Oczywiście — wtrącił pułkownik.

— W porządku — rzekł Mutsch spokojnie. — Ja z przekonania wdałem się w bójkę i zostałem skazany. Pan posyłał ludzi na śmierć także z przekonania i został za to odznaczony. To wszystko!

Powstał gwar, słychać było także śmiech. Kłęby dymu unosiły się do sufitu. Opróżniano kufle piwa. Irena Kram-pus stała oparta o bufet, oczy jej błyszczały. Ksiądz Marcus złożył ręce.

— To stanowi przepaść między nami — stwierdził pułkownik — pomiędzy uczciwym Niemcem, a typem nie wiadomo skąd.

Mutsch się uśmiechnął. Miał zadowoloną minę i jakby się cieszył z widoku, jaki przedstawiał sobą rozszłoszczony pułkownik.

Wśród ogólnego hałasu nie mniej zadowoloną minę miał burmistrz Reisser. A więc rozpoczął się ostrzał i to od razu z broni najcięższego kalibru. Wysłał swoje stráže przednie na potyczkę, a one walczyły jak lwy. Niezbyt zręcznie, ale odważnie. Jedyne, co go niepokoiło, to fakt, że Scheuermann trzymał się poza polem ostrzału. To była zrę-

czna taktyka. By go wywabić, konieczne było kontrnatarcie.

— Gratuluję — rzekł burmistrz stłumionym głosem do pułkownika Gümpla, który z powrotem usiadł. Następnie podniósł swoją szklanę i z chytrym uśmiechem przepił do Scheuermanna. Po czym rzekł głośno i wyraźnie: — Powinniśmy w naszym mieście założyć stowarzyszenie zwolenników tolerancji.

— Ale tylko dla ludzi o nieposzlakowanej przeszłości — warknął pułkownik zaczepnie. — Dla pewnych osobników nie ma tolerancji.

— Ten człowiek ma całkowitą słuszność — rzekł Mutsch.

Pierwsza fala oburzenia, która uderzyła w Mutscha, była jeszcze nieszkodliwa. Miał przerwę obiadową, siedział na ławce za domem i zręcznymi ruchami wydrążał tykwę, z której chciał zrobić groźnego świetlika, jak to przyrzekł Uli.

Ula, z podciągniętymi nogami, siedziała obok niego i przyglądała się. Mutsch miał wrażenie, że mruczy jak zadowolona kotka. Postanowił, że świetlik będzie miał uśmiechniętą minę.

Albert, syn piekarza, zaglądał przez parkan; stanął na palcach, bo chciał widzieć, co się tam dzieje. — Czy mogę do was przyjść? — zawołał wesoło.

Ula wzruszyła ramionami. — Lepiej zostań tam, gdzie jesteś! — odpowiedziała. — Nie mam ochoty zadawać się z tchórzem. — Albert zrobił smutną i złą minę. Nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć, i niespokojnie kołysał się na palcach.

— Albert to bardzo miły chłopak — rzekł Mutsch pojednawczo — on cię lubi, to widać od razu.

— Nie chce grać ze mną w kule, bo się boi, że straci swoją szklaną kulę.

Albert, który przysłuchiwał się słowom Uli z otwartymi ustami, zawołał:

— Jeśli pozwolisz mi popatrzeć, zagramy potem o moją kulę!
— Najpierw zagramy, a potem będziesz mógł popatrzeć —
zdecydowała Ula.

Decydująca gra w kule odbywała się na placu Jahna, w pobliżu domu Scheuermanna, pomiędzy rynkiem a dworcem. U stóp wielkiej lipy znajdowały się otwory do wrzucania kul.

Wiadomość, że będzie się toczyła gra o najładniejszą kulę w mieście, obiegła wszystkie okoliczne domy i podwórka; zgromadziło się siedemnaścioro dzieci. Mutsch siedział nieco z boku na ławce; musiał przyjść, bo po pierwsze, miał być świadkiem wygranej Uli, a po drugie musiał przerwać pracę nad świetlikiem, aby potem Albert mógł się przyglądać.

Wprawdzie gra była zaplanowana na pięć rund, ale Ula bardzo szybko wygrała. Wzięła dużą kulę i zachwycona trzymała ją pod słońce. Potem przyniosła ją Mutschowi, aby też mógł podziwiać.

Mutsch udawał zachwyt, ale potem uznał, że i Albert jest godny podziwu, bo zachował się jak prawdziwy sportowiec i potrafił znieść stratę tak wspaniałej kuli. Najwyraźniej pochlebilo to Albertowi, ale nie mógł przeboleć straty.

Oświadczył w obecności wszystkich dzieci: — Nie zależy mi na pochvale jakiegos kryminalisty. — Po czym z dumą odmaszerował.

Mutschowi z trudem udało się powstrzymać Ulę. Próbowwała się wyrwać z jego mocnego uchwytu, pluła za Albertem i trudno było ją uspokoić. Przestań wreszcie — rzekł Mutsch — nie wściekaj się. Nic się takiego nie stało. On na pewno nie miał nic złego na myśli.

— To świnia — rzekła Ula z przekonaniem. Z trudem się uspokoiła.

Mutsch puścił ją teraz. — A poza tym — rzekł spokojnie — on ma w pewnym stopniu rację. Tylko niezręcznie się wyraził.

Dzieci, które się cofnęły, ale nie zamierzały uciekać, podeszły bliżej. — Czy to prawda — zapytał jeden z chłopców, otwierając szeroko swe błękitne oczy — że jesteś kryminalistą?

— Czy chcesz dostać po pysku? — powiedziała Ula z wściekłością.

— Przestań — rzekł Mutsch łagodząco. — Mają prawo pytać. Byłem w więzieniu. Trzy lata. To prawda.

— Tak, to prawda — powiedziała jedna z dziewczynek — moi rodzice też tak mówili.

— A dlaczego byłeś w więzieniu? — dopytywał się dalej chłopak o niebieskich oczach.

— Posłuchajcie — rzekł Mutsch — był raz bogacz, który wydawał dziennie tyle, ile robotnik zarabia przez cały tydzień. I był biedny człowiek, który popadł w nędzę. Więc powiedziałem do tego bogacza: Musisz mu pomóc, bo inaczej jego dzieci pomrą z głodu. On przecież pracował dla ciebie przez całe swoje życie! Bogacz jednak mnie wyśmiał. Wtedy go pobiłem. I za to poszedłem do więzienia.

— I jeśli ktoś powie jeszcze słowo, wydrapię mu oczy — rzekła Ula na zakończenie.

W pół godziny później wydarzyło się pierwsze nieszczęście. Słysząc było krótkie, urywane krzyki i wściekle, głośnie sapanie.

Powtórzyło się to jeszcze dwukrotnie w ciągu dwudziestu minut.

Potem ukazała się Ula, potargana, z podrapaną twarzą. Była aż czerwona ze szczęścia i z wysiłku.

— Ale im przyłożyłam — oświadczyła z dumą.

Jej ofiarami byli: Albert, syn piekarza, Karl-Heinz, syn dentysty Feuersangera i Felizitas, córka fryzjera, która akurat szła na lekcję religii.

Karl-Heinz był rozczochrany i ponury, Felizitas płakała, a na głowie Alberta wyrósł olbrzymi guz.

Rodzice byli przerażeni tym, co spotkało ich biedne, małe dzieci.

Piekarz, trzymając za rękę syna, naskoczył na burmistrza, który właśnie przechodził. Choć Reisser miał przed sobą wyborcę, zachował się z rezerwą.

— Takie już są dzieci — rzekł łagodnym tonem.

— To wszystko przez tego Mutscha! — zawołał z gniewem piekarz.

Reisser rzekł spokojnie: — Oczywiście, ma pan rację. Tacy ludzie, jak Mutsch, są źródłem niepokoju. Znów się o tym przekonaliśmy.

Dentysta Feuersanger postanowił donieść o tym zajęciu policji. Posmarował wszystkie zadrapania u synka jodyną, pooklejał plastrami i na dodatek ozdobił potężnym opatrunkiem. Mały Feuersanger spojrział w lustro i gorzko zapłakał, bo okropnie mu było siebie żal.

Ojciec udał się z synem na komisariat i wyrwał policjanta Pulvera z jego popołudniowej drzemki. Pulver spojrział na nich niechętnie. Potem zapytał: — Co mu jest?

Pulver był nieprzejednanym wrogiem dentysty Feuersangera, gdyż przed kilkoma miesiącami, kiedy musiał pójść do niego — jego dentysta był na urlopie — Feuersanger potraktował go po barbarzyńsku. Puhrer był święcie przekonany, że te cierpienia zadano mu umyślnie, tyl-

ko dlatego, że on dwukrotnie ukarał Feuersanger a mandatem za wykroczenia w ruchu drogowym.

— Ula go pobiła — powiedział Feuersanger oburzony.

— Naprawdę? — Pulver dostrzegł świetną okazję, by dopiec dentyście. — A cóż to za chłopak, który daje się zbić dziewczynie?

— Ona napadła na niego znieca i poraniła czymś ostrym.

Mały Feuersanger poczuł się mocno dotknięty w swej męskiej dumie. — Ale i ona oberwała. Miała zakrwawiony nos.

Pulver postanowił stanowczo, że nie da się pozbawić popołudniowej drzemki, odwinął więc bandaż, zerwał plastry i obejrzał zadrapania. — Nie takie straszne — rzekł. — Nie ma o czym mówić. Nie uporałbym się z robotą, gdybym miał spisywać protokół z każdego zadrapania.

Feuersanger zawołał rozgoryczony: — I to właśnie pan bierze tego Mutscha w obronę! Nie mieści mi się to w głowie!

— Co takiego? Proszę mi opowiedzieć wszystko dokła dnie.

I Pulver dowiedział się, że Ula, córka Scheuermanna, najwidoczniej została podburzona przez Mutscha, co znalazło swój finał w bijatyce. Pulver długo się zastanawiał, czy interwencja policji byłaby tu na miejscu; a jego doświadczenie mówiło mu, że nie powinny tu brać góry pobudki osobiste.

Na wszelki wypadek wziął kartkę papieru i zrobił notatkę do akt. Potem rzekł: — Będziemy mieli tę sprawę na oku. Jak tak dalej pójdzie, to Wahlheim będzie wkrótce pełen morderców.

Wielebny Marcus odprawił fryzjera. — Chyba nie oczekuje pan ode mnie — rzekł z godnością — że będę interweniował z urzędu z powodu dziecięcych klótni.

— Ale to się stało w drodze do kościoła!

— Możliwe. Ale nie w kościele.

— To wina tego Mutscha!

Marcus uśmiechnął się pobłaźliwie. — Dzieci nie są tak skomplikowane jak dorośli. Biją się z powodu kuli lub deseru. Przeważnie działają impulsywnie.

— Ale biorą przykład z dorosłych.

— Chyba pan nie sądzi, że dorosły człowiek uczy małą dziewczynkę, jak ma bić inne dzieci?

— Owszem — odparł fizjer — tak właśnie sędzę. — I zdenerwowany patrzył na kędzierzawą głowę swojej córki. — Ten Mutsch to potwór. Wszyscy tak mówią.

Ula, wcale nie zmartwiona i nadal dumna ze swych sukcesów, siedziała w pokoju i odrabiała lekcje. Mutsch i Scheuermann odświeżali przy tym swoje wiadomości. Ciocia Lina czytała „Gońca”.

— Te wstrętne bachory! — zawołała Ula nagle. — Najpierw są bezczelne, a potem ryczą.

— Wujek Mutsch ci to wyjaśni — rzekł Scheuermann poważnie.

Mutsch skinął głową. — Jeśli tego chcesz, to chętnie. A więc posłuchaj, Ula. Bicie nie jest żadnym argumentem.

— Każda bezczelność zasługuje na karę. — Ula była całkowicie przekonana o swojej racji.

Scheuermann się wtrącił: — Zapomniałaś o czymś bardzo ważnym, Ula. Źle się przysłużyłaś wujkowi. Zaszkodziłaś mu tą bijatyką.

— Czy to prawda, wuju?

— Tak. Ale nic sobie z tego nie robię. Mnie tak łatwo nie dadzą rady.

Ula spojrzała na niego przyjaźnie. — Poradzimy sobie ze wszystkimi, możesz być pewien. Ja już załatwiłam całą szkołę przez tę trójkę. A wy obaj zajmiecie się dorosłymi. Dobrze?

Bardzo mi przykro — rzekł Mutsch do Scheuermanna, kiedy zostali sami w pokoju.

— Wcale nie musi ci być przykro.

— Ostrzegałem cię, ale nie chciałeś mnie słuchać.

— Mutsch patrzył na dym unoszący się z jego fajki.

— Palisz to okropne zielsko, Mutsch. Dlaczego nie weźmiesz mojego cygara?

— Niech każdy pali to, na co zasłużył.

— Czy chcesz już teraz podwyżkę?

— Mam inną propozycję. Opuszczę twój dom.

Scheuermann spojrział na Mutscha z zaciekawieniem. —

A więc chcesz wyjechać z Wahlheimu. No cóż, rozumiem to. Może i ja na twoim miejscu też bym. tak postąpił. Jeśli chcesz, mogę ci załatwić we Frankfurcie dobrą pracę. Mam tam przyjaciół. Trzysta pięćdziesiąt marek netto. I mieszkanie.

Mutsch wypuścił gęsty kłęb dymu. — A więc już o tym zawczasu pomyślałeś?

— Liczyłem się z takim rozwiązaniem.

Mutsch krótkim, energicznym stukaniem opróżnił fajkę.

— No dobrze, odejdę. Wyprowadzę się od ciebie, ale po zostanę w Wahlheimie.

— Posłuchaj, mój drogi — rzekł Scheuermann stanowczo. — Dopóki pozostaniesz w Wahlheimie, będziesz mieszkał u mnie. Obojętne, czy to będzie trwało dzień, czy całe lata. Co ty sobie myślisz? Pozostaniesz w moim domu i basta!

— Jesteś wspaniały wariat!

— Jestem twoim przyjacielem — odparł Scheuermann.

— Ale ty nie chcesz mi powiedzieć, co cię tu trzyma. Musi być coś, co jest silniejsze od wszystkich przykrości, pomó wien i zniewag.

— Zgaduj do trzech razy.

Scheuermann uderzył dłonią w stół. — Niech diabli porwą wszystkie baby! — zawołał. — Ale oczywiście masz rację, co byśmy bez nich zrobili. Kim ona jest?

— Dowiesz się bardzo prędko — albo nigdy.

— Jesteś beznadziejnym przypadkiem. Widocznie lubisz być podejrzany. Powoli zaczynam rozumieć: opuściłeś ją

wtedy i teraz chcesz sprawdzić, czy czeka na tym samym rogu, na którym ją zostawiłeś przed trzema laty. Człowieku! Ile rzeczy tymczasem się wydarzyło! W końcu się okaże, że ledwie jeszcze pamięta, jak się nazywasz.

Ulryka Loos, którą przyprowadziła Ula, podeszła do Mutscha z wahaniem. Odkąd został zwolniony, spodziewała się, że da o sobie znać, jednocześnie obawiała się tego spotkania. Trzy lata, mówiła sobie, to długi okres, wiele rzeczy mogło się całkowicie zmienić.

Trzy lata — mówił sobie Mutsch, kiedy patrzył, jak się zbliżała — to nie tak długo. Ani trochę się nie zmieniła, przynajmniej zewnątrz, jest to wciąż jeszcze drobna, delikatna dziewczyna, zupełnie nie pasująca do ojca, barczystego dziwaka, który był kowalem i miał swoją kuźnię przy moście nad Panzą.

— Wcale nie było tak łatwo ją tu przyholować — oświadczyła Ula, która z wielką zręcznością odegrała rolę dyskretnego posłańca. — Czy to chociaż ta właściwa?

— Tak — rzekł Mutsch. Podeszedł do Ulryki i przywitał się z nią. Spojrzeli na siebie w milczeniu. Otaczały ich drzewa parku miejskiego. Ula patrzyła do góry zaciekawiona.

— Długo macie zamiar tak stać? — spytała zdziwiona. — Usiądźcie!

Mutsch i Ulryka, którzy teraz nieśmiało się do siebie uśmiechali, usiedli na ławce. Ula stała przed nimi i spoglądała wyczekująco.

— Posłuchaj — rzekł Mutsch — idź i kup sobie czekoladę. Masz tu markę.

— Chcecie się mnie pozbyć. Rozumiem. Ale czekolada, którą chciałybym kupić, kosztuje markę trzydzieści.

Mutsch dał jej półtorej marki i Ula odeszła zadowolona. Park był prawie pusty, jak zwykle o tej porze. Siedzieli na ławce otoczonej wysokimi krzakami. Była wygodna, ale

niezbyt długa i kiedy dwoje ludzi na niej siedziało, musieli się bardzo blisko do siebie przysunąć. Wtedy, przed trzema laty, często się tutaj spotykali, była to ich ławka, ich park, ich miłość.

— Wcale się nie zmieniłaś — powiedział Mutsch.

Ulryka potrząsnęła głową. — Wszystko się zmieniło — rzekła. — Teraz mam dziecko.

— Słyszałem o tym, Ulryko. A jakie jest to dziecko?

— Dziecko jest śliczne, mądre i bardzo żywe. To moje dziecko.

— My także chcieliśmy kiedyś mieć dziecko — rzekł Mutsch zamyślony. — Ale przez trzy lata musiałem się zajmować czymś innym. A więc zostawmy to. Czy nie zamierzasz wyjść za mąż?

Ulryka potrząsnęła głową i popatrzyła na zwirowaną ścieżkę u swoich stóp. — Czy koniecznie trzeba wychodzić za mąż, kiedy ma się dziecko?

— Dziecko potrzebuje ojca.

— Oczywiście.

— No więc?

Ulryka milczała, jej małe dłonie odruchowo gładziły siedzenie ławki. — Mam dziecko. Oboje sobie wystarczamy. Mogę się obejść bez męża.

Mutsch odwrócił się i spojrzał jej prosto w twarz. — O co tu właściwie chodzi? — Chciał jej pomóc, kochał ją. — Czy ten facet uchyla się może od swoich obowiązków ojcowskich? Jeśli tak sprawa wygląda, to ja go zmuszę do tego.

Ulryka spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i trochę się od niego odsunęła. — Znów chcesz bić? Czy to wszystko, co potrafisz? — Natychmiast spostrzegła, że dotknęła Mutscha, więc dodała: — Nie jest tak, jak myślisz, jest całkiem inaczej.

— Czy on nie żyje?

Gwałtownie potrząsnęła głową. — Ależ nie, tylko że... Ale to nieważne.

Najwyraźniej nie była przygotowana do normalnego życia. Wiecznie pozostawała w cieniu ojca. Zawsze była cicha, ale przeważnie pogodna. Już jako dziecko lubiła

rysować, dużo czytała, siadywała z poważną miną przy otwartym oknie i nuciła melodie, które sama układała. Kowal czasem ją bił, ale to niczego nie zmieniało. Z biegiem lat jej usposobienie stawało się coraz bardziej wesołe, ruchy bardziej lekkie i płynne, oczy nabrały głębi, a łagodne usta się uśmiechały. Kochały ją sąsiedzi, a ona kochała wszystko wokół siebie.

Pierwsza miłość uniosła ją jak rwący potok. Była uległa i czuła, ale potem wstydziła się. Wierzyła Mutschowi, kiedy mówił, że ją kocha, że nie może bez niej żyć. Targały nim wtedy wątpliwości i często wydawał się bezradny jak dziecko. Ogromnie go kochała.

— Chyba nie było ci przykro odejść ode mnie?

Mutsch usiłował wymigać się od odpowiedzi. — Pogo dziłaś się z tym — stwierdził.

— Oczywiście — rzekła szybko i przymknęła oczy.

Musiała się pogodzić! Podczas pierwszych miesięcy w więzieniu Mutsch był przekonany, że jego życie nie ma już żadnego sensu. Przeklinał swoją porywczosć, która doprowadziła do awantury i rękoczynów. W dodatku jego nieszczęście dotknęło także istotę, którą kochał. Mutsch postanowił, że nie dopuści, aby i ona cierpiała z tego powodu. Napisał więc do niej z więzienia, że było bardzo miło, że oboje przeżyli piękne chwile, ale teraz lepiej będzie się rozstać, gdyż on nie może jej zapewnić przyszłości, a nawet miłości, bo to, co ona nazywa miłością, dla niego było tylko grą zmysłów.

— Kto jest ojcem dziecka?

— Nie znasz go. Nikt tutaj go nie zna.

— Twój ojciec także nie?

— On także nie — rzekła Ulryka i spojrzała na Mutscha z uśmiechem, a w tym uśmiechu była wyższość, której Mutsch nigdy dotąd u niej nie widział i która go zdumiała.

Wyobraził sobie, co dla takiego człowieka, jak Loos, znaczyło poczuć się zhańbionym. Potrafi wówczas zgotować swemu najbliższemu otoczeniu piekło na ziemi. Ale Ulryka uśmiechnęła się. Mój Boże, pomyślał Mutsch zgnębiony, ona jest silna, silniejsza ode mnie, ja wpadam we wściekłość, a ona się uśmiecha.

— Właściwie wszystko jest bardzo proste — powiedziała Ulryka.

— Ale powinno być także jasne. Czy ten człowiek ci pomaga?

— Zależy mu na mnie — rzekła — jest ojcem mojego dziecka.

Nazywał się Sebastian Semper. Miał za sobą dziesięć lat wojny. Wrócił jako zmęczony człowiek. Nie umiał się odnaleźć w życiu, którego nigdy dobrze nie poznał. Żył niemal nie zauważony, na skraju miasta, z rodzicami, którzy posiadali chylący się ku ruinie domek. Nie odpowiadała mu żadna praca, dużo czytał, ale niezbyt dokładnie, pisał wiersze i niszczył je. Często chodził po parku, rozmyślał nad sobą i światem, rysował figury na piasku i spoglądał na ptaki, zazdroszcząc im latania. To tutaj, w parku, spotkał Ulrykę Loos; szukając wspomnień, przechadzała się dróżkami, po których kiedyś chodziła taka szczęśliwa.

— Co się z nim dzieje? — zapytał Mutsch. — Czy jest chory?

— Nie ma pracy.

— A co potrafi?

— Był na wojnie, a potem w niewoli.

Mutsch obliczał: dziecko ma jedenaście miesięcy plus dziewięć — to razem dwadzieścia. — A więc od co najmniej dwóch lat jest w Wahlheimie.

— Mniej więcej. Uczy się w domu i pisze wiersze.

— Co pisze? Wiersze? — Mutsch zaśmiał się w duchu: a więc płodzi dzieci cielesne i duchowe. Też mi zawód! I usiłował sobie wyobrazić, w jaki sposób Ulryka zetknęła się z owym poetą, ale nie mógł nic wymyślić.

Spotkali się oboje, dziewczyna i poeta, i wkrótce uświadomili sobie swoją samotność; jego odtrącił świat, a ją ukochany. Spodobali się sobie, najpierw znajdowali u siebie pocieszenie, potem radość; spotykali się często w tajemnicy. Sebastian przy niej znajdował trochę spokoju. Ale wkrótce znów popadał w zniechęcenie; wtedy budziły się w niej macierzyńskie uczucia, które myliła z czułą miłością.

Kiedy poczuła, że zostanie matką, przeraziła się i zmartwiła, przede wszystkim ze względu na niego. Wiedziała

dobrze, że nie jest on w stanie odpowiadać nawet za własne życie, a cóż dopiero za życie swojego dziecka. Żona byłaby dla niego zbyt dużym ciężarem, a dziecko — katastrofą.

Myśli te dodały jej siłę i odarty znacznie ze złudzeń. Otrzymała mocny cios, ale była dość elastyczna i nie ugięła się.

Z dziewczyny stała się kobietą. Postanowiła, że będzie się sama troszczyła o siebie i swoje dziecko, a jemu oszczędzi wszelkich kłopotów.

— Czy jesteś szczęśliwa? — zapytał Mutsch. — Czy jesteś również z nim szczęśliwa?

— Tak — odparła — on jest ojcem dziecka, które bardzo kocham.

— No dobrze — zakończył rozmowę Mutsch. — Miejmy nadzieję, że jest tego wart.

Czy jest tego wart? Kiedy mu powiedziała, że spodziewa się dziecka, był przerażony. Zamyślił się, potem oświadczył ponuro, że nie może tak dalej żyć, nie chce tak dalej żyć. Wreszcie zgodził się, że pozostanie tajemnicą, kto jest ojcem dziecka, dopóki nie nadejdą inne czasy. — Jak gdyby to było możliwe, Ulryko, na tym bezsensownym świecie. — Czasem czytał jej wiersze, brzmiały pięknie i urzekająco prosto, promieniowało z nich coś niezwykle swojskiego. A ponieważ Ulryka bardzo kochała dziecko, była przekonana, że i ojciec jest wart jej miłości.

— A więc wszystko w porządku? — zapytał Mutsch.

— Tak, oczywiście — zapewniła go dziewczyna.

Mutsch spoglądał na nią długo, jak gdyby się z nią żegnał. — Wiesz, że zawsze jestem gotów ci pomóc.

— Jesteś bardzo dobry — rzekła Ulryka cicho.

— Jestem idiotą — mruknął Mutsch. — Zrezygnowałem z ciebie wówczas, bo nie patrzyłem dalej niż do więziennego muru, który mnie otaczał.

— Zapomnij o tym. To było tak dawno. Od tego czasu tyle się zmieniło.

— Ja siedziałem w więzieniu, a ty masz teraz dziecko.

Ulryka spojrzała na niego czule. — Powinieneś być wiedzieć, że mnie nie zraziło to, że cię zamknęli w więzieniu.

— Mnie twoje dziecko także nie zraziło.
Ulryka podniosła rękę w obronnym geście. — Proszę cię, nie zapominaj, że to dziecko ma ojca.
— Już dobrze — rzekł Mutsch. — Jak się ten ojciec nazywa?
— Tobie mogę to powiedzieć, bo wiem, że jesteś moim przyjacielem. Nazywa się Sebastian Semper.
— Zapamiętam sobie to nazwisko — rzekł Mutsch spokojnie.
— No to żegnaj.
— Do widzenia, Mutsch!
— Nie sądzę, Ulryko, że się jeszcze kiedyś zobaczymy. Chyba nie mam tu, w Wahlheimie, nic więcej do roboty. Życzę ci szczęścia. Daj znać, jak wyjdiesz za mąż. A jeśli nie wyjdiesz, przyślij mi telegram, przylecę najbliższym samolotem.
— Dziękuję ci za wszystko, mój drogi. — Podeszła i pocałowała go w usta.
Mutsch odsunął ją. — Hej! — zawołał. — Co to ma znaczyć?
— Jesteś moim jedynym przyjacielem.
Mutsch wstał. — To staje się dla mnie zbyt niebezpieczne — rzekł. — Najwyższy czas, abym stąd zniknął. Przyjacielem? Ach, znajdź sobie lepiej innego przyjaciela.

Mutsch wmontowywał nową skalę do stojącego przed nim aparatu radiowego. Usunął resztki starego spoiwa, sprawdził, czy nowe szkło pasuje. Pasowało co do milimetra.

Scheuermann, pogrążony w obliczeniach, ze zmarszczonym czołem, dodawał cyfry. Był nieufny wobec hurtowników, nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby go któryś oszukał.

Zadzwoił telefon. Scheuermann wstał niechętnie i podniósł słuchawkę. Potem rzekł z szerokim uśmiechem: — Proszę się zwrócić do pana Miegalka. To jego specjalność. — Po czym odłożył słuchawkę.

Mutsch spojrział na niego zdziwiony. — Odsyłasz swoich klientów do konkurencji?

— Ten człowiek nie jest moim klientem. — Scheuermann dalej się śmiał. — Chodzi o Gümpla. U pana pułkownika pękła rura kanalizacyjna.

Mutsch zaśmiał się. — A więc istnieje jeszcze coś takiego jak sprawiedliwość.

Scheuermann znów zabrał się do roboty. — Tego nawet pęknięta rura nie zmoże. Nie na darmo jest tu prowodyrem.

Mutsch odchylił się na krześle. — Co to ja jeszcze chciałem powiedzieć: Scheuermann, czy to miejsce we Frankfurcie jest nadal wolne?

Scheuermann podniósł wzrok zdziwiony. — W każdej chwili — rzekł. — Ale nie rób tego pochopnie, zastanów się nad wszystkim spokojnie.

Znów zadzwonił telefon. Scheuermann niechętnie podniósł słuchawkę. Po chwili rzekł: — Dobrze, zaraz. — Promieniał na twarzy i rzucił słuchawkę na widełki. Potem powiedział: — U pana pułkownika pęknięta rura, konkurencja nieobecna. Ponieważ sprawa jest pilna, firma Scheuermann musi przyjąć zgłoszenie. A ponieważ szef jest bardzo zajęty, u pana pułkownika stawi się jego pracownik, niejaki Mutsch. Jasne?

Mutsch wstał zadowolony. — Chłopie, takiej frajdy sobie nie daruję. Ale zrobi oczy!

— Panie kolego — rzekł Scheuermann wojskowym tonem — proszę o szczegółowy meldunek po zakończeniu manewrów.

— Nie omieszka — rzekł Mutsch tym samym tonem — przekazać meldunku z przebiegu akcji. — Po czym wziął szybko torbę z narzędziami i wyszedł.

Pani pułkownikowa oczekiwała go, cała w nerwach, w drzwiach domu. Wyglądała jak spłoszona kura, która jednak jest przekonana, że znosi niezwykle cenne jajka. — Niech się pan pośpieszy, dobry człowieku! — zawołała. — Pan pułkownik zatkał palcem...

— Co zatkał palcem?

— Dziurę w rurze! — zawołała kobieta i szybko pobiegła na górę.

Mutsch poszedł za nią zadowolony. Drzwi do korytarza były szeroko otwarte. Czuć było skórą i starą odzieżą. W przedpokoju wisiało kilka poroży, poza tym obraz, na którym widniała wojenna chorągiew Rzeszy i tonący krążownik. Hasło wypisane szerokimi gotyckimi literami głosiło: „Okręt zatonie, honor zaś nigdy!”

Z kuchni słychać było donośny, świetnie wyćwiczony głos pułkownika: — Czy to ślusarz? Niech wejdzie!

Mutsch stanął w drzwiach kuchennych i rozkoszował się widokiem, jaki się przed nim roztaczał: na podłodze stała ogromna kałuża. Przy rurze stał pułkownik Gumpel w filcowych kapciach i przyciskał prawą pięść do miejsca, skąd lała się woda.

— Melduję się do pracy — rzekł Mutsch spokojnym tonem.

Pułkownik podskoczył jak oparzony, zapomniał o rurze i zawołał: — Co pan sobie myśli! Co za bezczelność pokazywać mi się na oczy! Mój dom to nie gospoda! Niech się pan natychmiast wynosi, albo własnoręcznie pana wyrzucę.

— Jak pan sobie życzy — powiedział Mutsch spokojnym tonem i zaczął zbierać się do wyjścia.

— Franciszku-Teodorze, proszę cię — zawołała pani pułkownikowa błagalnym głosem, stając w drzwiach kuchni — to jedyny ślusarz, jaki był uchwytny!

Gumpel walczył ze sobą bohatersko. Stał w kałuży, miał przemoczone domowe pantofle i skarpetki. Należało się zachować dyplomatycznie. — Niech wejdzie — rzekł ponurym głosem.

— Nie pozwolę się tak traktować — rzekł Mutsch z obrażoną miną i zarzucił na ramię torbę z narzędziami.

— Zirytowałeś go! — zawołała pani pułkownikowa żałościwie.

Pułkownik stał w mokrych kapciach i trząsł się z wściekłości. A przy tym czuł, że wody przybywa. Wreszcie wydusił z siebie: — Proszę, niech pan nie robi trudności. To pilna sprawa. Proszę się zastanowić...

Mutsch podszedł bliżej: — Czy ja dobrze słyszę? Pan mnie prosi?

— Tak! — zawołał pułkownik, z trudem opanowując wściekłość.

— No więc dobrze — rzekł Mutsch. Postawił torbę na podłodze, szybko skręcił pakuły z klejem i wcisnął je w pęknięte miejsce w rurze — zrobił tymczasowe zabezpieczenie. Potem zakręcił główny zawór i opróżnił rurę. Pułkownik stał koło niego i patrzył jak na rekruta, który wykonuje karne ćwiczenia z karabinem. Gorąco pragnął dać temu typowi nauczkę.

— W porządku — rzekł Mutsch spokojnie po zakończeniu pracy. — Dalej niech załatwia sprawę pański partyjny kolega.

— Zapytaj go, ile jesteście winni — rzekł pułkownik do żony.

— Mój majster przyśle panu rachunek za wykonaną pracę i materiał — rzekł Mutsch. — To, co pan jest winien poza tym, to przyzwoite zachowanie. Nie jestem pańskim pucybutem.

— Wypraszam sobie! Pan chyba nie wie, kogo ma przed sobą! — Pułkownik pienił się ze złości i tupał mokrymi kapturami.

— Wiem bardzo dobrze, kogo mam przed sobą!

Mutsch odwrócił się i wyszedł zadowolony. Musiał opowiedzieć szczegółowo Scheuermannowi o całym zajściu. Ten najpierw wybuchnął śmiechem, potem spoważniał. — Bądź ostrożny, bracie — rzekł ostrzegawczo. — Ten typ stał się teraz twoim śmiertelnym wrogiem.

— Jeden więcej, jeden mniej, to już nie gra roli!

— On ma za sobą co najmniej pułk wojska, a jutro może mieć dwa. Nie znasz tych starych wojskowych pierników. To nawet przyzwoite typy; jeśli będziesz się do nich odnosił z należnym szacunkiem, będziesz stawał przed nimi na baczność, to gotowi są staczać boje w twojej obronie. Oni nie potrafią zrzucić swojej dawnej skóry; okaż im choć trochę względów, a będą ci jeść z ręki.

— Chłopie, myślałem, że jesteś socjalistą?

— Jestem politykiem, Mutsch. Muszę się liczyć z opinią publiczną.

— Jesteś konformistą! Te żalosne szkapy paradują jeszcze po okolicy, bo nikt im nie powiedział, że mogą już być

przydatne tylko jako woły robocze. Właściwie żałuję, że nie zostają w Wahlheimie. Potrzebujesz kogoś, kto by cię przekonał, abyś gwizdał na opinię publiczną.

— Dokąd idziesz?

— Jest tu ktoś, komu chcę powiedzieć, co o nim myślę.

Mutsch nawet nie spojrzął na Scheuermanna. W tej chwili miał uczucie, że nigdzie nie ma dla niego miejsca, a pragnieniem jego było, umieć się wszędzie przystosować. Wyszedł z warsztatu pogwizdując, przeciął plac Jahna, udał się w stronę torów kolejowych i zapytał jakieś dziecko, gdzie jest dom Semperów.

Zapukał i od razu wszedł do środka. Ujrzał mężczyznę, który czytał gazetę i kobietę, która krzątała się przy kuchni.

— Czy tu mieszka Sebastian Semper?

— Czego pan od niego chce? — zapytał mężczyzna.

— Czy jest w domu?

— Jego nigdy nie ma w domu — rzekł mężczyzna. — Włóczy się nie wiadomo gdzie.

Mutsch stanął na szeroko rozstawionych nogach. — Czy ten włóczęga ma zamiar kiedykolwiek wziąć się do jakiejś przyzwoitej pracy?

Mężczyzna cisnął w kąt gazetę i zerwał się. — Jak pan śmie tak mówić o moim synu!

— Czy on jest w stanie utrzymać rodzinę? — Mutsch, średniego wzrostu, przewyższał mężczyznę o głowę. Wyglądał groźnie.

— Co to ma znaczyć? — zapytała kobieta przerażona. — O co tu chodzi?

— Niech pani zapyta o to waszego włóczęgę — rzekł Mutsch opryskliwie. Powietrze w kuchni było ciężkie. Na twarzach tych dwojga starych ludzi malowała się całkowita bezradność; wegetowali, żyli z dnia na dzień, a ich największą troską było: oby tylko bez zmian, oby tylko bez żadnych zmian!

Patrzyli na człowieka, który do nich wtargnął, z bezsilną nienawiścią. Mutsch odwrócił się. To wszystko nie miało sensu. Wzruszył ramionami.

Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, aż dom zadrżał w posadach.

ielebny Marcus spoglądał łagodnie na Konstancję Kuhn, którą Pan najwidoczniej posłał na ten świat, by wodziła go na pokuszenie. Konstancja aż się rozplywała, kiedy stojąc przed duszpasterzem opowiadała jednym tchem: — Jak tak dalej pójdzie, wasza wielbność, to ci bezbożnicy gotowi się jeszcze bić w kościele!

Marcus odwrócił się od Konstancji. Podszedł do okna, oparł się o framugę i pogrążył w myślach. Konstancja chciała do niego podejść, ale powstrzymał ją ruchem ręki. Posłuchała ulegle, głęboko westchnąwszy.

Wielebny Marcus zastanawiał się, co należy zrobić. Znał swoją parafię. Kozły i owce. Zachowywali się spokojnie, póki pozwalano im pozostać na swoich pastwiskach, przy swoim piwie, przy patriotycznych myślach i drobnych przyjemnościach. Słuchali go życzliwie i kiwali z aprobatą głowami; pozwalali mu żyć, dopóki on im pozwalał żyć. Ale kiedy próbował stanowczo egzekwować od nich wymagania niebios, niepokój opanowywał większą część jego parafian. A gdy pewnego razu odważył się stwierdzić, że wybudowanie przyzwoitej kostnicy jest ważniejsze niż pomnik na rynku ku czci poległych, jakby znalazł się nagle w gnieździe os.

Emerytowany pułkownik Gumpel osobiście uskarżał się biskupowi na Marcusa, zarzucając mu brak patriotyzmu i zniechęcanie najlepszych obywateli miasta do kościoła. Marcus wiedział, że nie jest zbyt lubiany przez wielu swoich zwierzchników, ponieważ jego dawne, bardzo kontrowersyjne kazania przysporzyły Kościołowi sporo kłopotów. Z zasady zawsze był po stronie słabych: w okresie republiki weimarskiej grzmiał przeciwko bezbożnikom; za rządów dyktatury atakował mężów stanu za ich skłonności do przypisywania sobie cech boskich; później ganił władze okupacyjne i darł koty z Bonn.

Jednak w tych męczących czasach jego wojowniczość osłabła. Straciła na ostrości wskutek nagan z góry i obojętności z dołu. Zaczął stronić od ludzi, a członków swojej parafii trzymał w ryzach tylko dzięki temu, że im ulegał. Jego kazania stały się łagodniejsze i nie stwarzały już pro-

blemów. Rzadko się unosił, a jego gwałtowne wybuchy i święty gniew przeszły do historii. Tylko starsi parafianie pamiętali jeszcze, że kiedyś był inny. Posiwiałego księdza ogarniał smutek, gdy o tym myślał.

— Pułkownik przyniósł swoją dębową laskę — powiedziała Konstancja Kuhn. — A ten drugi jest znanym awanturnikiem. Nie powinien go ksiądz wpuszczać do kościoła.

— Czy pani nie przesadza? — zapytał wielebny łagodnym głosem. Nie miał ochoty się wtrącać; od wielu miesięcy czuł się dobrze tylko wtedy, gdy spokój w jego parafii, zdobyty z takim trudem, nie był zagrożony. — Chyba nie jest aż tak źle.¹

Konstancja zrobiła krok do przodu. Powstrzymała ją wyciągnięta do przodu ręka księdza. Rumieniąc się powiedziała: — Ksiądz wie, jak bardzo jestem mu oddana! Nigdy bym księdza nie okłamała. Niech mnie ksiądz pyta o wszystko. Niech mnie ksiądz pyta, o co chce!

Wielebny Marcus wycofał się w kąt swego gabinetu, gdzie wisiał krzyż. Ta Konstancja to narzędzie w ręku diabła. Narzucała mu się, łącząc to swoje natręctwo z oddaniem dla Kościoła, a raczej dla jego przedstawiciela. Była jeszcze młoda i piękna, a nadmiar uczuć kipiał w niej jak wodospad.

Marcus pragnął uciec od tej gorącej atmosfery, która zawsze ją otaczała. Wolalby już najgorszą bijatykę, mogącą zakłócić tak troskliwie strzeżony w kościele spokój, niż to rozhisteryzowane babsko; ponieważ jednak jego religia nakazywała mu nie odtrącać zbłąkanych owieczek, lecz o nie walczyć i łagodnością starać się sprowadzić je na drogę cnoty, rzekł tylko:

— Dziękuję pani.

Konstancja zaczerwieniła się. — Dla księdza uczyniłabym wszystko.

Marcus wyszedł pośpiesznie z domu i udał się na plac przed kościołem. Tu najczęściej, jeśli pogoda dopisywała, gromadzili się obywatele Wahlheimu przed główną mszą niedzielą. Stali grupkami i rozmawiali. Dopiero, kiedy wezwało ich bicie dzwonów, wchodzili całymi rodzinami do kościoła, by cieszyć się brzmieniem własnych głosów,

by usłyszeć z ambony o powszechnym upadku obyczajów i podziękować Panu za pomyślność i zdrowie.

Ta miła zazwyczaj atmosfera spokojnego oczekiwania ustąpiła dziś nastrojowi nerwowego niepokoju, który sprawił, że zgromadzeni nie mogli się skupić na pokojowych rozważaniach. A kiedy przed kościołem pojawił się wraz z rodzicami pobity synek dentysty Feuersangera, z głową owiniętą śnieżnobiałym bandażem, przez tłum zgromadzonych obywateli przeszła fala oburzenia. Dentysta powiedział głośno: — Chłopak wciąż ma silne bóle głowy.

Burmistrz Reisser podszedł i podał małemu męczennikowi rękę. Powstrzymał się przy tym od wszelkich uwag. Następnie cofnął się i stanął u boku żony, która — podobnie jak córka kowala Loosa — miała na imię Ulryka. Spojrzała teraz na męża z wyrazem oddania na twarzy. Reisser skoncentrował się tymczasem na roli, jaką postanowił odegrać. Doskonale potrafił udawać zatroskanego.

Był dziś w wyśmienitym nastroju, zjadł dobre śniadanie i z radosnym oczekiwaniem przygotowywał się do tego, co miało nastąpić. Popierał Kościół i nawet umiał sprawiać wrażenie głęboko wierzącego. Albowiem Kościół przetrwał dotychczas różne światopoglądy, z czego człowiek mądry potrafił wyciągnąć właściwe wnioski. Ksiądz Marcus w ostatnich latach na szczęście się uspokoił, nie należało się więc spodziewać, że zechce z powodu jednej zbłąkanej duszy tracić kilkaset innych.

Poza tym burmistrz zrobił to, co robił zawsze, kiedy należało załatwić jakąś kłopotliwą sprawę: posłużył się tym, którego w duchu określał jako „drugi gatunek”. Tak jak prokurenci, którzy zamiast szefa podpisują przykre listy, tak jak służące, które w imieniu swojej pani przekazują kupcom słowa oburzenia lub odmowę zapłacenia należności, tak jak drobni urzędnicy, którzy odmawiają tego, czego przełożonemu nie wypada odmówić — tak samo emerytowany pułkownik Gumpel wziął na siebie ważną misję: należało zapobiec zakłóceniu uroczystości kościelnej przez niejakiego Mutscha. Na dźwięk jego nazwiska Gumpel reagował tak, jakby trąbiono do natarcia.

— Pan ma poczucie taktu — zapewniał go Reisser — a jeśli to konieczne, potrafi pan działać zdecydowanie.

— Proszę na mnie polegać! Umieję uderzyć we właściwy ton. — I zgodnie ze starym zwyczajem, pułkownik postanowił nie działać bezpośrednio, pragnął uniknąć niezręcznego ataku frontального i wymusić decyzję pośrednio. Burmistrz powierzył jemu, niezawodnemu człowiekowi, załatwienie tej sprawy; on zaś wyraźny rozkaz działania przekaże odpowiedniej osobie, mianowicie księdzu Marcusowi.

— Dzień dobry, panie pułkowniku — pozdrowił go Marcus przyjaźnie i podszedł do niego.

— Dzień dobry, księżę proboszczu — zagrmiał pułkownik. Trzymał w ręku dębową laskę niczym miecz i groźnie spoglądał na Mutscha, który stał z dziennikarzem Flamme-rem oparty o mur.

Marcus z miejsca zorientował się w sytuacji i wiedział, jak jest niebezpieczna. Ten Mutsch, którego prawie nie znał, wciąż siał dokoła siebie niepokój, co ułatwiało orientowanie się w sytuacji, a także uświadamiało, że należy się liczyć z wielką zawziętością.

— Witam księdza — rzekł pułkownik ze sztuczną serdecznością. — Czekamy na decyzję księdza.

Marcus spuścił głowę. Dawniej być może chwyciłby tych ludzi za karki i zderzył głowami, aż by zadudniło. Dziś nie czuł już w sobie gniewu; przyjmował wszystko w milczeniu i czuł się nieswojo.

Pułkownik Gümpel, w szarobrazowym garniturze o wojskowym kroju, odciągnął Marcusa na bok. — Proszę księdza — rzekł dobitnie — ksiądz prawdopodobnie dobrze wie, kto tu w Wahlheimie popiera Kościół, a kto nie. Ja osobiście zawsze byłem za mszą polową, a kiedy istniał jeszcze nasz związek kombatanów, gromadziliśmy się w pełnym składzie u księdza, aby obchodzić rocznicę pamięci. To wszystko znów powróci. Kiedy stanie pomnik ku czci bohaterów — a nastąpi to już niedługo — poproszę księdza o poświęcenie go.

— Kościół cieszy się z każdej inicjatywy — rzekł Marcus powściągliwie — jeśli ma ona na względzie dobro sprawy i wpływa ze szczerego, wierzącego serca.

— Państwo i Kościół są nierozdzielne — oświadczył Gumpel.
— Ale tylko my jesteśmy za państwem, które nie chce się oderwać od Kościoła. Toteż możemy się spodziewać, że Kościół będzie po naszej stronie. Mówiąc konkretnie: to nasz Kościół i nie życzymy sobie, aby przychodzili do niego ludzie, którzy są nam obcy pod względem charakteru i poglądów.

— Co to ma znaczyć? — Wielebny Marcus, zawsze zabiegający o pokój i zgodę, nie wierzył własnym uszom. Powiedział stanowczo, choć łagodnie: — Kościół jest otwarty dla każdego.

— Może i tak — rzekł pułkownik — ale nie jednocześnie dla wszystkich. Pozwoli ksiądz, że wyrażę się jeszcze dokładniej: wchodzimy do kościoła pełni czci i wiary, jak zawsze licznie, to zrozumiacie; ale jeśli do naszego kościoła wraz z nami wejdzie taki osobnik, jak ten Mutsch, my z niego wyjdziemy. Daję na to słowo. Myślę, że ksiądz wie, co znaczy moje słowo. Niech więc się ksiądz zdecyduje.

Marcus był wstrząśnięty. — Ależ... — rzekł tylko i spojrzał osłupiałym wzrokiem na pułkownika, który wyglądał jak dowódca podczas bitwy, tak jak to przedstawiają ilustracje w książkach. Było gorzej, niż przypuszczał. Jeśli naprawdę stanie się to, czym mu grożą, skandal jest nieunikniony i może być pewien interwencji niezbyt mu przychylnych zwierzchników.

— Chcemy jasno wiedzieć — rzekł Gumpel stanowczo.

Rozległo się bicie dzwonu. Pułkownik ruszył uroczyście na czele swoich zwolenników i dawnych towarzyszy walki. Szli w stronę drzwi kościoła. Zagrały organy. Coraz więcej ludzi napływało do kościoła, mijając księdza Marcusa.

Burmistrz Reisser, przechodząc obok Marcusa, spojrzał na niego ze współczuciem i rzekł: — Bardzo mi księdza żal. Wiem, że nie jest księdzu łatwo, ale też nie powinien sobie ksiądz niepotrzebnie utrudniać sprawy.

Marcus otarł pot z czoła. Spoglądał ku niebu, szukał jakiegoś rozwiązania i pytał sam siebie, co ma robić. Czy może dopuścić do tego, by został zakłócony, wywalczony z takim trudem i z uporem strzeżony, spokój wewnątrz Kościoła? Bojownik o wiarę mówił w nim otwarcie i stanow-

czo: Tak! Ale zaraz przypomniał sobie zwierzchników i swoich wiernych i pomyślał z wahaniem: Nie! Ale co robić?

Mutsch stanął przed nim i spojrzął z powagą. — No cóż, proszę księdza, mam wejść czy nie?

Marcus rzekł: — Czy czuje pan potrzebę, by wziąć udział we mszy? Czy mogę panu tego zabronić? Czy mi wolno?

— Nie chciałbym księdzu przysparzać kłopotów.

— Muszę spełniać swój obowiązek — rzekł ksiądz i wyglądał jak człowiek stojący na gruzach własnego domu, który właśnie się spalił.

Mutsch, za którym stał Flammer pełen napięcia, usiłował się uśmiechnąć. — Nie chcę księdzu niepotrzebnie zakłócać pracy.

— Nie! — zawołał ksiądz, gdy ujrzał, że Mutsch zamierza odejść. — Nie w taki sposób! Nie może mnie pan tak opuścić!

— Proszę księdza — rzekł Mutsch — postanowiono nas obu sprowokować. Liczono przy tym na łagodność księdza, a moją głupotę. Oszczędźmy sobie nerwów. Najlepiej będzie okazać powściągliwość; w ten sposób rozczarujemy tamtych, a sami zachowamy spokój ducha.

— Co to ma znaczyć! — Flammer udawał oburzonego. — Każdy ma prawo do Boga. Jeśli jednak nawet Kościół kapituluje wobec trudności — to oznacza to koniec.

— Jest pan jeszcze bardzo młody — rzekł Marcus.

A ksiądz bardzo stary, pomyślał Flammer i omal mu tego nie powiedział.

Mutsch uśmiechnął się gorzko: — Żegnam księdza — powiedział zrezygnowany.

Po tych słowach odszedł, a za nim Flammer.

Wielebny Marcus patrzył za nimi, jak przecinali pusty plac. W kościele rozległ się śpiew. Obywatele Wahlheimu śpiewali głośno, choć niezbyt równo. Ksiądz pomyślał: "Muszę ich zawrócić. Muszę, niech się dzieje, co chce! Muszę ich wprowadzić do kościoła i wskazać miejsce w pierwszych ławkach. Jakże słusznie ten młody człowiek powiedział: Każdy ma prawo do Boga. Należy wpuścić każdego, kto zapuka, a ten, kto tego nie uznaje, sprzeciwia się woli Bożej.

I rzekł na głos: — O Panie, jakże mogłem się wahać!

Lecz nim pobiegł za nimi, przyszła mu do głowy inna myśl: A jeśli on wcale nie przyszedł tu, aby szukać Boga, lecz aby się pokłócić z parafianami? Co wtedy?

Odrzucił jednak tę myśl. Nie, nie wolno zabronić wstępu do domu Bożego temu, komu potrzebna jest otucha, kto pragnie pomocy, choć może wcale o tym nie wie.

Zdecydował więc, że pobiegnie za Mutschem, ale obydwaj mężczyźni zniknęli mu już z oczu; weszli do gospody, która znajdowała się w pobliżu kościoła. Zanim ksiądz zdążył się zastanowić, czy byłoby to właściwe i licowało z godnością duchownego, by udać się teraz do „Czarno--Białego Byka”, ujrzał Konstancję Kuhn — dziewczynę o pełnych oddania, krowich oczach — jak idzie mu naprzeciw.

Uciekł więc do kościoła i do swego kazania. Było ono dziś pełne gorczy.

Mutsch i Flammer weszli do gospody. Mutsch milczał wyczerpany, Flammer zachowywał się głośno, był zdenerwowany.

Kelner, który z dwiema pomocnicami przygotowywał lokal dla gości po mszy, odmówił obsłużenia ich. — O tej porze mamy przerwę.

— Tam, gdzie my się zjawiamy, jest koniec przerwy — oświadczył Flammer. Potem ryknął jak przez megafon: — Pani Krampus! — Mutsch tymczasem sprawdzał, czy działa kurek przy piwie; owszem, działał.

Kelner, przerażony, załamywał ręce, ale trzymał się na uboczu.

— Bardzo mi przykro — rzekł Flammer do Mutscha. — Jest mi naprawdę przykro z powodu tej historii z kościołem. Nie powinienem był pana podpuszczać, ale nie liczyłem się z taką uległością księdza. To po prostu beznadziejne, jaki stał się ugodywy. Kiedy dawniej mówił o diable, wskazywał zawsze w kierunku, gdzie siedział ordsgrup-

penleiter. Ale to już przeszłość. Teraz jest starą, znużoną szkapą Pana Boga. Nie wiedziałem o tym.

— Nic nie szkodzi — rzekł Mutsch. — Teraz już wiemy, a każde doświadczenie ma swoją ceną.

I znów Flammer ryknął jak przez megafon: — Pani Krampus! Kelner!

Irena Krampus ukazała się na szczycie schodów. Otulona niebieskim szlafrokiem, wzbudziła zachwyt Flammera. Ze smutkiem pomyślał o córce właściciela sklepu papierniczego, sztywnej, jakby kij połknęła i o Małgorzacie von Habern, sekretarce burmistrza, nieprzystępnej jak twierdza.

— Co się tu dzieje? — zapytała Irena. — Dlaczego pan tak okropnie krzyczy? Czyżby dostał pan awans?

— Tak, awans w dół! I dlatego chcemy się teraz upić. Te łajdaki nie wpuściły mojego przyjaciela Mutscha do kościoła.

Kelner wysunął się do przodu. — Powiedziałem już tym panom, że o tej porze nie prowadzimy wyszynku.

— Słusznie — rzekła Irena. — W zasadzie tak jest, ale w tym wypadku zrobimy wyjątek. Proszę zaprowadzić panów do sali obok i podać im, co zechcą. Ja zaraz przyjdę.

Flammer podziwiał jej figurę i gołe nogi bez pończoch, w czerwonych rannych pantofelkach. - - Co za kobieta! — powiedział i poszedł z Mutschem do małej salki. — Ach, ten Wahlheim! Początkowo byłem sam i myślałem: do diabła, wszystko to gówno! Potem zjawił się pan, panie Mutsch, i powiem panu szczerze, że wstąpiła we mnie nadzieja. Pomyślałem sobie: może nareszcie jakiś świeży powiew! Ale ani drgnęło. Tu można się udusić.

— Kelner, proszę koniak! — rzekł Mutsch.

— Całą butelkę!

Siedzieli naprzeciw siebie, kiwali głowami i uśmiechali się zmieszani. Potem wypili.

— Cały ten świat — stwierdził Flammer z przekonaniem — to kupa gnoju. Myślałem, że pan, panie Mutsch, będzie jakimś jasnym punktem.

— Opuszczam Wahlheim — rzekł Mutsch.

— Rozumiem pana — odparł Flammer uroczyście po trzecim kieliszku — i bardzo tego żałuję. Na pewno mielibyśmy tu obaj niejedną uciechę.

— Bardzo możliwe.

Flammer rozkoszował się koniakiem. — Mam ostatnio pecha — powiedział. — Mój szef żąda ode mnie, bym pisał jak ostatnia świnia. A więc piszę jak ostatnia świnia. Prócz tego nie mogę się pozbyć jednej narzeczonej, a zdobyć drugiej. Cierpi na tym moja duchowa równowaga. Poza tym żądają ode mnie, bym za pomocą pióra włąził w tyłek rozmaitym ludziom z powodu zbliżających się wyborów.

— I włązi pan?

— Bronię się — odpowiedział Flammer i wypił jeszcze jeden koniak. — Ale chyba będę musiał. Widzi pan

— brak mi wentyla. Dlatego mnie pan rozczarował. Nie powinien pan ustąpić, tylko wejść do kościoła. Jako czło wiek i jako chrześcijanin. Ksiądz nie mógłby tego panu zabronić, znam się na tych sprawach. I byłaby dzika awan tura.

— Moim kosztem — rzekł Mutsch uprzejmym tonem. — I kosztem księdza. Możliwe, że nawet Scheuermann musiał by ponieść poważną część kosztów, bo to jego głównie chęcą ustrzelić. Nie, dobrze jest, jak jest!

Flammer podniósł kieliszek i upajał się wonią koniaku.

— Czy ma pan pojęcie, co by to było? Przypuśćmy, że by pan wszedł. I co? Gümpel ze swoimi poplecznikami opuś ciłby kościół i skandal gotowy. Ksiądz udałby się do bis kupa, a ten ująłby się za swoim duchownym, nie mógłby inaczej. Teraz — prasa! Ja tutaj, na miejscu: pierwsza stro na, cztery szpalty. Musi pan wiedzieć, panie Mutsch, że Kościół to temat tabu. O Kościele wolno tylko hymny po chwalne! Ale teraz gazety w stolicy landu napisałyby: „Skandal w Wahlheimie!” Pisma kościelne! Radio! Tygo dniki ilustrowane publikują wielostronicowe sprawozda nia. Zdjęcie księdza przed chórem kościelnym: Bojownik Boga! Pułkownik i jego satelity: wrogowie kościoła. Bez bożny Gümpel! Bagno wahlheimskie! Burmistrz przy biur ku: umywa ręce. Dziecię, słodkie i niewinne: czy będę dzieckiem Pana, czy ofiarą intryg? Potem pańskie zdjęcie, Mutsch, duże, przy warsztacie...

— Właśnie tego pragnę uniknąć.

— Nie ma w panu nic z bojownika.

— Nie jestem głupcem, Flammer, a poza tym już nie mam ochoty. Nie warto.

Otworzyły się drzwi i Scheuermann wszedł do pokoju. Zbliżył się do Mutscha. — Czy to prawda — zapytał z niepokojem — że nie chcieli cię wpuścić do kościoła?

— Skąd wiesz?

— Wieści szybko się rozchodzą.

Flammer napełnił swój kieliszek. — Dziwne miasto — powiedział. Język mu się plątał. — Wszyscy świadkowie tej sceny weszli do kościoła i jeszcze tam są. Oprócz nas dwóch. Niech mi pan powie, panie pośle, skąd pan wie, co się stało? Widać, ma pan znakomity wywiad.

Scheuermann nie podjął tematu. Wyraźnie się ucieszył, kiedy weszła Irena. Miała na sobie czarną jedwabną suknię z dużym dekoltem. Flammer znów pomyślał o córce sklepikarza i o Małgorzacie von Habern. Zupełnie zapomniał o tym, by się dalej zastanawiać, kto powiedział Scheuermannowi o zajściu przed kościołem, o którym wiedzieli tylko oni dwaj i Irena Krampus.

— Nie było cię całą noc w domu — rzekł Mutsch do Scheuermannna.

— Miałem robotę poza miastem — odparł Scheuermann pośpiesznie.

Flammer znów próbował zapomnieć o swojej odrzynie do Wahlheimu i zamglonymi oczyma obserwował Irenę Krampus. — Pani jest coraz piękniejsza — rzekł. — Dziś jest pani szczególnie piękna. Co jest tego przyczyną?

— To za sprawą koniaku, który pan wypił — odparła Irena z uśmiechem. — Czy mam zamówić jeszcze jedną butelkę?

Mutsch zwrócił się do Scheuermannna. — Nie mogłem się z tobą rozmówić wczoraj wieczorem. Chciałem ci powiedzieć, że pakuję manatki.

— Pan rezygnuje! — zawołała Irena zaskoczona. — Właśnie pan!

Scheuermann spojrzał na przyjaciela poważnie. — Rozumiem cię. To trochę za dużo dla ciebie. Nie dają ci spokoju, a ty nie masz cierpliwości, by przetrwać ten kryzys. Nerwy odmawiają ci posłuszeństwa. Obawiasz się, że znów cię poniosą tak jak wtedy.

Irena stała koło krzesła, na którym siedział Scheuermann. — Mutsch robi to ze względu na ciebie.

Scheuermann spojrział na nią. — Myślę, że się mylisz. Mutsch dobrze wie, że nie musi nic robić ze względu na mnie. Ale nie spodziewałem się, że zostawi mnie na lodzie.

Mutsch spojrział na Scheuermanną badawczo. — Czego chcesz? Jestem dla ciebie ciężarem, dla ciebie i dla innych. Dlatego czuję się tutaj źle. Nie ma tu dla mnie miejsca. Kiedy odejdę, będzie ci lżej.

Flammer, po ósmym koniaku, zabrał teraz głos: — Mój przyjaciel Mutsch ma rację — powiedział z trudem. — Nie sprzeciwiajcie mu się. Zjrzałem za kuliszy, strasznie tam cuchnie. Polowanie na niego na obecnym etapie jeszcze nic nie znaczy, ponieważ broń jest co prawda wycelowana, ale nie naładowana. Pewnego dnia jednak wystrzelą do niego — i trafią w pana, panie Scheuermann. W tym zasranym gnieździe os aż roi się od starych kamratów, którzy mogą istnieć tylko wtedy, kiedy mają przeciwnika. Trzymają się wówczas w kupie. Kiedy jednak załatwią to, co trzeba, zaczynają się gryźć między sobą. Znam moich Nibelungów.

— Pan bardzo dużo wypił — odezwał się Scheuermann.

— Uchlałem się — rzekł Flammer. — Chcę się dziś zalać w pestkę i trochę poawanturować. Wybije burmistrzowi szyby w oknach. Albo zamknę szefa w piwnicy, gdzie czasem liczy papier z małymi dziewczynkami, i wydrukuję na pierwszej stronie „Gońca”: Pocałujcie mnie wszyscy w dupę!

— Wspaniały z pana chłop — rzekł Scheuermann, badawczo mu się przyglądając.

Flammer zaczął teraz pić wprost z butelki. — Jestem konformistą — oświadczył z przekonaniem. — A jeszcze przed dwoma laty byłem idealistą. Wojna nie zdołała rzucić mnie na kolana, a Wahlheim zmienił mnie w oka mgnieniu. Chciałem ulepszać świat, nawet „Gońca"! I gówno z tego wyszło! Jestem literackim sutenerem! Płacą mi za to, że produkuję lokalne uczucia patriotyczne. Krótko mówiąc: jestem świnią! Zbyt łatwo wszystko mi przychodziło, życie za mało kopało mnie w dupę — taka jest praw-

da! Pakuj pan walizkę, panie Mutsch, zanim będzie za późno. Niech pan się gdzieś zaszyje, niech pan tam klepie będę, ale będzie szczęśliwy. A nas zostaw pan w tym gównie!

— Czyżby pan chciał mi dodać odwagi, Flammer? — zapytał Mutsch z namysłem. — Pan to potrafi. Już prawie mam ochotę tu pozostać.

— No to zostań — powiedział Scheuermann po prostu. — Jesteś nam potrzebny.

Irena uśmiechnęła się do niego. — Powinniście się trzymać razem. To byłoby wspaniałe!

Flammer czule tulił butelkę koniaku. — Sam — mówił z trudem — człowiek jest tutaj sam jak kawał drewna, które pójdzie na rozpałkę; ale wszyscy razem stanowimy drzewo. Dąb. Dąb, któremu nie szkodzi, że czochrają się o niego dziki.

Mutsch rozłożył ręce, po czym bezsilnie je opuścił. — To na nic — rzekł. — Pragnę być szczery. Nie wróciłem do Wahlheimu, by wyrównywać stare rachunki. Na ten pomysł wpadłem dopiero tutaj. Pragnąłem zobaczyć znów pewną osobę. Ale ta osoba już mnie nie potrzebuje. Jeśli zostaną, będę dla niej tylko zawadą.

— Ja także cierpię przez baby — stwierdził Flammer, usiłując otworzyć następną butelkę koniaku.

Nawet komuś, kto nic nie posiada, nie jest łatwo rozstawać się ze swoimi nadziejami i pragnieniami, rozczarowaniami i planami, które prysły jak bańka mydlana, z ulicami i dziewczynami, z domami, w których wino stało na stole i uśmiechał się do ciebie przyjaciel. Mutschowi zawsze najtrudniej było rozstawać się z dziećmi.

Nie bardzo wiedział, jak powiedzieć Uli, że ma zamiar opuścić Wahlheim. Dziewczynka tak bardzo go kochała. Scheuermann był jej ojcem, jego także kochała; ale Mutsch, który otaczał ją taką opieką jak nikt dotąd, był dla

niej prawie jak matka. Zawsze ogromnie tęskniła za kimś, dla kogo, w razie potrzeby, mogłaby się poświęcić. Kochała Mutscha gorąco i wieczorem zawsze się za niego modliła.

— Musisz to jakoś z nią załatwić — rzekł Scheuermann i odwrócił się. — Nie przyjdzie ci to łatwo. A tym bardziej jej!

Mutsch szedł z Ulą — po raz ostatni, jak sądził — brzegiem Panzy. Dziewczynka trzymała go za rękę i od czasu do czasu spoglądała na niego czule. Usiedli na brzegu. Mutsch rzucił kilka kamyków do leniwie płynącej rzeki, Ula mu się przyglądała.

— Jak to dobrze — rzekła — że tu jesteś.

— Ale ja nie będę żył wiecznie — powiedział Mutsch, ostrożnie zmierzając do pożegnania. — Pewnego dnia mnie tu nie będzie.

Ula skinęła głową. — Masz jeszcze dużo czasu przed sobą. Wtedy zostanę wdową po tobie.

— E tam — rzekł Mutsch. — Z czymś takim, jak ty, nigdy bym się nie ożenił. Wczoraj nie chciałaś nawet umyć nóg.

— Bo ciebie nie było — rzekła dziewczynka z przekonaniem. — Za mało się o mnie troszczysz. — Spojrzała na niego poważnie. — A co do ślubu, to wcale się nie martwię. Nie musisz się ze mną żenić. To ja się z tobą ożenię.

Mutsch ze smutkiem spoglądał na płynącą leniwie Panzę. W rzece odbijało się jego zniekształcone oblicze. Woda była zielona. W oddali płynął jakiś ciężki, trudny do zidentyfikowania przedmiot.

Mutsch spróbował z innej beczki. — Każdy mężczyzna, który chce się ożenić, musi wyruszyć w świat, by zdobyć sławę i bogactwo. Tak wszędzie piszą.

— To całkiem zbędne — oświadczyła Ula, poruszając palcami u nóg. — Dość się już najeździłeś. Poza tym jesteś sławny, bo podobno pisali o tobie w gazecie. A bogactwa nam nie potrzeba. Pieniądze nie dają szczęścia. Słyszałam to w radiu. Tam zawsze tak mądrze mówią.

Mutsch czuł, że musi mówić jaśniej. Odczuwał przed tym lęk. Na pewno dziewczynka zacznie płakać, a on bał się

leż. Zdarzyłoby się po raz pierwszy w jego samotnym życiu, że ktoś płakałby z jego powodu i w jego obecności. Spoglądał na Panzę. Czas płynął jak rzeka.

Duży przedmiot podpłynął bliżej. Mutsch usiłował rozpoznać, co to jest, czy to belka, czy beczka, czy też skrzynia. I nagle stwierdził, że to człowiek, którego woda niesie prosto na niego.

W swoim życiu widział już wiele trupów; od razu zdał sobie sprawę, że ten człowiek, unoszący się na wodzie, już nie żyje.

Wstał. Postanowił oszczędzić Uli widoku topielca; już niedługo będzie miała ich dość w kinie. Pomyślał także, że lepiej będzie nie składać meldunku i nie zeznawać na policji; to mogłoby przedłużyć jego pobyt tutaj i sprawić, że znów wpadnie w ręce Pulvera.

— Chodź — rzekł. — Idziemy dalej. Odejdźmy stąd daleko.

— Tak — odpowiedziała Ula ochoczo. — Odejdziemy daleko stąd.

Ujęła go za rękę i poszli przez park, aż znów wyszli nad rzekę, ponownie się oddalili i znaleźli się na łące. Mutsch położył się na trawie. Ula zrywała kwiatki i sypała na niego. Potem usiadła obok i łaskotała go żdźbłem trawy. Wreszcie musiała na chwilę odejść.

Mutsch spoglądał w niebo. Wdychał zapach trawy i dłońmi dotykał chłodnej ziemi. Czuł się dziwnie odprężony, jak gdyby teraz wszystko dobrze się układało, jak gdyby nie istniał Wahlheim ani przeszłość, jak gdyby nie było dziewczyny, którą utracił, a czas stanął w miejscu.

Usłyszał, że podbiega do niego Ula. Ciężko dyszała. Otworzył oczy i spojrzał na nią.

— Wujku, chodź prędko. Tam w wodzie ktoś leży. Nie rusza się.

Mutsch zerwał się szybko. W odległości około trzydziestu metrów Panza leniwie płynęła wśród łąk, a na jej powierzchni unosił się trup, którego widoku tak chciał oszczędzić Uli. Teraz jednak go zobaczyła; a więc nie mógł dłużej udawać, że go nie widzi.

Odwrócił Ulę tyłem do rzeki i powiedział: — Biegnij szybko do miasta na policję i powiedz, że w rzece ktoś się utopił. Przyjdź tu z policjantem.

Ula bardzo się bała. — Czy on jest nieżywy?

— Pospiesz się — rzekł Mutsch. — Będę tu na ciebie czekał.

Ula posłusznie pobiegła i tylko włosy rozwiewały się jej na wietrze.

Mutsch podszedł do rzeki. Trup lekko kołysał się na wodzie. Mutsch usiadł na brzegu i patrzył na zmarłego, którego nie udało mu się uniknąć.

Zdjął buty i skarpetki, podwinął nogawki i wszedł do płytkiej wody. Pochylił się, chwycił topielca i wyciągnął na brzeg.

Był to mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Miał jasne włosy i sympatyczną bladą twarz, słabo zarysowany podbródek, wysokie piękne czoło. Niebieskie oczy były szeroko otwarte. Mutsch usiłował je zamknąć, ale mu się udało i wyglądało to tak, jakby zmarły na niego patrzył.

Mutsch usiadł w pewnej odległości na łące i czekał. Zastanawiał się: czy ktoś będzie żałował tego człowieka? I dalej: a czy mnie by ktoś żałował, gdybym tak leżał? Doszedł do dziwnego wniosku, że znaleźliby się może ludzie, którzy by po nim zapłakali. I wypełniła go cicha, pełna obawy radość.

Po upływie około pół godziny ukazał się starszy sierżant Pulver we własnej osobie. Wziął służbowy rower; z przodu na ramie siedziała Ula i cieszyła się z szybkiej jazdy; chętnie odpowiadała na zadawane *jej* pytania.

Kilkadziesiąt metrów od miejsca, gdzie siedział Mutsch przy zwłokach, Pulver zsiadł z roweru. — Zostań tu — nakazał Uli — i pilnuj, żeby mi nikt nie ukradł roweru.

— Nie ma tu nikogo prócz mnie — odpowiedziała Ula. — Chcę tam pójść.

— Masz tu zostać — zdecydował Pulver.

Potem podciągnął pas, wyprężył pierś i poszedł na miejsce wypadku. Był pełen energii i przedsiębiorczości. Trupy, które nie leżały w łóżku, były w Wahlheimie rzadkością.

Pulver wiedział, czego wymagają od niego przepisy; był teraz stróżem porządku i sędzią śledczym w jednej osobie. Stał na szeroko rozstawionych nogach i w milczeniu badał sytuację. Wyjął z kieszeni notes i otworzył go.

Długo przyglądał się Mutschowi, po czym powiedział: — Pan oczywiście musi przy tym być!

Mutsch wolał na to nie odpowiadać. Wstał i usunął się na bok. — Prawdopodobnie samobójstwo — rzekł.

Pulver spojrzał na niego badawczo, jak to czynią w powieściach kryminalnych. — Czy chce mi pan to zasugerować? — zapytał surowo.

Mutsch wzruszył ramionami. — Chyba, mogę wyrazić swoje zdanie.

— Ja tu prowadzę dochodzenie. — Pulver uważał, że tym samym wszystko wyjaśnił.

Dokonał pobieżnych oględzin i przeszukał ubranie zmarłego. Znalazł dokumenty i plik gęsto zapisanych kartek w ceratowej okładce. — Materiał dowodowy — mruknął.

Następnie zadał Mutschowi kilka pytań: Kiedy zauważył trupa? Dokładnie, kiedy? Możliwie co do minuty. Co zrobił? Wyciągnął go na brzeg? A potem?

Mutsch odpowiadał, najdokładniej jak mógł. Pulver skrzętnie notował. Potem spojrzał na swoje dzieło i uznał je za dobre, ale dał do zrozumienia, że jeszcze nie całkiem jest gotowe.

Następnie zaczął rozwlekle: — Kiedy opuścił pan centrum miasta? Kiedy był pan tam po raz ostatni? Kto pana widział jako ostatni?

— Po co to panu? — zapytał Mutsch niechętnie. *- To nie ma nic wspólnego ze sprawą.

— Niech pan to łaskawie mnie pozostawi, wiem dobrze, co trzeba, a czego nie.

— Chce pan mnie szykanować.

Pulver zatrzasnął energicznie notes. — Stwierdzam — rzekł — że odmawia pan zeznań. To także jest odpowiedzią na moje pytanie.

— No dobrze — rzekł Mutsch. — O wpół do drugiej, tuż po obiedzie, opuściłem dom Scheuermanna. Poszedłem z Ulą przez rynek do parku. Spacerowaliśmy trochę, aż

dotarliśmy do tej łąki. Ja leżałem na trawie, Ula zrywała kwiaty. Potem podeszła do mnie, była już prawie trzecia, i powiedziała: — Tam, w rzece, ktoś leży i się nie rusza. — Posłałem ją na policję. Potem wyciągnąłem ciało na brzeg i czekałem na pana. Przybył pan około trzeciej czterdzieści.

— Czy dziecko było przy tym cały czas? — Pulver był wyraźnie rozczarowany.

— Cały czas.

— Czy próbował pan reanimować topielca?

— Nie.

— Dlaczego? Nie wie pan, jak to się robi?

— Ten człowiek już nie żył od wielu godzin — oświadczył Mutsch.

— Czy jest pan specjalistą od trupów?

— To zależy — rzekł Mutsch obojętnie, jakby nie słysząc zjadliwości w głosie Pulvera. — Byłem na wojnie w wojskach saperskich. Kiedy budowaliśmy most na Dnieprze, zносиło tam każdego dnia ze dwieście trupów.

— Przesadza pan.

— Dwieście siedem. Ale nie było wśród nich ani jednego policjanta.

Pulver schował notes. Spojrzał na Mutscha niechętnie, potem, z namysłem, na topielca. — Czy zna go pan?

— Nie.

— Nigdy go pan nie widział?

— Nie. Nigdy go nie widziałem.

— Według dokumentów — rzekł Puhrer i pochylił się nad ciałem — jest to Sebastian Semper.

Wtedy Mutsch zbladł i musiał usiąść.

Mutsch spoglądał na martwego Sebastiana Sempera z rosnącym niepokojem. Widział nie tylko człowieka, który odebrał sobie życie. Widział także matkę z nieślubnym dzieckiem. A za obydwojgiem stał on.

Nie śmiał spojrzeć w oczy policjantowi. Dla tego Pulvera Sebastian Semper był tylko przypadkiem, dla Mutscha była to otchłań. Pulver dowie się, co było przedtem; Mutsch myślał tylko o tym, co nastąpi później.

— A więc nie zna pan tego Sebastiana Sempera? — zapytał Pulver ponownie. Wydawało się, że nieświadomie trzyma się uparcie tej myśli.

— Nie — odparł Mutsch, starając się, aby brzmiało to wiarygodnie. — Nigdy przedtem go nie widziałem. — W duchu zaś obawiał się już następnego pytania, mianowicie: Czy pan kiedykolwiek o nim słyszał, a jeśli tak, to w związku z czym?

Ale tego pytania Pulver nie zadał. Usiadł na ziemi i studiował osobiste dokumenty zmarłego, które nie uległy zniszczeniu, ponieważ przez szczelne opakowanie z ceraty woda nie dostała się do środka. Następnie zaczął przeglądać paczkę z zapisanymi gęsto kartkami. Zrobił wielkie oczy.

Kiedy Mutsch tak patrzył na gorliwego policjanta, ogarnęło go przygnębiające uczucie, że musi zrobić wszystko, co tylko w jego mocy, by to oczywiste samobójstwo nie okazało się ewentualną zbrodnią. Bo może się zdarzyć, jak się tego obawiał, że on sam i ta druga osoba, którą musiał przed tym ochronić — wpadną w niebezpieczne wiry.

Oddalił się powoli, nie chcąc przeszkadzać Pulverowi w najwyraźniej pasjonującej lekturze. Podeszedł do Uli, która z szeroko otwartymi oczami siedziała obok służbowego roweru policjanta.

— Niesamowita historia! — zawołała podniecona. Mutsch skinął głową. — Czy chcesz mi pomóc?

— No jasne!

— Postaraj się odnaleźć Flammera. Opowiedz mu, co się tu stało. Niech zaraz przyjdzie! Powiedz, że go o to proszę. Że to bardzo ważne. Zrobisz to dla mnie?

— Oczywiście. — Ula natychmiast wstała. Wzięła rower policjanta i wyprowadziła na ścieżkę.

— Słuchaj — rzekł Mutsch niepewnie — tak nie można.

— Właśnie że można — odpowiedziała dziewczynka chytrze. — Przecież policjant kazał mi nie spuszczać oka z roweru.

Mutsch wołał się Uli nie sprzeciwiać. Sprawa była pilna, a rower w tej sytuacji był darem niebios. Ula wsiadła na niego i odjechała.

Mutsch wrócił do Pulvera. Ten nie zauważył chwilowej nieobecności swojej ofiary ani bezprawnego wykorzystania jego służbowego roweru. Czytał gęsto zapisane kartki, ogromnie się dziwił i od czasu do czasu kręcił głową.

— To nie do wiary — rzekł wreszcie.

— Co? — zapytał Mutsch ostrożnie.

— Te wiersze — rzekł policjant z niechęcią — same wiersze. I prawie wszystkie o miłości.

Mutsch uśmiechnął się z trudem. — Tacy już oni są, ci poeci.

Pulver nie wykazywał dla tych spraw najmniejszego zrozumienia. — Przecież czegoś takiego nie powinno się pisać — rzekł z naganą w głosie. Ten „przypadek” przestał go już interesować. Tak zwani poeci nie byli w jego pojęciu normalnymi ludźmi. Już w szkole uczył się, że są oni skłonni do samobójstw — tamten facet nazywał się Kleist! — albo kończą w domu wariatów — ten znów nazywał się Hölderlin. Wykształcenie ogólne: dobry!

Wyciągnął fajkę, nabił ją powoli i zapalił. Wypuszczał kłęby dymu i spoglądał na Panzę; nie widział już potrzeby głębokich rozmyślań. „Sprawa” była właściwie zakończona. Poeci tak właśnie kończą. — Poczekajmy jeszcze na lekarza — powiedział.

Doktor Schneider przybył w kilka minut później. Zaparkował swojego sfatygowanego opla na polnej drodze i podszedł z torbą lekarską. Krótko pozdrowił Pulvera i Mutscha, pochylił się nad ciałem i przystąpił do oględzin.

— Śmierć przez utopienie — stwierdził. — Zgon nastąpił przed niespełną czterema godzinami, a więc prawdopodobnie pomiędzy jedenastą a trzynastą. Rana z tyłu głowy mogła powstać wskutek uderzenia albo zderzenia się z czymś.

— Więc moja teoria się potwierdza — rzekł Pulver.

Doktor Schneider przewidział tę uwagę. — Powinien pan być zostać lekarzem — powiedział.

Mrugnął do Mutscha, ale ten wcale nie uważał sprawy za zabawną. — No więc — rzekł lekarz — należy, jak zwykle w takich wypadkach, przewieźć ciało do szpitala powiatowego. Jutro rano przeprowadzę sekcję i wydam szczegółowe orzeczenie na piśmie.

— W porządku, doktorze — rzekł Pulver.

Lekarz zamknął torbę. — Czy pan pojedzie ze mną, panie Pulver? W moim samochodzie jest wolne miejsce.

— Dziękuję. Mam tutaj swój służbowy rower. Poza tym muszę dopilnować transportu zwłok.

Lekarz odszedł, Pulver ponownie nabił fajkę. Zaczął bawić się w przepytywanie Mutscha, nadając temu charakter urzędowy.

— Czy często chodzi pan na spacerzy z małymi dziećmi?

— Bardzo często spaceruję tu z Ulą. Oczywiście za zgodą ojca, jeśli to pana interesuje.

— Bardzo mnie to interesuje — rzekł Pulver. — A więc, za zgodą ojca. Widać, stał się pan bardzo ostrożny. Dawniej był pan bardziej porywczy. Zaraz brał się pan do bicia.

— Teraz także mogę uderzyć — powiedział Mutsch groźnie. — Ludzie o brudnych myślach zawsze mnie irytują.

— Tylko bez głupich żartów — powiedział Pulver niepokojnie.

— A cóż mi się może stać? Jak okiem sięgnąć, nie znajdzie pan świadka.

Policjant rozejrzał się pośpiesznie. — A gdzie jest dziewczynka z rowerem? — zawołał.

— Tu jej nie ma. — Mutsch uśmiechał się. Czuł, jak spada mu kamień z serca: to było samobójstwo. Ani on, ani ta druga osoba, nie zostaną chyba zamieszani w tę sprawę.

Policjantowi też już nie zależało na dalszej rozmowie. Wyciągnął notes i wykonał szkic. Nie było to konieczne, ale odwracało jego uwagę.

Wkrótce przybył Flammer na rowerze należącym do redakcji. Przez ramię miał przewieszony aparat fotograficzny. — Co się tu dzieje?

— Gdzie jest mój rower? — zawołał do niego Pulver.

— Stoi przed redakcją i ma dwa kaptcie. Ula stoi obok i go pilnuje. Powiedziała, że nie wolno jej spuszczać oka z roweru.

— Cholera — Pulver był wyraźnie zły, gdyż nie lubił chodzić pieszo. Potem wpadł na pewien pomysł. — Niech mi pan pożyczy swojego roweru.

— Bardzo żałuję, ale to własność redakcji. Wolno go używać tylko za zgodą szefa. Ale jeśli go pan zapyta i on panu pozwoli, chętnie go panu odstąpię.

Pulver odwrócił się oburzony. A więc musi pójść na piechotę. Pozostała mu jeszcze nikła nadzieja: w każdej chwili mogła nadjechać sanitarka, by zabrać zwłoki.

Tymczasem Mutsch krótko poinformował Flammera o tym, co tu zaszło. — Niewątpliwie samobójstwo. Niech pan zrobi, co tylko się da, by nie wyciągnięto żadnych mylnych wniosków.

Przy tych słowach oczy Flammera zwęziły się. Jego reporterski instynkt podpowiadał mu, że coś tu jest — tylko co? — nie całkiem w porządku.

Czuł podświadomie, że to jakoby oczywiste samobójstwo ma jakieś tajemnicze tło. Węszął w tym sensację.

Uczył coś, co w takiej sytuacji czynią wszyscy dobrzy reporterzy: przede wszystkim unikają sensacji, ale od samego początku nadają sprawie należyłą rangę. Poza tym było tu dość materiału, aby zappełnić rubrykę lokalną ulubioną przez czytelników treścią.

Przystąpił ostrożnie do dzieła. W swoich notatkach wykorzystywał relacje Pulvera i Mutscha, a obydwu — to Flammer od razu zauważył — zależało na dobrej prasie. Widać było wyraźnie, że Mutsch stara się wszystko pomniejszyć, Pulver natomiast — wyolbrzymić; Mutsch żałował, że doszło do samobójstwa, Pulver żałował, że nie było komplikacji, które by mu umożliwiły wykazanie się bogatą wiedzą kryminalistyczną.

Plik gęsto zapisanych kartek — wierszy zmarłego — od razu wzbudził zaciekawienie Flammera. Wertował je, niektóre czytał. Był rozpromieniony. — Czy któryś z panów zna te wiersze? — zapytał.

Obaj zaprzeczyli bez namysłu.

Flammer nie oczekiwał innej odpowiedzi. Taki człowiek, jak Mutsch, niewiele ma wspólnego z poezją, a policjanci rzadko czytają wiersze. Jemu jednak niektóre z nich wydawały się znajome. Nie wiedział, skąd mógł je znać, ale miał wrażenie, że już je gdzieś czytał. Dywagacje owe nie miały jednak większego znaczenia, najważniejsze było to, że same wiersze, przynajmniej na razie — rzucały pewne światło na sprawę samobójstwa.

Flammer oświadczył: — To bardzo ciekawe. Proszę sobie wyobrazić, że wśród nas w Wahlheimie żył poeta, prawdziwy poeta. Nie znany i nie uznany. A przecież zasługuje na uznanie, ponieważ jego poezja, o ile mogę to ocenić, jest bardzo dobra.

— Tak pan sądzi? — rzekł Pulver z powątpiewaniem.

— Jestem o tym przekonany.

Mutsch podchwycił tę myśl. — Jako poeta czuł się nie doceniany przez świat i dlatego się utopił.

Flammer zerknął na Mutscha i uznał, że ta nienaturalnie spontaniczna uwaga jest *co* najmniej interesująca. Zastanawiał się, co się kryje za tego rodzaju reakcją. Następne pytania, które siłą rzeczy same się narzucały, podyktowane podejrzliwością i doświadczeniem, musiały brzmieć: Co ten człowiek chce ukryć? Czy łączyły go jakieś stosunki ze zmarłym?

— U tego rodzaju ludzi to całkiem możliwe — powiedział Puhrrer zamyślony.

— Niech mi pan da te wiersze — poprosił Flammer — opublikuję je. Będzie to wielkie wydarzenie w Wahlheimie.

— Zapoznany poeta w naszych murach — skomentował Mutsch; wyglądało na to, że takie rozwiązanie mu się spodobało.

Policjant się zawahał. — Nie wiem — rzekł — czy mi wolno. Przecież może tu chodzić o materiał dowodowy.

Flammer był nie tylko uparty, ale i wyrachowany. — Na razie zrobimy zdjęcie — powiedział. — Damy je na dwóch szpaltach. Będzie na nim pokazany moment, jak pan, panie Pulver, fachowiec od spraw kryminalnych, znajduje ważne dzieło literackie.

— Tak pan sądzi? — Pulver nie miał nic przeciwko temu, by opinia publiczna poznała metody jego pracy. Poczul się ośrodkiem zainteresowania. Bardzo mu pochlebiała poza tym pełna szacunku postawa Flammera, który zazwyczaj zachowywał się wobec niego jak dzikie zwierzę.

— Czytelnicy będą zachwyceni — zapewniał go Hammer. Jego zachowanie cechowała zręczność, przebiegłość i doświadczenie. Sprawdził położenie słońca. Następnie ułożył topielca w najkorzystniejszym świetle, usunął trawę, by zrobić miejsce dla kamery. Uważał, by rzeka Panza w tle

— jako niemy świadek tragicznego czynu — była wyraźnie widoczna. Potem Pulver musiał uklęknąć obok ciała z plikiem zapisanych kartek w rękę i spoglądać na nie znacząco.

— Proszę trochę wyżej głowę — polecił Hammer.

— Ale wtedy nie będę mógł czytać — zaprotestował Pulver uprzejmie.

— To nic nie szkodzi. Twarz musi być dobrze widoczna. Teraz w porządku. — Pstryknął. Dla pewności zrobił jeszcze jedno zdjęcie.

— Pan jest hieną cmentarną — rzekł Mutsch.

— Dlaczego? Jestem reporterem. Nauczyłem się tego od korespondentów wojennych.

Pulver wstał i otrzepał kolana. — Może pan sobie wziąć te wiersze — zwrócił się do Flammera wielkodusznie.

— Tylko muszę je najpierw dołączyć do raportu. Potem będą w komisariacie do pańskiej dyspozycji.

— Tak właśnie powinno być — rzekł Hammer zadowolony. — Policja i prasa — ręka w rękę. Wahlheim zrobi wielkie oczy.

Kiedy podczas wojny umiera tysiące ludzi, w korespondencjach wojennych ukazują się często zaledwie wzmianki. Ale kiedy w czasie pokoju ktoś umiera w niezwykłych okolicznościach, wtedy jedno serce, które przestało bić, wprawia w ruch tysiące języków.

Wiadomość o śmierci i odnalezieniu Sebastiana Sempera obiegła lotem błyskawicy całe śródmieście; za punkt centralny uznano posterunek policji. Wielu mieszkańców Wahl-heimu twierdziło, że go znało, a wszyscy wiedzieli, jaki był. Fryzjer roztaczał wokół niego aurę tajemniczości, kiedy namydlął brody swoich klientów; opowiadał, jak strzygł kiedyś Sempera, a ten wyjął z kieszeni kartkę i bez przerwy coś na niej notował. Księgarz twierdził, że Semper był jego dobrym klientem, o stosunkowo wyrobionym smaku literackim.

W niespełna godzinę potem dzieci bawiły się w „odnajdywanie i transport topielca”. Ula Scheuermann, w otoczeniu rówieśników, udzielała łaskawie wywiadów i miała nieodparte wrażenie, że zyskała jeszcze większy niż dotąd szacunek.

Tylko na północny kraniec miasta, gdzie stał dom Sem-perów i na południowy, gdzie mieszkała Ulryka ze swoim dzieckiem, ta bulwersująca wiadomość jeszcze nie dotarła. Podczas gdy Sebastian Semper umierał, jego rodzice drzemali w dusznej kuchni, a Ulryka cerowała pończochy i pilnowała dziecka, które spało w ogrodzie.

Starszy sierżant Pulver udał się do domu burmistrza, gdzie zastał Reisserów przy kawie. Usiłował, choć daremnie, omijać wzrokiem żonę swego przełożonego, kiedy zdawał relację. Reisser, który rozkoszował się kawą znakomicie przyrządzaną przez żonę, nie widział dostatecznego powodu, by mu przeszkadzano. — Niech pan zarejestruje zgon i zawiadomi rodzinę, to należy do pańskich obowiązków.

— Czy nie byłoby wskazane, aby pan burmistrz osobiście...

— Żadnych wykretów, Pulver. Chce się pan wymigać. Jak się ten facet nazywał? Semper, Sebastian Semper? Nigdy nie słyszałem. Nie znam. A więc żadna znana osobistość. Nie mam z tym nic do czynienia. Proszę o jeszcze

jedną filiżankę kawy, Ulryko. Nalej do pełna. Ale uważaj. Cały spodek...

— Czy jednak nie powinieneś iść sam, Ottokarze?

— Co ci przychodzi do głowy? Podaj mi inny spodek. Dlaczego cię to tak interesuje? A więc, Pulver, jeśli ten człowiek należy do naszej parafii, niech załatwi to ksiądz. A jeśli jest to jeden ze starych żołnierzy Gümpla, to niech on ruszy do „marsza żałobnego”. Jeśli ani jedno, ani drugie, to musi pan sam. Ja włączam się do akcji tylko wówczas, kiedy chodzi o prominentów naszego miasta.

— Ten człowiek był kimś w rodzaju poety — Pulver uznał, że musi o tym powiedzieć.

— Kim był?

— Kimś w rodzaju poety.

— No widzisz, Ottokarze! Nie możesz tego tak po prostu zlekceważyć. To przecież tragiczne wydarzenie.

Burmistrz spojrział na żonę ze zdziwieniem. Nie miał zwyczaju przyjmować jakiegokolwiek pouczeń ani słów zachęty, a już najmniej od żony, w dodatku w obecności podwładnego. Ulryka czuła wyraźnie wyrzut w jego wzroku i spuściła oczy. Dla Pulvera sytuacja była nadzwyczaj przykra.

— To wypadek czy samobójstwo? — zapytał wreszcie burmistrz.

— To nie jest jeszcze całkiem jasne. Śledztwo przyniesie bliższe szczegóły.

— No dobrze — rzekł Reisser, delektując się kawą. — Jedno tu zwraca uwagę, mianowicie fakt, że to właśnie znowu ten Mutsch musiał wścibić swój nos.

— Ja także to zauważyłem.

— Ależ, proszę cię, Ottokarze — wtrąciła się Ulryka — ktoś w końcu musiał go zobaczyć.

Burmistrz nic nie odpowiedział. Popijał kawę i zastanawiał się. Potem rzekł: — Niech pan złoży meldunek pułkownikowi Gümplowi. Może on zajmie się tą sprawą. Ten człowiek ma poczucie taktu.

Pulver zasalutował i odszedł. Był zły, ale jak zawsze potrafił to świetnie ukryć. Irytowało go, że ta delikatna misja jemu przypadła w udziale.

I uznał, przypominając sobie uwagę burmistrza — „mo że on zajmie się tą sprawą” — że tu nie chodzi o Mutscha, który i tak jest w jego rękach, lecz o zawiadomienie rodziny zmarłego, co pułkownik, ze zwykłym sobie taktem, załatwi na pewno jak najlepiej i z największą gorliwością.

Im dłużej Mutsch zastanawiał się nad tym, co zaszło, tym większy ogarniał go niepokój. Coraz jaśniej zdawał sobie sprawę, że był o wiele bardziej wplątany w to, co się stało, niż się wydawało, a jego położenie było o wiele groźniejsze, niż dotąd przypuszczał.

Wciąż od nowa prześladowała go myśl: ten Sebastian był ojcem dziecka Ulryki Loos, a on, Mutsch, był jedynym, który o tym wiedział. Ulryka i tak dowie się o wszystkim. Musi się więc dowiedzieć nie od kogoś przypadkowego, kto nie ma o niczym pojęcia, tylko od niego, który był przy tym. On sam musi stanąć przed nią i jej to powiedzieć.

Kiedy postanowił uczynić to, czego nie można było uniknąć, westchnął ciężko i poszedł do domu Loosów. Gdy był już blisko, zaczął się wahać. Trudno było rozmawiać z Ulryką w obecności ojca, który strzegł jej jak cerber, a już zupełnie niemożliwe było powiedzieć jej to, co miał powiedzieć. Czekał dość długo. Słyszał, jak kowal pracuje w kuźni. Nie mógł więc liczyć na to, że wyjdzie ze swojego obejścia.

Mutsch odwrócił się i pospiesznie wrócił do miasta, udał się do Scheuermanna i powiedział szybko: — Posłuchaj, musisz coś dla mnie zrobić. Powiedz Uli, żeby natychmiast poszła do kowala Loosa i powiedziała mu, że masz do niego pilną sprawę.

— A dlaczego?

— Nie pytaj teraz, zrób, o co cię proszę. To bardzo ważne.

— No dobrze — rzekł Scheuermann.

Gottlieb Bremer, naczelny redaktor i wydawca „Gońca Wahlheimskiego”, przetańił oczy, następnie zatańił ręce. Był ogromnie zadowolony z Hammera, swojej prawej ręki i głównej siły. Oczywiście nie okazywał tego. A jeśli już o tym mówił, chwalił swoją świetną szkołę i wysoki poziom intelektualny kierowanej przez siebie gazety, która rzekomo miała coraz większy zasięg, coraz więcej ogłoszeń i prenumeratorów.

Rzecz jasna, musiał czasem trochę łagodzić zbyt śmiałe artykuły Hammera, dbał o to, by tytuły brzmiały atrakcyjnie, a podtytuły bardziej wymownie, by grzmiały jak fanfary, nie tracąc przy tym swojego lirycznego charakteru, który bardzo sobie cenił. Hammer był, jak na jego gust, zbyt realistyczny i nie dość oddziaływał na wyobraźnię.

Znalezione wiersze były sensacją literacką. Przez kilka minut Bremer przywoływał na myśl owe smutne, ale prawdziwe fakty, które miały miejsce w historii i niestety, świadczyły o tym, że często dzieło przynosi swemu twórcy nieśmiertelność dopiero po jego śmierci. Kto by pomyślał, że coś takiego zdarzy się właśnie w Wahlheimie. Było to niesłychane szczęście.

— Zrobimy z tego wielką sprawę — zdecydował i wykonał ruch, jaki czynią wielcy przedsiębiorcy w niezbyt dobrych filmach. — Przeznaczę na to osobną kolumnę i zwiększę nakład. Do dzieła, mój młody przyjacielu, pełną parą!

Dzień miał się ku końcowi, długie cienie kładły się na ziemi. Mutsch zobaczył wychodzących kowala Loosa z Ulą.

Opuścił swoje stanowisko obserwacyjne i poszedł w kierunku kuźni.

Ulryka ujrzała go i czekała, aż podejdzie. Oparła ręce na parkanie, który ich dzielił i spytała: — Czemu tu przyszedłeś? Przecież wiesz, że tego nie chcę. Ojciec nigdy na to nie pozwoli. Masz szczęście, że musiał pilnie pójść do miasta.

— Wiem — rzekł Mutsch — to ja spowodowałem, że poślano po niego. Muszę z tobą pomówić na osobności.

Zobaczył, że Ulryka trochę się cofnęła. Nadal opierała dłońe na parkanie, ale nieco się odsunęła. Jej wielkie oczy spoglądały na niego z mocą.

— Co chcesz mi powiedzieć? — zapytała cicho. — Czy zamierzasz opuścić Wahlheim?

— Nie — odrzekł bezbarwnym głosem.

— Nie chcę cię zatrzymywać. Nie mogę. — I z przerażeniem pojęła, że on nie przyszedł tu po to, aby z nią rozmawiać na ten temat. Zdawało jej się, że dostrzega w jego oczach surowość, następnie współczucie, wreszcie bezradność. — Co się stało?

— Niestety — rzekł. Nie patrzył na nią. Patrzył na jej ręce na parkanie, widział, jak się poruszają, jak napinają się mięśnie, jak palce mocno chwytają sztachety.

— Sebastian — powiedziała.

— Tak — rzekł Mutsch i zobaczył, jak jej ręce, w które się wpatrywał, oderwały się od płotu i opadły.

— Tak — powtórzył — nie żyje. Utonął. Wyciągnąłem go z Panzy.

Powoli podniósł wzrok, ale nie widział jej twarzy. Głowę miała opuszczoną, włosy opadały na boki jak welon. Odwróciła się od niego i odeszła. Szła przez podwórze do domu, gdzie płakało dziecko.

— Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić? — zapytał Mutsch, ale był przekonany, że go nie usłyszała. Drzwi się zamknęły. Płacz dziecka ucichł. Mutsch odszedł.

Ich postawa była po prostu godna podziwu — z satysfakcją opowiadał Gumpel swoim przyjaciółom. — Wręcz nadzwyczajna. Tylko podczas wojny przeżyłem coś podobnego. Jestem pełen uznania dla rodziców Sempera, moi panowie. Ten Sebastian Semper to był chyba bardzo utalentowany chłopak. Jego rodzice bardzo go cenili.

— A jeśli to było samobójstwo? — Reisser ostrożnie próbował zgasić nieco zachwyty pułkownika.

— Ja oczywiście powiedziałem, że chodzi tu o nieszczęśliwy wypadek. To bardziej ludzkie. Dawniej zawsze tak mówiliśmy, kiedy w pułku ktoś popełnił samobójstwo. Chłopak był żołnierzem w stopniu podoficera, odznaczony na wojnie. Przebywał też w niewoli. Wrócił dopiero przed dwoma laty do tego kraju o żalosnej strukturze państwowej, gdzie nikt nie troszczy się o starych żołnierzy.

Reisser skinął głową. — A więc to ofiara obecnych czasów!

— Właśnie tak! Ofiara warunków, które chcemy poprawić i z pewnością poprawimy. To po prostu sprawa natury politycznej i nie wolno jej przemilczać.

— Doradzałbym ostrożność — rzekł Reisser.

— Wciąż tylko ostrożność! To taka filozofia cywilów. — Pułkownik był zły; irytowało go, że ktoś próbował zbagatelizować doniosłość jego misji, którą wypełnił wzorowo. — Powiadam wam, byłem wstrząśnięty! Przecież to oburzające, jak się traktuje młodzież niemiecką. Moi panowie, jestem za delegacją honorową i okazałym wieńcem. Przynajmniej to możemy zrobić dla naszego kolegi.

A więc to był nieszczęśliwy wypadek — rzekł walebny Marcus. — Pokój jego duszy.

Pani Semper oświadczyła z tłumioną dumą: — Pan pułkownik osobiście przekazał nam tę wiadomość. Wyraził nam swoje współczucie. Powiedział, że jest wzruszony i wspominał o potrzebie godnego pogrzebu.

— Zostanie pochowany tak jak wszyscy w mojej parafii — rzekł ksiądz. Wolał nie pytać o dalsze szczegóły, słyszał bowiem, że to mogło być samobójstwo, a wówczas musiałby odmówić chrześcijańskiego pochówku. Ponieważ jednak były to tylko przypuszczenia, nie potwierdzone oficjalnie, lepiej było unikać komplikacji.

— A więc nieszczęśliwy wypadek — rzekł. I przyłapał się na tym, że miał ochotę dodać: „całe szczęście”.

Jestem całkiem zadowolony — rzekł Gottlieb Bremer, kiedy pierwsze egzemplarze najnowszego numeru „Gońca” opuściły maszynę rotacyjną. Na pierwszej stronie widniało tłustym drukiem, w ramce: „Samobójstwo w Wahlheime!” Pod tym, mniejszymi literami, ale również wytłuszczone: „Wielce utalentowany poeta rzuca się do Panzy. Oskarżenie czasów, które nie popierają talentów!” Niżej, małymi literami: „Nasza relacja na stronie trzeciej”.

Flammer czytał, marszcząc czoło, te krzykliwe tytuły, które mógł spłodzić jedynie mózg jego szefa. Powiedział niezadowolony: — Moim zdaniem...

— Nie ma żadnego pańskiego zdania! — Gottlieb Bremer sądził, że zna wszystkie argumenty swojego współpracownika; nie podobały mu się i nie chciał ich po raz kolejny wysłuchiwać. Złożył gazetę, która wyszła właśnie spod prasy, wsunął sobie pod pachę i powiedział: — Idę do „Byka”.

Ledwie się tam pojawił, usłyszał uwagę: — Ta wersja z samobójstwem, drogi panie Bremer, wcale mi się nie podoba! — Gümpel potrząsnął głową. — Dlaczego nie napisał pan „nieszczęśliwy wypadek”?

— Bo to było samobójstwo.

— To mogło być równie dobrze coś innego — rzekł Pulver znacząco.

— Dajmy wreszcie spokój z tym Mutschem — rzekł Reisser. — Czy nie ma już ciekawszych tematów?

— Oczywiście — powiedział pułkownik. — Pomówmy o wystawieniu pomnika ku czci poległych.

Flammer także wziął do teczki kilka egzemplarzy „Gońca” i poszedł do Scheuermanna. Ten razem z Mutschem wmontowywał właśnie nowy silnik do lodówki.

Flammer zatrzymał się w drzwiach warsztatu. — Co to? — rzekł zdziwiony. — Myślałem, że chce pan stąd odejść? Czy nie spakował pan już walizek? Myślałem, że jest pan już za siedmioma górami.

Scheuermann podniósł głowę znad roboty i mrugnął do Flammera. — Ja też tak myślałem.

— Na razie jeszcze tu zostanę — oświadczył Mutsch wciągając kabel.

— A jaki jest powód?

Mutsch nie spojrzął na niego. — Tego nie muszę panu mówić!

— A może jednak — rzekł Flammer z przekonaniem. — Może zda pan sobie w końcu sprawę, że tak trzeba. Myślę, że wyrzuci pan z siebie wszystko, co chciałbym wiedzieć. Jeśli nie, to nie odpowiadam za ewentualne skutki.

— Niech pan nie straszy — odparł Scheuermann. — Kiedy ostatniej niedzieli był pan kompletnie zalany, bardziej mi się pan podobał.

— Byłem pijany do nieprzytomności — oświadczył Flammer. — Nie wiedziałem, co wygaduję.

— Ale my wiemy.

— Nie kłóćmy się — rzekł Flammer — przyniosłem wam najnowszy numer „Gońca”. Powinien was zainteresować, szczególnie pana, panie Mutsch.

Scheuermann i Mutsch otrzymali po jednym egzemplarzu gazety. Wytarli ręce o kombinezony, wyciągnęli coś do siedzenia, wskazali również Flammerowi skrzynię i zaczęli czytać tytuły na pierwszej stronie.

— Od razu widać, że nie macie o czym pisać — stwierdził Scheuermann.

— Także sposób interpretacji pozostawia wiele do życzenia — dodał Mutsch.

Flammer wyszczerzył zęby. — Zaraz i z wami będzie podobnie. Przeczytajcie, co jest na trzeciej stronie.

Mutsch i Scheuermann przeczytali. Mutsch trochę się przestraszył, gdy zobaczył swoją podobiznę dużego formatu.

— To jeszcze z dawnych lat — oświadczył Flammer — z owych pięknych czasów, kiedy miał pan jeszcze odwagę. Po prostu wykorzystaliśmy starą kliszę. Jesteśmy oszczędną firmą.

Cała trzecia strona „Gońca” zawierała szczegółowy opis „samobójstwa spowodowanego brakiem zrozumienia ze strony społeczeństwa”. Najpierw dokładnie opisano, w jaki sposób odkryto zwłoki, w jakim były stanie, jak je wydobyto. Spomiędzy wierszy Mutsch patrzył — dość głupio, jak nie bez racji sam zauważył — w oczy czytelnikowi ga-

zety. Podpis pod Sdjęciem głosił: „Chciał zrywać kwiaty, a znalazł trupa”.

— Człowieku! — powiedział Scheuermann tylko i czytał dalej.

Następny akapit był poświęcony czynnościom starszego sierżanta Pulvera. W jednym miejscu Flammer napisał: „Oczywistość jego wniosków jest zdumiewająca, a węch ma niczym pies myśliwski.” Zdjęcie było doskonałe i ukazywało wyraźnie, jak intensywnie Pulver się zastanawia; wyczuwało się wprost jego szaloną energię. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Znalazł wiersze i jako pierwszy się nimi zachwycił”.

Mutsch uważnie czytywał się w akapit, w którym Flammer przedstawiał zeznania rodziców zmarłego. Pomijając wszelkie ozdobniki, wynikało z nich, co następuje: Sebastian miał dziewiętnaście lat, kiedy wybuchła wojna; minęło jedenaście lat, zanim mógł wrócić do domu. Był spokojnym, wrażliwym dzieckiem, już od najmłodszych lat zdradzał zdolności poetyckie.

A potem Mutsch przeczytał to, o co mu chodziło: nie znalazł nikogo i mieszkał z rodzicami, których mocno przygarbiły codzienne troski. Mutsch odetchnął z ulgą.

— A więc nawet nie miał dziewczyny? — zapytał ostrożnie.

Flammer potakująco skinął głową.

— Czy nie wstyd było panu tak wypytywać rodziców zmarłego?

— Nie mogę sobie pozwolić na litość — rzekł Flammer, ale widać było, że czuje się nieswojo. — Zresztą po co? Poczciwi staruszkowie wcale nie mieli nic przeciwko temu, by to zostało wydrukowane. Zrobię z nimi jeszcze serię artykułów, tak jak pisma ilustrowane robią z matką żony Goebbelsa — „Moja córka Magda!” U mnie będzie to zatytułowane: Nasz syn Sebastian!

— To beznadziejny przypadek — rzekł Scheuermann do Mutscha.

Ten z wahaniem potrząsnął głową. — Doprawdy nie wiem — odpowiedział. — Wydaje mi się, że on boi się swoich dobrych myśli i ośmiesza je, zanim dojrzeją. Ja byłem taki sam.

Flammer machnął ręką. — Tylko nie próbujcie mnie rozszyfrowywać. Na razie myślę, że jest mi pan winien wyjaśnienie. Nie wymiga się pan od tego, panie Mutsch. Ale niech pan spokojnie przeczyta do końca.

Mutsch patrzył w gazetę, ale nie czytał. Próbował zgadnąć, jakiego wyjaśnienia oczekuje od niego Flammer. I zdał sobie sprawę, że lepiej, jeśli mu nie odmówi, choć to było dla niego bardzo przykre. Potem czytał dalej.

Następny akapit był poświęcony wierszom zmarłego. Określenie „genialne” powtarzało się pięciokrotnie, była tu mowa o „niemal klasycznym pięknie i rdzennie niemieckim świetle uczuć”. Do tego załączone były fragmenty poezji:

Kiedy w wieczornej ciszy jej
słodki głos usłyszę, na progu
stanie luba, jest to mój raj czy
zguba?

Mutsch zmarszczył czoło. — Nie znam się na wierszach — powiedział.

Flammer, modulując głos, czytał następny cytat:

Minęłaś mnie, a ja cię przeoczyłem,
Wróciłaś — czy ja ślepy byłem? Stracona
chwila bezpowrotnie, Tak zadrwił ze
mnie los przewrotnie.

— Dość tego — rzekł Scheuermann.

— Kobietom się coś takiego podoba — powiedział Flammer. — Mówiąc szczerze, to wcale nie jest takie złe! Zgadzam się, tym wierszom brak cech współczesności, wydają się nieco staroświeckie, ale może to właśnie jest wielką szansą dla poety Sempera.

— Czy te wiersze są komuś zadedykowane? — zapytał Mutsch.

— Zgadł pan! — Flammer był trochę zaskoczony.

— Skąd panu to przyszło do głowy? Dedykacja na wielu wierszach brzmi: „Do Ulryki”. Nic poza tym.

Mutsch spuścił głowę. Podniósł gazetę jak tarczę obronną. Wydawało mu się, że poczerwieniał.

Scheuermann się ożywił. — To wspaniale! — zawołał z zachwytem. — Ulryka to takie niecodzienne imię.

— W Wahlheimie jest chyba z tuzin Ulryk — rzekł Flammer z namysłem.

Scheuermann się rozpromienił. — Ulryka — rzekł chichocząc — tak ma na imię żona burmistrza.

— Człowieku — odezwał się Flammer. — To nie ma najmniejszego znaczenia, ale jest całkiem możliwe, że wzbudzi zaniepokojenie, kiedy to opublikuję.

— Czy nie dość pan już narobił złego? — zapytał Mutsch gniewnie. — Ośmieszyl pan zmarłego, poza tym Pulvera i mnie, no i literaturę — niech pan przynajmniej zostawi w spokoju osoby postronne.

— A niby dlaczego? — Flammer był już pełen nowych pomysłów. — I tak miałem zamiar zająć się bliżej naszym poetą. Jego dzieła pomogą mi przetrwać sezon ogórkowy. Już zamówiłem u kierownika szkoły, Kuhna, recenzję, obszerną, pełną pochwał, wzbogaconą cytatami. On z góry się cieszy, jest ogromnie dumny i aż się pali, żeby przyłożyć współczesnej literaturze. Trzeci, obszerny artykuł napiszę sam albo nakłonię do tego szefa. A tematem tego artykułu będzie: Ulryka z Wahlheimu — muza poety.

— Bzdury! — zawołał Mutsch oburzony.

— Wcale tak nie uważam — powiedział Scheuermann z namysłem. — To mogłoby być nawet pikantne.

— Z ust mi pan to wyjął — rzekł Flammer.

Mutsch wstał niespokojny i podszedł do warsztatu. Chwytał jakieś narzędzie i cisnął w kąt.

Scheuermann i Flammer długo mu się przyglądali, potem spojrzeli na siebie.

— Rzygać mi się chce — rzekł Mutsch. — Kto to słyszał tak gloryfikować samobójstwo. W taki idiotyczny sposób. Z tak niskich pobudek. To skandal.

— To nic szczególnego — rzekł Scheuermann. — Przed kilku laty podjęliśmy tu u nas najbardziej gigantyczną próbę samobójczą wszechczasów. I jaki był skutek? Niejeden dokłada teraz starań, by to gloryfikować.

Flammer potakiwał skwapliwie. — To jest główna zasada.

— Dlaczego więc nie mielibyśmy doprowadzić gloryfikacji samobójstwa jako takiego do absurdu? — zastanawiał się Scheuermann.

— Nie! — zawołał Mutsch. — Nie wolno nam tego robić.

— Ależ wolno jak najbardziej — rzekł Flammer. — Zrobi pan wielkie oczy, tak to dobrze wypadnie. W czasie, kiedy my tu rozmawiamy, mój szef jest u swoich ideologicznych przyjaciół. To woda na ich młyn.

— Ja też tak sądzę. — Scheuermann nie odwracał wzroku od Mutscha, widział, jaki jest zdenerwowany i chciał się dowiedzieć, co to znaczy. — Wiem nawet, jak ci zbratani starzy kompani na to zareagują. Dla nich ten nieszczęsny Sebastian, który nie może się już bronić, będzie niewinną ofiarą tych czasów, które nie miały dość siły, by ocalić wartościowych ludzi. A pułkownik Gumpel podchwyci hasło i z miejsca zacznie wysławiać wspaniałe czasy, kiedy coś takiego byłoby niemożliwe.

— Właśnie tak! — przytaknął Flammer. — Już nawet zamówili wieniec. Oj, ludzie, ludzie! Wszystko razem to przecież wspaniała przynęta. Jeśli ją połkną, to się udławia.

Mutsch usiadł. Opadły mu ramiona, przygarbił się. — Posłuchajcie — rzekł. — Muszę wam teraz coś powiedzieć, co nie jest zbyt przyjemne i byłoby lepiej, gdybym to zrobił wcześniej. Nie uszło pańskiej uwagi, panie Flammer, że bardzo mi zależało na tym, by to zdarzenie potraktowano jako ewidentne samobójstwo.

— Zgadza się — rzekł Flammer. — Zwróciłem na to uwagę. I jak pan widzi, tym się kierowałem. Dobrze, że pan podejmuje ten temat. Bo właśnie o to chciałem pana zapytać.

— Tak też sobie pomyślałem — powiedział Mutsch. — To, że pan uwzględnił moje życzenie, dowodzi, że i pan nie podejrzewa nieszczęśliwego wypadku ani morderstwa.

Scheuermann był przerażony. — O czym wy mówicie?

— Mówimy o moich powodach — odpowiedział Mutsch — o powodach, dla których tak bardzo zależało mi na tym, aby stwierdzono bezspornie samobójstwo. Mówiąc dokładnie: wróciłem do Wahlheimu z powodu dziewczyny.

— Tak też myślałem — powiedział Scheuermann.
Flammer teraz zrozumiał. — I ta dziewczyna nazywa się
Ulryka.

— Ulryka Loos! — rzekł Scheuermann, który nagle wszystko
pojął.

— Zgadza się — rzekł Mutsch. — Opuściłem ją kiedyś i teraz
pragnąłem znów zobaczyć. Spotkałem się z nią. Ale ona
tymczasem znalazła innego i została matką. Dlatego chciałem
odejść. I dlatego teraz zostanę.

Zapadło milczenie.

— Więc to tak — odezwał się Scheuermann po dłuższej
przerwie. — Sebastian Semper jest ojcem dziecka, którego
matka nazywa się Ulryka; pisał do niej wiersze; a ona kie
dyś z tobą... Więc to tak.

Mutsch podniósł wzrok. — A teraz niech pan to wykorzysta,
Flammer, im prędzej będę to miał za sobą, tym lepiej.

— Czy ja na takiego wyglądam? — Flammer zaklął soczyście.
— Do cholery — powinien był pan mi to powiedzieć wcześniej.
Miałem najlepszą przynętę, jaka kiedykolwiek wpadła mi w ręce.
I co się dzieje? Nagle wszystko bierze w łeb, pęka jak przekłuty
balon. Lubię pana, Mutsch, ale nigdy panu nie wybaczę tego, co
mi pan zrobił.

— Ja także pana lubię — rzekł Mutsch z ulgą.

— Możecie i mnie polubić — wtrącił Scheuermann.— Nie
damy tak łatwo za wygraną! Zastanówmy się: co będzie dalej,
kiedy nam się uda uniknąć łączenia Mutscha z tą sprawą?

— A Ulryka? — zapytał Mutsch. — Przede wszystkim jej nie
należy wciągać w tę historię.

Flammer od razu zrozumiał, o co Scheuermannowi chodzi. —
Wtedy pozostanie tylko sam Semper. Obywatele będą mieli
swojego sentymentalnego poetę, a patrioci swojego tragicznego
bohatera.

— Nawet jeśli wszystko dobrze pójdzie, trudno jest przewidzieć
skutki — powiedział Scheuermann.

— A jeśli nie pójdzie dobrze?

— Wtedy dopiero będzie naprawdę trudno przewidzieć skutki.

Na cmentarzu wahlheimskim panowała cisza. Tylko ptaki śpiewały w zaroślach. Potem zaskrzypiał żwir pod drobnymi stopami Ulryki Loos. Rozejrzała się dookoła, zobaczyła świeżą mogiłę i z wahaniem podeszła. Nie było na niej żadnej tablicy ani kamienia, leżały tylko trzy wieńce — od rodziców, od „Gońca” i od „kolegów”; zaczynały już więdnąć, gdyż panował upał.

Ulryka położyła na grobie bukietek polnych kwiatów. Potem odeszła kilkanaście metrów i usiadła na ławce stojącej przy drodze. Pograżyła się w myślach.

Już od dawna przewidywała w głębi duszy to, co się stało. List, który otrzymała w dzień po śmierci Sebastiana, tchnął pesymizmem; ten list, w którym żegnał się z nią i z życiem, wcale nie musiał zostać napisany; знаła jego treść, jeszcze zanim go przeczytała. Głęboki smutek, jaki ją ogarnął, był spowodowany tym, że nie mogła go przed tym powstrzymać. Nie buntowała się przeciwko temu, co niuniknione. Dziecko się urodziło, jego ojciec zmarł; nie chciał dłużej żyć. Musiała się z tym pogodzić.

Drgnęła, słysząc czyjeś kroki. Był to Mutsch, szedł w jej kierunku. To ją uspokoiło. Ale nie spojrzała na niego.

Usiadł obok niej. Milczeli, słyszeli swoje oddechy.

— Co teraz zrobisz? — zapytał Mutsch z wahaniem.

Ulryka nie odpowiedziała.

— Czy już poczyniłaś jakieś kroki formalne? W końcu dziecko musi mieć nazwisko, kiedyś będzie chciało się dowiedzieć, kim był jego ojciec.

— Dziecko ma matkę.

— Wybacz, że się wtrącam.

— Nie trzeba — rzekła Ulryka stanowczo. — Muszę się sama z tym uporać. I myślę, że znam swoją drogę.

— A jak ona wygląda?

Ulryka powoli się wyprostowała. — To wszystko jest całkiem proste. Nikt nie wie, kto jest ojcem dziecka. Nikt nawet nie wie, że znalazłam tego biednego Sebastiana. I niech tak zostanie.

— A ja? Co ze mną? Czy tylko mnie powiedziałaś o Sebastianie i o sobie?

Ulryka spojrziała na niego badawczo. — Tak, tylko tobie. Bo tylko do ciebie miałam zaufanie. A ponieważ masz zamiar opuścić Wahlheim, pozostanę sama z moją tajemnicą.

— Na razie nie opuszczam Wahlheimu.

Ulryka przyknęła duże dziecięce oczy. — Ale wiem — rzekła ufnie — że będziesz milczał.

Ręce Mutscha poruszyły się niespokojnie. Myślał ze ściśniętym sercem: Ale ja już powiedziałem! Opowiedziałem Scheuermannowi i Flammerowi wszystko, co wiedziałem, a zatem wszystko, co mi zawierzyła. Ona mi ufa, ale ja nie zasługuję na to zaufanie.

I szybko powiedział: — Proszę, nie myśl tylko, że to takie proste. Znajdą się świadkowie, którzy was widzieli razem.

Ulryka odchyliła się na oparcie ławki. — Spotykaliśmy się w tajemnicy.

— Na pewno są listy.

— Ani jednego. Nie musieliśmy do siebie pisywać. Byliśmy zawsze blisko siebie. I wiedzieliśmy, gdzie mamy się szukać.

Mutsch się odwrócił. Jej dziwnie promienna twarz wprawiła go w zmieszanie. Wolał nie widzieć, jaka była przepełniona przeszłością, która w niej nie wygasła.

— Istnieje tylko jeden list — rzekła Ulryka spokojnie. — To jego list pożegnalny. Noszę go zawsze przy sobie.

Mutsch instynktownie nadstawił uszu. — Czy możesz mi go pokazać?

— Nie.

Mutsch starał się ze wszystkich sił zapanować nad rosnącym zmieszaniem.

— Czy wiesz — zapytał — że niektóre jego wiersze mają dedykację „Do Ulryki“?

— Wiem o tym — rzekła z dumą — on zawsze czytał mi swoje wiersze. To były piękne wiersze. Mnie się w każdym razie podobały. Wiem też o dedykacjach, są w trzech czy czterech wierszach. Brzmiały tylko: Do Ulryki. A nie: Do Ulryki Loos. Wiele nad tym rozmyślałam. Ale w samym Wahlheimie jest przeszło tuzin Ulryk. Tylko w mojej klasie były dwie. Córka węglarza tak ma na imię i, zdaje się, żona burmistrza. A ponieważ nikt prócz ciebie nie wie, że

znałam Sebastiana Sempera, nikt nawet nie będzie przypuszczał, że to o mnie chodzi.

Niepokój Mutscha wzrastał. Nie było usprawiedliwienia, że zawiódł jej zaufanie. — Sądziś więc, że najlepiej będzie milczeć? Mogłabyś zażądać zapomogi. Oboje z dzieckiem moglibyście nosić jego nazwisko. Zastanów się nad tym. To nazwisko stało się znane w Wahlheimie. Pomyśl o jego wierszach i artykułach w gazecie, o tak licznym udziale mieszkańców w jego pogrzebie.

— Myślę o tym, czego nikt nie może mi odebrać. I nie żałuję niczego, co potem zostawiłam. Było w tym wiele smutku i piękna. Było to szczęście przez łzy.

Mutsch nie umiał dłużej panować nad sobą. — Co ty mówisz! Zrobił ci dziecko, a potem zostawił na lodzie. Wymigał się od odpowiedzialności, od płacenia za to, co zrobił.

— Nie masz prawa tak mówić. Zapomniałeś, jaki sam jesteś!

— Jesteś niemądra — rzekł Mutsch. — Ulegasz sentymentom. Otwórz wreszcie oczy! Także cmentarz jest częścią realnego życia. Możliwe, że wszyscy ludzie, którzy już nie żyją, są w niebie aniołami, ale na ziemi nimi nie byli. Obetrzyj łzy, Ulryko, abyś mogła jaśniej widzieć. Ty go kochałaś, a on zrobił ci dziecko i przez niego mogłaś dostać się na języki. Cierpiałaś głód i płakałaś, a na ile znam twojego ojca, nieraz oberwałaś lanie; w bólach urodziłaś dziecko. A on? On pisał wiersze i bujał w obłokach.

Ulryka odwróciła się i odeszła. Twarz jej była mokra od łez.

Mutsch oklapł, ale dławiła go złość. Po co jej to powiedział? Co go podkusiło, by to powiedzieć? I w tej chwili uświadomił sobie: po raz drugi w życiu dał się ponieść własnej porywczoci, pokonała go. Uderzył! Ale wtedy ugodził człowieka, którym pogardzał, dziś zaś kobietę, którą kocha. Było mu wstyd.

Spojrzał w ślad za Ulryką, pragnął pobiec za nią. Ale nie mógł się ruszyć z miejsca.

Zobaczył, że dziewczyna się zatrzymała, ramiona jej drżały. Po czym szybko się odwróciła i znów do niego podeszła.

— Ulryko — rzekł Mutsch cicho.

— Nigdy ci nie zapomnę tego, co powiedziałeś! — Usiłowała szybkimi ruchami obetrzeć łzy. Teraz była wściekła i to sprawiło Mutschowi ulgę.

— Powinnaś wiedzieć, Ulryko — zaczął z wahaniem — że ja cię...

— Zraniłeś mnie — przerwała mu. — Nie spodziewałam się tego po tobie, po wszystkich innych tak, ale nie po tobie. Proszę cię teraz tylko o jedno: zostaw mnie i moje dziecko w spokoju! Nie mów nikomu, co było między mną a Sebastianem. Potrzeba nam spokoju; wierzę, że nie będziesz chciał nam go zmać. To wszystko, o co cię proszę. A teraz żegnaj!

Po tych słowach odeszła.

— Ach — westchnął Mutsch — po co ja tu wracałem!

Potem on także poszedł. Przy wyjściu spotkał stróża cmentarnego, Krausego, który spojrzał na niego z naganą i zapytał: — Czy ma pan tutaj krewnych?

— To zależy — odparł Mutsch.

Krause. A potem dodał: — To nie jest odpowiednie miejsce dla zakochanych par. Ostrzegam pana. To jest karalne.

Mutsch spojrzał na niego zdziwiony. — Pan mi pochlebia — rzekł.

Krause powiedział: — Znam pana. Nazywa się pan Mutsch. Zapamiętam sobie pana. Coś takiego więcej się nie powtórzy.

— I ja mam taką nadzieję — odpowiedział Mutsch.

Burmistrz spoglądał nieufnie na emerytowanego pułkownika Gümpla, który odwiedził go w służbowym gabinecie. Pułkownik przyszedł, by omówić szczegóły wyborów do władz gminnych. — Niech mi pan wierzy, panie burmistrzu, że dobry i z góry przygotowany plan bitwy decyduje o zwycięstwie.

Małgorzata von Habern, sekretarka burmistrza, wyszła. Znała te narady, trwały co najmniej godzinę i miała wtedy

dość czasu, by spokojnie napić się kawy, zrobić manicure i bez większej przyjemności przeczytać „Gońca”.

Działania przygotowawcze Gümpla były wręcz doskonałe. Dokładne plany zdradzały gorliwość i nadmiar wolnego czasu. Burmistrz znał wszystkie szczegóły niemal na pamięć, ponieważ przedstawiony mu materiał był — z drobnymi zmianami — dokładnie taki, jak podczas poprzedniej kampanii wyborczej. Przejrzał listy ofiarodawców i projekty plakatów, zalecenia dla służb pomocniczych i wybór haseł.

— Bardzo interesujące — rzekł burmistrz. — Ale nic oryginalnego. Musimy się skoncentrować na zebraniach przedwyborczych. Niestety, nikt z naszych szeregów nie dorównuje elokwencji temu Scheuermannowi.

— Czy sądzi pan, że jego żydowskie gadanie ktokolwiek traktuje poważnie? Wystarczy jedno hasło!

Reisser łagodnie go powstrzymał: — Niech pan będzie ostrożny — ostrzegł. — Proszę bez antysemitów występować. Czasy jeszcze do tego nie dojrzały. Poza tym Scheuermann nie jest Żydem. Chętnie bym dodał: niestety. Ale, rzecz jasna, są też przyzwoici Żydzi.

— Oczywiście.

— Mimo to Scheuermann jest jedynym przeciwnikiem, z którym trzeba się liczyć. — Reisser udał, że się poważnie zastanawia. — Szkoda, że sprawa z Mutschem nie potoczyła się tak, jak tego pragnęliśmy. To cholernie sprytny facet, panie pułkowniku. Kuty na cztery nogi. Nie jest człowiekiem honoru, więc i od tej strony nie możemy go podejść. W więzieniu te typy stają się twarde i przebiegłe.

— W wojsku dalibyśmy sobie z takim radę.

— Zapewne, panie pułkowniku. Ale tu go nie trafiliśmy, dotknęliśmy za to księdza. Kościół żywi do nas urazę; ksiądz Marcus pozostanie lojalny, ale nie będzie nas popierał.

Pułkownik Gumpel machnął lekceważąco ręką. — Dawniej — rzekł — w każdej miejscowości pierwsze skrzypce grał komendant, a dopiero potem Kościół. Duchowni pierwsi kłaniali się wojskowym.

— To były niewątpliwie piękne czasy — mruknął burmistrz.

— Niezapomniane — oświadczył pułkownik z godnością. — Tego nam właśnie brakuje: Symboli! Wzniosłości! Ta ohydna skłonność do dyskusji zakłóca wszelki porządek, najlepsze idee po prostu się rozmywają. Można mówić po ważnie przez dwie godziny, a potem w ciągu pięciu minut jakiś beczelny chłystek nas ośmiesza. Musimy chronić po litykę przed atmosferą gospody i uczynić z niej sprawę ideologiczną. Musimy stwarzać sytuacje wykluczające wszelki sprzeciw.

— Zapewne, panie pułkowniku, zapewne.

Pułkownik nie dał się już powstrzymać. — To bowiem jest istotny punkt; kiedy stałem przed swoim pułkiem i zagrożewalem ludzi do walki, chłopcy słuchali z przejęciem. Albo weźmy Kościół. W czym tkwi jego siła? W tym, że nikt nie odważa się mu sprzeciwić. Bo to byłoby świętokradztwo. Albo pomnik: poświęcamy go, składamy wieńce, następuje chwila ciszy, serca mocniej biją, a wszyscy milkną, chyba że śpiewają pieśń patriotyczną albo krzyczą hura! I tego właśnie nam brak, panie burmistrzu. Jesteśmy ludźmi czynu, nie będziemy się wdawać w dyskusje.

— Ma pan rację — zapewnił go Reisser. — Ale czasy jeszcze do tego nie dojrzały. Jeśli znów postawimy tu pomnik ku czci poległych, znad granicy wmaszeruje do nas armia francuska.

Pułkownik Gümpel wybuchnął śmiechem, aby pokazać, że zrozumiał dowcip.

— Proszę! — zawołał burmistrz, gdyż usłyszał pukanie do drzwi.

Do gabinetu weszła Małgorzata von Habern. — Panie burmistrzu — powiedziała — poseł Scheuermann chce się z panem widzieć.

Burmistrz i pułkownik wymienili znaczące spojrzenia i skinęli do siebie ledwo dostrzegalnie. — Niech pani go poprosi — rzekł Reisser. Gdy sekretarka wyszła, powie-* dział: — Co pan na to, panie pułkowniku? Założę się, że będzie nam robił trudności.

Pułkownik Gümpel powitał Scheuermanną lekkim skinieniem głowy. Burmistrz udał jowialność. Usiedli i starali się zachowywać z godnością, co im się udawało.

— Cieszę się, że spotykam od razu obu czołowych przedstawicieli Bloku Narodowo-Liberalnego — rzekł Scheuermann.

Burmistrz dyplomatycznie zaprzeczył. — Pan pułkownik jest przewodniczącym, ja jedynie członkiem.

— Znam te układy — powiedział Scheuermann uprzejmie — i przyszedłem, by omówić z panami niektóre szczegóły przyszłej kampanii wyborczej.

— Za pozwoleniem! — pułkownik wyraźnie zeszywniał.

— Przecież prowadzimy kampanię przeciwko sobie, a nie wspólnie. Czyżby pan chciał stworzyć koalicję?

Scheuermann uśmiechnął się, patrząc w pełne oczekiwania twarze. — Skądże znowu!

— I tak byśmy odrzucili ten pomysł.

— Bardzo mnie to cieszy — rzekł Scheuermann. — Ale sprowadza mnie tu troska o metody, jakimi mogłaby być prowadzona kampania.

Pułkownik spojrział na Scheuermanna, nic nie rozumiejąc. — Co pan ma na myśli? Te przestrogi powinien pan skierować pod adresem swoich towarzyszy z partii socjalistycznej. To ich metody budzą wątpliwości, to oni nie przestrzegają dyscypliny.

— Drogi panie Scheuermann — powiedział burmistrz.

— Pańskie argumenty okażą się, być może, słuszne. Proszę, słuchamy.

— Mam pewne propozycje — rzekł Scheuermann — które mogłyby nas ustrzec przed niemiłymi incydentami. Chodzi o coś w rodzaju dżentelmeńskiej umowy.

Reisser czuł, że coś się święci. Znał Scheuermanna zbyt dobrze, by nie wiedzieć, że jest on nieprzejednanym przeciwnikiem. — Jestem bardzo ciekaw — rzekł.

Scheuermann wyraźnie czuł ich napięcie. — Oto pierwszy punkt: żadnych ataków, które dotyczyłyby życia prywatnego.

Pułkownik zaśmiał się sztucznie. — Ma pan nieczyste sumienie?

— A pan ma czyste? — zapytał Scheuermann. — Może, jeśli idzie o ostatnie lata, tak. Ale co było przedtem? Żad-

nych szczegółów, które, ujawnione publicznie, mogłyby być dla pana przykre? Był pan przecież ortskomendantem we Francji. A co było jeszcze wcześniej?

— Co to ma znaczyć? — pułkownik przeszył Scheuermanna ostrym wzrokiem. — To gangsterskie metody!

Burmistrz starał się załagodzić sytuację. Wolał nie dopuszczać do tego, by Scheuermann zajął się także jego prywatnym życiem. — Rozumiem pana — zapewnił. — Wiem dobrze, o co panu chodzi. I całkowicie się z panem zgadzamy pod tym względem. Oczywiście, również z naszej strony nie będzie włączania spraw osobistych do rozgrywek politycznych.

— Zgoda — rzekł pułkownik — tylko wcale nie jest łatwo zachować granice. Ale w końcu to sprawa taktu, więc nie powinno to stanowić dla nas żadnego problemu.

— No to jestem bardzo rad — powiedział Scheuermann.

— A co dalej, panie pośle? Jaki jest następny punkt?

Scheuermann nabrał głęboko powietrza i starał się o obojętny wyraz twarzy. — Mam nadzieję, że będą przestrzegane demokratyczne reguły gry.

— Co pan ma na myśli?

— To co zawsze — odpowiedział Scheuermann i patrzył na czubki swoich butów. — Wolność zgromadzeń, wolność wystąpień publicznych, żadnego tendencyjnego faworyzowania w prasie poprzez bezpośrednie czy pośrednie naciski, możliwość korzystania ze słupów ogłoszeniowych i tablic w celu naklejania plakatów.

— Ależ to jest oczywiste — zapewnił burmistrz, a myślał o czymś całkiem odwrotnym. Pułkownik Gumpel bezczelnie szczyrzył zęby.

— W porządku — powiedział Scheuermann. — A teraz proszę jeszcze mi przyrzec, że będziecie panowie unikać niedemokratycznych metod. Metod, które przeniosłyby kampanię wyborczą na płaszczyznę, gdzie nasza tolerancja się kończy.

Pułkownik nastawił uszu. — Proszę mówić konkretniej.

Również burmistrz pochylił się zaintrygowany.

— Nie spodobało nam się, że oficjalnie wzięliście udział w pogrzebie Sebastiana Sempera.

— To był obywatel naszego miasta — oświadczył pułkownik z godnością.

— I to dość wybitny — zapewnił burmistrz.

— Ale nie tylko wasza partia miała prawo go uczyć. Powinniście byli przynajmniej zaproponować nam udział w pogrzebie. Żałujemy, że się tak nie stało. To, moi panowie, nazywam tendencyjnością. I jeśli moje informacje są prawdziwe, choć wolałbym, aby tak nie było, to jednak przewidują spore komplikacje.

— Proszę mówić bardziej konkretnie. Jakie informacje?

— Chodzi o to, że podobno mają panowie zamiar jeszcze energiczniej niż dotychczas występować w sprawie Sebastiana Sempera i wykorzystać go dla swoich partyjno-politycznych celów. Wiemy wszyscy, że chcecie wystawić pomnik ku czci poległych, ale jak na razie natrafiacie na duże trudności. Spodziewam się, że nie jest prawdą to, o czym mi doniesiono, a mianowicie, że chcecie po prostu postawić stary pomnik pod nowym hasłem: Wielkim obywatelom naszego miasta. I to jest sprawa, przeciwko której wnoszę protest w imieniu moich towarzyszy.

Scheuermann odchylił się na krześle, miał ochotę na chwilę przymknąć oczy, by się odprężyć. Pułkownik był najeżony. Burmistrz przyglądał się swoim paznokciom.

Pułkownik jednak ruszył po chwili do natarcia: — To jest wyłącznie nasza sprawa — oświadczył. — Mogliście, tak samo jak my, przejąć inicjatywę. Ale tego nie uczyniliście. Dlaczego? Bo to wam nie odpowiada, bo nie od razu pojęliście, jakie znaczenie ma dla naszego miasta uhonorowanie zasłużonego człowieka. Tego jednak nie możemy brać pod uwagę.

Burmistrz jeszcze nie całkiem się zorientował, o co tu chodzi. Czuł, że pułkownik wywęszył coś poważnego i że Scheuermann jest zdenerwowany, choć nie było jasne, z jakiego powodu.

Scheuermann podniósł się ceremonialnie. Wołał w tym momencie się wycofać. Powiedział poważnym tonem: — W każdym razie przedstawiłem jasno i jednoznacznie nasze stanowisko. Ostrzegłem panów.

Dyrektor Seebaum patrzył na pułkownika Gümpla jak na wyciąg z konta, który zapowiada miły sercu przyrost majątku. Upił łyk wody mineralnej i rzekł: — Proszę mówić szczerze, pan wie, że mam zrozumienie dla pańskich zamierzeń.

— Dziękuję uprzejmie, panie dyrektorze. To, co już od dawna planowałem, teraz ma szansę się ziścić. Mamy za miar postawić pomnik ku czci poległych. W związku z tym pozwalamy sobie prosić pana, panie dyrektorze, by poru szył pan tę sprawę z władzami okupacyjnymi.

Seebaum przymknął oczy, usiłując powstrzymać uśmiech. — Także major Dobson, choć ma wobec mnie pewne zobowiązania, musi się trzymać przepisów. Przeprowadziłem ostrożnie wstępne rozmowy. Postawienie pomnika ku czci poległych, a więc ku czci bohaterów, czy jak pan to nazwie, na razie jeszcze nie jest możliwe, chociaż zrozumienie dla naszych tradycji ostatnio znacznie wzrosło.

— Postawimy po prostu kolumnę i przymocujemy tablicę z napisem: „Wielkim synom naszego miasta”. Albo coś w tym rodzaju. Oficjalnie nie będzie ani słowa o polach bitewnych i bohaterskiej śmierci.

— To całkiem mądrze — rzekł Seebaum.

— A przecież każdy mieszkaniec Wahlheimu będzie wiedział, co to oznacza. Od przełomu lat 1970/71 ten skrawek ziemi na rynku ma swoje wielkie znaczenie. Nie potrzeba żadnych bliższych wyjaśnień.

— Mam ochotę nazwać takie rozwiązanie niemal genialnym — rzekł Seebaum uroczyście.

— To mój pomysł — powiedział Gumpel skromnie.

— Potrzebny wam będzie jednak pretekst do tego rodzaju akcji.

— O tym także pomyśleliśmy. Pozwolę sobie przypomnieć panu sprawę Sebastiana Sempera. Splatają się tu liczne pomysłyne okoliczności. Oskarżenie, uhonorowanie, dobroczynność, popieranie intelektu, niemalże sztuki. Ten człowiek był także na wojnie. Jedyne kłopot to finanse.

— Ach! — rzekł Seebaum zadowolony. — Wie pan, że zawsze chętnie służę pomocą. — Nagle udał zatroskanego. — Niestety, rzadko spotyka mnie za to wdzięczność.

Pułkownik nie musiał specjalnie wysilać umysłu, by zrozumieć, do czego zmierzała uwaga dyrektora. — Z powodu tego Mutscha — rzekł poufnym tonem — nasz plan na pewno nie ucierpi. Proszę na mnie polegać. Uważam to za sprawę honoru.

Mutsch nerwowo manipulował narzędziami.
Scheuermann spojrział na niego ze zdziwieniem znad swojej roboty. — Czy coś ci jest, Mutsch?
— Widać to po mnie? Mógłbyś coś dla mnie zrobić.
— Czy znów mam wezwać do siebie tego Loosa, abyś miał wolną drogę?
— Właśnie tak.
— Mowy nie ma. Z Loosem nie chcę mieć nic do czynienia. I ty także bądź ostrożny.
— Ten gość mnie nic nie obchodzi. Chodzi o jego córkę.
Scheuermann pokręcił głową. — Szczerze mi ciebie żal, Mutsch. Co prawda nie znam jego córki...
— Toteż nic o niej nie mów!
— Ale znam jej ojca, i to mi wystarczy. Nie chciałbym, abyś wpadł w jego szpony. Nie kiwnę palcem w tej sprawie.
Mutsch podszedł do niego. — Scheuermann, a jeśli cię poproszę, abyś mi pomógł? Mam dość kłopotów z dziewczyną. Obawiam się, że z obojgiem sobie nie poradzę.
— Mój ty biedaku — powiedział Scheuermann.

Nie wrócę dziś na kolację — rzekł burmistrz do żony. Złożył serwetkę i położył na stole.

— Dobrze — odparła żona.

— Bardzo mi przykro, Ulryko, ale w tych dniach mam szczególnie dużo pracy. Wybory, nowe projekty, wewnętrzne rozgrywki.

— Ależ naturalnie, Ottokarze.

Burmistrz nie wiedział właściwie, czy stała gotowość żony do akceptowania bez zastrzeżeń jego decyzji powinna mu sprawiać przyjemność, czy też należałoby ją potraktować jako dowód obojętności. Jednak nie zastanawiał się nad tym dłużej. Trochę lekceważąco poklepał ją po policzku i skinął łaskawie głową. — Nowe wielkie projekty, nowe wielkie projekty.

— To pięknie — rzekła jego żona mechanicznie. — Schłodziłam piwo, czy chcesz się napić?

— Oczywiście — odpowiedział burmistrz i zaczął pogawędkę. — Nasze miasto nie ma pomnika. Bez monumentu na rynku jest jakby nagie. Nie uważasz?

— Też tak sądzę, Ottokarze — odpowiedziała żona, jak jej nakazywał obowiązek.

— Umieścimy na nim cytat z wiersza tego poety Sempe-ra i dedykujemy wybitnym obywatelom naszego miasta. Co o tym sądzisz?

Ulryka ożywiła się. — Uważam, że to wspaniały pomysł.

Spojrzał na nią zaskoczony. — Interesuje cię to?

— Ależ tak! Biedny chłopak. Szkoda, że spotkał go taki los.

— A więc cię to interesuje — rzekł burmistrz i spojrzał na żonę zamyślony. Miała lekko zarumienioną twarz.

Mutsch siedział z Ulą na ławce na podwórku. Był dla niej szczególnie miły, co dziewczynkę bardzo zaintrygowało. Trochę się wiercił, ona zaś patrzyła na niego przyjaźnie.

— Czy mogę coś dla ciebie zrobić, Ula?

— Możesz rozwiązać moje zadania z matematyki.

— Co to to nie. To byłoby wbrew naszej umowie. Ale chętnie ci pomogę.

Ula potrząsnęła głową. — Tylko pomożesz? To przecież nic szczególnego, zawsze mi pomagasz. — Wyraźnie nabierała podejrzeń.

— Posłuchaj, Ulka, jesteśmy dobrymi kumplami.

— Aha! — rzekła dziewczynka rzeczowo. — Czego chcesz ode mnie? No mów śmiało!

Mutsch trochę niezręcznie wygrzebał z kieszeni list, położył go na kolanie i udał, że musi go wygładzić. — To list — powiedział.

— Widzę.

— Czy zechcesz go doręczyć?

Ula spojrzała na niego pytająco. — Komu?

Mutsch miał zgnębioną minę, szukał odpowiednich słów, ale nie od razu mógł je znaleźć. Ważył list w dłoni i miał uczucie, że jest ciężki jak ołów. Potem rzekł stanowczo:

— Znasz Ulrykę Loos, tę, która ma małe dziecko?

— Czy ją znam! Jesteśmy przyjaciółkami!

— Co takiego?

— Jesteśmy przyjaciółkami. Bardzo ją lubię. Przeprowadziłam ją wtedy do ciebie do parku, a potem trochę się nią zajęłam. Bardzo dobrze się rozumiemy.

— To świetnie — rzekł Mutsch szczerze wzruszony.

— Wcale nie świetnie — powiedziała Ula surowo. — Nie ma sensu, bym jej zanosila list od ciebie. Ona ma coś przeciwko tobie, nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale to chyba coś poważnego. Więc lepiej podrzyj ten list.

— Czy nie chciałabyś przynajmniej spróbować? Zrób to dla mnie. Może jednak przyjmie ten list. Nie musisz od razu mówić, kto ci go dał.

— Nie wiem, czy będzie zadowolona — rzekła Ula stanowczo.

— A ja ją lubię.

— Ale mnie także lubisz?

Ula wstała i spojrzała na niego wielkimi dziecinnymi oczami.

— Właśnie dlatego — rzekła. — Czy ty tego nie rozumiesz? To właśnie jest najgorsze!

Starszy sierżant Pulver zamknął powieść kryminalną, którą właśnie czytał, skinął głową z zadowoleniem i przesunął czerwoną książkę czułym gestem po stole. Lektura ta dobrze mu zrobiła, a jego zdol-

ność dedukcji nie zawiodła go; już wcześniej, zanim dotarł do połowy książki, wykrył sprawcę i teraz cieszył się z niespodzianki, jaką przestępca sprawił tym, którzy przeżyli. Sapał z zadowolenia.

Wkrótce potem ogarnął go „wahlheimski” pesymizm. Już od lat pragnął, by zdarzyła się tu jakaś zbrodnia, jakaś okropna historia znaczone krwią, dzięki której mógłby się wykazać swoim sprytem i ukrytym talentem. Na całym świecie potworne zbrodnie dostarczały pismom wielkich tytułów, relacji z bogatym materiałem zdjęciowym, tematów do książek i filmów. Na całym świecie, tylko nie w Wahlheimie.

Odchylił spraną zasłonę, przesunął krzesło od biurka do okna i oparł się o nie. Zniechęcony spoglądał na ulicę Strzelniczą i dumał. Na świecie tyle jest szumowin ludzkich; często, a właściwie prawie zawsze, kryją się one pod maską niepozorności, ale pewnego dnia wpadają w sieci, które utkała czujna policja. I jego wyobraźnia zaczęła intensywnie pracować.

Ujrzał starszą kobietę, która ciągnęła ręczny wózek z wypchanym workiem i przypomniał sobie pewną sprawę, kiedy to właśnie w ten sposób przewożono trupa. Mężczyzna, który ślaniając się na nogach szedł chodnikiem, być może cierpiał z powodu nieustannego podtruwania go przez żonę; ona go zdradzała, a ponieważ chciała po nim dziedziczyć, truła go systematycznie dawkowanymi ostrożnie lekami, aż dopięła swego. Ujrzał dziecko w wieku szkolnym, które gawędziło ze starszym panem i natychmiast pomyślał o coraz częstszych przypadkach uwodzenia nieletnich.

A potem ujrzał Mutscha.

Pokrzepieni wahlheimskim piwem z dużą zawartością alkoholu, zebrali się wokół pułkownika Gümpla jego wierni poplecznicy. Wypełnili boczną salkę gospody „Pod Czarno-Białym Bykiem” kłębami dymu i buntowniczymi mowami.

— Szanowni zebrani — rzekł pułkownik — drodzy kole dzy, proszę o głos.

Udzielono mu głosu, co było czystą formalnością, gdyż od początku zebrania tylko on mówił. Można to było uznać niemal za tradycję.

— Stoczyliśmy już wspólnie niejedną bitwę — powie dział — i prawie zawsze odnosiliśmy zwycięstwo. Ale nie spoczywajmy na laurach i podtrzymajmy tym samym najlepsze niemieckie tradycje żołnierskie.

Z dumą i ufnością rozejrzał się wokół siebie. Wierzył w to, co mówił.

Patrzył na tych, których nazywał swoją świtą: oto burmistrz Reisser, przyczajony w głębi sali chytrze niczym lis; starszy sierżant policji Pulver, w stałej gotowości do słuchania ważnych w danej chwili poleceń i przepisów oraz ludzi, którzy mieli na nie największy wpływ; Gottlieb Bre-mer, naczelny redaktor „Gońca”, człowiek, który kochał wolność i sztuki piękne, jeśli tylko były gotowe służyć bezinteresownie temu, co on nazywał ojczyzną.

Potem Gumpel popatrzył na tych, których w duchu nazywał „zapleczem”: oto właściciel sklepu kolonialnego Scheuwitz, który zawsze był po stronie silniejszych; Miegäl-ke, mistrz ślusarski i już choćby z tego powodu największa konkurencja Scheuermanna; właściciel księgarni i sklepu papierniczego Hohlhander, którego głównym źródłem dochodów były dostawy dla urzędów miejskich.

— Pozwolicie, że będę operował konkretami — rzekł pułkownik. — Próbowano wpłynąć na nasze przekonania i przytłumić nasze idealistyczne dążenia.

Wywołało to ogólne oburzenie. Co prawda nikt jeszcze dokładnie nie wiedział, o co właściwie chodzi, ale stanowczo i głośno wołano, że czegoś takiego nie wolno tolerować.

— Wciąż ten Scheuermann! — wykrzyknął Miegälke, aby tylko coś powiedzieć.

— Panowie! — rzekł pułkownik — utworzyliśmy Obywatelski Blok Narodowo-Liberalny i postawiliśmy na swoim. Potrafimy nadal bronić naszych interesów.

— Jeśli tylko przeciwko Scheuermannowi — zawsze! — zawołał Miegälke.

— Pozwólcie, panowie, że się wtrączę — powiedział burmistrz taktownie. — Nie chcemy występować z akcją, która byłaby skierowana przeciwko komukolwiek, lecz z akcją w imię określonej sprawy. Kłótnie partyjne pozostawmy innym.

— Już Schiller wypowiadał się na ten temat z niechęcią!

— Naczelny redaktor Bremer z wielką pewnością siebie wtrącał swoje mądrości.

— A więc wracamy do naszego tematu — rzekł pułkownik. — Schiller jest jakby hasłem, bo Schiller jest poetą niemieckim. Teraz okazało się, że i Wahlheim posiada wielkiego syna, i to wielkiego pośród wielu innych synów naszego narodu, których musimy ocalić od zapomnienia.

— Panowie pozwolą — wtrącił burmistrz — że postawię kolejkę.

Panowie pozwolili i Reisser dał znak Pulverowi, aby nacisnął dzwonek, który znajdował się w pobliżu drzwi.

Wkrótce potem wszedł kelner, niosąc na tacy siedem kieliszków i butelkę pięćdziesięcioprocentowej malinówki.

— Pani Krampus pozwoliła sobie... — powiedział i posta wił tacę na stole.

Oświadczenie to wywołało pomruk zadowolenia.

— Co za wspaniała kobieta — rzekł Gumpel.

Reisser to potwierdził.

— Wydaje się, że jej sympatia jest po naszej stronie — powiedział Pulver. — Chociaż stale przesiaduje z tym Scheuermannem.

— To nie ma znaczenia — oświadczył Reisser z przekonaniem. — Ja także czasem muszę usiąść z Scheuermannem. Służbowo. Pani Krampus robi to jako właścicielka gospody. A więc na zdrowie, moi drodzy. Za nasz sukces!

Kiedy wypili, znów zabrał głos pułkownik, ale tym razem tylko po to, aby formalnie udzielić głosu Reisserowi.

— A zatem prosimy, panie burmistrzu, o sprawozdanie.

Reisser odchrząknął. — Chodzi o tragiczną śmierć współobywatela naszego miasta, Sebastiana Sempera.

— Przypomina on Kleista — wtrącił Gottlieb Bremer. Burmistrz przyjął ten wtręt jako coś nieuniknionego i ciągnął dalej. — Już raz oddaliśmy hołd naszemu współoby-

watelowi, Sebastianowi Semperowi, składając oficjalnie wieniec na jego grobie. Wówczas oplakivaliśmy go jako ofiarę naszych czasów. Tymczasem okazało się, że jest więcej powodów do żałoby, nie tylko bezpośrednie skutki nieudolnego rządu; utraciliśmy mianowicie wielkiego syna naszego miasta.

— Czy pan ma na myśli jego pisaninę? — zapytał właściciel sklepu kolonialnego, Scheuwitz, nieco zdziwiony.

— Zgadł pan. Myślę także o jego wspaniałym, wielkim talencie. Miasto nasze nie ma zbyt wielu wybitnych obywateli. Powinniśmy się o nich zatroszczyć.

— Czy to się opłaci? — wyraził wątpliwość sklepikarz.

— Czemu nie! — rzekł właściciel sklepu papierniczego. — Można by wydać jego wiersze zebrane. Nie miałbym nic przeciwko temu, aby je drukować. Zakładając oczywiście, że miałbym zapewniony zbyt na nie. Mam na myśli wydanie szkolne i wydanie luksusowe, którego egzemplarze wręczano by podczas ceremonii ślubnych i innych uroczystości.

— Ależ, panowie — wtrącił się Gumpel. — Tu nie chodzi o zyski, lecz wyłącznie o dążenia idealistyczne.

Redaktor naczelny podniósł rękę. — Musimy pokazać, że popieramy bezinteresownie wielką sztukę.

— W jakiś sposób to się zawsze opłaci — rzekł burmistrz ku ogólnemu zadowoleniu.

Gottlieb Bremer dalej wtrącał swoje. — Byłem niedawno w pewnej wsi — rzekł. — Podobno kiedyś przejeżdżał tamtędy Goethe. Tak w każdym razie twierdzili mieszkańcy. I w miejscu, gdzie się zatrzymał, wmurowano tablicę pamiątkową.

— To postawa godna szacunku! — zawołał pułkownik Gumpel.

— I od tamtej pory — mówił Bremer dalej — bardzo zwiększył się tam napływ cudzoziemców, zachęconych wymownym hasłem: „Odwiedź miejsce, które kiedyś odwiedził Goethe”.

— Godne pochwały — rzekł Gumpel ponownie.

— Czy i my mamy umieścić tablicę? — zapytał właściciel sklepu kolonialnego.

— Tablica to za mało — zdecydował pułkownik. — To o wiele za mało. Tam poeta był tylko przejazdem, nasz poeta natomiast tu żył. — Nabrał głęboko powietrza. — Panowie, co wy na to: Wystawimy pomnik naszym wielkim synom, a tym samym także Sebastianowi Semperowi. Stanie on w miejscu, gdzie kiedyś stał pomnik ku czci poległych. Są dą, że panowie mnie rozumieją. Semper to tylko pretekst, *coś* w rodzaju szczęśliwego trafu, który zapowiada wielkie wydarzenia. Czy to dość jasne, czy mam mówić wyraźniej?

Gottlieb Bremer zerwał się z miejsca. — W ten sposób pokażemy, że jesteśmy miastem dbającym o sprawę kultury. I nie tylko to, także miastem, które tworzy kulturę!

— Jeśli idzie o mnie — rzekł Gümpel — przyłączam się do zdania naszego drogiego kolegi Bremera. Wypowiedział on wielce znaczące słowa. Mówiąc konkretniej: dawniej mieliśmy sztandar i inne symbole. Mieliśmy związki, gdzie mogliśmy pielęgnować tradycje. Pamiętam niejedną skromną, ale podniosłą uroczystość pod pomnikiem. Dziś natomiast nie mamy nic. Jedyne uroczystości odbywają się w kościele, co nie każdego zadowala. Ale teraz, drodzy przyjaciele, nadarza się nam wspaniała okazja, aby wcielić wielkie idee w czyn, dać ludziom widowisko, które ich przyciągnie i porwie. Dla naszej sprawy! Nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek się temu sprzeciwił.

Nikt się nie sprzeciwił, a jeśli nawet, to tego nie okazał. Wszyscy już mieli za sobą pewne doświadczenie. Pamiętali dobrze, jak pozdrawiano sztandary, jak na dźwięk hymnu zdejmowano czapki z głów. Jeśli ktoś tego nie zrobił, z miejsca znajdowali się tacy, którzy byli gotowi nauczyć takiego odszczepieńca „należnego szacunku”. Nie, nikt nie miał nic przeciwko pomnikowi. Tylko coś niecoś przeciwko temu, którego mieli w ten sposób wyróżnić, by móc zrealizować plan zgodny z tradycją.

Wątpliwość tę wyraził ślusarz Miegalka. — Czy ten Semper na to zasługuje? Mam na myśli: czy możemy się nim chwalić? Czy dobrze będzie łączyć jego nazwisko z naszą akcją budowy pomnika?

Gümpel uśmiechnął się z wyższością. Przewidywał to pytanie i wspólnie z Reisserem już je rozstrzygnął. — Pańskie

zastrzeżenie — powiedział — jest całkowicie usprawiedliwione. Ale powinien mi pan zaufać, zawsze postępuję bardzo ostrożnie. Wiem, że błąd w ustawieniu szeregów zagraża całej bitwie. Dlatego poprosiłem naszego drogiego Pulvera, by podjął badania. Proszę o pańskie sprawozdanie.

Puhrer czekał na tę chwilę z godnością i był na nią przygotowany. Otworzył notatnik, który leżał przed nim w zasięgu ręki. Mówił z właściwą sobie rzeczowością:

— Nie wiadomo nic niekorzystnego na temat Sebastiana Sempera. Nie był notowany na policji, nie miał żadnej sprawy karnej. Urodził się w Wahlheimie jako syn ubogich, lecz uczciwych rodziców, służył ojczyźnie z bronią w ręku i został awansowany na podoficera.

— Widzi pan — rzekł Gumpel.

— Został odznaczony Żelaznym Krzyżem II klasy, odznaką za waleczność i medalem za walkę na froncie wschodnim. Dostał się *do niewoli rosyjskiej* — tu nastąpiło wielkie poruszenie, mające oznaczać sympatię słuchaczy — dopiero przed dwoma laty został zwolniony, wrócił do rodzinnego Wahlheimu i...

— I tu pisał swoje wiersze — uzupełnił Bremer uroczyście.

Mistrz ślusarski, Miegalka, nie był jeszcze w pełni usatysfakcjonowany. Znał swego rywala Scheuermanna! Tego niełatwo było przekonać, był uparty i dociekliwy. — A czy te jego gryzmoły są coś warte?

— Oczywiście — zapewnił Bremer — przecież je wydrukowałem.

Gumpel od razu zorientował się, co ma na myśli Miegalka, to mianowicie, że „fakt, iż te gryzmoły wydrukowałeś, nic nie znaczy, wręcz przeciwnie, jest podejrzany!” Aby nie dopuścić do podobnych myśli, pułkownik przytoczył dalsze argumenty: — Poprosiłem pana kierownika Kuhna, by przygotował się do tego tematu na wypadek, gdyby komuś przyszło do głowy zarzucać panu Bremerowi stronniczość. Oczywiście nikt na to nie wpadł, ale lepiej było się zabezpieczyć. Pan Kuhn, jak panowie wiedzą, zajął się szczegółowo tymi wierszami. Jego artykuły były co praw-

da niezbyt zrozumiałe, ale wywarły dobre wrażenie. Uważam go za swego rodzaju eksperta. Czeka teraz w dużym pokoju gościnnym. Niech go pan tu poprosi, panie Pulver.

Pulver wstał. Pomyślał: Co ten mydłek będzie mi tu rozkazywał! Ale nie dał po sobie poznać, co myśli.

Panowie pokrzepili się tymczasem piwem i wódką. Gumpel i Reisser spoglądali na siebie zadowoleni. Reszta była podniecona. Każdy był przekonany, że dzieje się tu coś ważnego. Do salki wszedł Kuhn, ów wrażliwy na poezję pedagog, udręczony ojciec rozhisteryzowanej córki Konstancji. Stał w pobliżu drzwi jak przed trybunałem. Pomiędzy nim a pułkownikiem potoczyła się dobrze zaplanowana i starannie przygotowana rozmowa.

— Jak już wiemy, panie kierowniku, zajmował się pan dziełem Sebastiana Sempera?

— Bardzo wnikliwie, panie pułkowniku.

— I jakie wrażenie wywarły na panu te wiersze?

— Jak najlepsze.

— Czy mogę prosić o bardziej konkretną ocenę?

— Utwory Sebastiana Sempera składają się najczęściej z czterowierszy i są rymowane. Ich treścią jest pochwała ojczyzny i miłości. Wszystkie wiersze unikają współczesnego stylu, a więc dzisiejszego zdziwienia językowego. Są jasne, zrozumiałe dla każdego, kto skończył szkołę powszechną. Lirykę Sebastiana Sempera należy ocenić jako wartościową; utrzymana jest ona w formie, która nosi miano klasycznej. W najbliższym numerze „Gońca” ukaze się moje omówienie liryki miłosnej Sempera wraz z cytatami. Dziś powiem tylko tyle, że są to wiersze absolutnie czyste i w dodatku charakteryzuje je głębia uczuć właściwa wielkim poprzednikom poety.

— Czy w tych wierszach jest cokolwiek negatywnego na temat ojczyzny czy samego Wahlheimu?

— Nie, nic.

— Bardzo panu dziękuję, panie Kuhn. Będę rad, jeśli zechce pan z nami potem wypić kufel piwa.

Kuhn odszedł przekonany, że oddał wielką przysługę swemu rodzinnemu miastu. Ogarnęło go podniosłe uczucie;

został bowiem uznany za eksperta. W gospodzie natomiast pochlebilo mu zainteresowanie, jakie w obecności Ireny Krampus okazał mu Scheuermann, pytając o jego prace badawcze.

Tymczasem Gümpel zapytał, czy teraz jest jeszcze ktoś, dla kogo cokolwiek pozostaje w dalszym ciągu niejasne. Wszystko było jasne. — A więc zgadzamy się wszyscy, moi panowie. — Miał niezłomne przekonanie, że zapanowała powszechna zgoda.

Burmistrz podniósł rękę, jak było zaplanowane. — Proszę wziąć pod uwagę — rzekł — że niezręcznie byłoby podejmować całą akcję z ramienia Obywatelskiego Bloku Liberalno-Narodowego. Musimy bowiem unikać wrażenia, że chodzi o sprawę natury politycznej. Należy stwarzać pozory, że taka jest wola wszystkich zdrowo myślących obywateli naszego miasta.

— Brawo!

— Oprócz Scheuermann! — zawołał Miegalka.

— Mówimy o zdrowo myślących obywatelach. A co należy przez to rozumieć — o tym my decydujemy.

Emerytowany pułkownik Gümpel przeszedł teraz do manewru końcowego. — Drodzy koledzy! Proponuję, byśmy tymczasem utworzyli komitet obywatelski. Nazwiemy go Komitetem Budowy Pomnika Ku Czcii Sebastiana Sempera. Byłbym skłonny zostać jego prezesem, ale jestem już przewodniczącym narodowych liberałów, a powinniśmy unikać wszelkich pozorów polityki partyjnej. Wobec tego proponuję, co następuje: pan burmistrz Reisser zostanie przewodniczącym, ja wiceprzewodniczącym, honorowym kuratorem pan redaktor Bremer, który będzie także odpowiedzialny za agitację ideową i powszechną propagandę; kierownikiem reklamy i doradcą handlowym będzie pan Miegalka, skarbnikiem pan Scheuwitz, sekretarzem pan Hohlhander, członkiem zarządu pan Pulver. Czy panowie przyjmują swoje stanowiska?

Panowie oczywiście przyjęli.

— Tym samym oświadczam uroczyście, że ukonstytuował się Komitet Budowy Pomnika Ku Czcii Sebastiana Sempera! Szlachetny fundator, który nie chce, aby wymieniano

jego nazwisko, przekazał nam już do dyspozycji znaczną sumę; pokryje ona w dużej mierze koszty budowy. Poza tym zaapelujemy do szczodroblewości naszych współobywateli. Panie Pulver, proszę zamówić piwo!

Przypuśćmy — rzekł Mutsch do Scheuermanna, z którym pracował w warsztacie — że wysiada nasza spawarka. Co wtedy robisz?

— Reperuję ją.

— A jeśli nie możesz jej zreperować?

— Wtedy zamawiam części zamienne.

— A tymczasem?

Scheuermann spojrział na Mutscha. — Co jest? Dlaczego zadajesz takie głupie pytania?

Mutsch mrugnął do niego. — Przypuśćmy, że chcesz zespawać dwa żelazne pręty. Sprawa jest ważna i pilna. Ale twoja spawarka wysiadła. Jesteś na tyle sprytny, że wiesz, iż w razie potrzeby można te pręty połączyć, skuwając je. Więc co robisz? Posyłasz mnie, swego pomocnika, do kowala. Do kuźni starego Loosa, rzecz jasna.

Scheuermann niechętnie pokręcił głową. — Czy nie możesz poczekać? Chociaż dwa, trzy tygodnie. Nie możesz sobie pozwalać na to, by wciąż o tobie gadano w mieście. Uważaj, Mutsch! Ale niech tam! Weź tamte pręty. Poproś Loosa, by je zespawał i pozdrów go ode mnie.

— Tak jest, panie majstrze! — rzekł Mutsch i z rozmachem zarzucił sobie pręty na ramię.

— Pół godziny drogi, pół godziny roboty, z zegarkiem w rękę.

— Scheuermann zaśmiał się.

— Załatwię raz dwa — zapewnił go Mutsch. — Najdalej za dwie godziny będę z powrotem.

Kilka minut później Mutsch, przecinając rynek, zrozumiał, dlaczego Scheuermann tak się zaśmiał: pręty bowiem, wybrane z doskonałą znajomością rzeczy, były piekielnie ciężkie i wydawało się, że z każdym krokiem stają się coraz cięższe. Przy boisku, zwanym oficjalnie

„stadionem”, Mutsch rzucił ciężar na ziemię, aby odpocząć. Przeklinał w duchu Scheuermanna, ale widok kuźni dodał mu sił.

Kiedy przechodził przez sfatygowany most, spostrzegł Ulrykę Loos. Pracowała w ogrodzie, wzdrygnęła się na jego widok, wzięła na ręce dziecko leżące obok na trawie. Popatrzyła na sapiącego pod ciężarem prętów Mutscha, jakby był upiorem. Potem uciekła z dzieckiem.

Mutsch udał, że niczego nie zauważył. Wszedł do kuźni i rzucił pręty na ziemię. Rozejrzał się, zobaczył wysokiego, chudego kowala przy imadle. Wyglądał na mocno zatroskanego i jakby nieobecnego.

— Kim pan jest? — zapytał przybyłego.

— Nazywam się Mutsch. Przychodzę od Scheuermanna. Prosił, aby pana pozdrowić.

— Czego chce ode mnie?

— Trzeba połączyć te dwa pręty. Bez szwu.

— Bez szwu? — Kowal spojrzął na Mutscha. — To chyba oczywiste. A co pan myślał, że zrobię tam zawiasy?

Mutsch milczał pełen szacunku. Po raz pierwszy stał tak bezpośrednio przed Loosem. Od razu było widać, że nie jest to człowiek gadatliwy, ale że w dodatku jest taki nieprzyjemny, tego się Mutsch nie spodziewał. Mutsch przyglądał mu się ze zdziwieniem i ciekawością.

— Jaka długość? — zapytał kowal oglądając pręty.

Mutsch poczuł, że oto wynikła przeszkoda, której nie przewidział; nie od razu wpadł na właściwą odpowiedź i to go speszyło. Minęły długie sekundy, nim mógł jasno myśleć, a tymczasem kowal mierzył go badawczym wzrokiem jak człowieka chorego. Mutsch myślał: on pyta o długość po złączeniu; nie jestem przygotowany na takie pytanie. Nie wiem nawet, jaką długość ma każdy pręt. A więc wyszedłem na idiotę, a ten Loos od razu to zauważy.

Potem rzekł: — Nie wiem. Scheuermann to wie. On zaraz przyjdzie. Mam tu na niego zaczekać.

Wyraźna niechęć kowala wobec Mutscha jeszcze bardziej się wzmogła. — Kim pan jest?

— Jestem elektrykiem. A poza tym przyjacielem Scheuermanna.

Kowal skinął głową ociężale, a to najwidoczniej oznaczało, że już dawno posądzał o to Scheuermanna: kto tak intensywnie zajmuje się polityką, nie ma czasu, aby kształtować swój charakter. Potem zostawił Mutscha i podszedł do imadła. Zaczął przycinać gwinty w zębach brony.

Mutsch zbliżył się do niego. Przycinanie gwintów to była jedna z jego specjalności. Przez kilka chwil przyglądał się, potem powiedział: — Niech mi pan pozwoli to zrobić.

Loos pozwolił mu z ociąganiem. Mutsch zabrał się do roboty; pewną ręką posługiwał się gwintownikiem. Robota szła mu gładko. Nie pomagał sobie suwmiarką, pracował na oko, a mimo to Loos stwierdził, że wszystko było wykonane dokładnie co do milimetra.

— Gdyby pan znał długość — odezwał się Loos znacznie uprzejmiej — mógłbym tymczasem zająć się pańskimi prętami.

— Nie ma pan poza tym roboty?

Loos spojrział na Mutscha ze zdziwieniem, ale w jego wzroku tlił się błysk uznania. Potem zaśmiał się nieznacznie. Następnie cisnął kawałek żelaza do ognia i wprawił w ruch miech.

Pracowali w milczeniu prawie dwie godziny, uparcie i zawzięcie. Nie patrzyli na siebie, ale jeden nasłuchiwał rytmicznych odgłosów pracy drugiego. Po niespełna trzech godzinach byli sobie już nieco bliżsi, mimo, że nie zamienili ze sobą słowa. Po czterech godzinach kowal oznajmił: — Fajerant!

— A Scheuermann nie przychodzi — rzekł Mutsch.

Kowal zdjął fartuch. — Ta polityka go zrujnuje.

— Ale on uprawia właściwą politykę — bronił Mutsch przyjaciela.

— Może właśnie dlatego — powiedział Loos. Sprawdził elementy, które wykonał Mutsch. Spodobały mu się. Postanowił obdarować go zasłużoną pochwałą. — Całkiem niezłe — rzekł.

— Ujdzie — odparł Mutsch. — Niełatwa robota.

Loos walczył ze sobą. Nabrał głęboko tchu. Potem zapytał: — Zje pan z nami skromną kolację?

— Czemu nie? — Mutsch starał się, by zabrzmiało to obojętnie.

Loos zamknął kuźnię i ruszył z gościem do domu. Na podwórzu, przy korycie, leżało przygotowane mydło i ręcznik. Umyli się starannie, nie zamieniając przy tym ani słowa. Zamiecione dokładnie podwórko było puste. Pies pilnujący obejścia wygrzewał się w słońcu.

Potem mężczyźni weszli do domu. Pachniało czystością. W kuchni stał wyszorowany do białości stół nakryty na cztery osoby.

— To jest Mutsch — oświadczył Loos krótko. — Od Scheuermanna. To moja żona. A to córka.

Drobna kobieta o nieśmiałym spojrzeniu podeszła do Mutscha, podała mu rękę i usiłowała się uśmiechnąć. Potem Mutsch zobaczył Ulrykę; stała przy kuchni i nie ruszała się. Mutsch wyciągnął do niej rękę. Podała mu swoją małą dłoń z wahaniem, jakby się obawiała, że on ją skruszy. Ta dłoń lekko drżała, ale mocno ją uściśnął.

— Bardzo mi miło — rzekł.

— Nie ma powodu — powiedział Loos, który z góry chciał uniknąć wszelkich niejasności. — Moja córka ma nieślubne dziecko. I nawet nie chce powiedzieć, kto jest jego ojcem.

— Lepiej nie mieć ojca, niż mieć takiego, który jest nic niewart — odezwał się Mutsch.

Podeszli do stołu. Loos odmówił krótką modlitwę, po czym usiedli. Na kolację były gęste płatki owsiane na mleku. Loos ukroił do tego dwie grube kromki chleba.

Jedli w milczeniu. Mutsch zjadł błyskawicznie dwa pełne talerze. — Dobrze — powiedział.

— Cieszę się — odparł Loos.

— To ja gotowałam — wyrwało się Ulryce. Ledwie to powiedziała, ogarnęło ją uczucie, że powinna się wstydzić.

Mutsch spojrzał na nią promiennym wzrokiem, co jeszcze bardziej dziewczynę speszyło. Pani Loos nerwowo skubała fartuch. Kowal natomiast zmierzył córkę miążdżącym, pełnym smutku wzrokiem, tak że zerwała się i uciekła.

— To nie jest dziewczyna dla przyzwoitego chłopca — rzekł Loos z goryczą.

— A ja siedziałem w więzieniu — powiedział Mutsch. — Trzy lata, za pobicie.

— Nie ma się czym chwalić — rzekł Loos rzeczowo. — Wiem o tym, niestety, czytam gazety. Sprzał pan właściwego człowieka. Ale to nie było bohaterstwo, to była głupota.

Mutsch odetchnął z ulgą. — Pańska córka — rzekł — to naprawdę miła dziewczyna.

— Pan nie może tego ocenić. — Loos dokładnie wyskrobywał swój talerz. Nagle zamarł w bezruchu. Zapytał: — A skąd pan to wie?

Lecz zanim Mutsch zdążył mu udzielić zadowolającej odpowiedzi, ktoś zapukał do drzwi.

Do kuchni wszedł Scheuermann. Widać było, że się spieszył, gdyż ciężko oddychał. Kiedy ujrzał Mutscha, siedzącego przy stole, powiedział: — Co cię, u diabła, napadło, żeby się wałęsać przez cztery godziny?

— Pięć pełnych godzin, szefie — poprawił go Mutsch pojednawczym tonem. — Dobrze, żeś już przyszedł. Czekaliśmy na ciebie.

— Dzień dobry, Scheuermann — rzekł Loos z godnością. Wstał i uściśnął mocno rękę gościowi. — Zaraz to załatwimy. — Włożył roboczy fartuch. — Jaka długość?

Scheuermann nie rozumiał, co się dzieje. Nie mieściło mu się w głowie, że jego Mutsch właśnie u tego wroga ludu siedział przy stole w gronie rodzinnym. I czego chciał ten Loos? Jaka długość?

Mutsch chętnie go wyręczył. — Miałeś mi podać długość tych prętów. Kazałeś mi przecież tu zaczekać.

— Ach tak! — rzekł Scheuermann. — Rzeczywiście tak powiedziałem.

— No więc?

Scheuermann z trudem zbierał myśli, nie chciał się zblamować przed Loosem. Oczywiście on także nie wiedział, jaką długość miały pręty. Ale przynajmniej wpadł mu do głowy pewien wybieg. — Taka sama długość — rzekł. — Musisz je tak połączyć, by miały taką samą długość. A więc ani nie skracaj ich, ani nie wydłużaj.

— Kapuję — rzekł Loos. — Trzeba było od razu tak mówić!

Następnie poszedł z Scheuermannem do kuźni. Rozniecił ogień i rozgrzał oba końce do białości. Potem przystąpił do pracy, a Scheuermann mu pomagał. Sypały się iskry, żelazo śpiewało. Loos pewnymi ruchami skuł ze sobą oba końce.

— No! — rzekł. — Gotowe. Nic za to nie chcę. Powiedz swojemu Mutschowi — to zresztą dobry robotnik — że może znów tu przyjść. Kiedy zechce.

I Scheuermann, na próżno szukając Mutscha, który nagle gdzieś znikł, musiał teraz sam wracać do domu i dźwigać na grzbiecie ciężkie pręty. Idąc, kłął siarczyście.

Zanim po kilku postojach wrócił do domu, spotkał Mutscha, który szedł na spacer z Ulą.

— Popatrz, twój kochany tatuś! — zawołał Mutsch, wyraźnie rozczulony. — Jaki dzielny człowiek!

— Ty podstępna bestio! — wykrzyknął Scheuermann wściekły.

— No, no — zganiła go Ula. — A co ja mam powiedzieć? Tyle lekcji do odrabiania?

— Niech ci pomoże twój kochany wujek Mutsch — powiedział Scheuermann zły.

— Już to zrobił — rzekła Ula zadowolona. — Wypracowanie takie, że mucha nie siada.

Mutsch uśmiechnął się do Scheuermannu. — Dopiero się twój tatuś ucieszy, kiedy się dowie, na jaki temat!

Ula rzekła: — Temat brzmi: Jak najgodniej uczcić naszego poetę?

Scheuermann z radości upuścił na ziemię ciężkie pręty.

Żona burmistrza, Ulryka Reisser z domu Plohmann, należała do tych pozornie oddanych całą duszą żon, które aktywnie uczestniczą w sukcesach swoich mężów, zarówno zawodowych, jak i politycznych. Sądząc z wielkości porcji, jaką mąż nałożył sobie na talerz podczas kolacji, uznała, że jest bardzo zadowolony. Kiedy się już najadał, poprosił o butelkę czerwonego wina i pół butelki szampana. Był w doskonałym humorze.

— Przynieś też kieliszek dla siebie, Ulryko — rzekł wielkodusznie. Ulryka poszła po wino.

— Ludzie coraz bardziej cię szanują — powiedziała, kiedy wróciła z butelką. — Wczoraj nawet listonosz mówił o tobie z uznaniem.

— Tak? — Reisser usiadł wygodnie, włożył kapcie, które żona mu podsunęła. — Tak, sytuacja zaczyna się normować — stwierdził. — Proszę, nalej.

Nalała mu, znała zwyczaje swego męża.

Reisser wertował „Gońca” i z zadowoleniem czytał informację na trzeciej stronie o utworzeniu Komitetu Budowy Pomnika Ku Czci Sebastiana Sempera. Czytał to już kilkakrotnie i wciąż od nowa wiadomość ta go cieszyła.

— To ci przysporzy wiele pracy — powiedziała Ulryka — ale z całą pewnością nie znaleźliby nikogo lepszego.

— Jestem przyzwyczajony do pracy. Poza tym zadbałem o to, by została ona równomiernie rozłożona. Ja będę czuwał nad całością, jak wiesz.

— Wiem — rzekła Ulryka siląc się na dumny ton.

Reisser wyciągnął przed siebie nogi. — Sprawa dobrze się zapowiada. Obie gazety w stolicy landu opublikują tę informację. Jedna chce nawet przysłać reportera. Poproszono mnie o wywiad.

— Oczywiście udzielisz go, Ottokarze.

— A cóż mi pozostaje innego? Jak wiesz, niechętnie wysuwam się przed innych, ale przecież ktoś musi reprezentować Wahlheim. To wielka rzecz dla naszego miasta.

— Z całą pewnością!

— Komitet rozpisze konkurs. Za najlepszy projekt zostanie przyznana nagroda w wysokości tysiąca marek.

Ulryka potrafiła doskonale okazywać oddanie, a zarazem podziw. — Tysiąc marek! Ależ to wspaniale!

— Potem potracimy zwycięzcy tę sumę z jego honorarium. To najprostsza rzecz pod słońcem. Ostatecznie nie mamy zamiaru obsypywać jakiegoś faceta pieniędzmi za ociosanie kamienia.

— Najważniejszy jest przecież symbol.

Reisser zaśmiał się zadowolony. — Gumpel też tak zawsze mówi.

— Wiem, że jesteś dostatecznie sprytny, by zgromadzić te tysiąc marek. To duża suma jak na Wahlheim, ale ty ją zdobędziesz.

— Już ją zdobyłem — rzekł Reisser i pławił się w bezgranicznym podziwie żony. Myślał: To dobra kobieta. I aż dziwi bierze, jak bardzo interesuje się tym projektem.

— Co ty mówisz! Tysiąc marek? W ciągu kilku dni?

Burmistrz zaczął opowiadać. — Udało mi się wzbudzić zainteresowanie mieszkańców. Najpierw panowie z komitetu zebrali siedemdziesiąt marek. Pani Irena Krampus ofiarowała dwieście. A już myślałem, że da się otumanić Scheuermannowi i nie otworzy sakiewki! Ale się pomyliłem. Najlepszym agitatorem jednak okazał się dziennikarz Flammer. Zebrał prawie trzysta marek wśród przyjaciół; wyłącznie anonimowi ofiarodawcy. To zrozumiałe, że See-baum wpłacił lwią część. Jesteśmy mu bardzo zobowiązani i prawdopodobnie jeszcze długo pozostaniemy jego dłużnikami. My wiemy, czego chcemy.

— Oczywiście — odpowiedziała żona. — Do czego też potrafi zainspirować poeta!

— Jutro albo pojutrze ukaże się duży artykuł. Specjalnie dla kobiet. Historia miłosna.

— Jakie to piękne — rzekła Ulryka — że coś takiego jeszcze się zdarza.

Reisser wstał ziewając, w przelocie poklepał żonę po plecach i poszedł do łazienki.

Drogi księżę proboszczu — rzekł poseł Scheuermann do wielebnego Marcusa, który siedział przed nim w gabinecie — doceniam wysiłki księdza, ale ich nie rozumiem. Co ja mam z tym wspólnego?

Marcus uśmiechnął się łagodnie. — Apeluję do najmądrzejszej głowy w Wahlheimie, a zarazem do człowieka, który jest zaprzyjaźniony z panem Mutschem i cieszy się jego zaufaniem. Obawiam się komplikacji, panie Scheuer-

mann. Moje obawy wynikają z rozmów, spostrzeżeń i doniesień. A przecież tak łatwo sprawę rozwiązać. Wystarczy jeden gest! Pan Mutsch powinien przeprosić.

— Za co, proszę księdza? Ma przepraszać za to, że oni go obrazili?

— Nie apeluję do poczucia honoru, panie Scheuermann. Apeluję do rozsądku. Tylko jeden gest we właściwym czasie i we właściwym miejscu — i wszystko skończy się ku ogólnemu zadowoleniu.

Scheuermann powoli kręcił głową. — Czy ksiądz wie, co wtedy naprawdę zaszło?

— Mutsch pobił dyrektora, każdy to wie. Owszem, został ukarany i musiał odpokutować. Sprawa oficjalnie jest zamknięta, ale w Wahlheimie ludzie pamiętają. Jak powiedziałem: jeden gest i wszystko pójdzie w zapomnienie.

— Ksiądz się myli — rzekł Scheuermann. — Mutsch sprzął Seebauma, bo ten z powodu nędznych groszy chciał skazać rodzinę zmarłego na śmierć głodową. Zdarzył się wówczas śmiertelny wypadek podczas naprawy nocą kabla, podłączonego jeszcze do sieci. Seebaum i Mutsch byli jedynymi świadkami tego wypadku, ofiarą zaś padł biedak, który osierocił rodzinę. Tego, co naprawdę się zdarzyło, do dziś nikt dokładnie nie wie. Przypuszczam, że ten nieszczęśnik zlekceważył wówczas przepisy bezpieczeństwa. Ale wtedy chodziło tylko o to, czy zakład ubezpieczeń powinien wypłacić odszkodowanie żonie i trojgu dzieciom, czy nie. Seebaum nie zamierzał ryzykować ani marki w procesie o odszkodowanie — jego zeznanie nie zgadzało się z zeznaniem Mutscha. Mutsch usiłował przekonać Seebauma ze względu na rodzinę zmarłego, prosił go, ale ten odmówił. W końcu kazał go wyrzucić; ostatecznie Mutsch go pobił. Dlatego trafił do więzienia.

— Nie wiedziałem tego — rzekł Marcus. Był wyraźnie poruszony. — Ja tego wszystkiego nie wiedziałem. Mimo barbarzyńskich metod, jestem pod wrażeniem racji, które nim kierowały.

— Mutsch nie zasłużył na tak wysoką karę. A tym bardziej nie zasługuje na nieufność, niechęć, prowokacje i nagonki, jakie teraz musi znosić. To oni wszyscy powinni go przeprosić: dyrektor Seebaum, pułkownik Gumpel i całe

to drobnomieszczańskie robactwo, które żeruje na skandalach. Czego ksiądz chce ode mnie i od Mutscha! Niech ksiądz zwróci się do tamtych!

— Pan jest bardzo twardym człowiekiem, panie Scheuermann!

Marcus poczuł się urażony. Odrzucono jego wyciągniętą dłoń. Jego sympatia była po stronie Mutscha, ale dla tego nieprzejednanego Scheuermanna nie miał zrozumienia. Spojrzał na swoje ręce, które mocno zacisnął. — Oczywiście ma pan rację, ale dlaczego jest pan taki nieugięty? Teraz rozumiem tego człowieka, ale dlaczego pan nie dołoży starań, aby cały Wahlheim go zrozumiał?

— Wielu ludzi w Wahlheimie wie to samo, co ja. Ale oni albo ulegają moralnej presji, albo tkwią w przesądach, albo nie chcą sobie przypomnieć, albo też sprawia im przyjemność dręczenie innych.

— A pan, panie Scheuermann? Pan chce upiec przy tym ogniu własną pieczeń.

— A ksiądz? Czy to prawda, że ma ksiądz poświęcić ten ich pomnik? Mam nadzieję, że to plotka.

— To jest mój urząd — służyć tym wszystkim, którzy mnie potrzebują. Kto ma do mnie pytanie, temu odpowiadam. Kto pragnie błogosławieństwa, temu go udzielam. Poproszono mnie, bym poświęcił pomnik, więc to uczynię.

— Pomnik, który ksiądz zamierza poświęcić, ma być wystawiony ku czci niejakiego Sebastiana Sempera. A on popełnił samobójstwo. Czy w Kościele księdza nie istnieje prawo, zgodnie z którym, powinien ksiądz odmówić błogosławieństwa samobójcy?

Ksiądz wstał. — To był nieszczęśliwy wypadek — powiedział.

— Ksiądz się myli. Tu chodzi o ewidentne samobójstwo. Marcus zaczął z podniecenia chodzić po pokoju. — Powiedziano mi, że to był nieszczęśliwy wypadek.

— Powinien był ksiądz przeczytać gazetę.

— Nie wszystko, co drukują w „Gońcu”, jest prawdą.

— To niech ksiądz się zapozna z wynikami sekcji. Scheuermann spoglądał z napięciem i pewną dozą współczucia na duszpasterza, który zaczął zdradzać nerwo-

wość. Trudno było stwierdzić, czy jest wściekły, czy tylko zmieszany. Scheuermann pomyślał: Ach, gdyby zawrzał świętym oburzeniem, potężnym gniewem, takim, że cały Wahlheim zadrżałby w posiadach! Co powinno się stać, żeby go do takiego gniewu doprowadzić?

— Jeśli to prawda — rzekł ksiądz wreszcie — to oczywiście nie poświęcę tego pomnika.

— I co będzie dalej? — drażył Scheuermann uparcie. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, że wprowadził duchownego w takie zakłopotanie. — Czy będzie ksiądz protestował przeciwko postawieniu pomnika ku czci samobójcy?

Marcus wyjął dużą chusteczkę do nosa, która niegdyś była biała i otarł sobie czoło. Znów poczuł się bardzo osamotniony. Pojął natychmiast niebezpieczeństwo, jakie zagrażało jemu i jego urzędowi. Był dotąd zbyt cierpliwy i obojętny; teraz musi możliwie jak najprędzej wyplątać się z tej historii. Należało zapobiec temu, by jego nazwisko, a także instytucję, którą reprezentował, łączono z wątpliwą sprawą tego pomnika.

Nie chciał sobie teraz zadawać pytania ani się zastanawiać nad tym, dlaczego przyjął bez zastrzeżeń sformułowanie „nieszczęśliwy wypadek”, choć słyszał, że to było samobójstwo. Nie chciał sobie więcej pozwalać na żadne kiepskie usprawiedliwienia. Chciał się wyplątać z całej tej sprawy.

Wielebny Marcus pospieszył do burmistrza Reissera i przedstawił mu sytuację, jaka teraz zaistniała. Reisser początkowo był bardzo zdziwiony. Powoli jednak dotarło do niego, że sprawa się skomplikowała. I z właściwą sobie przezornością postanowił osobiście zbytnio się nie angażować. Posłał gońca do pułkownika Gümpla z prośbą, by do niego przyszedł.

Pułkownik nie miał obecnie w głowie nic innego jak tylko ten pomnik. Fakt, że zostanie wzniesiony, uznał za chwalebne zwycięstwo tradycji nad nie zrzyszonymi prostackimi demokratami.

Z godnością wysłuchał oświadczenia księdza. Potem rzekł: — Wciąż słyszę tylko „samobójstwo"! Kto księdzu to zasugerował? To był bez wątpienia nieszczęśliwy wypadek. Czy to księdzu wystarczy?

Te bagatelizujące problem słowa bynajmniej nie uspokoiły Marcusa. — Wobec tego — powiedział — proszę uprzejmie o urzędowy dokument, z którego wynikałoby jednoznacznie, że nie chodzi tu o samobójstwo. Tylko wówczas mogę być do panów dyspozycji.

— To tylko o to chodzi! — zawołał pułkownik jowialnie. — Otrzyma książkę ten świstek. To oczywiste. Trzeba było od razu tak powiedzieć.

Marcus odetchnął z ulgą i pożegnał się, wyraźnie uspokojony. Burmistrz Reisser pobladł. Z trudem panował nad sobą.

— Tego nam tylko brakowało — powiedział, a zabrzmiało to bezradnie.

Gümpel bębnił palcami po oparciu krzesła. — Samobójstwo! Wielka mi rzecz! Ja także podsunąłem jednemu koledze rewolwer. Był to wspaniały człowiek, miał pecha z babami i kontem bankowym swojego starego, które okazało się mniejsze, niż sądził. Przykra historia!

— Nie należało wciągać Marcusa do tej sprawy. On nie może postąpić inaczej. Dlaczego nikt z nas nie pomyślał o tym, że przecież tu chodzi o samobójstwo i że Kościół nie może w takim wypadku udzielić błogosławieństwa?

Pułkownik Gümpel poczuł się zaatakowany nie tylko jako inicjator pomysłu, ale także jako świątły człowiek. Dopóki dowodził wojskiem, w jego języku nie istniało słowo „odwrot”. — Ach, co tam! — zawołał. — Dlaczego to miało być samobójstwo? Czy ktoś przy tym był? Czy nieboszczyk zostawił jakiś list? Jakie były motywy?

Burmistrz nie mógł opanować swego niepokoju. — Nie trzeba było wciągać do tego Marcusa. Jeśli nie zechce poświęcić pomnika, to trudno.

— Nie wolno nam do tego dopuścić — rzekł Gümpel — przecież ludzie już wiedzą. Byłoby wielkim błędem, gdybyśmy go teraz wyłączyli ze sprawy. Taki jak on po trafi rozgłosić to z ambony. Musi iść z nami ręką w rękę.

— Gdyby się tak zastanowić — rzekł Reisser — to można by dojść do wniosku, że osoba, którą chcemy uczcić, być może wcale na to nie zasługuje. Czy nie powinniśmy w ogóle...

Pułkownik tylko się zaśmiał; krótko, głośno i niezbyt grzecznie. — Mój drogi prezesie — powiedział — sprawa jest już w toku. Wpłynęły pokaźne datki. Przeciwnicy się wściekają, a nasi sympatycy oddychają z ulgą. A kto odważy się bruździć tam, gdzie Kościół udziela swego błogosławieństwa?

— Chciałbym wiedzieć — rzekł Reisser — kto Marcuso-wi to podsunął? Przez ostatnie lata już nie próbował stwarzać nam trudności.

— I nadal nie będzie — odparł Gümpel. — Tylko trzeba się zastanowić, jak mu wyperswadować, że to nie było samobójstwo? Ale to leży raczej w pana gestii, mój drogi.

— Zobaczę, co się da zrobić w tej sprawie — rzekł burmistrz. Powoli odzyskiwał pewność siebie; w gruncie rzeczy był zadowolony, że pozostanie prezesem i że tuż przed wyborami nie musi się wycofywać.

— A więc słucham, jaką ma pan propozycję, panie prezesie?

— Przecież to tylko przypuszczenie, że chodzi o samobójstwo. Nie ma na to stuprocentowych dowodów. A więc to mógł być nieszczęśliwy wypadek.

— Albo morderstwo! Niech pan sobie przypomni ranę z tyłu głowy. Mord polityczny! To by była woda na nasz młyn!

— Pogadam z Pulverem — obiecał burmistrz. — On jest niezawodny. A niekiedy miewa całkiem sensowne pomysły. I z każdym dniem coraz bardziej rozsadza go ambicja.

— A więc do dzieła! Poza tym jest on przecież w zarządzie. A to do czegoś zobowiązuje. I niech pan nie zapomni zmyć mu głowy za tego Mutscha. Dyrektor Seebaum zaczyna tracić cierpliwość.

Ostatni obszerny artykuł w „Gońcu Wahlheimskim” – „Życie i twórczość naszego rodzimego poety Sebastiana Sempera — część 4: Jakże delikatnie biło kochające serce na wahlheimskich ulicach” — emanował patosem. Kierownik szkoły, Leopold Kuhn,

przeszedł samego siebie, Flammer zaś jeszcze ubarwił tekst. Scheuermann trzymał gazetę czubkami palców, daleko od siebie.

— I sądzi pan, panie Flammer, że pańscy czytelnicy to przełkną?

— Czy przełkną? Aż się zakrztuszą z zachwytu. Nawet stary uronił łzę wzruszenia. A on jest niezawodnym barometrem, jeśli idzie o reakcję tych bab, co to leją łzy współczucia nad bezdomnym psem, a nawet nie drgnie im powieka, gdy na drugiej półkuli tysiące ludzi idzie do piachu. Już ja dobrze znam uczucia naszych hien.

— Jeszcze pan zostanie honorowym członkiem Związku Kobiet.

Flammer zaśmiał się beztrzesko. — Ułożyłem już także list od czytelnika. Chce się pan wzruszyć? — Sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął kartkę papieru, rozłożył ją i zaczął czytać: — Pański ostatni artykuł o naszym poecie wzruszył mnie do głębi. Każda linijka tekstu odzwierciedla niemiecką duszę i niemiecką wrażliwość. I mimo woli pytamy się, jak to możliwe, że naród o tak niskiej kulturze odważa się wysyłać zasłużonych żołnierzy do więzień jako zbrodniarzy wojennych i tam ich prześladować. Oczywiście nie mam nic przeciwko Amerykanom, jedna z moich siostrzenic jest nawet zaręczona z amerykańskim oficerem, ale wobec naszej tak wielkiej przewagi w dziedzinie kultury, muszę przyznać....

— Co za brednie! Chyba pan sobie drwi?

— Jest wielu ludzi, którzy tak myślą, a nawet kilku, którzy tak piszą i wysyłają listy do redakcji. Ten list może z powodzeniem uchodzić za autentyczny. A więc mogę go sam napisać.

— No dobrze — rzekł Scheuermann. Złożył gazetę i schował ją. — Miałbym wielką ochotę pogadać z pewnymi ludźmi o poezji.

— Rozumiem. — Flammer wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Spotka pan burmistrza w „Czarno-Białym Byku”. Spożywa tam posiłek wspólnie z ofiarodawczynią, Ireną Krampus. Właściwie miałem zamiar, tak samo jak naszemu lokalnemu bohaterowi panu pułkownikowi, wręczyć mu osobiście najnowsze wydanie „Gońca” ze wzruszającym

artykułem na temat wierszy dedykowanych Ulryce. Ale nie chciałem im przeszkadzać.

— Przeszkadzać?

— Tak się wyraziłem. Sądzę, że dość jasno.

Scheuermann szybko się ulotnił. Poszedł prosto do gospody. Siedział tam Reisser przy dwuosobowym stoliku, który zazwyczaj był zarezerwowany dla Ireny Krampus.

— Musi mi pan wszystko opowiedzieć — rzekła Irena.

— Pański projekt bardzo mnie interesuje.

— Oczywiście — powiedział burmistrz — to dlatego, że kobiety kochają sztukę. To sprawa ich wrażliwych dusz. Piękne kobiety zawsze uwielbiały wielkich artystów.

Potem, podczas posiłku, Reisser, tym razem jako prezes, musiał opowiedzieć, ile zebrali pieniędzy, jak ma wyglądać pomnik, kim są fundatorzy i sympatycy, kiedy odbędzie się odsłonięcie i jaki jest program uroczystości. Jeszcze podczas deseru — a było to coś wspaniałego, czekolada, bita śmietana, migdały i banany — tematem numer jeden był pomnik ku czci Sebastiana Sempera.

Reisser przysunął się bliżej Ireny. Spojrzał w jej zielonkawę, lśniące oczy. Ujął jej wypielęgnowaną dłoń o ostrych paznokciach niczym pazurki kota. Ostrogi miłości! Rzekł czule: — Co by pani powiedziała na prawdziwy francuski koniak? — Uniósł jej dłoń i przylgnął do niej wilgotnymi ustami.

Roześmiała się trochę nerwowo. Cofnęła rękę. — Niech pan nie zapomina, że jest pan żonaty.

— To pani sprawia, że o tym zapominam!

— No więc zamówię koniak — powiedziała Irena.

— Dla mnie także — rozległ się za nimi mocny głos. Spojrzeli do góry i zobaczyli Scheuermann, który trzy mał gazetę tak, jakby to był bat.

— Ach — rzekła Irena, a jej oczy nabrały teraz barwy ciemnego błękitu; już nie lśniły, a promieniały.

— Pozwoli pani? — Scheuermann przysunął krzesło do ich stolika. Rozsiadł się wygodnie i położył gazetę na kolanach. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

Owszem, przeszkadza pan — odezwał się Reisser stanowczym tonem. — Pani Irena i ja chcieliśmy omówić wewnętrzne sprawy.

— Chodzi o pomnik — rzekła Irena.

— Tak jest, o poetę. Przypuszczam, że pana ten temat nie interesuje, bo dotychczas, niestety, nie próbował pan nawet przyłączyć się do naszej akcji.

— Mam niewiele zrozumienia dla poezji — odparł Scheuermann.

— Nie tylko dla poezji — rzekł Reisser obcesowo.

Irena Krampus odchyliła się na krzesło. Z przyjemnością obserwowała scenę, która się przed nią rozgrywała. Takie pojedynki, jak ten, zawsze ją bawiły. Była rada, że sama jest obiektem sprzeczki, zwłaszcza że nie miało to dla niej znaczenia; zbyt dobrze wiedziała, czego chce i kogo chce.

Scheuermann spokojnie przełknął zniewagę. Kiedy zależało mu na rozmowie, którą postanowił przeprowadzić, bo uważał ją za potrzebną, nie pozwolił sobie przeszkodzić.

— Czasami wydaje mi się — rzekł szczególnie uprzejmym tonem i tak, jakby pozwalał sobie na miły żarcik — że po mnik jest nie tylko bliską pana sercu sprawą, lecz także bardzo osobistą, rzekłbym niemal rodzinną.

Reisser z miejsca połknął haczyk. — Jak mam to rozumieć?

Scheuermann z rozkoszą otworzył „Gońca”. — Czytał pan już najnowszy artykuł o liryce miłosnej Sebastiana Sempera?

— Jeszcze nie. Przeczytam, jak będę miał wolną chwilę. Teraz jestem zajęty.

Scheuermann, nie słuchając go, zaczął czytać:

Że kochamy się — nas ganią,
Lecz nagana — rzeczą tanią. Nie
ugniemy się z pokorą, Niech nas
ganią, niech nas łają, Niech nas
nawet opluwają. Kochania nam nie
odbiorą.

— No i co? — zapytał Reisser. — Co się tu panu nie podoba? To się całkiem ładnie rymuje.

— Uważam, że ten wiersz jest — jak by to powiedzieć — trochę staroświecki. — Nad zgrabnym małym noskiem

Ireny pojawiła się głęboka zmarszczka. — Bardzo ładny. Ale przypomina rzecz wyciągniętą z lamusa.

Scheuermann był bliski celu. — Dalsze opublikowane wiersze są mniej więcej podobne — rzekł uprzejmie. — Kochać-szlochać, rzucić-smucić, dusza-pokusa! Ale teraz dopiero najciekawsza rzecz, panie burmistrzu! Te wszystkie wiersze, wiersze miłosne, mają taką samą dedykację: Do Ulryki!

Reisser nie od razu zrozumiał, co to oznacza. Wybuchnął śmiechem. — Nie wyobrażani sobie, aby mogły być zade-dykowane: Do Scheuermannna.

Scheuermann uśmiechnął się przymilnie. — Albo: Do Reissera. Ale, ale, czy pańska żona nie ma na imię Ulryka?

Teraz Reisser spowaźniał. — Co pan sobie wyobraża! Jak pan śmie rzucać taką potwarz, i to w obecności damy?

Scheuermannna ucieszyło wzburzenie przeciwnika, był zachwycony. Powiedział: — Ależ, drogi panie burmistrzu! Dlaczego pan się tak denerwuje? Przecież nie powiedziałem, że ta opiewana w wierszach Ulryka ma coś wspólnego z pańską godną szacunku małżonką. To pan tak to zinterpretował. Ja tylko wspomniałem, że osoba opiewana w wierszach przez pańskiego poetę ma na imię tak samo jak pańska małżonka. To wszystko. I na pewno nie będę jedyny, który panu zwróci na to uwagę.

Reisser wpatrywał się w Scheuermannna jak w groźnego potwora. — To nikczemność — powiedział cicho.

— Ależ skądże! — Scheuermann czuł się cudownie. — A gdyby nawet tak było, choć wcale nie mówię, że tak jest, nawet gdyby tak było, to co z tego? Geniusze — a sam pan powiedział, że tu chodzi o geniusza — zawsze cieszyli się względami kobiet.

— Niech pan przestanie!

— Mówię czysto teoretycznie. Tak samo jak pan to czynił, kiedy chodziło o mojego przyjaciela i współpracownika, Mutscha. A teraz wróćmy do spraw, które mogły być powodem takiej dedykacji. To samotność i tęsknota. To nasze surowe, realne życie, to — cytuję „Gońca” — „szlachetny wzlot nad banalną, szarą codzienność istoty szukającej zapomnienia i piękna”. Tyle gazeta.

Burmistrz wstał. Rzekł surowo: Proszę pana o zaprzestanie tego rodzaju wypowiedzi.

— Powiedziałem jedynie to, co również inni powiedzą.

— Więc odbędzie się proces o zniesławienie.

— Przedtem jednak wybuchnie skandal.

— Panie pośle! — Reisser starał się być jak najbardziej rzeczowy. — Proszę, aby się pan zastanowił, czy odpowiada pan za to, co pan powiedział.

— A cóż ja takiego powiedziałem? — Scheuermann bawił się doskonale. — Nie powiedziałem przecież ani słowa, że pańska żona i pan Semper...

— Jeszcze pan mnie popamięta! — zawołał Reisser i natychmiast wyszedł. Udał się do Pulvera. Był zdecydowany uczynić to, co należało w takiej chwili uczynić.

Oto ktoś usiłował zranić jego męską dumę, w dodatku w obecności kobiety, która bynajmniej nie była mu obojętna! Teraz wybiła godzina, by udowodnić, jak niebezpiecznie jest obudzić w nim lwa. Scheuermann chciał go dotknąć, ale w ten sposób zniszczy tylko Mutscha...

— No i co z tym koniakiem? — zapytał Scheuermann, mrugnawszy do Ireny.

Irena uśmiechnęła się do niego. Uśmiech ten wyrażał podziw i niepokój. — Za co chcesz wypić? Za zwycięstwo? Znam cię, Karl, ale wciąż jeszcze nie dość dobrze. Reissera znam co prawda nie tak dobrze, ale wiem o nim więcej. Nie jest tak skomplikowany jak ty; i właśnie dlatego jest niebezpieczny.

Nie chciałam tu przyjść — rzekła Ulryka Loos do Mutscha, który siedział na ławce w parku.

— Ale jesteś! — Mutsch uznał, że dziewczyna się zmieniła. Nie umiał sobie odpowiedzieć na pytanie, jaka była tego przyczyna.

— Przyszłam tylko dlatego, że Ula mnie o to prosiła — powiedziała Ulryka.

— Naprzykrzałam ci się, bo i Mutsch mnie się naprzykrzał. — Ula spoglądała badawczo na tych dwoje dorosłych ludzi, którzy stali naprzeciwko siebie. — No to jazda, zróbcie coś! Pobijcie się nawet, ale niech się wreszcie między wami wszystko wyjaśni.

— Kiedy wszystko jest jasne — powiedziała Ulryka.

— Wcale tak nie uważam — odparł Mutsch.

— Przynajmniej usiądźcie! — Ula wpatrywała się w nich uparcie, przybierając szczególnie ponurą minę. — No już — siadajcie!

Mutsch uśmiechnął się do Ulryki; ona także się uśmiechnęła, ale kiedy sobie to uświadomiła, przeniosła ten uśmiech na Ulę.

Usiedli oboje na ławce, Ula pomiędzy nimi. Milczeli.

Dzieciół stukał w drzewo rytmicznie i uparcie. Gołębie szukały pożywienia, otrząsały swe pióra w ostrym słońcu. Ula bezwiednie westchnęła.

— Czy nie nudzisz się z nami, Ula? — zapytał Mutsch.

— Aha! Chcesz powiedzieć, że gdzie indziej byłoby mi mniej nudno. Czy mam was zostawić?

— Właśnie to chciałem powiedzieć.

Ula pokręciła głową. — Ale ja nigdzie nie pójdę!

— Za to ja muszę zaraz iść — powiedziała Ulryka, ale nie wstała. — Nie mogę zostawiać dziecka długo samego. Śpi w ogrodzie pod kasztanem; na razie jest w cieniu, ale za pół godziny będzie tam słońce.

— Jak mogłaś je tak zostawić — rzekła Ula z wyrzutem i przestała machać nogami. — Naprawdę, Ulryko, nie spodziewałam się tego po tobie.

— Dobrze wiem, jak wędruje cień. Dziecku nic się nie stanie, jeśli za kwadrans zostanie przesunięte bliżej drzewa. Możesz mi wierzyć.

— Jestem oburzona — rzekła Ula, a jej błękitne oczy błysnęły gniewnie. — Ja się staram, jak mogę, aby cię namówić do przyjścia tutaj, a kiedy już przyszłaś, okazuje się, że zostawiłaś dziecko w słońcu po to tylko, aby mnie stąd odprawić.

— Ależ, Ula!

Mutsch włączył się do rozmowy. — Ulryka na pewno nie miała tego na myśli.

— A ty bądź cicho! — powiedziała Ula. Zeskoczyła z ławki i stanęła przed nimi. — Zgoda, przetransportuję dzieciaka.

— Tylko uważaj!

— Potraktuję je jak przesyłkę pocztową. A za piętnaście minut tu wrócę. Do tego czasu musicie skończyć. — Ula odwróciła się i pobiegła.

— To dobre dziecko — rzekł Mutsch.

— Biedne dziecko, nie wie jeszcze, jaki podły potrafi być świat.

Mutsch wyprostował się. — Nie mów jej tego. Ma jeszcze kilka lat przed sobą, nim się o tym dowie.

— Powinna się dowiedzieć możliwie jak najwcześniej.

— Bzdura! Powinna się dowiedzieć jak najpóźniej. Nie wszystkie dziewczyny w tej okolicy pozostają z nieślubnym dzieckiem.

Ulryka spojrzała na niego, ale nie zdawała sobie sprawy, ile czułości wyrażały jej lśniące oczy. — Jak ty ze mną rozmawiasz, Mutsch? — rzekła, udając oburzoną.

Mutsch słuchał jej głosu, ale nie słyszał słów. Wciąż się zastanawiał, co to było, że wydała mu się taka zmieniona.

— Słyszysz, co mówię, Mutsch?

— Nie.

— Co ty sobie myślisz? Przed czterema laty przyszedłeś i powiedziałeś, że jestem jedyną osobą, która coś dla ciebie znaczy. Przed trzema laty, kiedy trafiłeś do więzienia, zawiadomiłeś mnie, że się pomyliłeś, że było bardzo przyjemnie, ale nie może dalej trwać. Przed kilku tygodniami znów się zjawiasz, pytasz, jak mi się powodzi, i znów się żegnasz — na zawsze. W kilka dni potem znów przychodzisz do mnie jak gdyby nigdy nic. Czego ty ode mnie chcesz? Chyba nie zamierzasz zaczynać od miejsca, w którym przed kilkoma laty skończyłeś?

— Owszem.

Ulryka usiłowała odsunąć się od niego i omal nie spadła z ławki. — Nie zapomniałam — rzekła surowym tonem — że po prostu zostawiłeś mnie na lodzie.

Mutsch odwrócił się, zerwał gałązkę brzozy. Dokładnie oskubał listki, następnie uderzał cienką witką po dłoni.

— Ja tego nie zapomniałam — powiedziała znów Ulryka — i nie zapomnę.

Mutsch uśmiechnął się ostrożnie i rzekł spokojnym, ciepłym głosem: — Ty prawdopodobnie nazywasz doświadczeniem życiowym to, co ja określam jako błąd.

— Nie chcę znów doznać zawodu — powiedziała z goryczą. — Zostałam porzucona. Ale jakoś się z tym pogodziłam, teraz mam dziecko, które mnie nie porzuci.

— Urośnie, wydorosłeje i także cię opuści.

— To moja sprawa.

— Ale ja nie chcę, aby to była tylko twoja sprawa. Zgoda, porzucono cię. Raz ja cię porzuciłem, potem ten Sebastian. I sądzisz, że zawsze tak będzie?

Ulryka wstała. — To wszystko słowa. Nic, tylko słowa.

— Jesteś mi potrzebna, Ulryko.

— Nie! — zawołała, broniąc się. I szeptem dodała: — Później zawód byłby zbyt gorzki.

Uciekła. Jej włosy powiewały na wietrze. Mutsch patrzył, jak się oddala; nie miał sił, aby wstać i bieć za nią. Rozwiane włosy odcinały się od błękitu nieba. I nagle Mutsch uświadomił sobie, dlaczego Ulryka wydała mu się taka zmieniona: znów była uczesana tak jak wtedy.

Oczywiście — rzekł burmistrz Reisser poufnym tonem do Pulvera — uznaję, że wyniki śledztwa są absolutnie bez zarzutu. Ale wprost nie mieści mi się w głowie, że akurat...

— Nie jest on pierwszym poetą, który odebrał sobie życie — odparł Puhrer. Był uszczęśliwiony, że mógł pochwalić się swoją wiedzą.

— Oto, co mnie niepokoi: jako burmistrz i prezes komitetu budowy pomnika, w którym i pan pełni ważną funkcję, z dumą myślę o poświęceniu pomnika; ale jako chrześcijanin mam pewne wątpliwości, gdyż moje przekonania religijne nie bardzo pozwalają mi czcić samobójcę.

— Aha — rzekł Pulver.

— Właściwie, dlaczego miałoby to być samobójstwo? Czy są na to niezbite dowody? Moje przecucie, drogi Pulver, podpowiada mi, że to nie mogło być tak. Wobec tego pytam: czy nie jest możliwy nieszczęśliwy wypadek? Albo może coś jeszcze gorszego? Panie Pulver! Niech pan po myśli, co to mogło być!

Pulver nastawił uszu, po czym uśmiechnął się chytrze; wydawało się, że to, co usłyszał, bardzo go ucieszyło. Zacierając ręce, rzekł: — Jeśli pan, panie burmistrzu, dokładnie przeczyta mój raport, zwróci pan uwagę, że napisałem w nim: „prawdopodobnie samobójstwo”. Prawdopodobnie! Mój instyunkt z góry mi mówił, że ten wypadek nie jest wcale taki prosty, na jaki wygląda.

— No to wspaniale. I dopiero teraz pan mi to mówi?

— My pracujemy w ciszy — powiedział Pulver skromnie. — Nasze przypuszczenia sprawdzamy szczegółowo, gromadzimy dowody. Dopiero potem uderzamy. — I pomyślał: Przecież nie jestem głupi, nie będę robił hałasu, dopóki nie zdobędę jakiej takiej pewności, że mi się to opłaci. A czy to można wiedzieć, na jakie poparcie człowiek może liczyć i z jakim przeciwnikiem przyjdzie mu się zmierzyć? Jeśli pozyskam nie tylko osłonę burmistrza, ale także jego pomoc, wtedy będę mógł sobie pozwolić na rozmaite skoki i śmiałe kombinacje. A ja aż się palę do tego.

— Czy wolno zapytać, w jakim kierunku idą pańskie poszukiwania? — zapytał Reisser z ciekawością.

Pulver skinął głową. — Zaskoczyły mnie dwie okoliczności. Po pierwsze, nie ma żadnych zewnętrznych śladów, żadnych ustnych ani pisemnych dowodów, które by wskazywały na zamiary samobójcze; to ostatnie szczególnie daje do myślenia, jako że chodzi tu o jednego z tych poetów, u których potrzeba uzewnętrzniania się jest szczególnie znana.

— A po drugie, panie Pulver?

— Ten człowiek miał dużą ranę na potylicy.

— Świetne spostrzeżenie — powiedział burmista. — Mnie także to zaskoczyło. I jeszcze coś: że akurat MutłCh znalazł topielca.

— Panie burmistrzu — rzekł Pulver, a brzmiało to niemal uroczyście — to jest punkt zasadniczy. Pozwolę sobie pogratulować panu przenikliwości. Także moje podejrzenia od początku krążyły wokół tego dziwnego przypadku. To niezawodny sposób wszystkich komisarzy policji kryminalnej, aby najpierw skoncentrować się na motywie, a dopiero potem, jeśli nie da się go ustalić, na podejrzanych osobach. A teraz proszę wziąć pod uwagę moje wieloletnie doświadczenie, a szczególnie moją dobrą znajomość Wahl-heimu. Znam tu w mieście kilku ludzi, których mógłbym posądzać o fałszowanie żywności lub o nadużycia finansowe, a nawet o uwodzenie nieletnich, ale tylko jednego, którego mógłbym posądzać — wprawdzie nie o morderstwo z premedytacją — ale o zabójstwo w afekcie.

— Tego samego, który się nie cofa przed ciężkim pobiciem.

— Który jest podejrzany o to, że skradł akta w komisariacie.

— Który wypowiada obelgi godzące w godność osobistą tak przebiegle, że trudno byłoby go pozwać za to do sądu.

— Który podżega dorosłych i dzieci do czynów, które z łatwością można uznać za sprzeczne z prawem. Który nie ma najmniejszego szacunku dla władzy i bezczelnie to okazuje.

— Widzę, że jest pan na dobrej drodze.

— Ale nie będzie to droga łatwa.

— Na pewno pan sobie poradzi.

Pulver pogrążył się w zadumie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że to, co go czeka, to nie dziecinne igraszki. Marzył o tym, aby oddać w ręce sprawiedliwości tego zawziętego, krnąbrnego typu. Nęciła go też perspektywa wykazania się swoją tak pieczołowicie pielęgnowaną wiedzą kryminalistyczną i doprowadzenia sprawy do pomyślnego końca.

Wziął notatnik i odtworzył na podstawie zapisków wszystkie pytania, jakie zadał wówczas na łące Mutschowi. Dokonał przy tym dziwnego odkrycia, a mianowicie, że już wówczas, choć tylko podświadomie, miał pewne niejasne podejrzenie. Potem wykonał szkic miejsca, gdzie

leżał topielec, w skali 1:100. Podziwiał swoje dzieło z uśmiechem uznania, złożył szkic i wsunął do kieszeni na piersi.

Następnie wyszedł i skierował się w stronę domu Scheuermanna, któremu, zależnie od rezultatów dochodzenia, można by udowodnić ewentualny bezpośredni współudział, pośrednie poparcie lub nieświadome sprzyjanie zbrodni.

Natknął się najpierw na Ulę, która siedziała naburmuszona przed wejściem. Bardzo mu było na rękę to spotkanie, gdyż ta dziewczynka mogłaby przecież być świadkiem koronnym. Udał dobrego wujka: — No, moje drogie dziecko — rzekł dobrodusznie i ujął dziewczynkę pod brodę.

Cofnęła się. — Co jest! — zawołała z oburzeniem. — Co to ma znaczyć?

— Ależ... — rzekł Pulver pojednawczo.

Z dorosłymi o wiele lepiej dawał sobie radę. Mieli oni już za sobą niezbędne doświadczenie. Co innego dzieci: łatwo było je spłoszyć albo skarcić, ale kiedy chciał je wypytać, nierzadko spotykały go z ich strony upokorzenia, ponieważ nie od razu okazywały mu szacunek.

Doświadczenie nauczyło Pulvera, że najlepiej jest traktować dzieci jak wysoko postawione pijane osobistości, wobec których, nie wiadomo dlaczego, zawsze należało zachowywać czujność. Postanowił więc nie okazywać, że ta mała, plująca jadem żmijka — wykapany tatuś — irytuje go, tylko dalej grał rolę dobrego wujaszka.

— Gdzie jest pan Mutsch? — zapytał grzecznie.

— Tutaj go nie ma — odpowiedziała Ula nieufnie. W gruncie rzeczy było jej trochę smutno, że nie może być teraz razem z Mutschem i Ulryką w parku. Przesunęła dziecko w cień, a potem z ciężkim sercem wróciła do domu. Czuła, że Mutsch i Ulryka chcieli zostać sami. Uszanowała to, ale było jej przykro.

— No więc, gdzie on jest?

— Poszedł sobie.

Pulverowi niełatwo było dalej okazywać uprzejmość. — Szkoda — rzekł z trudem. — Chciałem z nim porozmawiać.

— A czy on też chce z panem rozmawiać?

— Na pewno — oświadczył Pulver. — Uciesay się, jak mnie zobaczy.

— No dobrze — rzekła Ula. — To chodźmy.

Gdy Pulver dowiedział się, że Mutsch jest w parku, nie bardzo wiedział, czy ma okazać, jak bardzo mu nie w smak ten kilkukilometrowy marsz, który go czeka, plus droga powrotna. I już chciał wydać polecenie: Niech się zgłosi na policji o tej i o tej godzinie, ale potem spodobała mu się perspektywa dłuższego przebywania z małym świadkiem wydarzenia. Miał nadzieję, że uda mu się porozmawiać z nie przeczuwającą chyba niczego dziewczynką i że dowie się czegoś ciekawego.

Wkrótce jednak spostrzegł, że dziewczynka wcale nie była taka naiwna, jak się tego spodziewał. Im więcej zadawał pytań, tym bardziej stawała się nieufna. Ale teraz kroczyli zgodnie przez miasto ku zdumieniu mieszkańców.

— Mądra z ciebie dziewczynka — powiedział. — Zaraz do mnie przybiegłaś, kiedy pan Mutsch zauważył człowieka w wodzie.

— To ja pierwsza go zobaczyłam, nie on.

— Jesteś tego pewna? A czy on się bardzo przestraszył? Czy chciał odejść?

— Bzdura — odpowiedziała Ula z przekonaniem. — Był zupełnie spokojny.

— Co ty powiesz! No tak, to człowiek, który ma wszystko dokładnie obmyślane. Było to dla niego całkiem naturalne. Ani śladu zaskoczenia?

— On jest po prostu wspaniały — powiedziała Ula.

— Czy bardzo go lubisz?

— Bardzo. Ale pan także ujdzie.

Pulver udął, że nie usłyszał tej uwagi. — Czy zawsze robisz to, co on ci każe?

— Przeważnie.

— A jeśli ci powie, że masz milczeć, to wtedy milczysz?

— Jak grób.

— Tak powinno być — rzekł Pulver z uznaniem. — To bardzo ładnie z twojej strony. Nie wolno ci zdradzać jego tajemnic. Ale mnie możesz powiedzieć, bo ja i tak je znam.

Ula spojrzała na niego badawczo. — Jeśli pan wie, to nie potrzebują panu mówić.

— Wcale nie musisz. Nie uwierzysz, jak ja dobrze wszystko wiem. Posłuchaj. — I zaczął jej opowiadać, jak sobie wyobrażał odkrycie trupa. Nie było ważne, by mówić dokładnie. Chodziło tylko o to, by wywołać sprzeciw dziewczynki. Chodziło o konfrontację wcześniejszych informacji z nowymi.

— No i co? — zapytał na koniec. — Co ty na to?

Ula odrzekła: — Dużo wyssał pan z palca! — Ale w jej głosie wyczuwało się podziw.

Pulver wcale nie był zadowolony z tej reakcji. Nawet go rozdrażniła i utwierdziła w przekonaniu, że ta mała, kuta na cztery nogi dziewczyna jest przebiegła jak lis.

Przez resztę drogi nie zaszczycił już Uli ani jednym słowem. Dodatkowo irytowało go, że ona nic sobie z tego nie robiła. Jego ponury nastrój rozwiął się jednak na widok Mutscha, który siedział na ławce w parku z dziewczyną! Dziewczyna wstała natychmiast, najwidoczniej dlatego, że zobaczyła Pulvera i Ulę; nawet się nie pożegnała, tylko szybko odeszła. O ile Pulver mógł ocenić z odległości około sześćdziesięciu metrów, była to dość zgrabna dziewczyna.

— Kto to był? — zapytał Pulver, kiedy doszedł do ławki, na której siedziała jego ofiara.

Mutsch nie odpowiedział. Spojrzał poważnie na Ulę, która się do niego przysiadła, i rzekł: — Jak mogłaś to zrobić?

Ula uznała, że nie ma tu jej winy. — On powiedział, że musi natychmiast z tobą porozmawiać — odparła, wskazując na Pulvera. — Powiedział, że jest twoim przyjacielem.

— Moi przyjaciele wpędzą mnie przedwcześnie do grobu.

— To całkiem możliwe — odezwał się Pulver i roześmiał się beczelnie. — Jestem tu służbowo.

Mutsch ledwo na niego spojrzał. — Znajdujemy się tutaj w parku, a nie w komisariacie.

— Moje pole działania nie jest niczym ograniczone.

— To wszystkim wiadomo!

— Muszę zadać panu kilka pytań. — Pulver przysiadł się do niego.

— Idź do domu, Ula — rozkazał Mutsch dziewczynce. — Teraz będzie tu bardzo niemiło.

— Ale ja właśnie dlatego chcę z tobą zostać! — Ula ze złością spojrzała na policjanta. — On mnie oszukał! Powiedział, że jest twoim przyjacielem!

— Daj spokój — rzekł Mutsch łagodnie. — Idź się trochę przejść, ale bądź w pobliżu. Potem razem wrócimy do domu. No, idź już, bądź grzeczna.

— Słucham — rzekł Mutsch spokojnym tonem. — Jestem teraz do pańskiej dyspozycji. Ale niech się pan streszcza. I jeszcze jedno panu powiem: tego papierka, który rzekomo panu zginął, u mnie nie ma.

— Założymy nowe akta — odparł Pulver. — Na pewno warto.

— Jeśli nie ma pan nic lepszego do roboty — to proszę.

Pulver przerzucił strony swojego notatnika. — A więc do rzeczy. Twierdził pan wtedy wobec mnie, że nie zna Sebastiana Sempera.

— Czy nie może pan zostawić zmarłego w spokoju?

— Chciałby pan!

— Niech pan nie będzie bezczelny — rzekł Mutsch.

— A więc: nie znał pan Sebastiana Sempera?

— Nie.

— Nigdy go pan osobiście nie widział?

— Nie.

— A słyszał pan o nim?

— Tak.

— Przy jakiej okazji? Z kim pan rozmawiał o Sebastianie Semperze? Kiedy to było? I co mówiliście?

— To moja prywatna sprawa.

— Tak pan sądzi?

— A poza tym, nie pamiętam dokładnie.

— To niech pan łaskawie wysili swój umysł.

Mutsch wyprostował się i obrzucił Puhlera pogardliwym spojrzeniem. — Nie widzę najmniejszego powodu, by rozmawiać z panem o sprawach, które uważam za błahe.

— Odmawia pan zeznania?

— Już mnie pan raz pytał; wtedy powiedziałem, że nie, ale dziś mówię — tak!

— A więc nie chce pan zeznawać?

— Niech pan to nazywa, jak pan chce. I niech mnie pan zostawi w spokoju!

Pulver wstał sztywno. — Wobec tego proszę pana jako osoba urzędowa, aby się pan stawił jutro po południu, między godziną czternastą a szesnastą w moim biurze, w celu złożenia pisemnego zeznania. Odpowiednie pismo zostanie panu dostarczone jutro przed południem. Niestawienie się jest karalne, poza tym zostanie uznane za odmowę złożenia zeznania, co może mieć poważne następstwa w dalszym przebiegu sprawy, ewentualnie może stanowić podstawę do aresztowania.

— O jakiej sprawie pan mówi?

— Mówię o sprawie, którą przynajmniej na razie nazywamy sprawą Sebastiana Sempera. Istnieje bowiem uzasadnione podejrzenie, że chodzi tu o morderstwo.

Miasto Wahlheim nad Panzą oczekiwało nadchodzących wydarzeń ze spokojem, ale nie obojętnie. Zanosilo się na to, że lato w tym roku będzie niezwykle urozmaicone. „Goniec” użył nawet określenia, które było tutaj czymś nowym: „sezon letni”.

Miało się odbyć nie tylko tradycyjne święto straży pożarnej, ale także odsłonięcie pomnika; do tego dochodziły jeszcze wybory gminne. Życzliwe propozycje ludzi nie związanych z handlem, by wszystkie te imprezy połączyć razem i zorganizować w któryś weekend, nie znalazły uznania. Skłaniano się raczej do tego, by każde z tych wydarzeń świętować jak najdłużej i bardzo uroczystie; poza tym głoszono wszem wobec, że udział znacznej części mieszkańców miasta jest jak najbardziej oczywisty i nie ma nic wspólnego z polityką, najwyżej z przekonaniem.

Z największą gorliwością rozpoczęto przygotowania. Oszczędzano pieniądze i odświeżano odzież. Oba miejscowe związki sportowe, „Jahn 34” i „S.V.Eintracht”, przygotowywały igrzyska przyjaźni. Kierownik kina „Gloria” za-

biegał o filmy z Sarą Leander, Ottonem Gebiihrem i o jakąś wojskową komedię; chciał wyświetlić te filmy w czasie owych uroczystych dni.

Ulice miasta były wyludnione, apetyty mieszkańców znacznie mniejsze, tylko wieczorem wzrastało pragnienie. Szkoły miały wakacje. Była to pora, kiedy zwykle pracuje się w ogródkach i odnawia mieszkania. Rajskie czasy dla emerytów i dzieci.

Akta pokrywały się warstwą kurzu, na twarzach ludzi lśniły krople potu. W czasie wolnym od pracy wszystkie okna były pootwierane, ławki pozajmowane. Dentysta opowiadał, że jak zwykle o tej porze roku, planował podróż, ale zrezygnował, gdyż nie mógł się zdecydować, czy wyjechać nad morze, czy w góry.

Były to miesiace, kiedy upał rozleniwił, czas wielkiej nudy i małych plotek.

Do nielicznych, bardzo zaabsorbowanych ludzi należał Flammer. Po raz pierwszy, odkąd pracował w „Gońcu”, strumieniem napływały do niego materiały. Po prostu rozkosz dla dziennikarza. Segregował je, układał, wiele z nich odrzucał. Szpalty gazety zapełniały się wspaniałymi tekstami.

Trochę mu było przykro, że musiał zaniedbać kilka osób płci pięknej. Córka właściciela sklepu papierniczego, Hohllandera, wielokrotnie go pytała, dlaczego teraz tak mało czyta i kiedy znów się u niej pokaże, by pożyczyć książki. Oświadczył, że na razie ma wystarczająco dużo lektury.

— Zaniedbujesz mnie — rzekła wtedy dziewczyna szczerze.

Na to on odparł: — Już taki jestem. Żal mi ciebie, ale chwilowo nic na to nie mogę poradzić.

Bardziej intensywnie zajmował się sekretarką burmistrza, zwłaszcza że Małgorzata von Habern była dobrym i niezawodnym źródłem informacji.

— A jak ma wyglądać ten pomnik?

— Nie wiem, panie Flammer. Ja go nie projektuję.

— Czy wydano już odpowiednie dyrektywy?

Małgorzata, z lekka poirytowana, że Flammer zadaje wyłącznie służbowe pytania, oświadczyła na podstawie notatek burmistrza z posiedzeń: — Dotychczas postanowiono jedynie, że pomnik będzie miał charakter symboliczny, będzie to kolumna pozbawiona wszelkich ozdób.

— Coś w rodzaju skierowanej w niebo lufy armatniej?

— Kolumna z tablicą ku czci...

— A tekst?

— Jeszcze nie zdecydowano. Czy ma pan dalsze pytania?

— Czy wybierze się pani ze mną na spacer?

— Dziś wieczorem zostanę w domu.

— Wobec tego przyjdę do pani.

Małgorzata udała oburzoną. — Każę pana wyrzucić za drzwi. Nie jestem jedną z pańskich panienek.

— Niestety — rzekł Flammer ze smutkiem i z przyjemnością przyglądał się jej niezbyt pulchnym kształtom. — Bardzo mi się pani podoba. Ale niech się pani cieszy, że nie ma na imię Ulryka.

— Niech pan stąd natychmiast wyjdzie. Nic dla pana nie jest święte.

— W każdym razie na pewno nie pani! Ale to chyba powinno panią cieszyć?

Pułkownik Gümpel i redaktor naczelny Bremer, zmagając się z palącymi problemami, kroczyli obok siebie ulicami Wahlheimu, kierując się w stronę torów, gdzie znajdował się dom rodziców Sebastiana Sempera. Palili cygara i mieli poważne miny.

— Bardzo sobie cenię pańską radę — zapewnił Gümpel. — Wiem, że jest pan ekspertem w tej dziedzinie. Rozwią-

zanie, jakie pan zaproponował, uważam za wręcz genialne. Uważa pan, że jest potrzebna zgoda rodziców Sempera?

— Bezwzględnie tak. Chodzi tu o prawa autorskie. Zgodnie z ustawą rodzice Sempera są jak gdyby pełnomocnikami dziedzictwa duchowego poety. Będą musieli udzielić zgody i mam niepłonną nadzieję, że nam nie odmówią.

— Na pewno nie — rzekł Gumpel z całym przekonaniem.

Semperowie byli ogromnie zaszczyceni, mogąc powitać w swoich progach tak ważne osobistości miasta. Byli trochę zdenerwowani, czuli doniosłość chwili; przynieśli krzesła dla obydwu mężczyzn. Odkąd Sebastian od nich odszedł, zdawali sobie sprawę, że są ośrodkiem zainteresowania mieszkańców Wahlheimu i bardzo im to pochlebiało.

Pan Semper jakby odmłodził, głos jego nabrał mocniejszego brzmienia, wyczuwało się w nim dumę ojcowską. W obecności obcych osób trzymał się prosto i spoglądał dostojnie. Jego żona starała się przyjąć godną postawę, swoją żalobną czerń nosiła niczym królewską szatę.

— Podziwiam państwa — rzekł Gumpel. — Wasza postawa jest godna uznania.

— Nasz ukochany syn zasłużył sobie na to.

Na znak pułkownika Bremer zaczął wygłaszać długi, starannie przygotowany referat na temat planów związanych z uczczeniem pamięci Sebastiana Sempera; ciężko doświadczeni rodzice słuchali go, potakując głowami. Zrozumieli i zaaprobowali wszystko, co powiedział Bremer.

— Aby tablicy pamiątkowej — rzekł Bremer — która ma zdobić pomnik, nadać właściwą wartość, należy wyryć na niej następujący tekst:

W hołdzie
wielkim synom naszego miasta
wdzięczni rodacy

Ale to nie wystarczy. Na dowód, że komitet budowy pomnika ku czci Sebastiana Sempera wzniósł ów monument,

aby uhonorować naszego rodzimego poetę, musimy umieścić na tablicy jeden z jego najbardziej charakterystycznych wierszy, który będzie stanowił credo.

— Czy państwo mnie rozumieją? — zapytał Gumpel.

Semperowie udali, że rozumieją.

Bremer mówił dalej: — Szukaliśmy długo, nim znaleźliśmy coś odpowiedniego. Syn państwa miał co prawda naturę sentymentalną, ale nie brak w jego wierszach aluzji, które można wielorako interpretować. Chodzi tylko o to, aby uwydatnić owo śmiałe przesłanie, a więc o drobną korektę, która niewątpliwie zyska państwa uznanie i aprobatę. Tak więc z cyklu „Do Ulryki” wybraliśmy następujący wiersz:

Że kochamy się nas ganią Lecz
nagana — rzeczą tanią. Nie ugniemy
się z pokorą, Niech nas ganią, niech
nas łają, Niech nas nawet opluwają.
Kochania nam nie odbiorą.

— Bravo — rzekł Gumpel, udając wzruszenie.

— Tyle oryginał — ciągnął Bremer dalej. — A oto drobniutka korekta, którą państwo na pewno zaakceptują. W pierwszej linijce wyraz „się” zastąpimy „ją”, będzie ona wówczas brzmiała:

Że kochamy ją — nas ganią.

W ostatniej linijce słowo „kochania” zastąpimy słowem „wolności”; będzie to wówczas brzmiało:

W o l n o ś c i nam nie odbiorą.

— To robi wrażenie — rzekł Semper.

— I jest całkowicie w duchu poezji naszego drogiego syna — dodała jego małżonka.

Bremer szybko wyciągnął z kieszeni kartkę, na której zapisane były omawiane przed chwilą zmiany. Podsunął Semperom, a oni podpisali. Pułkownik uśmiechnął się życzliwie.

Zanim się pożegnali, Gumpel zapytał mimochodem: — Proszę mi powiedzieć, czy państwo wiedzą, jaką Ulrykę syn miał na myśli? O jaką Ulrykę tu chodzi?

- To chyba wytwór jego wyobraźni.
- Miejmy nadzieję, że tak jest w istocie.

Wielebny Marcus klęczał w ogródku i pielil grządkę. Opasał się zielonym fartuchem. Rzadkie włosy, które zaczynały siwieć, opadały mu na twarz. Sapał. Było gorąco. Wyrывая chwasty, myślał o swojej parafii. Zastanawiał się, czy dość troskliwie uprawia winnicę, którą powierzył mu Pan Bóg. Nie był z siebie zadowolony i nie wyobrażał sobie, żeby Pan w niebiosach był z niego zadowolony.

Od czasu do czasu, kiedy bolał go krzyż, wstawał z klęczek. Zaciskał pięść i ugniatał nią okolice nerek. Kiedy tak stał, wzrok jego biegł ponad niskim parkanem ku miastu Wahlheim, które drzemało w słońcu. Nagle ujrzał Mutscha, który właśnie tędy przechodził.

Ksiądz Marcus rzucił na ziemię krótką motykę i szybkim krokiem zbliżył się do parkanu. — Dzień dobry, panie Mutsch!

— Dzień dobry!

— Już dawno chciałem z panem porozmawiać.

Mutsch się zatrzymał. — Już ksiądz ze mną rozmawiał, tamtej niedzieli przed kościołem, kiedy to zatrzęsnięto przede mną drzwi.

Marcus usiłował nieśmiało się uśmiechnąć; wyglądało to tak, jak gdyby coś go bolało. — To była niedobra godzina — rzekł. — Tymczasem wiele o panu słyszałem. I coraz bardziej pragnąłem z panem porozmawiać. Pan wówczas poświęcił się za drugiego człowieka.

— Widzi to ksiądz w niewłaściwym świetle — rzekł Mutsch z goryczą. — Nie jestem ani mordecą, ani męczennikiem. Po prostu ogarnęła mnie wściekłość, straciłem panowanie nad sobą i uderzyłem. Siedziałem za to w więzieniu. Tylko dlaczego nadal mam stać pod pręgierzem?

Marcus uniósł prawą rękę: — Niezbadane są wyroki boskie, mój przyjacielu.

— A czy na ziemi nie dość jest wytworów czysto ludzkich? Utrudniają nam one życie, a przecież nietrudno byłoby je usunąć przy odrobinie dobrej woli i życzliwości...

— Dlaczego pan sam nie zrobi początku?

Mutsch założył ręce na plecach i zacisnął je. — Proszę księdza — rzekł — chyba nie należę do ludzi, którzy mogliby być narzędziami w ręku Pana Boga. Kimże bowiem jestem? Mam niewiele wrażliwości i prawdopodobnie słaby charakter, bo pozwoliłem, aby wylano mi na głowę kubeł pomyj i nawet nie mrugnąłem powieką. Powiadają o mnie, że sięję niepokój i podburzam dzieci. I kto tam wie, co jeszcze będą o mnie gadać. Być może to i owo jest prawdą. Nie jestem narzędziem dobra.

— Jest pan człowiekiem, który ma siłę, aby poświęcić się dla innych.

— To nieprawda, wcale się nie poświęcałem i nie mam zamiaru się poświęcać. Jestem egoistą.

Mutsch uklonił się i odszedł mocnym, długim krokiem.

Marcus ukląkł, pochylił się i chwycił obiema rękami chwasty; zanim je wyrwał, uśmiechnął się i rzekł: — Ale wspaniały świat stworzyłeś, Panie!

Ulryki mieszkające w Wahlheimie nie wiedziały, czy mają się rumienić, czy czuć mile polectane. Ogólna opinia bowiem była taka, że wymieniając imię Ulryki — i to w związku z całkiem niedwuznacznym wierszem miłosnym — nie dopuszczono się niedyskrecji, lecz dano wyraz uwielbieniu. Przecież chodziło o dzieło poety, którego miasto zamierzało uczcić. Nawet osiemdziesięciodwuletnia wdowa po leśniczym, Ulryka von Lever, uśmiechała się dwuznacznie sama do siebie.

Oczywiście cały Wahlheim zastanawiał się, kim jest ta uwielbiana Ulryka. Ale nikt nie wpadł na Ulrykę Loos i łatwo zrozumieć dlaczego: Te wiersze były wyróżnieniem, tak w każdym razie twierdziły miarodajne instytucje mias-

ta, a wśród nich także „Goniec”; upadłe dziewczęta zaś nie zasługiwały na to, by je wyróżniano.

Powoli dojrzywały — zwłaszcza przy stolikach stałych bywalców „Czarno-Białego Byka” — wciąż nowe, bardzo pikantne teorie, które z sympatią rejestrowała Irena Kram-pus, przysłuchująca się pilnie wszystkiemu. Mówiono między innymi, że wiersze poświęcone są Ulryce Hohlhander, córce księgarza. Autorem zaś jest — „oczywiście anonimowo, moi państwo” — dziennikarz Flammer. Pozostawił sławę Sebastianowi Semperowi, aby w ten sposób móc opublikować swoje własne utwory.

— To raczej mało prawdopodobne — rzekł kierownik szkoły, Kuhn, który uznawany był za eksperta i szczyił się swoją potrójną sławą odkrywcy, naukowca i filozofa. — Ale literatura zna takie przypadki. Wystarczy wymienić Szekspira!

Irena Krampus czuła, że nadeszła pora, aby się wtrącić. Udała zainteresowanie. Wyszła do gości, oświadczyła, że nie rozumie, o co chodzi i prosi, aby ją łaskawie poinformowano o całej sprawie. Powiedziano jej, o co chodzi. Otoczona ciasno przez gości, czytała te miłosne wiersze. Potem wyprostowała się i zawołała: — Jakże ja tej pani Reisser zazdroszczę! — Powtarzała tę uwagę jeszcze parokrotnie o rozmaitych porach i wobec rozmaitych gości.

Powoli więc rozniosło się, że burmistrzowa nazywa się Ulryka i całkowicie pasuje do osoby, której sławny poeta dedykował te czułe wiersze. Jednocześnie docierały pogłoski z innych źródeł: z redakcji, z obozu socjalistów, i powoli kształtował się i dopełniał obraz, wzrastało prawdopodobieństwo .

— Uważam, że to całkiem logiczne — rzekł Kuhn. — Wyobraźnia poety zawsze zwracała się ku kobietom z wyższych sfer. U minnezengerów stało się to regułą. To składanie hołdu Erosowi nie musi koniecznie być owocem prawdziwego spełnienia.

— To ostatnie — zapewnił Pulver — jest wprost nie do pomyślenia!

— A gdyby nawet tak było! — Pułkownik Gumpel nie miał ochoty tolerować żadnego sprzeciwu i pragnał już

w zarodku stłumić ewentualny bunt wobec swojego projektu. —
To żadna hańba być ukochaną geniusza.

Burmistrz starał się usilnie o niczym nie wiedzieć. Ale i on uległ pod naporem szeptów. W jego mózgu zaczęły lęgnąć się podejrzenia, dręczyły go wątpliwości. Przeżywał ciężkie chwile, myślał nawet o podaniu się do dymisji i gotów był złożyć swoją funkcję prezesa komitetu budowy pomnika. Zwołano tajną konferencję z wiceprezesem Gümplem, w której brał udział także honorowy kurator, naczelny redaktor Bremer.

— Mowy nie ma — oświadczył pułkownik Gümpel.
— Niech pan będzie wspaniałomyślny, okaże stanowczość.

Gottlieb Bremer dodał: — To wycofanie się mogłoby być poczytane za przyznanie się do winy. Wywarłoby niekorzystne wrażenie. Proszę nie zapominać, że nawet duże pisma okazały zainteresowanie i opublikowały pańskie nazwisko.

— Chodzi tu o mój honor — rzekł burmistrz z wahaniem. I nagle przypomniał sobie, jak niezwykle ożywienie okazywała jego żona, kiedy jej opowiadał o Sebastianie Sem-perze.

— Na Boga! — zawołał Gümpel. — Niech pan nie będzie taki drobiazgowy. Niech pan nie myśli o swojej sypialni, tylko o pomniku. Tu chodzi o wielkie symbole! W czasie obchodów Dnia Ochotniczej Straży Pożarnej zamierzam poruszyć ten problem i wysadzić z siodła niejednego przeciwnika! Musimy wreszcie stworzyć wyraźne fronty: z jednej strony przyjacieli, z drugiej wróg! Nic pośrodku. Neutralni są najgorsi!

— Panowie — rzekł Reisser ustępując — ale muszę mieć pewność, że potraficie zadbać o mój honor.

— Jasne — rzekł Gümpel. — To nasz rycerski obowiązek.

— Oczywiście — zapewnił także Bremer i mrugnął do •Gümpla; przez końską twarz pułkownika przebiegł ostrożny uśmiešek.

— Opinia mojej żony jest nieskazitelna.

— Ależ, łaskawy panie! Pańska szanowna małżonka odpowiada dokładnie moim wyobrażeniom o szlachetnej, wytwornej kobiecie. Jest jak Diana. Dotąd nie przyszło mi to do głowy. Proszą jej złożyć moje uszanowanie!

Po tej rozmowie, którą Reisser określił jako doniosłą, udał się on do domu. Zjawił się o całkiem niezwykłej porze i fakt ten mocno zaniepokoił jego małżonkę. Ale jeszcze bardziej niepokoiło ją milczenie męża i ponury, badawczy wyraz jego twarzy.

Pospiesznie nakryła do stołu, by podać kawę. Burmistrz siedział w swoim fotelu przy oknie, z którego mógł obserwować rynek. Nie patrzył jednak na ulicę, przyglądał się żonie i zastanawiał usilnie, co ona ma w sobie takiego powabnego, co byłoby godne utrwalenia na papierze, i to w dodatku w wierszach.

Podczas gdy zamyślony przyglądał się Ulryce, co wprawiało ją w coraz większe zdenerwowanie, przed oczyma jego wyobraźni przesuwwały się dziwne zdarzenia, o których po kryjomu czytał. Przede wszystkim jedna historia nie dawała mu spokoju: historia pewnej wytwornej kobiety, która od czasu do czasu pracowała w burdelu. Również jej mąż odwiedzał regularnie ów burdel. I tu właśnie spotkał swą żonę! Burmistrz zadrżał.

— Ottokarze, co ci jest? — zapytała Ulryka z troską w głosie.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w nią. Postawiła imbryk z kawą na podstawce tak mocno, że się stłukła. Reisser pokiwał głową ze złością.

Ulryka nie wiedziała, co ma robić. Stała przy stole zalekniona i nie śmiała na niego spojrzeć. Co mu jest? — myślała. Nigdy nie widziałam, aby był taki zły; zdenerwowany — owszem, nawet dość często, zgryźliwy także — ale taki zły, taki zacięty i groźny nie był właściwie nigdy!

Zastanawiała się pospiesznie, co takiego mogła zrobić, co wywołało u męża taką reakcję; ogarnęło ją bowiem uczucie, że jego zły nastrój ma związek z jej osobą, i nie mogła się tego uczucia pozbyć. Przebiegła myślą swój niewielki rejestr win. Jakaś nieopatrzna uwaga na temat

służbowej sprawy? Chyba nie; miała niewiele przyjaciółek i z żadną z nich nie rozmawiała nigdy na tematy osobiste. Zbyt drogie zakupy? Nie, o to mąż nigdy się nie troszczył, nie miał czasu. Była niemila wobec niego? Wykluczone.

Pozostawało tylko jedno, ale nie mogła sobie wyobrazić, że się o tym dowiedział — mianowicie sprawa z Puhrerem. Nie zaniedbali przecież żadnego środka ostrożności. Ona milczała. On także przyrzekł, że będzie milczał. Niemożliwe, żeby złamał przyrzeczenie, mowy nie ma!

— Jak mogłaś to zrobić? — zapytał Reisser głucho.

Zadrzała na całym ciele i on to spostrzegł. Ogarnęło go przerażenie na myśl o tak haniebnej zdradzie. — Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał. Nigdy!

— O czym ty mówisz? — zapytała Ulryka słabym głosem.

— Czy nie spaliłaś się ze wstydu, czytając gazetę?

— O Boże, co ma z tym wspólnego gazeta?

Spojrzał na nią zgnębiony. — Powinnaś była przy tym pomyśleć o mnie.

— Przy czym, Ottokarze?

— No dobrze — rzekł niemal uroczystym tonem, ze szczerym smutkiem myśląc o tym, jak haniebnie został oszukany i mimo wszystko świadomy, że musi przebaczyć, by nie stać się ogólnym pośmiewiskiem. — Trudno, stało się i muszę to z godnością znieść. Tym bardziej, że mam satysfakcję, iż to się więcej nie powtórzy, bo on już nie żyje.

— Nie żyje? — Głos Ulryki załamał się, był zmieniony i ledwie słyszalny. Opadła na fotel obok stołu i spoglądała na męża pozbawionymi wyrazu, wodnistoniebieskimi oczami.

To go uspokoiło. Poczuł, jak rośnie w nim poczucie własnej przewagi. Sprawilo mu to satysfakcję, nawet zaostrzyło apetyt. Poczuł zapach świeżo parzonej kawy, który zwabił go do nakrytego stołu. Wyciągnął rękę po chrupiący rogalik. Ugryzł ze smutną miną.

Żona z wielkim wysiłkiem nalala mu kawy. Pił z przyjemnością, siorbiąc przy tym głośno. Potem zanurzył rogalik w kawie i ugryzł kawałek.

— Chyba rozumiesz, jak głęboko mnie to poruszyło. Ale przebaczam ci, bo nie jestem potworem. Poza tym on był geniuszem, a to niejedno zmienia. Wiesz, te rogaliki są wyśmienite. A geniusz ma swoje prawa, nie należy więc być drobiazgowym.

— Na litość boską, Ottokarze, proszę, powiedz wreszcie, o co ci chodzi!

— O to, że rogaliki są wyśmienite. A całą resztę lepiej taktownie przemilczeć. Znamy prawdę, ale nie musimy jej każdemu wyjaśniać. Proszę jeszcze trochę kawy. Dziękuję! Tylko jedno musisz mi zdradzić, abym wiedział, jak mam się zachowywać. Czy istnieją jakieś pisemne dowody, materiał nie do obalenia, ewentualni świadkowie?

— O Boże, Ottokarze, wprawiasz mnie w zakłopotanie!

— Mnie jest równie przykro jak tobie mówić dalej o tej sprawie. Ale w końcu muszę wiedzieć, na co mogę być narażony. A więc, czy należy się liczyć z tym, że w pozostałych papierach Sebastiana Sempera znajduje się jakiś list do ciebie albo coś, co mogłoby być materiałem dowodowym?

Ulryka zaczęła spokojniej oddychać. — Co to ma wspólnego z Sebastianem Semperem? — zapytała szczerze zdumiona. — Przecież ja go wcale nie znałam.

Reisser zapomniał wyjąć z kawy czwartego już rogalika. — Co to ma znaczyć? — zapytał z naganą w głosie. — Nie dość, że mnie zdradziłaś, to jeszcze mnie okłamujesz? To haniebne! Cały Wahlheim sądzi, że jego wiersze są dedykowane tobie; zresztą sama się do tego przyznałaś.

Ulryka poczuła, że wstępuje w nią nowe życie. Została cudownie ocalona i uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa. Czuliła znów mocny grunt pod nogami. I żywy rumieniec, który teraz oblał jej twarz, uczynił ją tak piękną, że mąż ze zdumieniem musiał stwierdzić: Ostatnio jej się bliżej nie przyglądałem, prawie się o nią nie troszczyłem, chyba to był błąd.

— Te wiersze — rzekła Ulryka z ulgą — poświęcone są jakiejś Ulryce. Ale nie mnie! Wcale nie znam tego Sempera, nigdy go nie widziałam, nigdy o nim nie słyszałam, dopóki nie ukazały się artykuły na jego temat.

Reisser spojrział na nią zaskoczony. Jak to szczerze brzmiało! Co za wyrafinowanie! Jak ona ma czelność nagle wszystkiemu zaprzeczać, do czego przed chwilą z lękiem i drzeniem się przyznała. I potrafiła nawet uderzyć w ton, który brzmiał niemal szczerze; każdy by go uznał za szczerzy, każdy, kto jej nie zna tak jak on. Ach, była taka przebiegła, a on lekkomyślnie jej nie doceniał.

Przyjrzał się żonie. Uznał, że jej twarz nie jest ani zbyt interesująca, ani pociągająca; wydało mu się jednak, że jej usta mają podniecający, zmysłowy wyraz. Piersi miała drobne, właściwie zbyt drobne, ale przypomniał sobie, jak gdzieś czytał, że to jest właśnie na wskroś nowoczesny, francuski — w przeciwieństwie do amerykańskiego — ideał piękności.

Biodra miała krągłe; już jako młody chłopak gustował w tego rodzaju kształtach, od czasu, kiedy jego nauczyciel, wskazując na postać Wenus, wykrzyknął z niechęcią „Fe!” i skonfiskował książkę.

Krótko mówiąc: gdy tak patrzył na żonę, uświadomił sobie, że była dość powabna i wobec tego można się było po niej niejednego spodziewać. Pochlebiało mu to jako mężczyźnie, jako obywatel był zmartwiony, a jako burmistrz przerażony.

— Jak już przedtem powiedziałem, gotów jestem ci przebaczyć — rzekł mocnym głosem. — Ale w przyszłości będę usilnie dbał o to, aby się podobna sytuacja nie powtórzyła. Jestem też gotów — w imię naszego dawnego spokoju i w obronie swojej godności — sądzić, że chodziło tu jedynie o duchowe, a nie fizyczne zauroczenie. Dzięki temu będziemy mogli przyjąć ze spokojem wszystko, co teraz nastąpi.

— Wierz mi, Ottokarze...

— Wierzę ci. Przede wszystkim dlatego, że nie mogę sobie pozwolić na przyjęcie do wiadomości czegoś przeciwnego. Ale to nie zmniejsza absolutnie mojej podejrzliwości.

— Krzywdzisz mnie, Ottokarze!

— Jestem tutaj burmistrzem — rzekł mąż z przekonaniem. — Mam obowiązki wobec społeczeństwa. Obojętne,

czy uważasz, że cię krzywdzę, czy też usiłuję jedynie dowieść moich racji — cokolwiek się stanie, będzie to w imię wielkiej sprawy. I dlatego nie możemy się wahać. Na letnim festynie z okazji Dnia Straży Pożarnej nasi wrogowie muszą paść przed nami na kolana.

Mutsch włożył swój wyjściowy garnitur, pokropił się wodą kolońską należąca do Scheuermanna i poprosił Ulę, aby go oczyściła szczotką. Potem wypił podwójny koniak i ruszył w drogę. Wkrótce dotarł do kuźni Loosa.

Kiedy próbował otworzyć bramę, pies na podwórzu zaczął głośno szczekać. Loos wychylił głowę z kuźni, a kiedy poznał Mutscha, twarz wykrzywił mu grymas, który prawdopodobnie miał oznaczać uśmiech.

— W pierwszej chwili pana nie poznałem, panie Mutsch. Ubrał się pan w garnitur, który nie pasuje w dzień powszedni.

— Chciałem z panem porozmawiać, panie Loos. W sprawie osobistej.

— W sprawie osobistej? — zapytał kowal niechętnie. — Kiedy rozmawiam z kimś, kto nie należy do mojej rodziny, to w grę wchodzi tylko dwa tematy: kuźnia albo Bóg.

— Ale nie zawsze tak było — odparł Mutsch uprzejmie — i może nie na zawsze tak zostanie.

Loos, zamyślony, lewą ręką podparł brodę, a prawą zacisnął. Miał ochotę wyrzucić Mutscha ze swego obejścia, tak jak archanioł wyrzucił kiedyś Adama i Ewę z raju. Ale czuł sympatię do tego człowieka, który umiał dobrze pracować i był przy tym milczący. Może potrzebuje rady; a więc dobrze, niech będzie.

— Chodź pan — powiedział i poszedł pierwszy przez podwórze do małej altanki w ogrodzie. Mutsch poszedł za nim; zerkał w otwarte okno, ale nie zobaczył Ulryki; miał jednak wrażenie, że zasłony się poruszyły.

Kowal usiadł, a Mutsch obok niego. — Czy napije się pan mleka albo soku?

Mutsch nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie. Ale pomyślał, że może to być okazja, żeby zobaczyć Ulrykę. Powiedział więc: — Poproszę o sok.

— Przynieś nam soku! — zawołał Loos do żony donośnym głosem. Chwilę potem pani Loos, jakby tylko czekała na rozkaz męża, przysłała, niosąc tacę z karafką soku malinowego i dwiema szklankami.

— Dzień dobry, panie Mutsch — rzekła odważnie, nie patrząc na męża. — Cieszymy się, że pan przyszedł.

— Dobrze, dobrze — rzekł Loos. — Już mu to mówiłem. Zostaw nas teraz samych.

Kobieta odeszła, Loos napełnił szklanki, wypił swoją do dna, po czym rzekł: — A teraz niech pan mówi, o co chodzi.

Mutsch oderwał wzrok od otwartego okna domu; miał nieodparte wrażenie, że Ulryka go stamtąd widzi i słyszy. To dodało mu odwagi i głos jego stał się mocniejszy. — Jak pan zapewne wie, w przyszłą sobotę jest święto straży pożarnej.

— Wiem — odparł Loos — ale to mnie nie interesuje.

— Pan Scheuermann, który jest w zarządzie... pan wie, że straż pożarna jest ponadpartyjna?

— Słyszałem, ale w to nie wierzę.

— W każdym razie Scheuermann prosił mnie, bym wziął udział w obchodach, i to przy stole z honorowymi miejscami. Dla mnie zarezerwował dwa.

— A co ja mam do tego? — zapytał Loos wrogim tonem.

— Bo widzi pan, to drugie miejsce...

— To mnie nie interesuje! Gotów jestem z panem rozmawiać, panie Mutsch, kiedy pan tylko zechce; ale nie pójdę z panem na żadną uroczystość. Jestem zaprzysiężonym wrogiem zabaw tanecznych, alkoholu i rozkoszy cielesnych; przykro mi, że pan jeszcze tego nie wie.

Mutsch wypił swój sok. — Panie Loos — powiedział — ale ja nie pana miałem na myśli.

— A kogo?

— Miałem na myśli — rzekł Mutsch odważnie — pańską

córke. Chciałem pana prosić, by pozwolił pan jej pójść ze mną na ten festyn.

Loosa w pierwszej chwili zatkało. — Moja córka? Ona ma z panem pójść na zabawę!

— Proszę pana o to.

Loos przejechał ręką po brodzie. Zmarszczył brwi. Usta zrobiły mu się wąskie jak kreska. Potem ta kreska otworzyła się i kowal powiedział: — Więc do tego doszło. Widzi pan w mojej córce jedną z tych dziewcząt, z którymi można się zabawić. Ale dobrze jej tak! Wszyscy uważają ją za dziwkę. Czułem, że tak będzie. Jest to ostatni krok na drodze, która prowadzi prosto na ulicę. Dobrze jej tak. To kara za jej postępek!

— Pan źle zrozumiał moją prośbę — rzekł Mutsch, z trudem zachowując spokój. — Z całym szacunkiem proszę o pozwolenie...

— ...by wolno było panu traktować Ulrykę jak dziwkę? Czemu nie? Po wszystkim, co zaszło? Chce pan się z nią także zabawić? To całkiem zrozumiałe.

— Proszę — rzekł Mutsch mocnym głosem — by przestał pan tak mówić o niej. Chcę ją wprowadzić do towarzystwa.

— Do towarzystwa! — Loos aż kipiał ze złości. — Znam to towarzystwo z jego pogańskim festynem, gdzie wszyscy bawią się lubieżnie, nazywając to tańcem, gdzie tarzają się po łąkach albo na sianie.

— Panie Loos — rzekł Mutsch pełen oburzenia — czy pan uważa mnie za ostatnią świnie?

— Wszyscy mężczyźni stają się tacy — rzekł stary Loos — kiedy alkohol uderzy im do głowy i noc ich rozgrzeje. Wszyscy mężczyźni.

Mutsch odsunął szklanekę i wstał. Nie panował już nad sobą, ale nagle usłyszał głos Ulryki. Wychyliła się z okna i powiedziała: — Nigdzie nie pójde, ojcze. Oczywiście, że nigdzie nie pójde z pierwszym lepszym przybłądą.

Mutsch znów usiadł. Obaj sapali ze zdenerwowania. Mutsch wstydził się swojej porywczosci, Loos zaś sam się sobie dziwił, że tak się w swym gniewie zagalopował.

Ulryka zamknęła okno.

— Oto cała moja córka! — powiedział Loos i usiłował się uśmiechnąć.

— Wspaniała dziewczyna, przyznaję - odparł Mutsch skinąwszy głową.

Doroczne święto straży pożarnej połączone z loterią fantową, którego tradycja sięgała roku 1894, było niewątpliwie szczytem życia towarzyskiego w Wahlheimie. Obchodzono je w wielkiej sali gospody „Pod Czarno-Białym Bykiem”, a gdy pogoda była ładna, w ogrodzie obok.

Ochotnicza Straż Pożarna, utworzona w roku 1894, była zrzeszeniem ponad wszelkimi partiami, ponad religią i klasami społecznymi. Jej motto brzmiało:

Za sikawkę chwytaj, bratku,

A nuż płonie twoja chatka!

Ponieważ druga linijka zawierała ostrzeżenie, a jednocześnie groźbę, więc pierwsza oznaczała zobowiązanie. Nikt się nie wykręcał, nikt nie chciał pozostawać na uboczu, a regulamin głosił, że komendantem może być tylko osoba, która nie zajmuje się publicznie polityką. Zaangażowanie się w jakąkolwiek działalność partyjną automatycznie wykluczało kierowanie strażą i pociągało za sobą natychmiastowe nowe wybory komendanta.

Dzięki tej klauzuli, liczącej sobie dokładnie 30 lat, cieszył się stolarz Neubrand z ulicy Rzeznickiej, gdzie znajdowała się remiza i wieża ćwiczeń, ogromnym szacunkiem; od trzydziestu lat bowiem ten 64-letni obecnie mężczyzna pełnił nieprzerwanie funkcję komendanta.

Straż była dla Neubranda sensem jego życia. Każdy ugaszony pożar był ważnym wydarzeniem, odnotowywanym na długiej tablicy, którą sam ufundował obok remizy. Nigdy nie zajmował się polityką, nawet w myślach, by nie zaszkodzić swemu wielkiemu dziełu. Ludzie mówili, że nie brał udziału także w wyborach. Złośliwi zaś twierdzili, że

i do kościoła chodził jedynie po to, by wymodlić sobie jakiś pożar.

Neubrand cieszył się pełnym zaufaniem mieszkańców miasta, nigdy jeszcze nie zawiódł. Zwłaszcza godna podziwu była jego pomysłowość, którą wykazał się już przy doborze swoich najbliższych współpracowników. Neubrand szybko sobie uświadomił, że jest właściwie jedynym obywatelem Wahlheimu, który nie zajmuje się polityką, a poza tym, że warto wykorzystać siły politykujące, dbając jednocześnie o to, by się wzajemnie ze sobą nie ścierały w sprawach dotyczących straży. Tak więc doprowadził do tego, że Scheuermann, przywódca socjalistów, objął u niego kierownictwo szkolenia, Gümpel natomiast, przywódca narodowych liberałów, został mianowany ogniomistrzem. Pozostałe ważne osoby piastowały inne, równie znaczące funkcje.

W ten sposób byli zjednoczeni w Ochotniczej Straży Pożarnej, wszyscy moi, ci obecni i ci przyszli, ludzie młodzi i weterani, kupcy, rzemieślnicy, intelektualści. Neubrand, ten mądry i doświadczony człowiek, witał ich wszystkich z właściwą sobie serdecznością.

Pogoda była piękna, więc zebrano się w ogrodzie. Byli sami swoi, istniała bowiem niepisana zasada, że każdy obcy uchodził tu za intruza. Zresztą w Wahlheimie prawie nie było obcych. Miasto leżało z dala od wielkich arterii komunikacyjnych, szare otoczenie chroniło je przed natręctwem ruchliwych posiadaczy samochodów, a szorstkość mieszkańców strzegła przed obcymi przybyszami. Poza tym to tradycyjne święto nie było szczególnie reklamowane. Wystarczyła wywieszka na tablicy za szkłem i krótka informacja w gazecie: „Członkowie wraz z rodzinami spotkają się...”

Pułkownik Gümpel, ubrany dziś w lodenowy strój ogniomistrza, zostawił żonę przy honorowym stole i wyszedł na spotkanie burmistrza, który wchodził z małżonką do ogrodu.

— Serdecznie witamy — rzekł uroczystym tonem. — Moje uszanowanie łaskawej pani. Wygląda pani czarująco. Pozwoli pani na małą uwagę: to niewątpliwie za sprawą miłości!

Żart pułkownika Gümpla nie znalazł uznania. Pani Ulryka Reisser niechętnie pokręciła głową, a burmistrz dał do zrozumienia, że głupie uwagi bynajmniej go nie bawią.

— Łaskawa pani — rzekł Gumpel — to komplementy starego kawalerzysty, niewybredne, ale szczerze. Proszę przyjąć wyrazy szczerzej sympatii, a zarazem najwyższego podziwu.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi, panie pułkowniku.

— Łaskawa pani! Czy mogę prosić panią do naszego stołu?

Reisser wziął Gümpla na bok. — Niech pan skończy ze swymi uwagami — powiedział — to mnie denerwuje.

— Wkrótce będzie pan z tego dumny — szepnął pułkownik.

Orkiestra dęta Straży Pożarnej grała walca „Nad pięknym modrym Dunajem”. Wszyscy cieszyli się na tańce, które miały się zacząć po części oficjalnej.

Ula weszła do ogrodu jak mała księżniczka. Miała na sobie śnieżnobiałą sukienkę. Pachniała mocno wodą kolońską, którą podwędziła ojcu. Towarzyszyli jej Scheuermann i Mutsch, a ona traktowała ich jak swoich kawalerów.

— Niezły spęd — powiedziała Ula, spoglądając wzrokiem znawcy na zebrany tłum.

Cała trójka usiadła przy długim stole honorowym, ponieważ Scheuermann należał do zarządu. Mutschowi przypadło miejsce obok Ulryki Reisser. Burmistrz spostrzegł to dopiero wtedy, kiedy pułkownik, bardzo zaniepokojony, zwrócił mu na to uwagę; ale uznał, że lepiej unikać wszelkiego zamieszania. Zjawił się także ksiądz Marcus i Neubrand, jako komendant, powitał go ceremonialnie przy wejściu. Natychmiast rzuciła się ku niemu Konstancja Kuhn. Jej oczy stały się wielkie i wilgotne, jak zwykle na widok wielebnego.

— Ach, jakże jestem szczęśliwa, że ksiądz do nas przyszedł!

— Nie mogłem nie przyjść, skoro zostałem zaproszony — rzekł Marcus słabym głosem.

— Prosimy do naszego stołu.

— Dla księdza jest zarezerwowane miejsce przy stole honorowym — rzekł Flammer, który jakby czekał na wielebnego.

Marcus po krótkim wahaniu zdecydował się na mniejsze zło. Poszedł więc za Flammerem, który posadził go między sobą a Scheuermannem.

Orkiestra grała teraz marsza „Starzy kamraci”, co zgodnie ze starym zwyczajem zapowiadało, że za chwilę nastąpi część oficjalna. Wiadomo było, że taka oficjalna część składa się z kilku przemówień, w których stwierdza się, że dumą napawa to, co już zostało dokonane, i co zostanie dokonane w przyszłości.

Przy wszystkich stołach siedzieli stłoczeni goście. Jak zwykle potworzyły się grupki. W pobliżu honorowego stołu siedzieli najzaciejśi podatnicy Wahlheimu. Tuż za nimi miejsca zajęli pomniejsi kupcy, kamienicznicy, posiadacze samochodów. W pobliżu orkiestry siedzieli niżsi i wyżsi urzędnicy. Kilku rzemieślników i robotników wybrało miejsca bliżej bufetu. Przy bocznych stolikach koło żywoplotu młodzież żeńska piszcziała i aż się paliła do tańca.

Tymczasem Mutsch rozmawiał z Ulryką Reisser i wydawało się, że oboje poczuli do siebie sympatię. Ich otoczenie rejestrowało ten fakt w zależności od punktu odniesienia — ze zdziwieniem, zaskoczeniem, a nawet z oburzeniem.

— Rozmawiamy już dziesięć minut — rzekła pani Reisser — a jeszcze mnie pan nie zapytał, jak się czuję jako muza poety. Bardzo mnie to dziwi.

Mutsch uśmiechnął się miło. — Nawet gdyby to miało urazić pani ambicję, ja i tak w to nie wierzę.

— Jest więc pan jedynym rozsądnym człowiekiem, jakiego tu spotkałam.

— Przecenia mnie pani. Nie jestem lepszy od innych, tylko trochę więcej wiem.

— Myślę — rzekł Gumpel głośno — że możemy już zacząć część oficjalną. — Obrzucił przy tym Mutscha i Ulrykę Reisser krótkim, niechętnym spojrzeniem. Siłac się na dobry humor, powiedział: — Młodzież aż się pali do tańca, starszym zaschło już w gardle, a inni też się niecierpliwią. Pora więc, abyśmy coś z tym zrobili.

Komendant Ochotniczej Straży Pożarnej, stolarz Neu-brand, poleciał, by zagrano tusz, wszedł na podium zbite

z surowych desek, na którym siedziała orkiestra, i uniósł rękę. Nastąpiła pełna oczekiwania cisza. To uwolniło zacnych obywateli miasta na dłuższy czas od uciążliwego obowiązku konwersacji. Tylko młodzież nadal hałasowała, ale wkrótce nakazano jej spokój. Neubrand wygłosił, jak co roku, mowę, którą starsi członkowie uroczystości, nawet jeśli nie byli zbyt lotni, znali już na pamięć. Nie było w niej ani słowa o polityce. Składała się z trzech części: 1. Radość z tak dużej frekwencji i ładnej pogody; 2. Podziękowania i wyrazy uznania dla aktywności członków i sympatyków; 3. Nadzieja na miły przebieg tej uroczystości, jak i następnych, w naszym ukochanym mieście Wahlheimie.

Następnie Neubrand zaspokoił, jak sądził, osobiste ambicje towarzyszy partyjnych — pozwolił im mówić. Przedtem jednak taktownie zwrócił uwagę, że straż pożarna stoi ponad wszelkimi światopoglądami i nie uznaje nawet różnic rasowych. — A teraz proszę pana Scheuermanna, jako kierownika szkolenia, o zabranie głosu.

Scheuermann wśród oklasków wszedł na podium. Był on dość lubiany w Wahlheimie; ceniono jego pracowitość i czasem wybaczano mu nawet jego poglądy polityczne, a jako mówcę wprost go uwielbiano, gdyż miał poczucie humoru. Zaczął ostrożnie, początkowo pogodnie, potem poważniej.

Nastrój w ogrodzie, pełnym ludzi, był wspaniały. Mieszkańcy Wahlheimu jakby przeczuwali, że wydarzy się coś niezwykłego; nie wiedzieli dokładnie, co to ma być, ale słyszeli szepty, że należy się liczyć z „pewnymi niespodziankami”. Zagrzewali więc Scheuermanna do dalszej mowy.

Scheuermann pozostał jednak chłodny. Wiedział, że tylko umiarkowanie — mądra powściągliwość, ostrożna neutralność — może przynieść sukces. Nie był ostatnim mówcą podczas tego święta, ponieważ miał jeszcze przemawiać Gumpel. Mógł więc tylko pokazać, że jest człowiekiem o nieskazitelnym poglądach, oddanym sprawie, jeśli idzie o dobro ogólne; że jest tolerancyjny i wielkoduszny. I tak też uczynił.

— Kiedy u sąsiada się pali — powiedział — jesteśmy wszyscy na miejscu. I mamy nadzieję, że nie ma wśród nas podpalacza. Neron spalił Rzym, po nim inni palili całe kraje, a wreszcie całe kontynenty. Starajmy się, przynajmniej w Wahlheimie, nie tolerować podżegaczy. — Powiedział to w kierunku Gümpla, a wtajemniczeni świadomie skwitowali jego słowa wesółym śmiechem.

— Hochsztapler! — zawołał pułkownik cicho.

— Przysłowie powiada, że nie należy igrać z ogniem. Nie wystarczy, że bawimy się w strażaków. Ważniejsze niż gaszenie ognia jest zapobieganie jego powstawaniu. I na tym powinniśmy się w przyszłości skoncentrować. Każdy pożar, który wybucha, wyrządza szkody. Sprawna straż ogniowa może go ugasić, ale nie może sprawić, by do pożaru nie doszło. Do tego potrzeba nie tylko dużo wody i węży, ale także światłych umysłów i otwartych oczu. Niestety, dużo jest poparzonych dzieci, które mimo to nie boją się ognia.

Kiedy skończył, oklaski były dość słabe. — Szczwany lis — rzekł burmistrz do Gümpla.

— To tchórz — odpowiedział pułkownik pogardliwie. — Zobacz pan, jak ja go wykończę.

— Niech pan będzie ostrożny! I unika polityki.

— A co mi się może stać — do mnie należy dziś ostatnie słowo.

Słabe oklaski ucichły. Scheuermann rozczarował tych, którzy się spodziewali czegoś więcej. Umiarkowani kiwali co prawda głowami i uznali, że trzymał się on reguły gry, ale wielu uważało, że, niestety, zabrakło mu wigoru.

Tym większe nadzieje budził pułkownik Gumpel. Nie mówił co prawda tak dobrze jak Scheuermann, ale wiedziano, że ma ostry język, co niezainteresowanych zwykle bawiło. Toteż tłum powitał go długimi brawami.

Gdy Gumpel wszedł na podium, niektórzy mieli uczucie, że stoją w szyku bojowym. Na razie milczał wymownie i przyglądał się stojącym niżej ludziom. Stał wyprostowany, ciężar ciała przeniósł na lewą nogę, podczas gdy prawą wysunął trochę do przodu.

— Jak kogut — zawołała Ula wesoło. Była szczerze zdziwiona, że nikt jej nie zganił, ani ojciec, ani wujek Mutsch. Obaj z napięciem spoglądali na Gümpla.

— Koledzy! — zawołał pułkownik — od ponad czterech lat jestem waszym ogniomistrzem i w każdej sytuacji mogłem na was polegać. Co prawda dotąd ugasiiliśmy wspólnie tylko jeden pożar, ale mogę powiedzieć, że zrobiliśmy dobrą robotę. Zresztą niczego innego nie należało się spodziewać.

Szliśmy ramię w ramię w płomienie, by bronić naszego mienia i życia naszych bliskich. Tego się nauczyliśmy i nigdy się nie zawahaliśmy, kiedy wzywał nas obowiązek. Żołnierze walczą ofiarnie na pierwszej linii, a strażacy przed bombardowaniem bronią bohatersko rodzimego frontu.

— A to co — rzekł Flammer zaskoczony do Marcusa, który pokornie siedział obok niego. — Przecież na Wahlheim nie spadła ani jedna bomba.

— On to mówi w przenośni — rzekł Marcus cichym głosem.

Mieszkańcy Wahlheimu okazywali radość, bawiły ich słowa Gümpla. Niektórzy byli szczerze wzruszeni. Inni znów uważali, że przemówienie pułkownika jest może przesadzone, ale chyba takie jest potrzebne na tym lekkomyślnym świecie, wśród powszechnego rozluźnienia wszelkich więzów i obyczajów.

— Zawsze, ilekroć obchodzimy to nasze piękne święto — mówił Gumpel i wydawał się wzruszony własnymi słowami — cieszę się szczerze z nie gasnącego zapału wete ranów, jak też z wielce obiecującej elastyczności młodej załogi. I wyrażam szczerzy żal, że w dniu dzisiejszym brakuje w naszych szeregach tego, który na to zasłużył. Mam na myśli naszego kolegę Sebastiana Sempera.

Zrobił pauzę i przez sekundę spoglądał ze skrywanym smutkiem na swój opróżniony do połowy kufel piwa, stojący na honorowym stole. Potem widok Mutscha i Scheuer-manna dodał mu nowych sił.

— Kolega Sebastian Semper — rzekł — ku którego czci już wkrótce wzniesiemy wspólnie pomnik, niezależnie od przynależności partyjnej i wyznania, byłby szczęśliwy,

gdyby dziś był tu wśród nas. I nie jest wykluczone, że on, podobnie jak Schiller, opiewałby ogień, a przede wszystkim owe siły, które potrafią go okiełznać. Niech państwo sobie przypomną „Pieśń o dzwonie”.

— Brawo! — zawołał entuzjastycznie Kuhn.

— Nie może się powstrzymać — rzekł Scheuermann, mając na myśli Gümpla.

— Sebastian Semper był żołnierzem frontowym, jak każdy dobry Niemiec. Zdobył swoje odznaczenia dzięki odwadze i nosił je z dumą. Po długiej niewoli wrócił do ojczyzny. Dojrzały duchowo, ale z mocno nadszarpniętym zdrowiem, jeden z inwalidów wielkiej wojny! I tak jak tysiące jemu podobnych, znalazł się w kraju, który nie troszczył się o swych wielkich synów i chyba nie mógł się troszczyć, ponieważ różne pasożyty były zajęte napychaniem sobie własnych kies.

— Tylko bez polityki, proszę! — zawołał stłumionym głosem komendant.

— Ale to wszystko — grzmiał Gumpel — jest niczym wobec tego, co go jeszcze czekało. Trzeba by sięgnąć do antycznego świata legend, by znaleźć coś podobnego. Wspomnę tu choćby Agamemnona!

— Proszę, proszę! — zawołał Kuhn z zachwytem; mógł teraz być dumny z siebie, ponieważ to on był autorem tego smakowitego kęsa.

— O czym on bredzi? — zapytał Flammer. — Agamem-non? Chyba całkiem zbzikował!

— No cóż — rzekł ksiądz spokojnie — porównanie nieco śmiałe.

— Agamemnon — powiedział Gumpel sam sobą szczerze zachwycony — wracał z wojny jako dzielny, pokojowo usposobiony, nie przeczuwający niczego złego wojownik. I co się stało? Został w ojczyźnie zdradziecko zamordowany! Tak jak Sebastian Semper! A jeśli teraz twierdzi się, że popełnił samobójstwo, to jest to skrytobójczy cios w plecy niemieckiego żołnierza. To nie był nieszczęśliwy wypadek! To było morderstwo! A morderca, koledzy, jest wśród nas!

Zapadło ogólne, pełne zaskoczenia milczenie. Zebrani nie wiedzieli, co mają o tym sądzić; uważali, że to wcale

nie jest zabawne i że spodziewali się czegoś całkiem innego. Pośród tej konsternacji Gumpel patrzył na Mutscha.

Teraz znów się odezwał ostrym głosem: — Morderca jest wśród nas! — Był przekonany, że zdruzgotał Mutscha. Irytowało go, że ten wcale na takiego nie wyglądał. W dodatku Mutsch powiedział wyraźnie i bardzo głośno: — Podać nazwisko!

Pułkownik był zdecydowany odparować natychmiast tę niesłychaną bezczelność. Chciał donośnym głosem rzucić w tłum nazwisko Mutscha, ale spojrzał na burmistrza, który dawał mu wyraźne znaki: kręcił głową i położył sobie palec na ustach. Gumpel zdał sobie sprawę, że nie wolno mu wymieniać nazwiska, jeśli nie chce wywołać poważnych komplikacji. Dotąd wszystko było czystą retoryką, podanie nazwiska mogło stać się ciężką obrazą i załączkiem przyszłego procesu. Jego wywody i tak były dość mocne i celne; muszą wystarczyć — i wystarczą.

W tej chwili również Scheuermann uświadomił sobie trudną sytuację Gümpla. Ten w zapale tak się zagalopował, że jeśli teraz wymieni nazwisko, pęknie z hukiem; zbyt dobrze i pewnie się czuł, za daleko się posunął, wystarczy jeszcze jeden krok, aby się potknąć. I Scheuermann, nie zważając na błagalne spojrzenie komendanta, które miało oznaczać: „tylko, proszę, bez polityki”, zawołał na cały głos: — Podać nazwisko!

— Podać nazwisko! — zawołali także inni.

Powstało zamieszanie. Zebrani zaczęli hałasować, kapelmistrz chciał zacząć marsza. Tylko przy stole honorowym panowało milczenie, które oznaczało po części przygnębienie, po części przycząjenie.

— Podać nazwisko!

Gumpel się opanował. — Koledzy, nazwisko zostanie podane, ale nie tu i nie dziś, tylko w najbliższym czasie. Ponieważ teraz zgromadziliśmy się, by obchodzić tradycyjne święto naszej straży, której mam zaszczyt być ogniomistrzem. Gasiliśmy wspólnie niejedną ogień, teraz wspólnie ugaśmy nasze pragnienie!

Ten niezawodny żart wywołał tylko pojedynczy śmiech, brzmiący dość pogardliwie. Wobec tego pułkownik na za-

kończenie zawołał szybko: — Niechby się nie wiem co działo, zawsze będziemy mężczyznami w całym tego słowa znaczeniu. Winniśmy to naszemu drogiemu miastu Wahl-heim i naszej ukochanej niemieckiej ojczyźnie!

Zagrzmiała orkiestra i zagłuszyła niezbyt głośne oklaski.

Prawdziwą atrakcją tego letniego święta była Ulryka Reisser, żona burmistrza. Oprócz pogody była najczęstszym tematem rozmów na parkiecie; prawie przy każdym stoliku mówiono tylko o niej; przy bufecie, przy każdej kolejce także, i to w dość dosadny, choć sympatyczny sposób. Młodszy mieszkańcy Wahlheimu przyglądali się jej i nawet wskazywali na nią palcem, jednak nie bez pewnego respektu, a niekiedy z odrobiną zawiści.

Ulryka Reisser początkowo zaciskała zęby, siedziała blada i wyniosła. Nie dodawało jej to wdzięku, ponieważ nie do twarzy było jej ze zdenerwowaniem. Jej siłą była łagodność. Wiedziała o tym, ale teraz, wskutek trudnego do zniesienia upokorzenia, czując się bezradna i niewinna, całkiem o tym zapomniała. Cierpiała.

Dopiero ten niepozorny mężczyzna średniego wzrostu o mądrych, przyjaznych oczach, który siedział obok niej, dodał jej odwagi. Ów mężczyzna nazywał się Mutsch, a Ulryka dowiedziała się o tym dopiero wtedy, kiedy poczuła już do niego sympatię; a więc to był ten sam Mutsch, o którym słyszała tyle przykrych rzeczy, niekiedy wręcz okropnych; mówiono nawet, że jest zdolny zabić w afekcie, w każdym razie takie ma usposobienie. Ona sama uznała, że jest miły i skromny. Jego słowa zdradzały poczucie humoru i dobroć.

No cóż, być może się myliła, ale to, co ją nadal z tym Mutschem łączyło, to był fakt, że oboje wzbudzali ciekawość zebranych.

Bezpośrednie skutki tego były jednak całkowicie odmienne. Mutscha, który siedział z Ulą przy stole i z ożywieniem

rozmawiał, nie zważając na otoczenie, wyraźnie ignorowano; tylko kilka dziewcząt przyglądało mu się płomiennym wzrokiem. Ulyrka Reisser natomiast, która usiłowała prowadzić rozmowę z panią Gümpel, była wyraźnie wyróżniana, miała tę wątpliwą przyjemność, by być ośrodkiem zainteresowania licznych pań i panów. Traktowali ją, jakby była panią Pompadour z Wahlheimu.

— Życzę pani dalszej miłej zabawy — ale to chyba zbędne życzenie.

— Szczerze żałuję, że nie jestem poetą.

— Sądzę, że to pani osobiście dokona odsłonięcia pomnika, nikt inny chyba nie wchodzi w grę.

— To wielka strata dla naszego miasta, dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla pani.

— Zapewne będzie się pani czuła teraz osamotniona. Jak można panią pocieszyć?

Ulyrka udawała, że nie rozumie, o co chodzi. Kiwała głową obojętnie i gratulowała sobie w duchu, że się już nie rumieni.

Mutsch, podczas przerwy w rozmowie, uśmiechnął się do niej, dodając odwagi: — Niech pani to znosi ze spokojem — powiedział. — Zła opinia nie tylko zobowiązuje, ale może też, jeśli się do niej przyzwyczaimy, być źródłem wielu przyjemności.

— To nie takie proste, panie Mutsch.

— Człowiek się przyzwyczaja. Mnie zajęło to trzy lata.

Mądrej kobiecie powinny wystarczyć trzy godziny. Wie rzę, że pani tego dokona. — Potem znów zwrócił się do Uli, która poważnie stwierdziła, że jest zazdrosna.

Burmistrz Reisser udał się do bufetu za pułkownikiem Gümplem, który pragnął pokrzepić się alkoholem. Przy bufecie Gümpel, wbrew zwyczajowi, unikał zbierania laurów za swój niedawny popis retoryczny. Co prawda był dość zadowolony z argumentów i sformułowań, jednak nie był szczególnie uszczęśliwiony przyjęciem i skutkami. Całą winę za to zrzucił na niedostateczne wyszkolenie słuchaczy i na brak pewnych nawyków. Dawna akceptacja bez zastrzeżeń, która sprawiała mu tyle satysfakcji, została w ostatnich beznadziejnych latach mocno osłabiona wsku-

tek pacyfistycznej, socjalistycznej, kościelnej i innej wrogiej roboty. Jednak świadomość tego mobilizowała do walki.

— Pańska szanowna małżonka — rzekł Gumpel po drugiej wódce — jest dziś ważną osobą. Zasłużyła na to powodzenie, mówię to jak najbardziej szczerze, na pewno nie było jej łatwo, dlatego należy jej się ten sukces.

— Bardzo proszę — odpowiedział Reisser niezbyt uprzejmie — aby pan skończył z tymi ciągłymi aluzjami. Ostatecznie nie można mojej żonie niczego dowieść.

— Ależ, szanowny kolego! — pułkownik udawał, że jest zaskoczony. — Dlaczego waha się pan przyznać do tak wielkiego przeżycia? Tryumf pańskiej małżonki to korzyść dla pana, bo na przykład godność mojej żony bazuje w głównej mierze na fakcie, że dowodziłem pułkiem — rzecz jasna z powodzeniem.

— W końcu jestem tu burmistrzem i mam swoje drobne zasługi. Nie muszę czerpać korzyści z ewentualnej przeszłości mojej żony.

Pulver, który stanął skromnie obok nich, pozwolił sobie na uwagę: — Szczerze przyznaję, że brak jest najmniejszego punktu zaczepienia dla tego rodzaju przypuszczeń. Wręcz przeciwnie — jestem święcie przekonany, że to po prostu niemożliwe, aby pani Ulryka Reisser z tym.... — W tym miejscu urwał i uczynił tylko ruch ręką, który miał oznaczać oburzenie — i zamilkł.

— Ostatnio rzadko zdarzało się panu być tak impulsywnym — rzekł burmistrz zdziwiony. Pułkownik, jak zwykle, miał na to gotową odpowiedź. — To iście po rycersku. Ale nie ma czasu, aby dalej o tym dyskutować. Musimy jeszcze przemaglować klechę.

Przeszli przez tłum tańczących. Była piękna letnia noc, grała orkiestra, nastrój był cudowny. Pierwsze pary zniknęły za żywopłotem, przy bufecie napoczęto już ósmą beczkę. Mistrz ślusarski Miegalkę, jak należało się spodziewać, zamówił u orkiestry za kolejkę piwa „Badeweiler Marsch”, by zirytować swego rywala Scheuermanna. Jednak ten wyrafinowany typ udał głupiego i właśnie przy tym „ulubionym marszu naszego Führera” poprosił do

tańca Ireną Krampus. Znalazło się też kilku innych młodzieńców, którzy albo nie byli świadomi, albo nie mieli szacunku dla tradycji, i ochoczo poszli w jego ślady.

Neubrand uznał, że uroczystość się udała i ze szczęścia się upił. Hammer znajdował się w końcu ogrodu, gdzie najpierw rozległ się pisk, a potem siarczasty policzek; następnie dziennikarz, zmieszany, oderwał się od Małgorzaty von Habern, która opuściła go z wysoko podniesioną głową. Mutsch ujął Ulę za obie ręce i zaczął z nią tańczyć, ku niezmiernej radości małej.

Scheuermann oddawał się rozmowie z księdzem Marcu-sem, który szukał wytchnienia przy butelce czerwonego wina po gorących, choć pełnych pokory wyznaniach Konstancji Kuhn.

— Czy uważa ksiądz, że to po chrześcijańsku — zapytał Scheuermann — ta cała nagonka na spokojnego obywatela, który pragnie tylko spokoju? Niech ksiądz spojrzy na mojego przyjaciela Mutscha. Czyż nie jest to wzruszający widok, kiedy tak tańczy z moim dzieckiem?

— Ależ oczywiście, że tak. Wydaje się, że on kocha dzieci. Ja nie mam nic przeciwko niemu.

— Ale też nic ksiądz dla niego nie robi!

— W mojej trzodzie jest wiele owieczek — bronił się Marcus.
— Muszę strzec wszystkich.

— A czy ksiądz może się spokojnie przyglądać, jak świadomie dręczą człowieka? — zapytał Scheuermann łagodnym tonem.

— Nie wygląda na bardzo udręczonego — odparł Marcus.

— A czego się ksiądz spodziewa? Że się rozplacze? Dostanie ataku szału? Chciał wracać do domu, ale mu powiedziałem: zostań tu, nie uciekaj, a jeśli sam straciłeś odwagę, to pomyśl przynajmniej o dziecku i nie spraw mu zawodu. Ula od czterech tygodni czekała na to święto i cieszyła się ze swojej nowej sukienki. Chociażby z tego powodu powinienes zostać. Tak mu powiedziałem i dlatego został.

— Dobrze mu pan powiedział — rzekł Marcus.

— Proszę księda, niech ksiądz opowie się za Mutschem.

Marcus upił łyk wina. Zamyślony spoglądał na pustą szklanekę. — Przyszynę, że i ja polubiłem tego człowieka. Jeśli jednak oficjalnie opowiem się za nim, to tym samym opowiem się i za panem, a więc za pańską partią, która jest niezbyt przyjazna Kościołowi.

— Nie chodzi o mnie, a już na pewno nie o partię. Chodzi tylko o człowieka, który potrzebuje pomocy — mojej i księdza pomocy. Czy może ksiądz odmówić mu swego poparcia? Po tym wszystkim, co tu dziś zostało powiezione?

Marcus otworzył na pół opróżnioną butelkę wina i nalał do szklanek. — Kościół — rzekł — troszczy się o dusze, a nie o akta policyjne. Czego pan chce? Jeszcze nic się nie stało! Padło podejrzenie, ale nie wymieniono nazwiska. Sprawa jest jeszcze otwarta, różne rzeczy mogą się zdarzyć. Miejmy nadzieję, że wszystko potoczy się ku lepszemu.

Scheuermann odchylił się. Nie zwracał uwagi na zgiełk. Nie widział, że zapalił się lampion i Gümpel, jako ogniomistrz, zaimprovizował gaszenie, wylewając cały kufel piwa na palący się lampion i siedzące pod nim towarzystwo.

— Proszę księdza — rzekł Scheuermann — nie uszło mojej uwagi, kogo darzy ksiądz sympatią. Stara się ksiądz lawirować i obawia się podjęcia decyzji. Ja to rozumiem, ale w ten sposób staje się ksiądz narzędziem w ich rękach, a nawet pomocnikiem! Niech się ksiądz zdecyduje; bardzo proszę, niech się ksiądz zdecyduje i opowie przeciwko nam! Wtedy przynajmniej będziemy mogli powiedzieć: on kryje samobójstwo, on popiera to targowisko próżności, odbywające się co roku, a opuszcza człowieka, który za służył na jego pomoc i tej pomocy potrzebuje.

Po tych słowach wielebny Marcus wstał i odszedł. Pozostawił nie opróżnioną do końca butelkę. Czuł potrzebę samotności. Pragnął żyć w spokoju, a oni mu na to nie pozwalali. Pragnął służyć Bogu, a oni podsuwali mu swoje brudne sprawy. Pragnął tylko się modlić, a potem zasnąć, aby rano mieć świeży umysł podczas nabożeństwa.

Ponieważ odszedł, ominęła go największa sensacja tego festynu; sprawiła ona, że Scheuermann osłupiał, burmistrz

zdębiał, a Gumpel zrezygnował na kilka sekund ze swej wojskowej postawy. Neubrand natomiast utwierdził się w przekonaniu, że było to niezwykle udane święto.

Autorką sensacji była Ulryka Reisser. Tak jak jej doradził Mutsch, przezwyciężyła zdenerwowanie i nawet się uśmiechała; istotnie, wystarczyły na to trzy godziny. Podniecające uczucie, że oto nagle stała się ośrodkiem zainteresowania, nawet ją trochę oszołomiło, a seria dobrych likierów jeszcze spotęgowała to uczucie.

Po raz pierwszy nie przeszkadzało jej, że mąż się nią nie zajmuje i wcale nie żałowała, że stoi rozpolitykowany przy bufecie, a potem przysiadła się do różnych stolików, przy których siedzą jego partyjni koledzy i nie ma czasu dla niej. Mężczyźni tłoczyli się wokół niej, a podczas tańca obmacywali ją zuchwale. Pozwalała na to, bawiła się przy tym i rozkwitała.

Od czasu do czasu gawędziła z Mutschem. Im dłużej tańczyła, im bardziej się rozgrzewała, tym śmieiej i bardziej szczerze rozmawiała. Czowała, że Mutsch ją rozumie. Był dla niej jak brat, któremu można wiele powiedzieć, a on ją będzie chronił.

— A teraz zatańczmy — powiedziała.

Mutsch zrobił wielkie oczy. — Pani chce ze mną zatańczyć?

— Czemu nie? Cały wieczór chcę, ale pan mnie ani razu nie poprosił. Więc ja muszę to zrobić. No to chodźmy, a ty chyba pozwolisz?

— Wyjątkowo — odpowiedziała Ula.

— Ula musi iść spać — rzekł Mutsch wymijająco.

— Ale dopiero po naszym tańcu.

— Na pani odpowiedzialność — powiedział Mutsch.

Zaczęli tańczyć. Na razie nie zwracano na to uwagi, ale potem kotły wypadły z taktu, a zebrani zrobili wielkie oczy. Nawet hałas przy bufecie powoli cichł. Tylko z tyłu, przy żywopłocie, dziewczęta piszczały z rozkosznego oburzenia.

— Do jasnej cholery! — zawołał Gumpel, straciwszy pa nowanie nad sobą. — To już szczyt wszystkiego!

Burmistrz, który stał obok, milczał zgnębiony.

— Nie powinien pan na to pozwolić — rzekł Gumpel kipiąc z wściekłości. — To po prostu policzek wymierzony w naszą słuszną sprawę.

Reisser, znieruchomiły, stał w milczeniu. Zafascynowany patrzył na żonę i miał wrażenie, że nigdy jej takiej nie widział. Cała płonęła. Trzymała się w tańcu ładnie i z gracją. Ta jego żona to zadziwiająca kobieta.

— Ma klasę — rzekł jakiś mężczyzna stojący w pobliżu. Powiedział to głośno i z przekonaniem.

Reisser nie zważał na Gümpla. Patrzył tylko na żonę. Czekał, aż taniec się skończy. Potem podszedł do stolika, przy którym siedzieli.

— Myślę, że pora wracać do domu.

— Tak — rzekła Ulryka skwapliwie — chodźmy. Podał jej ramię i wyszli. Nie uszły jego uwagi pełne podziwu i zazdrości spojrzenia, jakie im towarzyszyły.

Festyn ogarnęła potężna fala hałasu i zabawy. Noc była upalna, tylko ziemia chłodna. Flammer pił z Scheuermannem, wymyślał na dziewczyny, a Scheuermann narzekał na Kościół. W tym samym czasie Gumpel dyrygował przy bufecie niewielkim co prawda, ale za to bardzo głośnym chórem męskim, który usiłował śpiewać jakąś piosenkę. Przeszkadzali Kuhnowi w recytowaniu wierszy Sebastiana Semperego.

Wkrótce potem Scheuermannowi z trudem udało się powstrzymać Flammerego przed obsusianiem postawionego już cokołu pomnika.

— Nie należy tego robić — powiedział po prostu.

— Nie ma pan pojęcia, co tym wahlheimskim fajtlapom dobrze by zrobiło.

Odszedł od Scheuermannego i wysiusiał się pod drzewem w pobliżu gospody, potem wrócił do bufetu i asystował wytrwale mistrzowi malarskiemu Wiegandowi, który czuł się tym zaszczycony. Pragnął dostać się na łamy „Gońca” do

rubryki „Osobistości dnia codziennego” i chętnie zapłacił za wszystko, co Flammer wypił.

Później obaj zataczając się i śpiewając sprośne piosenki, poszli do domu, objęci jak starzy przyjaciele.

Mutsch opuścił uroczystość i odprowadziwszy najpierw Ulę do domu, udał się do parku. Stał tam pod lipą i spoglądał przez rzekę na dom, gdzie mieszkała Ulryka Loos. Noc była jasna. Mutsch się uśmiechnął.

W niedzielę ksiądz Marcus wstał jak zwykle bardzo wcześnie. Obudził go blask porannego słońca i świergot ptaków. Wygramolił się ze swego niezbyt wygodnego łóżka i jeszcze w koszuli nocnej odmówił poranną modlitwę. Następnie zanurzył głowę w dużej miednicy, która była już uprzednio przygotowana; owinał głowę ręcznikiem frotte i włożył stary płaszcz kąpielowy w szaroniebieskim kolorze.

Potem usiadł w głębokim fotelu, stojącym w gabinecie koło okna; musiał dojść do siebie po śnie. Jego starannie strzeżoną tajemnicą było to, że z wiekiem coraz bardziej nasilało się jego poranne zmęczenie. Dopiero po upływie godziny umysł jego się ożywił i mógł zjeść z apetytem śniadanie.

W tej cichej porannej godzinie słuchał tykania zegara na wieży kościelnej, szmerów dobiegających z kuchni i szumu wodociągu. Ale jeszcze bardziej wsłuchiwał się w swoje wnętrze, czuł w żyłach leniwie płynącą krew, odczuwał ból w stawach i myślał o wielu innych porannych godzinach swego długiego życia, o ciasnym pokoiku z czasów swojej młodości, gdzie we czterech dzielili łóżko; o twardym pościelaniu w seminarium, z siennikiem wypchanym końskim włosiem; o pierwszym łóżku, które miał tylko dla siebie; o zimnej podłodze, na której sypiał podczas wojny; o szerokim materacu na plebanii, od którego z rana trudno mu było oderwać swoje ociężałe ciało.

Były czasy — od tamtej pory minęło zaledwie piętnaście

lat — kiedy jako wikary, po modlitwie, zaczynał dzień od biegu przez las, następnie brał lodowaty prysznic, aż krew zastygała mu w żyłach. Jakie to wszystko było teraz odległe! Dziś siedział ospały w fotelu, o niczym nie myśląc, głowa mu ciążyła, a nogi bolały. Słabe ręce z trudem trzymały brewiarz. Tylko uśmiech nie zdradzał zmęczenia.

Ktoś zapukał do drzwi. Marcus zawołał: — Proszę! — i mrucząc dodał: — Szczęść Boże!

Kościelny, podobnie jak on ranny ptaszek, zbliżył się do niego, nie mogąc ukryć swego wzburzenia. — Proszę księdza — rzekł — niech ksiądz szybko idzie zobaczyć, co się stało na rynku!

Potem znikł, nie mówiąc nic więcej.

Marcus westchnął, wstał z trudem i ubrał się. Wyszedł do ogrodu, zmrużył oczy w słońcu i głęboko odetchnął. Potem przeszedł szybkim krokiem obok kościoła i zatrzymał się na skraju rynku.

Na razie nie zauważył niczego, co by można określić jako niezwykle. Prócz niego na rozległym placu, skąpanym w porannym słońcu, stał tylko kościelny. Wahlheim jeszcze spał. Ci nieliczni, którzy już wstali, czuli w kościach wczorajszy festyn i przeciągali się w swoich domach.

— Właśnie szedłem zadzwonić na mszę poranną — rzekł kościelny. — Wtedy to zobaczyłem. — Uniósł głowę w górę niby koń i wyciągając szyję, wskazał na cokół.

Teraz także Marcus zobaczył, co się stało. Na ziemi leżało wywrócone wiadro, a duża brunatna plama zdobiła cokół. Wylano na niego zapewne kilka kilogramów farby.

Marcus pokręcił głową trochę zatroskany, trochę zdziwiony. — Niech pan idzie do pułkownika Gümpla — rzekł do kościelnego — i powie mu o tym. To go z pewnością zainteresuje.

Kościelny całkiem zapomniał, że jeszcze nie zadzwonił na mszę, przeciął rynek i poszedł do domu pułkownika.

Było mu nieprzyjemnie, że musi go obudzić; wprawdzie działał na polecenie wielebnego, ale mimo to musiał się liczyć z niechętnym przyjęciem. Kiedy jednak ujrzał dom, w którym mieszkał Gümpeł, zatrzymał się zaskoczony.

Także i tu na schodach rozlano farbę, i to w trzech kolorach: niebieskim, białym i czerwonym.

Kościelny nacisnął dzwonek, który przeraźliwie przeszył ciszę domu. Po chwili na górze otworzyło się okno. Ukazała się w nim żona pułkownika. Jej szara, pomarszczona twarz okolona była splecionym warkoczem.

— Muszę się pilnie widzieć z panem pułkownikiem! — zawołał kościelny. — Z powodu pomnika.

Kobieta znikła, pozostawiając otwarte okno. Po chwili dało się słyszeć przekleństwo i odgłos trzeszczących sprężyn materaca. Ukazał się pułkownik w białej nocnej koszuli z zieloną wypustką.

— Do jasnej cholery! — ryknął. — Co tam znowu?

— Z polecenia księdza mam zameldować...

— No to melduj, człowieku!

— Ktoś oblał farbą cokół pomnika, brunatną farbą. Na pańskich schodach również jest rozlana farba.

Pułkownik wychylił się z okna. — Psia krew! — wrzasnął. — Co za parszywe świństwo! — Potem zaniemował na parę sekund, układając w głowie coś w rodzaju rozkazu dziennego.

Wreszcie ryknął w pustą, senną ulicę: — Zbudzić natychmiast Pulvera! Niech się u mnie zamelduje. Wy zajmiecie pozycję na rynku; czynię was odpowiedzialnym za to, aby tam wszystko pozostało nie naruszone. Zbudźcie też burmistrza. Zrozumiano? No to jazda!

Stali przed cokołem pomnika i gapili się na gęstą, jeszcze nie całkiem wyschniętą farbę.

— To profanacja pomnika — rzekł głucho Gumpel.

— Ja bym to raczej nazwał chamskim wybrykiem — rzekł Reisser, ukradkiem ziewając. — Przecież to jeszcze nie jest pomnik.

— A zapaćkane schody u mnie w domu? Co pan na to powie, panie Pulver?

— Ja mam własną teorię. Moje pierwsze badania dały tylko połowiczne wyniki. Wyciągnąłem z łóżka malarza Wieganda, ponieważ wiadro od farby jest z jego firmy. Widzicie, panowie, literę „W”?

Pulver wskazał ręką na wiadro.

— Ten Wiegand był całkiem zalany, ledwo coś bełkotał. Sądzę, że już sam jego stan wyklucza wszelkie podejrzenia. Poza tym Wiegand należy przecież do zwolenników budowy pomnika. Ale jego warsztat był otwarty na oścież.

— A więc w dodatku włamanie? — powiedział Gumpel.

— Użyto zwykłego klucza — oświadczył Pulver ze szczerym żalem. — Wiegand przyznał, że mógł go zgubić w drodze powrotnej do domu.

— Niech się pan zabiera do roboty, Pulver! Sprawa jest w gruncie rzeczy prosta. To zbezczeszczenie pomnika miało pośrednio uderzyć we mnie; także farba na moich schodach to potwierdza. A komu mogła wpaść do głowy taka myśl? No komu?

— Scheuermannowi — rzekł Pulver z namysłem. — Siedzi teraz w gospodzie.

— Więc na co jeszcze czekamy? — wpadł mu Gumpel w słowo. — No, Pulver, raz, dwa!

Karl Scheuermann, poseł socjalistów, siedział w gospodzie i jadł na śniadanie jajka na szynce. Jadł z nabożeństwem, obok siedziała Irena Krampus.

Pulver wszedł energicznie do lokalu, a tuż za nim Gumpel. Reisser, ziewając, stał z tyłu.

Scheuermann nie podniósł nawet głowy. — Mało słone — powiedział. Ale Irena nie kwapiła się z podaniem mu soli.

— Panie Scheuermann, czy pan ma na ubiegłą noc alibi nie do podważenia? — zapytał Pulver ostro.

Scheuermann zanurzył kawałek białego chleba w miodzie. — Ja tutaj jem śniadanie — rzekł. — Czy chce mi pan popsuć apetyt?

Pulver nie dał za wygraną. — Ubiegłej nocy — powiedział — ktoś oblał pomnik farbą.

— Jaki pomnik? — spytał Scheuermann obojętnie.

— Cokół, na którym ma stanąć pomnik.

— Jaką farbą ?

— Brunatną.

— Całkiem sensowne — powiedział Scheuermann i przerwał na chwilę jedzenie.

— Poza tym — rzekł Pulver — prawdopodobnie w tym samym czasie wylano przed domem pana pułkownika trzy wiadra farby, niebieską, białą i czerwoną.

— Widocznie sprawca pomylił w ciemności kolory. Na pewno zamiast niebieskiej chciał wylać czarną farbę — stwierdził Scheuermann.

— Świetnie się pan orientuje — rzekł Gumpel.

— Widzi pan zatem, że to sprawa poważna — oświadczył Pulver. — Pańska sytuacja jest bardzo nieprzyjemna. Jeśli nie przedstawi mi pan niepodważalnego alibi, to będę zmuszony zastosować wobec pana wszystkie środki, jakie mam do dyspozycji. Czy to jasne?

— Sądzę, że tak — odpowiedział Scheuermann.

— Czy to naprawdę takie poważne? — zapytała Irena.

— Chyba tak — odparł Scheuermann.

Pulver zaśmiał się szyderczo. — A więc słucham.

— Pan Scheuermann — oświadczyła Irena Krampus głośno, wyraźnie i bez wahania — był przez całą noc w moim domu. Był u mnie! Mogę to zeznać pod przysięgą. A teraz niech się pan stąd wynosi!

— Coś takiego! — Pulver był rozczarowany i wściekły. Zerkał trochę bezradnie na swoich towarzyszy, którzy jakby nie rozumieli jeszcze zaistniałej sytuacji.

— Na co panowie jeszcze czekają? — zapytała Irena. — Idźcie wreszcie. Pragnę zostać sama z moim narzeczonym.

Scheuermannowi krew uderzyła do głowy: „narzeczony” — to go zaniepokoiło. Trochę podejrzewał, że Irena z całą świadomością doprowadziła do tej niezręcznej sytuacji. To znaczy, że chciała go usidlić! A więc gotowa była z uśmiechem na ustach zniszczyć jego karierę polityczną, byle tylko złapać męża. Z tego wniosek, że nieuniknione były dalsze konsekwencje.

— Dobrze — powiedział Pulver. — Wobec tego odcho-
dę. Przyjąłem do wiadomości, że ma pan alibi. Ale dalej
pójdę tym tropem i zwrócę się do pańskiego przyjaciela,

panie Scheuermann. Do niejakiego Mutscha. I niech go Pan Bóg ma w swojej opiece, jeśli nie ma alibi.

Puhrer wyniósł się. Za nim wyszli, zakłopotani, Gumpel i Reisser.

Poufna narada, która odbyła się w gabinecie burmistrza, była krótka i znacząca. — Na razie proponuję — rzekł Gumpel — by przestać chodzić do gospody tej kobiety, jestem za bojkotem.

Reisser podniósł ręce w geście obrony. — Wolnego, panie pułkowniku, tylko wolnego. Musimy w tym wypadku bardzo dokładnie oddzielić życie prywatne od polityki. Proszę wziąć pod uwagę, że „Czarno-Biały Byk” jest niewątpliwie najlepiej prowadzoną gospodą w całej okolicy.

— Kuchnia jest wręcz znakomita — przyklasnął Pulver.

— Poza tym jest jeszcze coś — dodał Reisser. — Ta kobieta ma jedyną w całym mieście dużą salę. Potrzebujemy jej na zebrania. Nie zapominajmy też o bocznych salkach restauracyjnych i dyplomach Ochotniczej Straży Pożarnej, które tam wiszą na ścianach. Obawiam się, że bojkot byłby posunięciem bezsensownym, a może wręcz szkodliwym. Należy się zawsze liczyć z Kościołem i gospodą.

— Kapituluję wobec pańskich argumentów — oświadczył pułkownik z godnością. — Ale że taka kobieta wpuściła do łóżka akurat takiego Scheuermanna — to się w głowie nie mieści.

— To się nawet dobrze składa — rzekł Reisser z zadowolaniem. — Kiedy będzie miał gospodę na karku, nie starczy mu czasu na politykę. Ta słodka osóbką, drodzy panowie, usuwa nam z drogi poważnego przeciwnika.

— Istotnie, to jest jakaś perspektywa — rzekł pułkownik zadowolony. — Trzeba im ze wszystkich sił dopomóc. Jak pan myśli, Pulver? Czy uda się Mutschowi podstawić nogę?

—• Już się do tego zabrałem — odparł policjant z dumą.

„Goniec Wahlheimski” informował szczegółowo i z zaskakującą znajomością rzeczy o wszystkim, co zaszło. Tytuł trzeciej szpalty brzmiał: „Dzieło niecných rąk”. Dalej można było przeczytać: „To bez mała profanacja pomnika”. — „Mistrz malarski niewinną ofiarą”. — „Podjęto trop, ale nikt nie wie, dokąd on prowadzi”. — „Oczyszczony cokół lśni dawnym blaskiem”. — „Wpływają nowe datki”.

Mutsch odłożył gazetę i rzekł spokojnie: — Całkiem poszaleli.

Mężczyźni grający w skata przedyskutowali wydarzenie i doszli do wniosku: — Najwyższy czas, by przystąpić ostro do ataku.

Kobieta, która siedziała u fryzjera, oświadczyła z przekonaniem: — Wszystkie chłopy są nieobliczalne.

Fryzjer, który ją czesał, przyznał rację: — To wszystko przez tę politykę, łaskawa pani.

Ulryka Reisser, która dowiedziała się o wszystkim od męża, powiedziała z uśmiechem: — W każdym razie to na pewno nie sprawka Mutscha. Jest zbyt subtelnym mężczyzną. Mów, co chcesz, ale on mi się podoba.

Dyrektor Seebaum stał wyprostowany w swoim gabinecie. Za nim wisiała mapa terenu jego fabryki. Głowa dyrektora znajdowała się na wysokości magazynu szmat.

— Panie Gümpel — rzekł niecierpliwie — nie przekazywałem dotacji na waszą partię i na pomnik z czystej tylko sympatii. Wierzę w waszą słuszną sprawę, ale brak mi namacalnych dowodów skuteczności waszych przekonań.

— Jak pan wie, panie dyrektorze, napiętnowaliśmy tego Mutscha całkiem niedwuznacznie.

— Mam szczegółowe sprawozdanie z przebiegu obchodów święta straży pożarnej. Ale przecież pan widzi, że wasze dotychczasowe kroki są niewystarczające.

— Jesteśmy na tropie wroga — zapewnił pułkownik. — Nie pozwolę bezkarnie obsmarowywać mojego domu.

— Chciałbym w to wierzyć, drogi panie pułkowniku. Proszę, niech pan siada. Porozmawiajmy. Proszę mi przedstawić ogólną sytuację w Wahlheimie. Niepokoi mnie wyraźnie słabnąca energia burmistrza. Wydaje mi się, że jest on czymś mocno zaabsorbowany. Czy może mi pan powiedzieć, czym?

Pułkownik Gumpel siedział przy biurku. Za nim wisiał portret przedstawiający rotmistrza Gümpla z ogierem Herkulesem, na którym w roku 1923 byłby wygrał zawody jeździeckie, gdyby sędzia punktowy nie okazał się nędznym cywilem. Przed nim stał Pulver w służbistey postawie.

— Panie Pulver — rzekł pułkownik — w gruncie rzeczy jesteśmy zgodni. Trzeba tylko usunąć istniejące jeszcze niejasności, jeśli chcemy w niedługim czasie poświęcić uroczyście nasz pomnik.

— Skupiłem na tym całą moją uwagę — zapewnił policjant.

— Przede wszystkim należy wyeliminować wersję samobójstwa — powiedział pułkownik.

— Zebrałem już mnóstwo dowodów wskazujących na ewentualny nieszczęśliwy wypadek. Lekarz jest nawet gotów w razie potrzeby potwierdzić, że rana z tyłu głowy mogła spowodować śmierć.

— Wiem o tym — odparł Gumpel z godnością — sam mu to wytłumaczyłem, kiedy poprosił mnie o poparcie w jego staraniach o stanowisko naczelnego lekarza w tutejszym szpitalu. Oczywiście poprę go, bo to jest mój koleżeński obowiązek. Ale proszę pamiętać, drogi panie Pul-ver, że nieszczęśliwy wypadek to tylko jakaś furtka; podstępne morderstwo, i do tego z pobudek politycznych, wywarłoby nie tylko większe wrażenie, ale przyniosłoby o wiele lepszy skutek.

— Tak jest — rzekł Pulver służbiście — tak jest.

— Mam do pana całkowite zaufanie — powiedział Gumpel. — Niech się pan trzyma tego Mutscha.

Wcale nie było proste zasłużyć na takie zaufanie. Scheuermann odpadł, po pierwsze dlatego, że Irena Krampus była gotowa zaświadczyć pod przysięgą, iż tą noc spędził on u niej, a po drugie tego rodzaju czyn nie był w jego stylu. Był on bowiem posłem i ogólnie szanowanym człowiekiem. Nigdy by nie narażał swojego dobrego imienia na szwank taką nocną akrobatyką. Ale stanowił parawan, za którym ukrywał się Mutsch; każdy, kto chciał dosięgnąć Mutscha, musiał się natknąć na Scheuermanną. A każdy kłopot, który z powodu Mutscha spadłby na Scheuermanną, osłabiłby jego gotowość osłaniania tego bandyty.

Sprawa wyglądałaby oczywiście zupełnie inaczej, gdyby udało się skoncentrować tylko na Mutschu. Ten był zdolny do wszystkiego, ale nie można mu było niczego udowodnić. Nie miał jednak alibi na tamtą noc. Około pierwszej przyprowadził Ulę do domu, a potem do trzeciej spacerował po parku. Samotnie. Bez świadków. Żaden normalny człowiek w Wahlheimie nie uwierzyłby mu, ale też nikt nie mógł zakwestionować jego alibi.

A więc nie było świadka, który by zeznawał przeciwko Mutschowi, ani takiego, który by świadczył za nim. Wszystko — kradzież akt, topielec, oblanie cokołu pomnika farbą — to były wystarczające powody do podejrzeń i przekonujące motywy, ale nie można było niczego dowieść. Fakty te wskazywały tylko na niebezpieczną sytuację tego eks-więźnia.

— Muszę coś znaleźć — powiedział Pulver sam do siebie — coś, co by łączyło tego Mutscha z Semperem. Jakieś punkty styczne. Jakieś spotkanie. Jeśli znajdę coś takiego, dorobię odpowiednią motywację. Bo każdy przestępca, nawet najbardziej przebiegły, popełnia kiedyś błąd — to dowiedzione.

Mutsch stał przy płocie i spoglądał na dziecko Ulryki Loos. Leżało gołe na kocyku w trawie, wyciągało w górę rączki i nóżki i gaworzyło. — Jest za gruby — powiedział Mutsch krytycznie. Ulryka, która siedziała obok dziecka na ziemi i cerowała pończochy, odwróciła się raptownie. Ofuknęła go. — Wcale nie jest za gruby! — zawołała oburzona. — Wszystkie zdrowe dzieci są grube.

— Będzie miał otłuszczenie serca. Mój wujek, który ważył przeszło dwa cetnary, cierpiał na astmę.

Ulryka zasłoniła dziecko. Owinęła je ręcznikiem, jakby nie chciała, żeby Mutsch mu się przyglądał.

— Będzie mu za gorąco — rzekł Mutsch.

Ulryka zasłoniła sobą niemowlę. — Nie wtrącaj się do mojego dziecka! — zawołała.

Mutsch przechylił się przez parkan i uśmiechnął. — Niestety, niewiele mam doświadczenia z dziećmi.

— Przy moim dziecku nie nabierzesz doświadczenia.

— Ile waży ten tłuscioch?

— Idź sobie stąd — powiedziała Ulryka. — To nie jest wcale tłuscioch; waży tyle, ile powinno ważyć normalne zdrowe dziecko.

— Naprawdę? — rzekł Mutsch sceptycznie.

Dziecko zrzuciło z siebie ręcznik, przewróciło się na brzusek i wystawiło pupę do słońca.

— Mały ma temperament — powiedział Mutsch. — Chyba po matce.

Ulryka spoglądała na niego niechętnym wzrokiem.

— Mutsch — rzekła poważnym tonem — czego ty ode mnie chcesz? Prosiłam cię, abyś mnie zostawił w spokoju. Tyle razy ci mówiłam, że nie chcę więcej mieć z tobą do czynienia. Mój ojciec cię wyrzucił. Więc czego jeszcze chcesz?

— Wieczory — rzekł Mutsch — są teraz takie piękne. A nad brzegiem Panzy, tam, gdzie rosną wierzby, słychać kumkanie żab. Tak samo jak wtedy.

— Mutsch, proszę cię jeszcze raz, zostaw mnie w spokoju.

— Ławka, na której zawsze siedzieliśmy, została odmalowana. Na biało. Wczoraj zdjęli tablicę „Świeżo malowane”, .

bo farba już wyschła. Ale ja ją znów powiesiłem, bo nie chcę, aby ktoś inny siadywał na naszej ławce.

— Mutsch — powiedziała Ulryka — jeśli zaraz nie odejdziesz, to ja sobie pójdę.

I odwróciła się, aby owinąć dziecko.

— Ach, mój Boże — rzekł Mutsch zdziwiony. — Skąd u ciebie tyle złości?

— Ty w ogóle mnie nie znasz — odpowiedziała Ulryka zadziornie.

Wtem dał się słyszeć smutno brzmiący głos. — Ale ja znam was oboje — był to głos starego Loosa. Kowal podszedł do nich. Jego wysoka, pochylona postać rzucała wąski cień na dziecko. — Znów pan tu jest!

— Dzień dobry, panie Loos — powiedział Mutsch uprzejmie.

— Dzień dobry — odparł Loos mruklawie. Spojrzał smutnym wzrokiem na córkę. — Idź do domu i zabierz dziecko. Upał wam zaszkodzi.

Ulryka posłuchała bez słowa. Wzięła dziecko, koc, ręcznik i stos podartych pończoch i skarpet. Starła się nie patrzeć na ojca, tylko Mutschowi rzuciła pełne wyrzutu spojrzenie, które mówiło wyraźnie: no i masz, czego chciałeś!

Dziecko dalej gaworzyło radośnie, podskakiwało w ramionach matki i uderzało tłustą rączką w jej zaczerwienioną twarz.

Mutsch dziwił się, jaka silna była Ulryka. Z dzieckiem na rękę, obciążona rzeczami, szła zwinnym, lekkim krokiem. Jej smukła postać trochę się zaokrągliła, co jeszcze dodało jej uroku. Przyjemnie było na nią patrzeć.

— Czy zamierza pan tak stać przy płocie? — zapytał Loos.

— Nie! — Mutsch przeskoczył parkan niezbyt zręcznie i omal nie upadł. — Dziękuję za zaproszenie.

Kowal patrzył na niego jakby był kawałkiem żelaza, który wymaga odpowiedniej obróbki. Potem przywołał go kiwnięciem ręki. — Zauważyłem z przykrością, że pan stara się zbliżyć do mojej córki.

— Pańska córka mi się podoba.

— Ona ma dziecko.

— Dziecko też mi się podoba.

Kowal wskazał na ławkę zbitą z surowych desek. Mutsch usiadł obok niego pełen oczekiwania. Spoglądał w błękitne niebo. W ogrodzie panowała cisza. Tylko w oddali słychać było szum maszyn w fabryce sukna.

— Spotkał ją zły los — rzekł kowal. — Zasłużyła sobie na to swoją lekkomyślnością. Ale nie chcę więcej nieszczęść.

— Ja także tego nie chcę.

Loos pochylił się do przodu. Zaciskał kościste ręce. Jęknął, jakby go przygniótł wielki ciężar. — Dobry z pana fachowiec — powiedział. — A dobrzy robotnicy są na ogół dobrymi luźni — ale nie zawsze.

— Siedziałem w więzieniu, niech pan o tym nie zapomina.

— Do cholery! — zawołał stary Loos ze złością. — Niech pan przestanie stale z tym wyskakiwać. — Ale zaraz dodał łagodniej: — To pańska sprawa. Mnie to nic nie obchodzi.

— Jasne — przytaknął Mutsch uprzejmie. — Rozumiem to.

Loos położył dłonie na kolanach. — Ulrykę spotkało nieszczęście, ale to nie znaczy, że teraz każdy może przyjść i wyciągać po nią łapy. Tylko dla przyjemności.

— Przyjemność też do tego należy — powiedział Mutsch szczerze.

— Do czego?

— Do małżeństwa.

— Co? — rzekł kowal zdumiony. Wyprostował się i długo patrzył na Mutscha. Wyglądało, jak gdyby coś w myśli obliczał. — Nie — powiedział wreszcie. — To nie mógł być pan. Pan w tym wypadku nie wchodzi w rachubę.

— Co znaczy, nie wchodzi w rachubę?

— Dziecko urodziło się, kiedy pan siedział w więzieniu — rzekł Loos. — To nie jest pańskie dziecko.

— Nigdy tego nie twierdziłem. Ale dziecko potrzebuje ojca. A ja bardzo lubię dzieci. Zwłaszcza takie tłuściochy.

Kowal powoli pokręcił głową. — Niech pan się dobrze zastanowi i zostawi sobie czas do namysłu. Jeśli po kilku miesiącach będzie się pan jeszcze nadal chciał żenić z dużym dzieckiem, które ma małe dziecko, wtedy pogadamy.

Mutsch rzekł: — Już dawno się zastanowiłem. Nie chcę dłużej tracić czasu.

Stary Loos długo myślał, oparł głowę na rękach. — Ale jedno panu powiem: nie dostanie pan mojej kuźni.

— Nie chcę żenić się z pańską kuźnią, tylko z pańską córką.

— Nie będzie pan po mnie dziedziczył! — rzekł kowal z niezwykle ożywieniem. — Nie mam jeszcze pięćdziesięciu lat. Będę pracował jeszcze co najmniej dwadzieścia pięć lat.

— Jeśli o mnie chodzi, to może pan pracować nawet i sto lat.

Loos nie ustępował. Pogrzeżył się w swoich myślach, a jego narosła przez lata nieufność niemal go dławiła. — Córka nie dostanie żadnej wyprawy, żadnego posagu, nie ma też prawa po mnie dziedziczyć i nie będzie mogła u mnie mieszkać.

— To nic! — rzekł Mutsch. — Wezmę ją, nawet gdyby nie miała kosztuli na grzbiecie. Kocham ją przecież.

— Nie, nie! — powiedział Loos mocno zaniepokojony. — Tu coś się nie zgadza. To niemożliwe, aby ktoś się chciał żenić z tą dziewczyną. To mi się nie mieści w głowie. I akurat pan!

— Co to ma znaczyć! — Mutsch zerwał się urażony. — Czyżby pan nie chciał mi dać córki? Nie jestem dla niej dość dobry?

Loos także wstał. Położył ciężką dłoń na ramieniu Mutscha i z powrotem pociągnął go na ławkę. A ponieważ Mutsch stał tuż przed nim i mógł mu zajrzeć w oczy, zauważył, że lśniły w nich łzy, i to go wzruszyło.

— To wcale nie tak — powiedział Loos ciężko. — Pan jest na pewno przyzwoitym człowiekiem i moja córka może być z panem szczęśliwa, ale nie będzie mi łatwo się z nią rozstać, a jeszcze bardziej z dzieckiem.

Mutsch patrzył na niego zaskoczony. Nie mógł znaleźć słów, by wyrazić swoje zdumienie.

— Czy Ulryka zna pańskie zamiary? — spytał Loos.

— Domyśla się — odparł Mutsch i wyciągnął przed siebie nogi. Był rad z siebie i przekonany o swojej wygranej.

Wzruszenie kowala szybko jednak minęło. — Wszystko musi mieć swój porządek — powiedział. — Kto kuje żelazo, musi zważać na ogień, bo inaczej poparzy sobie palce.

— Nie jestem kowalem, jestem elektrykiem — odpowiedział na to Mutsch.

— Ale tu chodzi o moją córkę, a ja jestem kowalem! — Loos wydawał się zdecydowany bronić swego ojcowskiego autorytetu.

— Cenię pańską szczerość. Ale drugie dziecko nie wchodzi w rachubę. Nie przed ślubem.

— Wcale nie jest przewidziane.

— Może pan się z nią widywać — rzekł kowal surowo.

— Dwa razy w tygodniu. Będzie pan jadał u nas kolacje. Co niedziela będzie pan mógł zabrać Ulrykę na trzy godziny na spacer. Po południu.

— A na ile centymetrów będę się mógł do niej zbliżyć?

— zapytał Mutsch poirytowany.

— Niech pan sobie nie stroi żartów — powiedział Loos niechętnie. — Dość już zaznałem goryczy. Nie chcę przeżywać tego po raz drugi. Jestem ciężko doświadczonym ojcem.

— Jest pan wyrodnym ojcem.

— Chyba pan ją naprawdę kocha — rzekł stary Loos. I zaraz dodał: — Zobaczymy, jak długo to potrwa.

Karl Scheuermann był zmartwiony, że jego uczucie do Ireny Krampus nie dało się dłużej utrzymać w tajemnicy. Niepokoilo go, że ona nie tylko beztrzesko odnosiła się do gadania ludzi, ale je wprost prowokowała, w irytujący niemal sposób obnosząc się ze swoją miłością.

— Proszę, puść moją rękę — rzekł Scheuermann cicho. — I nie patrz na mnie takim rozkochanym wzrokiem. Two je zachowanie jest wprost nieprzyzwoite.

Irena roześmiała się, potem poprosiła Scheuermanna, by usiadł. — Chodź, mój mały — powiedziała kokieteryjnie i usiłowała wziąć go pod rękę.

— To wcale nie jest konieczne — powiedział Scheuermann rozdrażniony — byś demonstrowała wobec wszystkich uczucia, jakie nas łączą.

— Ale ja cię kocham, Karl. I gwizdź na opinię. Chcę mieć męża.

— Ale to nie było uzgodnione — rzekł Scheuermann.

— Nigdy nie było między nami mowy o małżeństwie. I właśnie teraz jest na to najmniej odpowiednia pora. Mam za dużo roboty. Pomówimy o tym po wyborach, najlepiej w Boże Narodzenie.

Irena nadal patrzyła na niego z czułością. — Teraz, kiedy całe miasto o tym wie, nie możemy zwlekać. To nie moja wina, że musiałam powiedzieć, gdzie spędziłeś noc po festynie.

— Całe miasto! — bronił się gwałtownie Scheuermann.

— Przecież to nasza osobista sprawa. A jeśli ktoś otworzy swój beczelny dziób, to każę Mutschowi połamać mu kości. Słowem, moja droga, teraz muszę mieć wolną rękę, nie mogę się dostać na ludzkie języki.

— Ach, mój mały — rzekła Irena i pokazała w uśmiechu swoje piękne zęby. — To zdumiewające, jak mało mnie znasz.

Scheuermann ujął jej rękę, spoczywającą na jego kolanie i odsunął ją. — Proszę cię — powiedział. — Dlaczego nie chcesz zrozumieć? Nie mogę w obecnej sytuacji pozwolić sobie na prywatny skandal.

— Uważam, że to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. Ja jestem wdową, a ty także nie masz żony. I kochamy się.

— Wciąż zapominasz, że jestem politykiem.

— Ach, i to właśnie działa mi na nerwy. Bądźże mężczyzną! Masz tu piękną, dużą gospodę. Możesz z nią robić, co zechcesz. Możesz tu wyładowywać całą swoją energię. Jeśli będziesz chciał, pomogę ci, jeśli nie chcesz, to nie. Co powiesz na to?

— Nie — odparł Scheuermann szczerze. — Nie mam ochoty napychać ludziom brzuchów.

— Wiem, wiem, wolisz nabijać sobie głowę polityką.

— Gospoda to dobre źródło dochodów, ale polityka to sprawa przekonania.

— A w moim przekonaniu, nigdzie nie robi się tylu głupstw, co w polityce.

— Ireneo, może na razie to wszystko rzeczywiście wygląda jak w teatrze kukielkowym. Już to raz przeżyłem, a na leżę do tych nielicznych ludzi, którzy nie mogą tego zapamiętać. Wtedy także wszystko wyglądało podobnie, jakby gromada wariatów urządziła korowód masek, a wszyscy mądrzy ludzie myśleli, że mają powody do śmiechu. Ale wynikła z tego cholernie poważna sprawa. I to nie tylko dla Niemiec.

Irena miała niezadowolony wyraz twarzy. — Nie potrafię tak myśleć jak ty, Karl. Bardzo się o to staram, ale mi nie wychodzi. Nigdy się za bardzo nie znałam na polityce, a z tego, co wy tutaj nazywacie polityką, w ogóle nic nie rozumiem.

Scheuermann westchnął.

— Ale jedno chyba rozumiem — ciągnęła Irena. — Oni chcą załatwić Mutscha, i to tylko z twojego powodu, bo on z tobą pracuje, bo jest pod twoją opieką i ma takie same poglądy, jak ty.

— To mój przyjaciel.

— Posłuchaj więc, gdybyś skończył z polityką, wtedy i jemu nic by nie groziło. On jest jak człowiek po długiej chorobie i należy mu pomóc przyjść do siebie, a nie narażać go. Trzeba go chronić.

Teraz Scheuermann się uśmiechnął. — Ale masz pojęcie o naszym drogim Mutschu. On jest zdrowszy niż my oboje razem wzięci. To szczwany lis. Tylko w miłości jest głupcem, podobnie zresztą jak my wszyscy.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

Scheuermann zaśmiał się i klepnął Irenę płaską dłonią po udzie. — Wyobraź sobie — rzekł wesoło — że on musi teraz nadgonić to, czego wtedy nie zrobił. Skonsumował małżeństwo awansem, założył się, że tak było, a teraz stary Loos zmusza go, by odgrywał rolę średniowiecznego adoratora. Dawniej razem tarzali się na trawie, a teraz nie wolno mu nawet potrzymać jej za rękę. Ale to go nie zniechęca.

— I to cię tak bawi?

— Nawet bardzo — przyznał Scheuermann. — Ale teraz muszę już iść. Mam to i owo do załatwienia.

— Więc nie zrezygnujesz z tej idiotycznej polityki?

— Ani myślę.
— Do widzenia.
— Zobaczymy się dziś wieczorem?
— Nie — odpowiedziała Irena szorstko. — Już nigdy więcej.
Chcę mieć normalnego męża, a nie polityka.
— W porządku. A więc do wieczora. Żegnaj.

Scheuermann w dobrym nastroju wyszedł na rynek. Przez chwilę przyglądał się murarzom, którzy powiększali fundament pod nowy pomnik. Podeszedł do nich. — Czy chętnie przyjęliście to zamówienie?

— Możemy tu zarobić.
— Kaktus mi wyrośnie na dłoni, jeśli wam zapłacą.
— To jak mamy uchronić nasze dzieci przed głodem? Dobry nastrój Scheuermann przysłał. Stał jeszcze chwilę przy murarzach, dowiedział się, kto dostarcza cementu i jaka jest jego cena. Potem odszedł zamyślony.

Zatrzymał się przed plebanią. Ujrzał Marcusa na werandzie, jak malował jednego ze swych gipsowych świętych. Scheuermann podeszedł do niego i stanął obok.

— Jest uszkodzony — powiedział. — Niech ksiądz go dostarczy do mojego warsztatu, to go zreperuję. Oczywiście za darmo.

— Bardzo chętnie — rzekł Marcus trochę podejrzliwie. — Naprawdę nie weźmie pan za to pieniędzy?

— Zrobię to z czystej życzliwości i sympatii.

— Pomiędzy Biblią a Marksem jest ogromna przepaść.

— Ale niekoniecznie pomiędzy ludźmi, którzy to czytają. Mamy co prawda inne zapatrywania, ale wspólnych wrogów. U nas każdy może robić, co chce, u was obowiązują przykazania, ale tamci uznają tylko taką religię, która służy państwu, błogosławi jego broń, modli się za Führera i chrzci jego przyszłych żołnierzy. Kościół od poświęcania pomników! Zupełnie jak orkiestra dęta!

— Teraz już wiem, czego pan chce. — Marcus wytarł ręce pobrudzone farbą. — Musimy być na każde wezwanie, zakładając oczywiście, że to wezwanie wypływa ze szczerych pobudek. I jesteśmy zobowiązani tak długo wierzyć w te szczerze pobudki, dopóki nie przekonamy się o czymś wręcz przeciwnym.

Tu duchowny dokonał podsumowania tego, co zaszło w mieście w ciągu ostatniej doby.

Rozmowa z burmistrzem: „Pokój tego miasta spoczywa w rękach księdza. Ksiądz jest zobowiązany go strzec.”

Rozmowa telefoniczna z dziekanem: „Służyć ogółowi, drogi bracie, to często oznacza iść mu na rękę.”

Wizyta rozhisteryzowanej Konstancji Kuhn: „Ach, ksiądz jest taki wspaniały, taki męski, pełen nieziemskiej siły!”

Pułkownik Gümpel: „Wedle starego prawa do księdza należą dusze. Nam niech ksiądz pozostawi ciała. Niech ksiądz nam nie wchodzi w drogę, jesteśmy, chwała Bogu, dobrymi chrześcijanami. Oddajemy Bogu, co boskie; niech ksiądz pomyśli o cesarzu, o tym, co jemu się należy. Jak ksiądz widzi, znamy Biblię.”

— Jeszcze w niedzielę — powiedział Scheuermann — przekonania księdza były jasne. Czyżby coś się zmieniło?

— Coś się wydarzyło — przyznał Marcus — coś, czego nie wolno lekceważyć. Przedłożono mi zaświadczenie lekarskie, według którego samobójstwo nie wchodzi w grę. To był prawdopodobnie wypadek. Rana z tyłu głowy mogła być przyczyną śmierci.

Kiedy Scheuermann znów znalazł się na rynku i spojrzął w stronę cokołu pomnika, zobaczył pułkownika Gümpla. Paradował po odzyskanym terenie, jakby odbywał apel.

— No i co — zapytał Scheuermann — jest pan zadowolony?

— Mam ku temu wszelkie powody. Wkrótce się pan dowie.

Pulver wyznawał szeroko rozpowszechnioną tezę, że trwałe szczęście jest udziałem tylko ludzi dzielnych. On w każdym razie miał szczęście, bo był dzielny. Charakter i silna wola wyznaczały mu wartości i kierunek. Tego się nauczył i w to wierzył. I dumny był, kiedy szczęście znów zaczęło sprzyjać dzielności.

Ta dzielność polegała na gorliwości, z jaką sam przeprowadzał dochodzenie albo zlecał je innym. Dwaj przydzieleni mu policjanci niższej rangi całe dni pełnili rolę posłańców, szpiegów i donosicieli. Węszyli wszędzie jak psy gończe, a Pulver siedział przeważnie w komisariacie, planował i badał, nieustannie żądny czynu. Niekiedy wydawało mu się, że jego gabinet jest centralą, w której odbywa się wielkie śledztwo, a on tym śledztwem kieruje i trzyma w rękę wszystkie nici.

Pracował więc gorliwie, ale jak dotąd nie mógł się wykazać żadnym szczególnym sukcesem. Wielokrotnie przeczesywał mieszkanie Semperów, *zwłaszcza* pokój Sebastiana. Znalazł tam trochę papierów, które jednak nawet dla policji nie miały żadnej wartości, a poza tym dużo wierszy, które z lekceważeniem odsunął na bok — i to było wszystko. Żadnej wskazówki w postaci listów czy notatek, które dotyczyłyby jakiejś konkretnej osoby. Przesłuchania rodziców nie dały nic poza informacją, że syn dużo przebywał poza domem, zawsze sam, że sypiał długo, że był dobrym dzieckiem i bardzo go kochali.

— Czy chętnie przebywał nad Młyńskim Dołem? — zapytał Pulver panią Semper, kiedy po raz kolejny ją przesłuchiwał.

— Możliwe, on bardzo kochał przyrodę.

— A może wyjątkowo tylko raz tam poszedł?

— To też prawdopodobne — odpowiedziała. — To był taki dobry chłopak.

Ta korpulentna, płacziwa kobieta działała Puhrerowi na nerwy. Za każdym razem musiał się przemóc, by z nią rozmawiać; z góry bowiem wiedział, że odpowiedzi będą bez znaczenia.

— Czy zna pani dobrze Młyński Dół?

— Ach, wie pan, mój syn był geniuszem.

Puhrer pochylił się nad aktami. Sprawa „Młyńskiego Dołu” była ważna. Obdukcja bowiem wykazała, że śmierć nastąpiła nie w wyniku porażenia mózgu wskutek przekrwienia — rozgrzane ciało w zimnej wodzie! — ale z powodu dostania się wody do płuc. Lekarz mógł nawet wskazać miejsce, gdzie nastąpił zgon. Był to Młyński Dół, niewielki

staw zawierający dużo jodu, znajdujący się około dwudziestu minut drogi od Wahlheimu, idąc w górę Panzy. O występowaniu jodu w tym stawie lekarz wiedział na podstawie prywatnych doświadczeń, albowiem często zażywał tam kąpieli w towarzystwie swojej asystentki.

— Najwyższy czas — gniewnie powiedział Pulver do pani Semper — żeby pani przypomniała sobie kilka szczegółów.

— Mój biedny syn — to był taki dobry chłopiec.

— No i...? Dobra informacja byłaby teraz dla mnie ważniejsza.

Pulver wstał, wzdychając, i podszedł do okna. Zapatrzył się przed siebie i zamyślił, ale widok Mutscha wyrwał go z medytacji.

Mutsch zatrzymał się, by z ręcznego wózka wyładować sedes, rezerwuar i rury. Pulver zapragnął zbadać, komu firma Scheuermann instaluje nową toaletę.

Ten Mutsch, myślał Pulver, wygląda, jakby nie potrafił zliczyć do trzech. To najbardziej wyrafinowany łajdak, jakiego znam. Wyprostował się. To był wróg! Przypomniał sobie schematy myślowe, jakimi operują ludzie piszący biografie bohaterów i pamiętniki: — Przedstawiaj zawsze swego przeciwnika jako opokę dzielności, Mount Blanc odwagi, Himalaje przebiegłości, wtedy niebiosa zapewnią ci sławę, ponieważ potrafiłeś wznieść się ponad niego.

— Proszę tu podejść! — zawołał Pulver nagle do pani Semper; kobieta stanęła za nim. Wskazał na Mutscha, który właśnie opierał na ramieniu rezerwuar. — Zna pani tego człowieka?

— Oczywiście — to straszny typ.

— Skąd pani go zna?

— Był kiedyś u nas.

— Czego chciał?

Pulver zaczynał coś przeczuwać, jego metodyczne pytania nabrały tempa.

— Chciał rozmawiać z synem.

— Kiedy to było? Przed czy po jego śmierci?

— Po co by miał rozmawiać z synem po jego śmierci?

Pulver miał wrażenie, że się czerwieni, ale jego ogorzała twarz nie zmieniła barwy. Przycisnął mocno brodę do kołnierzyka, pokonał dzielnie zmieszanie i powiedział ostro: — Niech pani odpowiada na moje pytanie. Myślenie niech pani zostawi mnie. Więc kiedy to było?

— Dzień czy dwa, zanim się to stało, zanim nasz drogi syn nas opuścił.

Pulver zaniemówił z wrażenia. Natychmiast uświadomił sobie, jak doniosła była to informacja. — A czy on rozmawiał z pani synem?

— Nie, chciał rozmawiać, ale syna nie było w domu.

— Poszedł na spacer?

— Tak.

— I ten Mutsch pytał panią, dokąd syn poszedł? Powiedziała mu to pani, a on poszedł za nim?

— Nie.

Pulver się skrzywił, ale dalej wypytywał płaczącą kobietę zgodnie z policyjnymi regułami. Wreszcie wszystko było jasne. Dzień przed śmiercią Sebastiana Sempera Mutsch zjawił się w domu jego rodziców. Zachowywał się impertynencko, jak nieokrzesany cham. Zapytał, czy może z nim rozmawiać; następnie wymyślał na niego, w końcu pokazano mu drzwi i wyszedł. Nie ma wątpliwości, że to był Mutsch, ten człowiek tam na ulicy. Na pewno. Kobieta z miejsca go poznała. Jest gotowa przysiąc.

Pulver sapał z rozkoszy. Spisał od razu protokół i kazał kobiecie podpisać. Zacierał ręce. Nareszcie jakiś promyk nadziei! Jego instynkt go nie zawiódł. On zaś nie zawiedzie nadziei, jakie w nim pokładano.

Zaraz potem napadł na Mutscha, który instalował sedes u klienta w pobliżu. Pulver zastąpił sobą wąskie drzwi ubikacji. Mutsch rzucił mu krótkie spojrzenie, zmarszczył czoło, potem znów się pochylił i dalej pracował.

— Ta ubikacja — powiedział Mutsch — będzie nieczynna jeszcze przez godzinę. Niech pan sobie poszuka innej, jeśli pana przypiliło.

Pulver powiedział surowym tonem: — Złożył pan fałszywe zeznanie.

— Będzie pan musiał mi to udowodnić.

— Udowodnię panu — rzekł policjant bardzo głośno. — Falszywe zeznanie, na piśmie, złożone pod przysięgą.

— Proszę o szczegóły — powiedział Mutsch i uniósł w górę klucz francuski niczym laskę marszałkowską.

Poczekaj, bratku, pomyślał Pulver, już ja wypędzę z ciebie twoją arogancję. Zaczął: — Był pan u rodziców Sebastiana Sempera i pytał o niego. I to na jeden dzień przed jego śmiercią.

Mutsch zdumiony podniósł wzrok. Potem powoli usiadł na desce sedesowej.

— Zgadza się?

— Owszem — rzekł Mutsch po chwili.

Ta jasna, wyraźna odpowiedź zaskoczyła Pulvera. Ale na razie trzymał się w karchach i nie okazywał zdziwienia.

— Dlaczego — zapytał — nie podałeś pan tego faktu do prookołu?

— Bo mnie pan o to nie pytał.

— Ależ pytałem, czy miał pan jakieś kontakty z Sebastianem Semperem, czy znał go pan osobiście. Oświadczył pan wówczas, że nie, a więc mnie pan okłamał. Jest to wprowadzenie policji w błąd. Wyciągnę z tego konsekwencje.

— Powoli, powoli — Mutsch starał się zapanować nad sytuacją, ale był świadomy, że to nie będzie takie proste.

— Podałem do protokołu, że nie znam Sempera, że nigdy go nie widziałem.

— Dokładnie tak.

— I w pełni to podtrzymuję.

— No coś takiego! — Pulver wyprostował się w poczuciu przewagi. — I wymyśla pan na człowieka, którego pan nie znał, którego nigdy nie widział i z którym koniecznie chciał się zobaczyć na dzień przed jego śmiercią. Komu chce pan to wmówić?

— Panu!

— A o czym chciał pan rozmawiać z tym nie znanym sobie Sebastianem Semperem?

— To nie pańska sprawa — rzekł Mutsch opryskliwie. Czuł wyraźnie: to był ten najbardziej niebezpieczny punkt. To tutaj krzyżowało się wszystko to, co dotąd pozostawało

tajemnicą. Jeśli ten punkt się wyjaśni, wyjaśni się też jego rola w całej sprawie, a Ulryka Loos i jej dziecko dostaną się na ludzkie języki. A właśnie do tego za wszelką cenę nie chciał Mutsch dopuścić.

Spojrzał teraz na Pulvera z ciekawością i zobaczył, że ten szczerzy zęby w uśmiechu. W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że popełnił niewybaczalny błąd. Na każde pytanie miał przygotowaną odpowiedź, ale na to najważniejsze odpowiedział jak idiota. Na pytanie: „O czym chciał pan z nim rozmawiać?” mógł dać setki odpowiedzi, jedną głupszą od drugiej; tylko jedna była bezsensowna i takiej właśnie udzielił.

Mutsch chwycił się za głowę. Powinien był powiedzieć: „Znałem jednego Sempera w czasie wojny”, albo: „Słyszałem, że był w niewoli”, ale nie, on powiedział: „To nie pańska sprawa”.

Pulver zadowolony szczerzył zęby, sądząc, że ma ku temu powody. W jego głosie brzmiał wyraźny tryumf, kiedy mówił: — To się wszystko bardzo sensownie układa w całość, mój drogi. Starał się pan usilnie odwrócić moją uwagę od faktu, że znał pan Sebastiana Sempera i że na niego nawymyślał, a więc go pan nienawidził. Zaprzeczył pan, kiedy zadałem pytanie wprost. Teraz jest jasne, dlaczego pan to zrobił. Nie ma pan świadka, który mógłby potwierdzić, gdzie przebywał pan w ciągu owych dwóch godzin. A w historię z parkiem nikt panu nie uwierzy. Zawsze bowiem, kiedy w Wahlheimie coś się dzieje, pan znajduje się w parku; obojętne, czy chodzi o morderstwo, czy o kradzież akt, czy też bezczeszczenie pomnika. Poza tym był pan karany, więc niech pan złoży lepiej od razu jasne zeznanie.

— Chciałby pan — rzekł Mutsch — ale ja nie mam co zeznawać.

— Niech się pan zastanowi.

— Nie ma się tu nad czym zastanawiać.

Pulver nabrał głęboko powietrza. Potem oświadczył stanowczo: — Pójdzie pan ze mną.

— Mam tu robotę — powiedział Mutsch niebezpiecznie cicho.

Pulver zareagował ostro: — Jest pan aresztowany.

Mutsch wpatrywał się w niego: — Pan mnie aresztuje?

— Jest pan spostrzegawczy.

— A gdzie nakaz aresztowania?

Pulver uczynił niecierpliwy ruch ręką, jakby odganiał natrętną muchę. — Jest zbędny — rzekł ostro. — Przepisy przewidują pewne wyjątki, a teraz o taki właśnie wyjątek chodzi. Powiedzmy: niebezpieczeństwo ucieczki. To pozwala mi aresztować pana natychmiast.

— A na jakiej podstawie?

— Podejrzenie o morderstwo.

Mutsch powoli wstał. Pulver zobaczył, na razie ze zdziwieniem, potem z rosnącym niepokojem, że Mutsch się uśmiecha, uśmiecha do niego.

— Mam nadzieję — rzekł Mutsch przeciągle — że drogo pan za to zapłaci. Jeśli o mnie chodzi, proszę bardzo, mo żemy iść.

Minęła długa noc, nim Scheuermann dowiedział się, co zaszło. Skoczył pod prysznic i zawołał do swojej gderliwej siostry, by przygotowała mu szary wyjściowy garnitur. — Dziś przed południem nie pracuję.

— Niedługo w ogóle przestaniesz pracować. W Landtagu tylko czekają na takiego nieroba jak ty.

— Pospiesz się, muszę pomóc Mutschowi.

— On jest taki sam leń jak ty.

Scheuermann błyskawicznie się ubrał. Przeklinał przy tym swój chaotyczny tryb życia. Postanowił w przyszłości wieść bardziej uregulowany żywot.

Wczoraj po południu załatwiał sprawy poza miastem. Mutsch miał na przedmieściu zainstalować sedes u klienta. Pod wieczór Scheuermann wrócił do Wahlheimu i udał się do gospody, by zjeść kolację. Dopiero nazajutrz rano, po śniadaniu, poszedł do domu; zamierzał się przebrać i wziąć do codziennej pracy.

Czekały tu jednak na niego hiobowe wieści. Jego zazwyczaj apatyczna siostra tryumfowała. Ula natomiast płakała i była okropnie zła. Wiedziała, że Mutsch potrzebował na instalację sedesu dwóch godzin i że o piątej miał wrócić i wypić razem z nią herbatę.

— Obiecał — szlochała Ula — że będzie tak przyjemnie. I wszystko do dupy!

Scheuermann nawet nie zganił córki za brzydkie słowo, ale słuchał dalszych szczegółów. Około siódmej Mutscha wciąż jeszcze nie było, ale za to zjawił się Pulver z drugim policjantem. Oświadczył, że Mutschowi potrzebna jest mała paczka, trochę bielizny i przybory do mycia; on sam osobiście gotów jest dostarczyć aresztantowi to, czego mu potrzeba. Przy okazji Pulver przeprowadził w pokoju Mutscha gruntowną rewizję.

— Ale przynajmniej wysmarowałam tego gliniarza kredą — oświadczyła Ula z ponurą satysfakcją.

— To była biała farba olejna — powiedziała siostra Scheuermann. — Wymazała go, kiedy klęczał przed komodą. Twoja córka! W dodatku ten ciągły wpływ Mutscha na dziecko. Odkąd przebywa w naszym domu, twoja córka zachowuje się jak dzikie zwierzę. Dobrze, że go wreszcie przymknęli.

Scheuermann nie słuchał dłużej. Pobiegł z powrotem do miasta. — Dziś rano aresztowano Mutscha! — zawołał w pośpiechu do Ireny Krampus.

— No to się pospiesz — rzekła Irena. — I nie wracaj tu bez Mutscha.

Scheuermann pobiegł na komisariat.

Pulver właśnie jadł śniadanie. Po kilku nerwowych godzinach był teraz w dobrym nastroju. Przyjaciele gratulowali mu i zapowiedzieli, że urządzą ucztę na jego cześć. Prokuratura była skłonna udzielić mu swego błogosławieństwa w postaci antydatowanego nakazu aresztowania. Najbardziej jednak uspokajał go fakt, że nie zjawiał się Scheuermann.

Z właściwym sobie darem kombinowania doszedł do następującego wniosku: To, że Scheuermann natychmiast nie przybiegł, mogło oznaczać tylko jego niepewność, a może nawet brak zainteresowania. A to wskazywało, że pośrednio uznaje aresztowanie Mutscha. Oznaczało, że Scheuermann po prostu machnął na niego ręką, bo nie chce sobie poparzyć palców rozpalonym żelazem.

Takie teoretyzowanie dobrze Pulverowi zrobiło. Mógł się spodziewać, że Scheuermann, być może, zjawi się później: musi przecież zachować twarz! Minęło jednak prawie szesnaście godzin, zanim Scheuermann się zgłosił, a to mówiło samo za siebie.

Pulver, zyczliwie usposobiony, rozparł się na krześle za barierką. — No — rzekł łaskawie — co mogę dla pana zrobić, panie pośle?

— Czy to prawda, że odważył się pan aresztować Mutscha?

— Rad jestem, że to się już rozeszło po mieście — Pul-ver siłił się na uprzejmość. — Spełniłem tylko swój obowiązek.

— Czy mogę się z nim zobaczyć?

— Niestety, nie.

— Wezmę adwokata, aby go bronił.

— Ma pan do tego prawo.

— Panie Pulver — rzekł Scheuermann porywczo — bardzo pana proszę, niech pan cofnie to aresztowanie. Trudno przewidzieć, co z tego wyniknie. Mogą być duże przykrości. Nieprzyjemne dyskusje. Lepiej tego unikać.

— Panie pośle — odpowiedział Pulver stanowczo. — Pan wie, że chętnie spełniłbym pańską prośbę, ale jestem organem wykonawczym. Przekazałem już sprawę wyższej instancji. Musi się pan tam zwrócić.

Scheuermann wybiegł z komisariatu, przeszedł w pośpiechu ulicę Strzelniczą, rynek, minął cokół pomnika i wpadł do gospody „Pod Czarno-Białym Bykiem”.

— Czego tu chcesz? — zapytała Irena Krampus gniewnie. — Mówiłam ci, żebyś się nie pokazywał bez Mutscha.

— Muszę zatelefonować. Bez świadków. Czy mogę z twojego kantoru?

Scheuermann połączył się z mecenasem Wildermuthem, który mieszkał w stolicy landu i był znanym, powszechnie szanowanym adwokatem; cieszył się także w pewnym stopniu zaufaniem partii socjalistycznej.

Scheuermann przedstawił mu sprawę Mutscha. Wildermuth wysłuchał go uważnie.

— Oczywiście zajmę się tą sprawą — rzekł, wysłuchawszy relacji. — Ale musi mi pan powiedzieć, czy naprawdę uważa pan, że Mutsch jest niewinny.

— Jestem o tym przekonany.

Mecenas mruknął coś zadowolony. Po krótkiej pauzie, przeznaczony na zastanowienie, rzekł: — Musimy działać spokojnie, nie możemy postępować zbyt pochopnie.

— Ale na co tu czekać? Każda godzina jest cenna. Muszą wypuścić Mutscha możliwie jak najprędzej. Już raz siedział w więzieniu.

— Wiem. Znam tę sprawę, wzbudziła wówczas sensację. Gdybym ja go bronił, dostałby najwyżej rok. Ale kto przesiedział trzy lata, wytrzyma także kilka dni. W tych okolicznościach...

— Nie, panie mecenasie — Scheuermann z trudem hamował swoje oburzenie.

— Proszę mnie właściwie zrozumieć — rzekł Wildermuth. — Proszę się tylko zastanowić. Pomyłki prawne wciąż jeszcze się zdarzają. To nie musi być zaraz zła wola, to leży w naturze rzeczy; urzędnicy sądowi są ostatecznie także tylko ludźmi i mogą się mylić. Ale w interesie naszej partii, która obecnie nie sprawuje władzy, leży to, aby patrzeć sądownictwu na ręce.

Scheuermann przerwał mu niecierpliwie. — Chodzi tu przede wszystkim o bliskiego mi człowieka, nie o partię.

— Niech mi pan pozwoli dokończyć. Rozumiem pańskie motywy i szanuję je. Ale proszę wziąć jedno pod uwagę: łatwo byłoby skorygować błąd prawny, ale jakże doniosłe byłoby publiczne potępienie tego błędu i wymuszenie w ten sposób korekty. Mielibyśmy wtedy zapewniony nie tylko sukces merytoryczny, ale także moralny.

— Nie zgadzam się — rzekł Scheuermann stanowczo — aby kosztem wolności lub opinii jednego człowieka robić

politykę. Niech więc pan przybędzie tu jak najszybciej. I tylko w charakterze adwokata.

Scheuermann odłożył słuchawkę i spojrział zamyślony na Irenę, która stała obok.

— Masz zamiar tu odpoczywać? — zapytała zdziwiona. — No, wstawaj i ruszaj do roboty!

— Tylko powoli — rzekł Scheuermann niechętnie. — Robię, co mogę.

— A co z tym młodym Flammerem? Czy on nie może nic zrobić dla Mutscha?

Scheuermann próbował natychmiast połączyć się telefonicznie z dziennikarzem, ale go nie zastał. — Jest gdzieś na mieście — padła odpowiedź.

— Nie ma go — rzekł Scheuermann do Ireny.

— To go poszukaj. Czy może myślisz, że sam się zgłosi?

Scheuermann ruszył w drogę.

W pobliżu gospody spotkał Marcusa. Zatrzymał go i zapytał: — Czy słyszał ksiądz, że aresztowano Mutscha?

— Będę się za niego modlił — oświadczył Marcus po prostu.

Przy cokole, pośrodku rynku, Scheuermann spostrzegł burmistrza Reissera i pułkownika Gümpla. Oglądali gotowe fundamenty i porównywali je z planami. Trzymali w rękach dużą rolkę papieru i sprawiali wrażenie, jakby byli zaabsorbowani niesłychanie ważnymi sprawami.

Scheuermann nie zawahał się im przeszkodzić. Wsunął się pomiędzy nich. — Panie burmistrzu — zaczął.

— Wiem, wiem! — zawołał Reisser i wyciągnął rękę, by powitać Scheuermanną. — Wiem wszystko i współczuję panu. Zapewniam pana, że bardzo mi przykro. Jestem całkowicie po pańskiej stronie. Ale co mara robić?

— Pomóc!

— Bardzo bym chciał, drogi kolego, ale nie mogę. Jestem tu tylko burmistrzem. Mam bardzo ograniczone uprawnienia. Policja, jak pan wie, mnie nie podlega. Nie mogę wchodzić w kompetencje innych. Ale proszę złożyć odpowiedni wniosek. Proszę zebrać podpisy. Przecież ma pan po swojej stronie pewną liczbę obywateli. Chętnie przekażę dalej pański wniosek. Nic więcej nie mogę dla pana zrobić.

— A pan, panie pułkowniku?

Gümpel wzruszył ramionami. — Szanowny panie — powiedział — jestem człowiekiem przestrzegającym porządku. Nie może pan ode mnie wymagać, abym podważał autorytet praworządności naszego kraju przez wtrącanie się w przygotowywany proces.

— Byłoby pięknie — rzekł cicho Scheuermann — gdyby ta czysto ludzka sprawa znalazła poparcie ludzi poza partiami. Byłby to gest pojednania.

— Który wyszedłby na dobre tylko pańskiej partii! — odparł Gümpel. — Nie, nic z tego, szanowny panie! Nie zapominamy o tym, co się stało, i myślimy o tym, co ma nadejść. Wstawia się pan za kimś, kto, być może — powtarzam: być może, okaże się mordercą; nie mówię, że jest, lecz że może się okazać mordercą wielkiego człowieka. To mówi samo za siebie, mój panie. A teraz proszę nam wybaczyć.

— Jest mi naprawdę przykro — powiedział burmistrz i próbował uścisnąć dłoń Scheuermannu. Ale ten stał jak skamieniały i wyglądał jak własny pomnik.

Scheuermann nie drgnął nawet wtedy, kiedy podszedł do niego mistrz ślusarski Miegalke.

— Drogi kolego — rzekł Miegalke. — Zawsze byłem za szczerością. A uczciwość to moja najwyższa zasada.

— Czego pan chce?

— Z powodu aresztowania pańskiego pracownika nie dokończono zakładania sedesu na ulicy Strzelniczej trzyście. Właściciel mieszkania — ponieważ nikt z pańskiej firmy nie był osiągalny — mnie powierzył dokończenie zlecenia, bo sprawa była bardzo pilna.

— W porządku — rzekł Scheuermann.

— Oczywiście nie mogłem zastosować dostarczonych przez pana materiałów, ponieważ moje metody pracy są inne niż pana, inny mam też pogląd na kształty sedesów.

— A idź pan do diabła!

— Jest pan bardzo nieuprzejmy — powiedział Miegalke z naganą — bardzo nieuprzejmy. — I odszedł.

Scheuermann patrzył na cokół pomnika ku czci wielkich i zasłużonych synów tego miasta. Podeszła do niego Ulryka

Reisser i powiedziała: — Słyszałam, co się stało z panem Mutschem. Mam nadzieję, że uczyni pan w tej sprawie więcej, niż to, co się na ogół nazywa obowiązkiem. Może pan na mnie liczyć.

— Miło mi to słyszeć — rzekł Scheuermann. — Ale obawiam się, że musimy czekać na cud. Mój przyjaciel Mutsch znalazł się w pułapce, którą z taką energią zastawili na niego prominenci naszego miasta. Niełatwo jest pokonać barierę przesądów.

— Okaze się to niemożliwe, jeśli pan będzie dalej stał tu beczynnie.

Scheuermann spojrział na Ulrykę Reisser z zachwytem. — Pani jest wspaniałą kobietą — powiedział szczerze. — Czy nie zechciałaby pani przekazać swoich myśli także panu burmistrzowi?

— Właśnie to robię — odpowiedziała kobieta uprzejmie.

Fritz Flammer wykonywał swoją codzienną pracę w redakcji bez szczególnego wysiłku. Informacje napływały wartkim strumieniem, nietrudno było zappełnić nimi szpalty gazety. Z łątwością przetrwał letnią posuchę, nie musiał nawet robić w tym roku zapasów. Jego biurko aż pęczniało od nadmiaru materiałów.

Sama sprawa zbezczeszczenia pomnika stanowiła treść dwóch wspaniałych, długich, zadziwiająco szczegółowych artykułów; dyktował je od razu na maszynę, bez żadnych przygotowań. Także informacje o zbliżających się wyborach do władz gminnych pożerały całe szpalty; różni pomniejsi politycy wszelkich orientacji z zapalem pisali dla niego całe elaboraty.

Niewątpliwie najważniejszym wydarzeniem tego lata było planowane poświęcenie pomnika. Wszystko, co się z tym faktem wiązało, Flammer wykorzystał w stu procentach. Przed oczami czytelników roztaczała się wizja projektu, historia powstania, budowa; tytuły przypominały trzepoczące sztandary: Komitet obraduje! — Na oczach

społeczeństwa — Głosy prasy z daleka i z bliska! — Artysta projektuje tablice z płaskorzeźbami na wzór antyczny! — Komitet znów obraduje! — Klub sportowy „Jahn 34” wpisał się jednogłośnie na listę ofiarodawców! — Firmy naszego miasta budują cokół! — Odkrycie dalszych wierszy Sebastiana Sempersa — Planowane jest pełne wydanie jego utworów — Komitet obraduje! — Kolumna w kształcie palca wzniesionego do przysięgi! — Uroczyste odsłonięcie już w najbliższą niedzielę!

Flammer, dla którego nie było nic świętego i który chciał za wszelką cenę pokazać, że Wahlheim i cały ten świat to jeden wielki dom wariatów, uważał, że zrobił dobrą robotę. Redaktor naczelny też tak uważał i nawet jakby dał do zrozumienia, że w przyszłości skłonny jest tolerować większe wydatki. To Flammera ogromnie podniosło na duchu.

Niestrudzenie zabiegał o względy Małgorzaty von Ha-bern, nie natrafiając z jej strony na większy opór. Ale przed kilkoma dniami poszedł za nią nad rzekę, gdzie chciała się wykapać; wówczas to, kiedy chciał jej pomóc przy rozbieraniu — oczywiście tylko z życzliwości — dostał solidny odpór. Zdumiewająca była siła jej delikatnej rączki. Flammer przyjął to jako oznakę sympatii.

Niestety, od tamtej pory Małgorzata nie kwapiła się skakać do rzeki, nie upewniwszy się przedtem, czy nie ma go w pobliżu. Wołała teraz w porze obiadowej opalać się na leżaku na płaskim dachu ratusza. Wkrótce Flammer ją tam wypatrzył. Wyposażony w lornetkę wszedł na wieżę kościoła, jedyną budowlę w mieście wyższą od ratusza. Wytłumaczył się, że zbiera materiały do historycznego szkicu o „Wahlheimie i jego Domu Bożym”. Nie omieszkał przy tym przeprowadzić dokładnych oględzin wieży. Wychylił się przez małe okienko i mrugnął do złotego koguta na szczycie, którego łatwo było dosięgnąć z miejsca, gdzie stał. Po obejrzeniu drabiny, która najwyraźniej go zainteresowała, Flammer zszedł znów niżej do swego punktu obserwacyjnego.

To, co zobaczył z góry, bardzo go uradowało i wzmoгло jego pożądanie. Zapragnął znaleźć się jak najbliżej obiektu

swych westchnień. Zszedł po schodach z wieży i ostrożnie, na palcach, trzymając buty w rękę, bezszelestnie niczym Indianin u Karola Maya, wszedł na dach ratusza.

Małgorzata nie słyszała go, ale instynkt podszeptał jej, że nie jest sama. Szybko się wyprostowała, spojrzała na Flammera i okryła płaszczem kąpielowym. Twarz jej oblała się purpurą.

— Jestem zachwycony — powiedział Flammer.

— Świnia! — zawołała Małgorzata z wściekłością. Flammer usiadł u jej stóp. — Bardzo słusznie — rzekł.

— Ten, kto podgląda, jest świnią. Pani logika podoba mi się. Gdyby pani nie była naga, nie byłbym świnią.

— Niech pan natychmiast zejdzie z dachu!

— To niech pani zejdzie!

— Nie mogę, muszę najpierw się ubrać.

— Proszę bardzo. To mi nie przeszkadza. Małgorzata otuliła się płaszczem kąpielowym. — Proszę — powiedziała; teraz była zmieszana.

Flammer stopniał jak wosk. Musiał użyć wszystkich swych sił, by oprzeć się temu cichutkiemu „proszę”. Rzekł:

— Kocham panią.

Jej oczy zalśniły, ale głos brzmiał gniewnie. — Wyobrażam sobie, co pan ma na myśli.

— Co takiego? Ach! — Małgorzata machnęła niecierpliwie ręką. Jej płaszcz kąpielowy trochę się rozchylił.

— Z pani to prawdziwa góra lodowa — powiedział Flammer.

— Dlaczego pan się wobec mnie tak zachowuje? — zapytała Małgorzata z bezradnym wyrzutem.

— Bo panią kocham. Chodzę za panią jak pies. Przesiaduję w ratuszu, by być blisko pani. W nocy sterczę na ulicy pod pani oknem.

— Moje okno wychodzi na ogród.

— Wiem. Ale nie chcę być natrętny. Kiedy pani idzie na zakupy, marzę, by nieść pani torbę. Kiedy pani pisze, pragnę podawać pani papier.

— A kiedy idę się kąpać, chce mnie pan rozbierać.

— Tak. To znaczy nie. Mam na myśli nie tylko wtedy, kiedy pani idzie się kąpać.

Małgorzata powiedziała trzeźwo: — Niech się pan do mnie nie zbliża.

Fritz Flammer znów znalazł się w punkcie, w którym zawsze się znajdował, ilekroć zaczynał z Małgorzatą intymną rozmowę. Ale cóż na to poradzić, skoro ją kochał. — No dobrze — rzekł ulegle. — Pójdziemy wieczorem na spacer?

— Nigdy — odpowiedziała. — W każdym razie nie przed ósmą.

Fritz Flammer włókł się przez rynek, przeklinał wszystkie baby, był więc w dobrym nastroju. Kiedy zbliżał się do księgarni, myślał z zachwytem o Małgorzacie.

Uderzył mocno głową o słup latarni. Dzieci, które to widziały, aż zapiszczały z radości. Kobieta, która go mijała, popatrzyła na niego jak na ciężko chorego.

Flammer z wrażenia zapomniał zakląć. Dotknął czoła. Był pewien, że ocieka krwią. Ale nie poczuł nic i to go rozczarowało.

W głowie mu jeszcze huczało, gdy wchodził do księgarni. Mała, pulchna Hohlhanderówna, która także miała na imię Ulryka, zapytała niegrzecznym tonem, czego chce.

— Myślałam, że wyjechałeś. Nie pokazywałeś się przez dwa tygodnie.

— Praca, dziecko, dużo pracy.

— Zaniedbujesz mnie.

— Możliwe — rzekł. Na czole wyskoczył mu guz.

— Na szczęście, nie jestem skazana wyłącznie na ciebie.

— To dobrze.

— Syn ślusarza Miegalka. pyta mnie dwa razy na dzień, czy zechcę za niego wyjść.

— Zrób to, drogie dziecko, zrób to. — Flammer odkrył na półce dzieła Goethego i przerzucał kartki. Było to pełne, dwunastotomowe wydanie w półskórku.

Zainteresował go zwłaszcza tom z wierszami.

Dziewczyna powiedziała: — Ale jeśli zechcesz, dam mu kosza.

— Komu? — zapytał Flammer mechanicznie. Potem przypomniał sobie, że chodzi o syna ślusarza Miegalkę. — Nie rób tego — rzekł. — Ten chłopak to całkiem dobra partia.

Dziewczyna cofnęła się, a on czytał dalej. Nagle uderzyło go podobieństwo między wierszami Goethego i Sempera. Przeczuwał coś takiego. I teraz się to potwierdziło. Ten Semper naśladował Goethego.

— Chyba zwariowałeś! — zawołała dziewczyna oburzona.

— Ależ nie — odparł Flammer bardzo zadowolony.

— Chcesz mnie swatać?

— Uspokój się — powiedział Flammer. — Nie przeszkadzaj.

Dziewczyna drżała z wściekłości. Wyrwała Flammerowi książkę z ręki i trzepnęła go w głowę. — A masz!

Ciężki tom upadł na podłogę. Flammer zatoczył się z lekka. Ulryka szybko wyszła ze sklepu, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Flammer pokręcił głową. Guz znacznie się powiększył. Drugi, jak sądził, wyrośnie na przedziałku.

— Nic nie szkodzi — mruknął. — Grunt, że się jej po zbyłem.

Z trudem ukląkł, by podnieść z podłogi ciężki tom. Odruchowo spojrzął na otwartą książkę. Chciał ją zamknąć i wstać.

Nagle coś sobie uświadomił. Przypomniał mu się tytuł, który przed chwilą przeczytał. I jeszcze klęcząc na podłodze przeczytał go ponownie, tym razem przytomnie: Do Ulryki.

Nie od razu mógł pojąć to, co ujrzały jego zdumione oczy. Jednak już po chwili stwierdził, że nie ma najmniejszych wątpliwości. Cały cykl wierszy, niezbyt dobrych i niezbyt znanych, ale niewątpliwie pióra Goethego, nosił tytuł:

Do Ulryki von Levetzow.

Nadal klęcząc, Flammer gorączkowo szukał dalszego potwierdzenia. I znalazł je. Znalazł ten sam wiersz, który przed tygodniem wydrukował „Goniec” i który brzmiał:

Kiedy w wieczornej ciszy,
Jej słodki głos usłyszę, Na
progu stanie luba, Jest to mój raj
czy zguba?

A więc to wiersz Goethego... nie Sebastiana Sempere. Johanna Wolfganga Goethego!

— O Boże — rzekł Flammer. — Coś niesamowitego! Ale im oczy zbieleją!

Ottokar Reisser, burmistrz Wahlheimu, zaczął rozczarowywać swoich przyjaciół. Skrócił znacznie godziny urzędowania i nie przedłużał już tak często godziny policyjnej dla „Czarno-Białego Byka”, kiedy tam przebywał. Ottokar Reisser wołał teraz siedzieć w domu.

Prawdą było to, że na nowo zaczął odkrywać swoją żonę. Kiedy wracał z nią do domu, miał wrażenie, że jest z kochanką, z którą przeżyje przygodę miłosną. To go uszczęśliwiało.

Chętnie przebywał w domu przed południem. Sam się sobie dziwił, że odczuwa potrzebę rozmawiania z Ulryką. Często zapominał o wielu sprawach, które zajmowały go w ostatnich latach: o stanowisku i związanych z nim godnościach, a nawet o własnej wygodzie. Czuł się znów młody.

— Żagramy? — spytał.

— Chętnie — odpowiedziała żona.

Wymyślili nowy sposób gry w młynek. Gra w tradycyjny sposób nudziła go. Dawniej często w nią grywali i okropnie się przy tym nudzili; ta idiotyczna zabawa była niewątpliwie jednym z powodów tego, że powoli stali się sobie obcy.

Jednak przed kilku dniami odkryli, że dywan w salonie ma wzór przypominający szachownicę. I wpadli na pomysł, by odsunąć stół, odliczyć odpowiednią liczbę pól i oddzielić je gazetami, ulotkami, aktami i czym tam jeszcze

się dało. Potem grali, leżąc lub klęcząc, i sprawiało im to dziecianną wprost przyjemność.

Reisser zdjął marynarkę i zawinął rękawy; wylosował biały kolor. Ułożył więc na swoich polach wyjściowych herbatniki, a Ulryce kazał ułożyć na jej polach czekoladki z koniakiem. Kto wygrał ciasteczko, mógł je zjeść; kto pobił damę, mógł wychylić kieliszek likieru.

— Twoja kolej — powiedział burmistrz.

Żona leżała na brzuchu naprzeciwko niego na dywanie, nogi uniosła wysoko.

Podczas gry często zamieniali się miejscami, żeby móc przesuwać swoje pionki. Ulryka starała się o to, by na początku mąż wygrywał, gdyż bardzo się z tego cieszył.

— Podwójne bicie — powiedział i zjadł dwa ciasteczka.

— Dama — powiedziała żona i nalała sobie kieliszek likieru.

— Daj spróbować — rzekł mąż i wypił do dna.

— Szachrujesz — powiedziała Ulryka. Ponownie napełniła kieliszek i postawiła na polu gry.

— Jak dzieci — rzekł burmistrz. — Ale to dobrze robi. Człowiek może o niejednym zapomnieć.

— Masz przykrości w urzędzie? — zapytała żona.

— Aż nadto — odpowiedział mąż. Ulryka jeszcze ostrożniej zapytała: — Ta sprawa z Mutschem jest bardzo nieprzyjemna.

— Trzeba go ukarać dla przykładu.

— On mi się podoba — rzekła ostrożnie. — To jeden z niewielu ludzi, do których czuję sympatię.

— Ja mam ci się podobać. Nikt inny.

Ulryka odsunęła się lekko od niego. — Dlaczego się denerwujesz, Ottokarze? Popatrz, my tu sobie leżymy, popijamy likier, a on siedzi w celi...

Burmistrza irytował ten temat. Miał już dość kłopotów z powodu tego Mutscha. W domu pragnął się odprężyć. — Daj spokój — rzekł. — Zapominasz, co ten łajdak zrobił naszemu miastu.

— Miastu? Czy masz na myśli Seebauma, który daje wam pieniądze, abyście uprawiali jego politykę? No dobrze.

Tymczasem minęły cztery lata. Mutsch się zmienił. Ustatkował. Jest teraz bardziej zgodny.

— To wyrafinowany, podstępny, kuty na cztery nogi typ.

— Proszę, nie mów tak o nim. On wcale taki nie jest. Reisser podniósł się niechętnie. — Co to ma znaczyć?

— powiedział niezadowolony. — Czy chcesz mnie i mojej polityce zadać cios w plecy? Kazesz mi się wtrącać do sądownictwa? Mam zawieść moich wyborców? Mam nie do trzymać danego przyrzeczenia?

— Masz pomóc człowiekowi — rzekła Ulryka porywczo.

— Bo on na to zasługuje. Jest więcej wart niż ten Seebaum, a jego wina polega przede wszystkim na tym, że nie ma tyłu pieniędzy i takich stosunków jak pan dyrektor, który jest właścicielem połowy Wahlheimu.

Reisser wstał. — Podnosisz na mnie głos? — powiedział.

— Jak śmiesz tak na mnie napadać. Chcę spędzić w domu przyjemny wieczór, chcę się odprężyć. A ty co robisz? Krzyczysz na mnie. Nie pozwolę na to! — Opuścił rękawy, włożył marynarkę. — Nie wolno ci tak mnie traktować.

Wyszedł, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Ulryka usiadła i wpatrywała się w szachownicę na dywanie.

Reisser opuścił dom; zapalił cygaro, ale mu nie smakowało. Był potwornie wściekły; wściekły na tego Mutscha, który wówczas pobił pierwszego obywatela tego miasta, a teraz znów szerzy zamęt w spokojnym, bogobojnym Wahlheimie; który sprawiał mu kłopoty w urzędzie, a teraz jeszcze zakłóca z takim trudem przywróconą harmonię w jego małżeństwie.

Cisnął precz cygaro. Upadło na chodnik, zaiskrzyło się i zgasło. Burmistrz spojrział w niebo, szukał księżycy, ale dziś nie było go widać.

Był wieczór, opróżniano teraz butelki piwa, czytano „Gońca”. W kinie pokazywano wybitne postaci lub jak zwykle trupy, a czasem jedno i drugie jednocześnie. Radiodbiorniki grały głośno, a pary zakochanych szukały ciemności.

Reisser stał samotnie przed swoim domem, ze smutkiem spoglądał na pusty rynek i z niechęcią na cokół pomnika.

Na widok cokołu opadły go zewsząd myśli: Semper, poeta tego miasta, ofiara swoich czasów — Opiewana przez niego Ulryka — Mutsch, który go znalazł — Gumpel chce go użyć jako sztandaru — Scheuermann się sprzeciwia — Marcus nie może się zdecydować — Pulver pragnie mieć swoją ofiarę — Flammer płodzi artykuły — Małgorzata...

Co się dzieje z Małgorzatą von Habern? Zaniedbał ją, całkiem zapomniał, że zamierzał się nią zająć. Teraz ma na to czas. Choćby po to, aby rozżłościć Ulrykę.

Reisser zapalił nowe cygaro; tym razem mu smakowało. Poszedł ulicą Strzelniczą, minął księgarnię, sklep kolonialny i sklep z konfekcją, następnie obok budynku „Gońca” skręcił w ulicę Schillera. Małgorzata von Habern wynajmowała pokój przy ulicy Schillera 20.

Reisser zadzwonił, trzymając w lewym kąciku ust palące się cygaro.

Gospodyni uchyliła drzwi, zerknęła przez szparę podejrzliwie. — Ach, to pan burmistrz — powiedziała i szeroko otworzyła drzwi.

— Czy panna Małgorzata jest w domu? Jest mi pilnie potrzebna, sprawa służbowa.

— Rozumiem — odpowiedziała gospodyni.

— Jest w domu?

— Nie. Czy mam po nią pójść? Jeśli to pilne, to pójdę po nią. Jest w parku.

— W parku?

— Mój Boże, pan burmistrz wie, jak to młodzi...

— No już dobrze. — Reisser nie znosił aluzji do swojego wieku. Owszem, nie był już najmłodszy, ale do starych jeszcze długo nie będzie się zaliczał. — Czy często tak wychodzi?

— Ostatnio często, panie burmistrzu. Ale to nic złego. Młodość, proszę pana. Młodość. My w tym wieku byliśmy tacy sami...

— Dobranoc — powiedział burmistrz i odszedł. Wrócił na rynek. Znów spojrzał na cokół i znów opadły go najdziwniejsze myśli. Usiłował się od nich uwolnić. Ten park, myślał, to nocne siedlisko zepsucia; z pewnością tarzają się tam po ziemi i stanowią obrazę moralności. Należy temu

położyć kres — w sam raz sprawa dla Pulvera; lepsze zadanie niż... Do cholery, nie mógł się uwolnić od tego Mu-tscha!

Poczuł, że musi napić się piwa, a może nawet dać się ukoić Irenie Krampus.

Wszedł do gospody, przysiadł się do stolika Ireny i zamówił piwo.

— Jak to miło, że pan przyszedł, panie burmistrzu

— rzekła Irena uśmiechając się do niego promiennie.

Dobrze to na niego podziałało. Dotknął delikatnie jej ramienia.

— Wspaniała z pani kobieta — powiedział i chwycił ją nieco mocniej.

— To boli — rzekła kobieta.

— Ach, jaka pani jest delikatna.

Irena odsunęła jego rękę. — Jestem bardzo zmartwiona — powiedziała.

— Jak mógłbym panią rozweselić?

— Martwi mnie los Mutscha. Nie zasłużył na to. Jestem przekonana, że jest niewinny. Musi mu pan pomóc. Niech pan się za nim wstawi. Cieszy się pan powszechnym szacunkiem, ma pan tyle możliwości... Co z panem? Dokąd pan idzie?

Burmistrz wybiegł z gospody. Przeciął rynek, starając się omijać wzrokiem cokół. Przed drzwiami swojego domu zatrzymał się. Odsapnął. Kiedy znów mógł spokojnie oddychać, wszedł do środka.

— Ulryko!

Żona się nie odezwała. Drzwi sypialni były zamknięte, a jego pościel leżała na dywanie w pokoju. Jak w marnym filmie — pomyślał wściekły — nie puszczyć jej więcej do kina.

Z trudem zmusił się do zachowania spokoju. Udał, że nie widzi separacji od łoża. — Byłem na spacerze — powiedział głośno i bardzo uprzejmie. — Wspaniały wieczór. Powietrze dobrze mi zrobiło. Niedługo będzie pełnia. Pogramy jeszcze trochę czy już się położymy, kochanie?

— Co z Mutschem? — zapytała żona przez zamknięte drzwi.

Wtedy wybuchnął. — Mutschl — ryknął dziko. — Wciąż ten Mutsch! Chyba wyprawię tego łajdaka na tamten świat, aby wreszcie mieć spokój.

Scheuermann zaniedbywał swoją firmę. Nie przyjmował pilnych napraw, klientów, którym się spieszyło, odsyłał do konkurencji. Na drzwiach wisiała tabliczka: Zamknięte z powodu remontu. Polityka, miłość, przyjaźń — to wszystko pochłaniało jego czas, uniemożliwiało normalny bieg zajęć. Przeklinał wszystkie swoje sentymentalne uczucia, przeklinał ten ciągły zapał dla dobrej sprawy, przeklinał namiętność, jaką darzył Irenę i trudną przyjaźń wobec człowieka, który składał się chyba wyłącznie z materiału wybuchowego. Przeklinał wszystko i wszystkich, ale z niczego nie rezygnował.

— To coś nowego — powiedziała Ula, stając przed nim w zawadiackiej postawie — że bawisz się lalkami.

Scheuermann z grubego drewnianego kłoca wyciosał kukłę podobną do człowieka. Teraz wkładał na nią swoje stare, robocze ubranie.

Wtem do warsztatu, gdzie pracował Scheuermann, zajrzał Flammer.

— Jest pan wreszcie! — zawołał Scheuermann z ulgą. — Wszędzie pana szukałem i nie mogłem znaleźć. Gdzie się pan podziewał?

— Na pewno gdzieś się szwendał — powiedziała Ula rzeczowo.

Flammer zachwycony przyglądał się niezgrabnej drewnianej kukle. — Co to ma być? Szykuje pan swój własny pomnik?

Scheuermann nie przerywał roboty. — Chcę zrobić pewną próbę — powiedział. — Zdaniem adwokata każdy normalny człowiek uznałby wypadek Sempera za samobójstwo, gdyby nie ta rana głowy. Jeśliby udało się dowieść, że rana nie pochodzi od uderzenia, wtedy takie oskarżenie zostałoby obalone.

— Więc chce pan puścić kukłę przypominającą człowieka na rzekę? — zapytał Hammer.

Scheuermann skinął głową. — Mniej więcej tak. To wcale nie takie głupie, jak się wydaje. Poza tym nie mogę siedzieć bezczynnie. Niech pan posłucha: Semper utonął w Młyńskim Dole, potem spłynął Panzą w dół pod most kolejowy, następnie pod most kamienny obok kuźni Łoosa, dalej zaś przez park w kierunku łąk, gdzie został znaleziony. Panza nie jest rwącą rzeką, ale ma swój nurt, więc możliwe, że ten nurt zniósł martwe ciało z dużą siłą na przeszkodę!

— Z pana jest prawdziwy geniusz — powiedział Hammer. — Niech mi pan da znać, jak się powiódł ten eksperyment.

— Dokąd pan idzie? Myślałem, że chce mi pan pomóc.

— Ja także mam swego trupa w wodzie albo mówiąc inaczej: żelazo w ogniu — odrzekł Hammer z zapalem. — Myślę, że wobec mojego planu pański eksperyment z kukłą to betka.

— Co ma pan zamiar zrobić?

— Pokażę naszym zacnym obywatelom — rzekł dziennikarz z zadowoleniem — jacy z nich poeci i myśliciele.

Scheuermann popatrzył na Hammera kręcąc głową. Potem zabrał się do swojego eksperymentu.

Kukła wielkością i wagą przypominała Sebastiana Sempera. Wrzucił ją do Panzy przy Młyńskim Dole. Płytkie wody poniosły ją. Tuż przed mostem kukła wpadła w dość duży wir i ułożyła się ukośnie. Potem uderzyła o żelazny wspornik.

Scheuermann wyciągnął ją na brzeg i odciągnął około stu metrów dalej. Następnie sapiąc, trochę zdenerwowany, wrzucił ponownie do wody. Popłynęła wzdłuż Panzy. I znów uderzyła o żelazny wspornik.

Scheuermann powtórzył eksperyment po raz trzeci. Tym razem też się udało. Usiadł na brzegu, nabrał głęboko powietrza i zaczął się zastanawiać. Kukła, mokra i sztywna, leżała obok.

Myślał, co dalej robić. Udany eksperyment był zaledwie jedną cegiełką. Wiele dróg prowadziło do wyjaśnienia,

najpewniejsze jednak byłoby szczere zeznanie Mutscha. Ale Scheuermann zdawał sobie sprawę, dlaczego Mutsch milczał, dlaczego bez słowa pozwolił się zamknąć; nie chciał, by wciągano w to Ulrykę Loos wraz z dzieckiem. To przynosiło mu honor, ale utrudniało sprawę. Mutsch najwidoczniej ufał swemu czystemu sumieniu i swoim przyjaciółom.

By właściwie rozegrać sprawę, istniała według Scheuermanna tylko jedna możliwość: Ulryka Loos powinna tu zadziałać z własnej woli, choć niewątpliwie byłoby jej bardzo ciężko. Ale powinno to być dobrowolne albo przynajmniej sprawiać wrażenie dobrowolności. Mutsch nigdy by mu nie wybaczył najmniejszej próby skłonienia Ulryki do zeznań.

Należało także liczyć z możliwością, że Ulryka nie zechce nic zrobić w tej sprawie. Nie znał jej, ale mógł sobie wyobrazić, że dalej będzie milczała, ponieważ dotąd nie powiedziała ani słowa. Dla niego była to mała wyrafinowana bestia, która miała co prawda pecha, ale z całą konsekwencją pragnęła się zabezpieczyć. Wysnuł z tego śmiały wniosek, że tylko taka kobieta potrafi omotać tak przyzwoitego głupca, jakim jest jego przyjaciel Mutsch.

Postanowił pójść do Ulryki Loos; chciał się przekonać, czy teoria, jaką miał na jej temat, jest słuszna. Jeśli tak, to czas najwyższy, aby tę dziwną dziewczynę, na którą leciały takie oryginalne typy, wyrwać z jej milczenia. Jedna rzecz dawała mu wiele do myślenia: oto z jej powodu jeden mężczyzna popełnił samobójstwo, a drugi powędrował za kratki, ona zaś pozostała zimna i twarda jak gład.

Scheuermann posadził swoją kukłę na ramie roweru i pojechał do domu. Jego niezwykły bagaż zwracał powszechną uwagę i stał się głównym tematem rozmów mieszkańców Wahlheimu. Można było usłyszeć najdziwniejsze opinie; właściciel sklepu papierniczego trafił w dziesiątkę: Scheuermann chce złośliwie wystawić konkurencyjny pomnik.

Scheuermann na podwórzu zdjął kukłę z roweru. Ula zaciągnęła ją natychmiast do warsztatu, zaczęła malować i ozdabiać. Wkrótce kukła wyglądała jak Indianin na wojennej ścieżce, udający martwego.

Tymczasem Scheuermann szedł w stronę kuźni Loosa. Im bliżej był celu, tym bardziej narastał jego niepokój. Gdy

zsiadał z roweru, był prawie przekonany, że lepiej nie rozmawiać z Ulryką.

Szukał jakiejś wymówki. Wreszcie wpadł na pomysł, żeby zapytać starego Loosa, dlaczego dotychczas nie wstąpił do żadnej partii.

Tymczasem pierwsze słowa, jakie kował wypowiedział na widok Scheuermanna, brzmiały: — Tylko ani słowa o Mutschu. Nie chcę słyszeć tego nazwiska. Rozczarował mnie. To, że jest pańskim przyjacielem, nie świadczy dobrze o panu.

— Właściwie chciałem z panem pomówić o polityce.

— Ten Mutsch nie świadczy dobrze również o pańskiej polityce.

— Co pan ma przeciwko niemu? — zapytał Scheuermann zadziornie. — Sądziłem, że pan go ceni.

— Jako fachowca owszem. Ale nie jako człowieka. — Loos oparł się o drzwi kuźni. — Miał przyjść wczoraj wieczorem. I nie przyszedł.

— Nie mógł przyjść.

— A co mu się stało? Czy jest chory? Tylko to by go usprawiedliwiło.

— On siedzi — rzekł Scheuermann. — Zamknęli go.

— Na ile lat? — zapytał Loos zaskoczony. — Kogo tym razem stłukł? Przyrzekał mi święcie, że odtąd będzie przyzwoitym człowiekiem.

— Bo też nim jest!

— Ach tak! I dlatego siedzi?

— Nic pan nie słyszał?

— Teraz usłyszałem. Przedtem nie. Co przeskrobał?

— Nic — zapewnił Scheuermann. — To pomyłka. Ale zostanie wyjaśniona.

Loos nie okazywał zdenerwowania. Dla niego nie istniał żaden cios, który mógłby nim wstrząsnąć. A jego córka była prześladowana przez los na miarę biblijną: to byłby po prostu cud, gdyby się wszystko pomyślnie rozwiązało.

— A pan — zwrócił się do Scheuermanna — wierzy w to, że Mutsch jest niewinny? A może tylko ze względów politycznych uważa pan, że należy w to wierzyć?

— Jest on tak samo winny jak pan i ja.

— To dla mnie podejrzane — rzekł stary Loos. — Nie wydaje mi się pan uosobieniem niewinności. Ale może mimo to będzie dobrze, jeśli pan pomówi z moją córką.

— Właściwie — rzekł Scheuermann — przyszedłem do pana, aby porozmawiać o polityce.

Kowal Loos rzekł nieporuszony: — Niech pan idzie do Ulryki. Ona już jest uprawniona do głosowania.

Loos popchnął opierającego się trochę Scheuermanna w stronę domu. Scheuermann wszedł do kuchni. Ulryka obierała ziemniaki, w kojcu siedziało dziecko i spoglądało na niego wielkimi oczami.

— Nazywam się Scheuermann — powiedział nieco zmieszany. Ulryka uśmiechnęła się do niego z ufnością. Widział ją już parę razy, ale nigdy z nią nie rozmawiał.

— Wiem — rzekła Ulryka. — Proszę, niech pan siada.

Usiadł na stołku. Dziecko wyciągnęło do niego rączki, co go zmieszało. Potem ukląkł i podał malcowi palec, który on pochwycił i zaczął tarmosić.

— Widzę, że umie się pan obchodzić z dziećmi — powiedziała Ulryka.

— Mam córkę.

— Wiem. Znam ją. Jest bardzo żywa i mądra.

— Jest zuchwała i pyskata. Podobno ja też taki byłem jako dziecko. — Scheuermann usiadł na podłodze obok kojca; nie wyglądał na zbyt wesołego. Nie wiedział, jak ma poprowadzić tę rozmowę. Inaczej wyobrażał sobie Ulrykę Loos, zupełnie inaczej. Wolał nie myśleć, czego właściwie oczekiwał. Jedno było dla niego pewne: szkoda było dziewczyny dla tego wyrafinowanego łotra Mutscha.

— Czy on pana przysłał? — zapytała Ulryka ostrożnie.

— Nie bezpośrednio — rzekł Scheuermann wymijająco i bawił się z dzieckiem. — Chciałem tylko zobaczyć, jak się pani powodzi i przekazać wiadomość Mutschowi.

— A on nie może sam przyjść?

— Nie — Scheuermann podniósł dziecko z kojca i posadził sobie na kolanach.

— Dlaczego nie?

Scheuermann postanowił wszystko jej opowiedzieć. Dziewczyna słuchała bez słowa.

— On jest niewinny — rzekła po chwili.

— W pewnym sensie jest winny — rzekł Scheuermann poważnie. — Wiem to teraz z całą pewnością, odkąd panią poznałem. Jego winą jest to, co stało się przed wielu laty, a czego przyczyną był brak decyzji i niedojrzałość uczuciowa. Wtedy, przed czterema laty, powinien się być zdecydować na poślubienie pani. To dodałoby mu sił. Gdyby wówczas pomyślał o wspólnym życiu z panią, nie stałoby się to wszystko, co zaprowadziło go do więzienia, a panią potem rzuciło w ramiona innego. To dziecko mogłoby być jego dzieckiem.

— Byliśmy wówczas bardzo młodzi — rzekła Ulryka.

Scheuermann aż płonął z żarliwości; ta dziewczyna bardzo przypominała mu żonę, a jej dziecko przypominało mu Ulę. Bardzo się kochali, ale dopiero kiedy ona umarła, zdał sobie sprawę, że ich miłość mogłaby być pełniejsza, bardziej bezinteresowna. Życie jest krótkie, a tyle się w nim zaniedbuje. Dopiero śmierć lub starość ukazują wszystkie godziny bez miłości.

— Nie rozpoznaliśmy się wówczas — rzekła Ulryka z naturalną skromnością.

— On chyba był ślepy — odpowiedział Scheuermann.

— Wszyscy bywamy od czasu do czasu ślepi. Jeśli pan pozwoli, pójdę teraz z panem. Zrobię dla niego, co będę mogła.

— O nie — rzekł Scheuermann. — Pani musi być z tego wyłączona. Ma pani dziecko i nikt nie powinien znać szczegółów z pani przeszłości. Dla pani liczy się teraz tylko przyszłość. Nie powinna pani odśłaniać przed innymi tego wszystkiego, czego strzegła pani przez tyle miesięcy.

— Mutsch nie powinien siedzieć.

— Ach! Znam go dobrze. Nic mu to nie zaszkodzi. Nie jest mu wcale tak źle. Kiedy nie ma Pulvera, jego cela zamienia się w ul.

— Tu nie chodzi o resztki mojej opinii, chodzi o jego wolność.

— Ale on tego nie chce — rzekł Scheuermann. — Gdyby chciał, powiedziałby. Powiedziałby mi, żebym z panią

porozmawiał. A teraz będzie miał mi za złe, że nie uczyniłem wszystkiego, by panią przed tym powstrzymać.

— On chce mnie chronić, ale ja tego nie chcę! — Ulryka wzięła dziecko i wsadziła do kojca. — Chodźmy, szkoda czasu.

Scheuermann ponownie posadził sobie dziecko na kolanach. — Nie mogę do tego dopuścić — powiedział. — Ze względu na panią i ze względu na Mutscha. Musimy się obejść bez pani pomocy. Mutsch na to nalega. Już wszystko przygotowaliśmy. Odeprzemy każdy punkt oskarżenia. Pracuje dla nas jeden z najlepszych adwokatów. Jesteśmy pełni nadziei. Niech pani na nas polega.

Ulryka przez chwilę się wahała.

— Zobaczysz pani — rzekł Scheuermann — wkrótce Mutsch znajdzie się na wolności.

— Jak długo to potrwa?

— Kilka dni. Na początku przyszłego tygodnia chyba będzie już po wszystkim.

— To niemożliwe — powiedziała Ulryka.

— Może pani być pewna. Dowody przeciwko niemu runą jak domek z kart.

— Nie — rzekła Ulryka stanowczo. — On nie powinien siedzieć ani dnia dłużej.

— Niech pani sama z nim porozmawia. Postaram się, aby mogła się pani z nim widzieć. On powie pani to samo co ja.

— Dobrze, pomówię z nim.

Scheuermann się poddał. — Jest pani uparta — rzekł. — Mówię szczerze, nigdy bym pani o to nie posądzał. Wydaje mi się, że nasz poczciwy Mutsch nie będzie miał z panią łatwego życia. Ale życzę mu tego.

Mutsch, zamknięty w celi komisariatu w Wahlheimie, wcale nie był zrozpaczony ani nawet zaniepokojony. Przyjął swoje aresztowanie jak coś, czego nie można było uniknąć. Ale wiedział też dobrze, że jego sytuacja nie wygląda wcale tak różowo;

znał młyny sprawiedliwości, do których łatwo się dostać, a trudno wydostać.

Mimo wszystko ufał swemu na pół czystemu sumieniu, oddaniu przyjaciół i humanitarnym tendencjom prawa, które obecnie nie zajmowało się narodem, lecz poszczególnymi jednostkami. A póki tak było, nie powinno mu się nic straszego przydarzyć.

Powodziło mu się całkiem dobrze. Pulver obchodził się z nim ostrożnie jak z jajkiem, oczywiście zgodnie z przepisami.

— Musi pan zrozumieć, że spełniam swój obowiązek, panie Mutsch.

— Każdy powinien spełniać swój obowiązek, panie Pul-ver. Zależy tylko, co pan nazywa obowiązkiem.

— Mamy swoje przepisy.

— Gdyby prócz tego miał pan jeszcze sumienie, nie można by było mieć nic przeciwko temu.

Podczas gdy Pulver niezmordowanie przeczesawał Wahlheim i okolice, zastępował go w komisariacie sierżant Balk. Służył on już w policji dwadzieścia lat, a wciąż był tylko sierżantem. Był to człowiek dobroduszny i nie miał wygórowanych ambicji.

Ten Balk był darem niebios. Jego myśli ze szlachetną naiwnością krążyły wokół jednego: co by to było, gdybym nie był policjantem, tylko jednym z tych, którzy mają do czynienia z policją? Dlatego ten poczciwy Balk miał w Wahlheimie opinię dobroczyńcy ludzkości i cieszył się powszechną sympatią.

Stał się już prawie legendą, gdyż jego życzliwość była szczerą i gdzie tylko mógł, służył pomocą. Przed rokiem 1933 jego obraz był jeszcze niezbyt jasny, starał się bowiem pomagać zarówno narodowym socjalistom, jak i komunistom, gdy po gorących walkach wyborczych wpadali w ręce interweniującej, z ociąganiem, policji. Po roku 1933 uważany był za tajemniczego anioła stróża prześladowanych politycznie, a ponieważ kreisleiter Wahlheimu był nietutejszy i niezbyt lubiany, Balk nigdy przy tym nie wpadł. Po roku 1945 wciąż jeszcze był sierżantem, wstawiał się za internowanymi i aresztowanymi nazistami, jak-

by to było oczywiste. A w pięć czy sześć lat później, kiedy sytuacja znów miała się odwrócić, Balk, który dalej był wierny swym metodom, znalazł nowych podopiecznych.

Mutscha lubił szczególnie. Nie wyróżniał go, ale go lubił. Robił dla niego wszystko, co nie było wyraźnie zabronione. Załatwił mu koce, lekturę, kawę i papierosy. Powiesił mu nawet obraz na ścianie celi, na którym Pan Jezus kroczy po wodzie i ratuje tonącego niedowiarka.

— Czego panu jeszcze potrzeba?

— Piwa, abym lepiej spał.

— Mogę to panu załatwić. Ale odradzam. To obciąża pęcherz i powoduje niespokojny sen. A z ubikacją nie jest u nas najlepiej.

— Chyba ma pan rację. Pan ma większe doświadczenie. Ale proszę zapytać panią Krampus, co by mi poleciła z dobrych trunków.

Przyjazne oblicze Balka rozpromieniło się. — Trzeba było tak od razu powiedzieć. Chce pan dać znać pani Krampus, że jest aresztowany. To się da zrobić. Kogo mam jeszcze zawiadomić?

— Na razie tylko panią Krampus.

Irena wkrótce potem zjawiła się z ogromnym koszem jedzenia.

— Jeden z pańskich dostawców, panie Mutsch — rzekł Balk życzliwie i wprowadził Irenę do celi.

Irena wypakowała wszystko, co przyniosła. — Znów pojawiły się świeże langusty sprowadzane w chłodniach.

— To bardzo interesujące — rzekł Mutsch.

— W przyszłym tygodniu zorganizuję wieczór na pana cześć.

— Nie omieszkam przybyć punktualnie — zapewnił Mutsch.

Trochę później, a było to w piątek po południu, Mutscha odwiedził obrońca Wildermuth, tym razem w towarzystwie Pulvera.

Wildermuth rozejrzał się ciekawie, popatrzył na urządzenie celi i zgromadzony prowiant i rzekł: — Zdaje się, że jest pan dostatecznie zaopatrzony.

— Nie jesteśmy drobiazgowi — wtrącił Pulver, którego zaskoczyła ilość nagromadzonej żywności. Słyszał o sławie adwokata Wildermutha, który uchodził za nieprzejednanego wroga bezlitosnej litery prawa.

— Kwaterna jest w każdym razie wzorowa — rzekł mecenas wyraźnie rozczarowany.

Pulver ucieszył się, ale była to krótka chwila radości.

Po chwili bowiem adwokat rzekł: — Natomiast sytuacja prawna bynajmniej nie jest wzorowa. Nie będziemy się rozdrabniać, tylko od razu zmobilizujemy Landtag. Uważam, że mamy tu do czynienia z jawnym pogwałceniem praworządności.

— Za pozwoleniem! — wtrącił Pulver. Chęć rozdmuchania lokalnej sprawy zaniepokoiła go. Oczywiście wyobraźni ujrzał bezlitosne tytuły wrogiej prasy: Krwiożercze psy Wahlheimu — Policja terroryzuje obywateli — Skandal sądowy...

Za chwilę jednak zdał sobie sprawę, że w tak jaskrawy sposób na pewno nie będą pisali. Prasa niemiecka nie była aż tak napastliwa; ale nie zmieni to i tak efektu końcowego: Pulver jako kozioł ofiarny.

— Panie mecenasie — rzekł policjant łagodnie. — Pan oczywiście ma rację; opiera się pan bowiem na dokumentach będących w posiadaniu moich władz zwierzchnich. Ja tu jestem tylko organem wykonawczym.

— Nie pertraktuję z panem — rzekł adwokat surowo, zgodnie z zasadą: daj ludziom do zrozumienia, że są nędznym robactwem, a będą się odpowiednio zachowywać i pełzać. — Jestem tu z powodu mojego klienta. Proszę o pańskie pełnomocnictwo, panie Mutsch. Oto wypełniony formularz, proszę tylko podpisać.

Mutsch, który siedział na przykrytym kocem krześle, nie ruszył się z miejsca. — Panie mecenasie — powiedział — dziękuję panu za trud. Ale nie chcę, aby to nieporozumienie, które wkrótce na pewno się wyjaśni, przerodziło się w skandal polityczny.

— Ależ, drogi panie Mutsch — zawołał adwokat z zapałem — ja tu działam na zlecenie pańskiego przyjaciela Scheuermanna!

— W takim razie Scheuermann nie działa jako mój przyjaciel. Nie chcę rozdmuchania sprawy, tylko jej załatwienia.

— Niech się pan zastanowi. — Wildermuth pożegnał się urażony. — Przygotuję tymczasem wszystko, by korzystnie rozegrać sprawę. Proszę, niech się pan jak najszybciej zdecyduje. Każda godzina jest droga. I tak wszystko będzie się jeszcze długo wlokło.

Mutsch spojrział na niego z uśmiechem. — Nie chcę zajmować dłużej pańskiego cennego czasu, panie mecenasie.

Pulver odprowadził Wildermutha i zaraz wrócił. Widać było, że poczuł ulgę. — Pańska postawa, panie Mutsch, była rozsądna, bardzo rozsądna. To było najlepsze, co pan mógł zrobić.

— A najlepsze, co pan może teraz zrobić, to wynieść się i zamknąć drzwi z drugiej strony — rzekł Mutsch.

Pulver wyszedł zirytowany. Uczucie, że w ciągu niewielu minut został najpierw obrażony, a następnie potraktowany tak bezczelnie, gnębiło go nie mniej niż skutki odważnej decyzji, jaką podjął; znalazła ona co prawda uznanie przyjaciół, ale jej ewentualne skutki będzie ponosił on sam. Z wysiłkiem zabrał się znów do śledztwa.

Tymczasem Balk zręcznie sterował strumieniem odwiedzających Mutscha. W piątek po południu przysłała pani burmistrzowa i przywitała go jak starego znajomego.

— Musiałam przyjść do pana — rzekła. — Jak się pan miewa?

— Na ogół dobrze, a w tej chwili wspaniale — zapewnił. Był wyraźnie uszczęśliwiony jej obecnością. Podsunął jej przykryte kocem krzesło, a sam usiadł na brzegu pryczy.

— Przyniosłam panu książkę.

— Szanowna pani — rzekł Mutsch — muszę pani coś wyznać.

— Słucham pana.

— Gdy tak na panią patrzę i rozmawiam z panią, prawie żałuję, że wtedy nie poturbowałem trochę pani męża. On najwidoczniej nie wie, jaki powinien być szczęśliwy, mając taką żonę.

— Panie Mutsch — powiedziała Ulryka Reisser. — Może obejdzie się bez rękoczynów. W każdym razie dziękuję za pańską gotowość.

— Proszę mną rozporządzać — powiedział Mutsch z uśmiechem.

Na znak Balka, że nadeszli dalsi odwiedzający, pożegnali się serdecznie.

Mutsch podszedł do miejsca, gdzie przechowywał swoje zapasy i zrobił sobie kanapkę z mięsem. Jadł z apetytem. Potem poprawił koc na krześle i zabrał się do czytania.

Przeszkodził mu wesoły śmiech. Do celi wbiegła Ula, objęła go mocno i wcisnęła mu do ręki bukiet kwiatów.

— Masz, zerwałam je dla ciebie.

— W czym ogrodzie? — zapytał Mutsch nieufnie.

— W różnych. — Ula rezolutnie rozejrzała się dokoła, poszperała w jego zapasach, weszła na krzesło, by wyrzucić przez okno celi.

— Pięknie! — zawołała z zachwytem. — Dobrze ci tu, nie musisz pracować. Kiedy wrócisz do domu?

— Niedługo.

— Już najwyższy czas — rzekła dziewczynka poważnie.

— Od dwóch dni muszę sama odrabiać lekcje. Do czego to podobne? Ale skoro już o tym mówimy: mam tu zadanie z matematyki. Czy pomożesz mi je rozwiązać?

Mutsch pokazał Uli, jak ma zrobić zadanie, po czym dziewczynka wyszła. Zabrała kilka puszek konserw z koszyka, który przyniosła Irena Krampus. Na koniec oświadczyła, że bardzo jej się tu podoba.

Nazajutrz, w sobotę przed południem, przyszedł Scheuermann w towarzystwie Ulryki Loos.

Na jej widok Mutsch wstał zmieszany i podszedł do niej.

— Nie powinnaś była przychodzić — rzekł.

— Ja też jej to mówiłem — zapewnił Scheuermann.

Mutsch spojrział na niego. — Jak śmiesz mi się tu pokazywać! Myślałem, że jesteś moim przyjacielem. Ale okazuje się, że jestem dla ciebie tylko ogniwiem w twojej grze politycznej.

— Jesteś skończonym głupcem — powiedział Scheuermann.

To otrzeźwiło Mutscha. — Jak wygląda sprawa? — zapytał rzeczowo.

— Ani dobrze, ani źle. Ale posuwa się do przodu.

— Nie dość szybko.

— Dlaczego odprawileś adwokata?

— Nie chcę żadnej sensacji — powiedział Mutsch i spojrzał znacząco na Ulrykę, która skromnie siedziała na krześle.

— Byłby to dobry środek nacisku — rzekł Scheuermann. — Jeden czynnik więcej, by unieważnić nakaz aresztowania. Straciliśmy jeden dzień.

— Przespałeś go.

— A jutro jest niedziela.

— Jutro ma być odsłonięcie pomnika. Chciałbym być przy tym. Załatw mi to. Na co czekasz?

Scheuermann wyszedł, zostawiając w celi Mutscha z Ulryką.

— Miło mi, żeś przyszła, ale to niedobrze dla ciebie. Kiedy się to rozniesie, niejeden wpadnie na głupi pomysł, aby szukać związku pomiędzy tobą, mną i Semperem.

— Nie obchodzi mnie to.

— Ale ja tego nie chcę. Ze względu na ciebie i na twoje dziecko.

— Posłuchaj — rzekła Ulryka. — Podobno byłeś u Sem-pera?

— Ale go nie zastałem — odpowiedział Mutsch niechętnie. — Rozmawiałem tylko z jego rodzicami. Nigdy go nie widziałem na oczy i nie zamieniłem z nim ani słowa.

— Czego od niego chciałeś? — drążyła Ulryka uparcie.

Rozmowa ta sprawiała Mutschowi przykrość. Krążył nerwowo po celi. Wreszcie powiedział: — Czego mogłem od niego chcieć! Ciebie chciałem. Chciałem mu wbić do głowy, że mam do ciebie pierwszeństwo i żeby wyniósł się do stu diabłów. Żeby się od ciebie odczepił. Tego chciałem.

Ulryka, uśmiechając się nieśmiało, pokręciła głową. — Nie wierzę ci.

— Nie mogę cię do tego zmusić. Mogę tylko prosić, byś mi uwierzyła.

— To nie mogło tak być. Spakowałaś manatki, pożegnałaś się ze wszystkimi i zamierzałaś odjechać. Chciałaś mu powiedzieć coś całkiem innego.

— Jeśli uważasz, że mnie znasz — rzekł Mutsch zdenerwowany — to nie mów nic więcej.

— Byłaś zdecydowany odjechać. Ale przedtem chciałaś z nim porozmawiać. Chciałaś mu zagrozić! Przecież cię znam! Chciałaś od niego zażądać, by się wziął w garść i poniósł wszelkie konsekwencje swego czynu, żeniąc się ze mną.

Mutsch oparł się o ścianę celi. — Proszę cię, idź już!

— Idę. I zrobię wszystko, aby cię uwolnili.

— Nie uda ci się — zawołał Mutsch za nią.

— Ale spróbuję.

— Niczego nie osiągniesz. Tyle tylko, że zaczną plotkować o tobie i o mnie. Dostarczysz ludziom motywu, którego tak gorączkowo poszukują: morderstwo z zazdrości.

— Mimo to spróbuję.

— Kocham cię — rzekł Mutsch.

— I ja cię kocham — odpowiedziała Ulryka. Pobiegła do drzwi. Potem dodała: — Zapomniałaś, że powiedziałam ci o czymś bardzo ważnym. Że mogę udowodnić, jak było naprawdę.

Mutsch spojrział na nią zaskoczony.

— Potrzeba tylko trochę odwagi — rzekła. — A wtedy wszystko okaże się proste.

Scheuermann siedział znużony przy swoim biurku i gapił się na pokój ponad leżącymi przed nim książkami, mocno już zniszczonymi od częstego czytania. Usiłował zrobić bilans i rezultat bardzo go zasmucił.

Bitwę o pomnik właściwie przegrał; pomnik stanie, niezależnie od tego, czy on się będzie sprzeciwiał, czy pozostanie neutralny. Było to niewątpliwe zwycięstwo tamtych, a dla wszystkich stanowiło niezbity dowód, że przegrał tę

gonitwę w sposób żalorny. Przykro mu było z powodu pomnika, ale bolała go także sprawa Mutscha.

Odsunął książkę na bok i już miał położyć głowę na biurku, aby się zdrzemnąć, gdy nagle ktoś głośno zapukał do drzwi; pukanie powtórzyło się jeszcze dwukrotnie, zanim Scheuermann doszedł do siebie i zawołał: — Proszę!

Do pokoju wszedł, uśmiechając się, Fuchs, kierowca dyrektora Seebauma. Był to jasny blondyn, wyglądający pocziwie — ucieleśnienie czystego sumienia i dobroduszności.

Scheuermann wiedział, że Fuchs miał różne poglądy i przekonania i potrafił je zmieniać, w zależności od sytuacji, aktualnych warunków i korzyści. Scheuermann rzekł chłodno: — Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

— Pan dyrektor Seebaum pragnie z panem pomówić — rzekł Fuchs mrugając oczami. — Wóz stoi przed domem. — Stwierdził przy tym z rozkoszą, że Scheuermann nastawił uszu, ale starał się zachować obojętność.

— Jeśli pan Seebaum ma do mnie interes, to niech się łaskawie sam pofatyguje.

— Bardzo słusznie — przyklasnął Fuchs z bezczelną poufałością. — Ja także bym panu tego nie radził, panie Scheuermann. Jak by to wyglądało, gdyby właśnie pan udał się do dyrektora na audiencję. A więc odmawia pan! Ale na wypadek odmowy mam panu zaproponować neutralne miejsce, gdzie by panowie mogli się spotkać.

Fuchs mrugnął po koleżeńsku. — Co by pan powiedział na gospodę „Pod Czamo-Białym Bykiem”?

— To co innego — rzekł Scheuermann. — Niech więc pan powie panu Seebaumowi, że za pół godziny. Ale nie będę czekał dłużej niż kwadrans.

— Będzie pan czekał tylko dziesięć minut — zapewnił Fuchs i znikł.

Scheuermann wstał zamyślony, poszedł do łazienki i odkręcił prysznic. Oblał go strumień lodowatej wody i to mu dobrze zrobiło. Odświeżony, pełen energii poszedł do gospody; poprosił Irenę, by udostępniła mu boczną salkę i czekał na swego rozmówcę, daremnie się zastanawiając, czego tamten od niego chce.

Dyrektor Seebaum zjawił się tylko z siedmiominutowym, opóźnieniem. Zamarkował ukłon i usiadł. Wyciągnął z kieszeni marynarki cienkie, jasne cygaro i zapalił.

— Słucham pana — rzekł Scheuermann.

— Wie pan o tym — rzekł Seebaum przytłumionym głosem — że nie mam osobiście nic przeciwko panu i w gruncie rzeczy także niewiele przeciwko pańskim poglądom politycznym. Dopóki jesteśmy pracodawcami, będziemy bez trudu rozwiązywali pańskie problemy.

— I co dalej?

— Wiem z doświadczenia — ciągnął Seebaum z pobłażliwą wyższością — że pański światopogląd, podobnie jak każdej partii, jest nierozzerwalnie związany z pańską działalnością. Niejeden zajmuje się polityką tylko po to, by w ten sposób zdobyć dobre stanowisko lub inne przywileje. Uważam, że to całkiem normalne i nazwałbym to swoiście realistycznym spojrzeniem na życie.

— Może pan śmiało nazwać to realizmem.

— Tak właśnie to nazywam, panie Scheuermann. I wiem także, również z doświadczenia, że jest pan w Wahlheimie prawdopodobnie jedynym — oprócz mnie — który na to z góry liczy. Żyje pan dzięki pragnieniom tych, którzy nie mają pieniędzy, ja natomiast żyję dzięki sile pieniądza. Wiemy dobrze, jak dalece wszystko jest do kupienia i jak stoją kursy poglądów.

— Co pan mi proponuje?

— Mutscha — w ten sposób odzyska pan dawny szacunek i poważanie w Wahlheimie.

— A cena?

Seebaum uśmiechnął się blado. — Ile warte jest dla pana pańskie dobre imię? Powiedzmy: usunięcie tego Mutscha z Wahlheimu i pańska zgoda na pomnik.

— A wybory?

— Nie jestem drobiazgowy. Daję panu całkowitą swobodę ruchów we wszystkich podległych mi zakładach. Żadnych szykan wobec zwolenników pańskiej partii.

— I to wszystko?

— Nie wystarczy panu? Obawiam się, że przecenia pan swoją sytuację, choć nie mogę sobie tego wyobrazić. Każ-

dy głupi w Wahlheimie wie, jak stoją pańskie akcje. Ale niech będzie! Powiedzmy, dziesięć tysięcy marek na cele socjalne. I skończmy tę komedię, to zaoszczędzi nam czasu i nerwów.

Scheuermann czuł, jak na czoło wystąpiły mu krople potu. Nogi mu drżały, a dłoń, którą chciał zacisnąć, leżała bezwładnie na stole. — A co będzie, jeśli nie przyjmę pańskiej propozycji?

Seebaum spojrział na niego zaskoczony. Pociągnął cygaro. — W takim wypadku — rzekł przeciągle — wszystko potoczy się zwykłym trybem. Pański Mutsch pierwszy odczuje to na własnej skórze.

— I co dalej?

— Mogę dostarczyć pańskim przeciwnikom nowych argumentów, mogę zniechęcić pańskich sympatyków. Mogę sobie pozwolić na zamknięcie fabryki na kilka miesięcy, wówczas po upływie tygodnia każdy robotnik zrobi to, czego od niego zażadam. I niech pan nie zapomina, że jestem także właścicielem licznych domów, w których mieszkają członkowie pańskiej partii. Mogę nawet zamknąć kino i unieruchomić komunikację autobusową.

Twarz Scheuermanna nabiegła krwią.

— Niech pan będzie realistą — mitygował go Seebaum.

— Dobrze — powiedział Scheuermann — dobrze. — Mijały sekundy. Potem powiedział lodowatym tonem: — Dotąd nie mogłem Mutschowi darować, że się nie pohamował i rzucił na pana. Dziś go rozumiem. I powiem panu jedno: Jeśli Mutschowi spadnie włos z głowy, jeśli spełni pan swoje groźby, machnę wówczas ręką na wszystko, na pracę, życie rodzinne, politykę i własnoręcznie połamię panu kości. A teraz niech się pan wynosi.

Program uroczystości związanych z poświęceniem pomnika ku czci Sebastiana Sempera, który „Goniec” opublikował w dodatku specjalnym, obok artykułów pochwalnych i licznych ilustracji, można

by określić jako godny sprawy. Elita Wahlheimu potrafiła organizować uroczyste imprezy, które tchnęły prawdziwą tradycją, choć nie było w nich żadnych reminiscencji z przeszłości.

Sobota była dniem poprzedzającym główną uroczystość. Udział wszystkich mieszkańców był zapewniony. Impreza wzbudziła zainteresowanie także poza Wahlheimem. Pewne znaczące pismo opublikowało artykuł i fotografie gotowych tablic z płaskorzeźbami, „Dedykacją” i „Sentencją Sebastiana Sempera”. Poseł do Bundestagu, jeden z członków partii o nacjonalistycznej orientacji, zapowiedział swój udział w uroczystościach, a sam pomnik, po dokładnym przestudiowaniu szkiców, nazwał „symbolem narodowego romantyzmu”.

Tablice wielkości blatu stołu leżały od trzech dni w magazynie kolejowym w skrzyni, którą wsunięto w ką, obok wiadra z mydłem i beczki smaru. Gümpel, Reisser i Mie-galke, wchodzący w skład ścisłego komitetu, już w piątek przed południem, za pomocą łomu i siekiery, wyłamali wieko skrzyni. Dokładnie zbadali dzieła sztuki i stwierdzili, że nie są uszkodzone. Potem ponownie zabili skrzynię gwoździami.

Następnie na konferencji z udziałem zarządu ustalono dokładny regulamin ceremonii, która miała się rozpocząć „uroczystym sprowadzeniem tablic”. Apel w tej sprawie, opublikowany w „Gońcu”, a zredagowany osobiście przez redaktora Bremera brzmiał:

...mamy niepłonną nadzieję, że ludność naszego miasta nie omieszka wziąć udziału w uroczystym sprowadzeniu tablic. Ten uroczysty akt wstępny — po ustawieniu kolumny — rozpocznie się o godzinie czternastej na dworcu towarowym, przy bocznym torze numer jeden, a zakończy około godziny piętnastej w hali ratusza.

Tak więc nastawiona na szczególne przeżycie część mieszkańców, zwłaszcza młodzież szkolna, przybyła na dworzec na długo przed wyznaczoną godziną. Ich uwagę zwrócił tutaj wielki transparent, który głosił: Witamy w Wahlheimie; znano go już od lat, wisiał zawsze nad budynkiem stacji, gdzie witał podróżnych lub gości przybywających na targ bydła. Tym razem jednak wisiał wysoko nad wagonem towarowym stojącym na bocznicy, na torze numer jeden. Zasuwane drzwi owego wagonu ozdobione były zielonym wieńcem z jedliny.

Tymczasem pod ratuszem zgromadziły się kluby sportowe „Jahn 34” i „SV Eintracht”. W sali ratusza zebrał się komitet budowy pomnika, niewielkie elitarne grono szczególnie wyróżnionych obywateli. W gospodzie zebrała się orkiestra dęta Ochotniczej Straży Pożarnej. Ćwiczyli, omawiali kolejność programu muzycznego i popijali fundowane piwo.

Punktualnie o trzynastej pięćdziesiąt trzy kolumny marszowe spotkały się przed ratuszem. Przyłączyła się do nich ludność miasta i wszyscy ruszyli w kierunku stacji. Na czele szedł dobosz, potem orkiestra, wśród której słychać było tylko jeden bęben; za nimi komitet, następnie klub sportowy „Jahn 34”, na koniec grupa mieszkańców.

Na dworcu czekało już kilkadziesiąt osób. Nadszedł pochód, orkiestra się zatrzymała, tak jak było ustalone, na dwadzieścia pięć metrów przed przystrojonym wagonem towarowym; komitet pomaszerował w lewo, klub sportowy w prawo; zakręcili i utworzyli otwarty kwadrat. Pułkownik Gümpel skinął głową na znak, że ten manewr wypadł wcale nienaj gorzej.

Reisser, jako przewodniczący komitetu, wszedł do środka kwadratu.

Nie mógł jednak dać znaku do rozpoczęcia ceremonii, ponieważ nie było jeszcze wozu transportowego. Spedytor nie był widocznie przyzwyczajony do wojskowej punktualności. Zaplanowana co do minuty ceremonia utknęła w miejscu. Wyczuwało się ogólny niepokój. Werble nadal biły. Uroczyste milczenie ustąpiło miejsca ożywionym rozmowom.

Wóz transportowy nadjechał z siedmiominutowym opóźnieniem, wzbijając tumany kurzu; koła głośno turkotały, zarżał koń. — Jesteśmy! — zawołał woźnica.

Gümpel nawet nie spojrzął na spóźnialskiego. Reisser pospiesznie sprawdził wygląd wozu i uznał, że jest w porządku. Konie miały odświętną uprzęż z białą otoczką; używano takiej tylko podczas uroczystości ślubnych. Sam wóz, zwykła platforma na dość dobrych resorach, był przykryty ciemnym sukniem i ozdobiony gałązkami jedliny.

Teraz mogła rozpocząć się pierwsza scena trzeciego aktu wielkiego widowiska. Specjalnie dobrani sportowcy odsunęli z impetem drzwi wagonu towarowego. Oczom zgromadzonych ukazała się skrzynia, którą zawiadowca stacji, jak było uzgodnione, po odprawieniu porannego pociągu przetransportował ze swymi ludźmi do pustego wagonu.

Na znak przewodniczącego komitetu sześciu sportowców ujęło podłużną skrzynię, uniosło ją na wysokość bioder i zaniósło do wozu. Ustawili na nim ciężki ładunek, a sami zajęli miejsca po bokach.

Wkrótce pochód ruszył w takiej samej kolejności, jak przybył, tyle tylko, że wóz ze skrzynią znalazł się pomiędzy orkiestrą a członkami komitetu. Nadal słychać było werble, włączyła się piszczałka, wreszcie dziewiątka muzyków zagrała melodię, która z powodzeniem mogła uchodzić za marsz triumfalny z „Aidy”.

Uroczysty pochód ciągnął ulicą Kolejową, następnie ulicą Główną, dawniej Adolfa Hitlera, jeszcze dawniej Hin-denburga, a jeszcze dawniej cesarza Wilhelma. Wreszcie doszedł do rynku.

Świeciło słońce, niebo było błękitne, powietrze przejrzyste. Wielu obywateli Wahlheimu zastosowało się do wezwania komitetu; Świeża zieleń ozdabiała ich domy. Widać było nawet flagi, najwięcej w barwach landu.

Kupcy pozamykali sklepy o godzinę wcześniej niż zwykle. Dzieci zostały starannie przygotowane do tej uroczystości. Wiele pań domu wcześniej podało obiad.

Pani Ulryka Reisser wyglądała przez okno i niejeden podziwiał śmiały dekolt w jej jasnoblękitnej sukni. Dokładnie po przeciwnej stronie rynku stała na balkonie Irena Kram-

pus. Małgorzata von Habern, w rzucających się w oczy półdlugich spodniach i żółtym swetrze, stała obok Flamme-ra, który trzymał w pogotowiu swój aparat fotograficzny.

Uroczysty pochód przeciął rynek. Orkiestra już po raz trzeci grała marsza triumfalnego z „Aidy”. Członkowie klubu sportowego kroczyli dumnie i sprężysto, członkowie komitetu spokojnie i z godnością. Gümpel, w granatowym garniturze, czuł dność chwili. Reisser, w szaronie-bieskim garniturze, szukał wzrokiem żony; uznał, że jest warta grzechu. Nauczyciel Kuhn bez nakrycia głowy podobny był do Gerharta Hauptmanna. Mistrz ślusarski, Miegäl-ke, ucieszył się, że nie ma jego konkurenta, Scheuerman-na. Kupiec towarów kolonialnych, Scheuwitz, otyły i zawsze pokojowo usposobiony, spostrzegł z satysfakcją, że jego dom jest o wiele ładniej udekorowany niż inne.

I oto dotarli na plac, na którym wznosił się cokół, na nim zaś kolumna. Ta kolumna z cementu miała kilka metrów wysokości i zwężała się ku górze. Tuż nad cokołem znajdowało się miejsce na tablice. Pochód zatrzymał się. Trębacze umilkli. Na znak Reissera sześciu wyznaczonych sportowców zdjęło skrzynię z wozu i ustawiło przed cokołem.

Reisser przyjął godną postawę. Dokoła panowało pełne oczekiwania milczenie. Gümpel skinął zachęcająco.

— Panie i panowie! — zawołał Reisser; trudno mu było skoncentrować się, gdyż ponad tłumem spoglądał w okno, z którego wychylała się jego żona. Uznał, że za bardzo odsłaniała piersi.

— Jutro w południe — zawołał — dokonamy uroczystego odsłonięcia pomnika ku czci słynnego obywatela naszego pięknego miasta. Znajdą się na nim tablice z nieśmiertelnymi strofami poety, wyrażającymi hołd wszystkim synom naszego ukochanego Wahlheimu, który na ten zaszczyt zasłużył. Ofiarność naszych mieszkańców, którym należy się podziękowanie za ich szczodrość, umożliwiła wykonanie tych tablic z płaskorzeźbami przez artystę wysokiej klasy. Te dzieła sztuki spoczywają na razie w skrzyni, którą tu widzicie, ale już od jutra będą zdobiły tę kolumnę, gdy wyznaczona delegacja mieszkańców i Kościół dokonają uroczystego poświęcenia pomnika.

Burmistrz przerwał na krótko, jak było przewidziane w programie, by po chwili dokończyć przemówienia; na twarzach stojących najbliżej ludzi dostrzegł życzliwość.

— Teraz więc wyjmemy tablice ze skrzyni, ustawimy je w hali ratusza, gdzie do jutra do południa każdy będzie mógł je oglądać. Dziś po południu spotkają się członkowie, sympatycy i dobroczyńcy naszego komitetu na koleżeńskim wieczorze w gospodzie. Jutro, po odsłonięciu pomnika, odbędzie się festyn ludowy. Nie każmy więc naszym mieszkańcom czekać dłużej i pokażmy im te arcydzieła.

Sportowcy zdjęli pokrywę skrzyni i wyjęto z niej tablice. Członkowie komitetu budowy pomnika stali mocno wzruszeni. Pulver zasalutował. Ludzie pchali się do przodu.

Tablice przedstawiały mężczyzn w workowatych kitlach, które niejednemu mogły przypominać mundury Wehrmachtu. Ich nogi tkwiły w ciężkich buciorach, ręce trzymali w kieszeniach. Głowy mieli odsłonięte, czoła wysokie, a nosy i usta w kształcie prostych kresek. Kości policzkowe i brody wystawały mocno do przodu, jak gdyby zaciskali zęby. Wydawali się zamyśleni, ale twarze ich wyrażały także zawziętość. Na jednej tablicy widniała dedykacja, a na drugiej sentencja Sebastiana Sempera.

— To prawdziwie niemieckie — rzekł Gumpel głośno.

Słuchać było potakujący pomruk. — Brawo! — zawołał ktoś z tyłu. Flammer zawzięcie pstrykał zdjęcia.

Sportowcy ujęli tablice i równym krokiem ponieśli je do ratusza. Ludzie, zaciekawieni, ruszyli w ślad za nimi. Orkiestra grała znów marsza triumfalnego z „Aidy”.

Na placu pozostała pusta skrzynia i dziennikarz Flammer, szczerzący zęby w ironicznym uśmiechu.

Pankholzer, prokurator sądu okręgowego w Wahl heimie, zwykł był spędzać weekendy na wsi u dawnego kolegi z czasów wojny. Zależnie od pogody wędrował czternaście kilometrów pieszo, jechał rowerem lub przysyłano po niego powóz.

Noc z soboty na niedzielę należała do kolegów, a spędzali ją na wielkim gadaniu, grze w karty, przy piwie i cygarach. Były to zawsze noce nie przespane, podczas których obaj towarzysze wielkiej wojny przypominali sobie jak to było, kiedy przydzieleni do kompanii karnej jako element wywrotowy Wehrmachtu — mieli czelność nazwać Hitlera głupcem — spędzali długie noce na grze w kości o różne drobiazgi, od których zależało życie ludzkie: kto przejmie pistolet maszynowy, kto będzie ściągał trupy, kto będzie słuchał radia brytyjskiego, kto zabije oficera Gerbera, tego krwawego psa, kto włamie się do magazynu.

Był to niezwykły okres w życiu Pankholzera, który zachwiał w nim prawnika, ale utrwalił człowieka, okres, o którym nigdy nie mówił, o którym chyba nikt niczego nie wiedział; tego okresu nie mógł zapomnieć. Potajemne noce wspomnień, które oznaczały przezwycięzenie, ale nie zapomnienie, stały się dla niego czymś niezbędnym. A że były to noce, podczas których umysł nie mógł zaznać spokoju, a ciało było umęczone, Pankholzer, zanim wyruszył do kolegi, kładł się zazwyczaj na kilka godzin, by wypocząć.

Punktualnie o dwunastej każdej soboty opuszczał swoje biuro. Już na godzinę przedtem nie przyjmował telefonów ani nowych akt, nie załatwiał korespondencji, nie udzielał żadnych informacji.

Na dwie minuty przed dwunastą wziął zegarek, który leżał przed nim na biurku i założył na rękę. Potem, z pustą prawie teczką, wyszedł do poczekalni — Do poniedziałku! — zawołał.

Chciał wyjść na korytarz przez drzwi, które otworzył przed nim urzędnik, ale jakaś dziewczyna, niemal jeszcze dziecko, stanęła mu na drodze. — Czy mogę z panem porozmawiać?

— Nie — odpowiedział i chciał iść dalej.

— Ale ja muszę z panem porozmawiać — powiedziała dziewczyna z uporem.

Wtem odezwał się kierownik biura: — Już mówiłem tej młodej damie, że...

— Widocznie nie dość jasno. Praworządność teraz od poczyna, moja panno. Niech pani przyjdzie w poniedziałek przed południem!

Poszedł korytarzem. Dziewczyna pobiegła za nim. Udawał, że tego nie widzi.

— Ale to bardzo ważne — rzekła.

Pankholzer zatrzymał się. — Cóż może być takiego ważnego? To, co dla pani jest ważne, niekoniecznie musi być ważne dla mnie. I na odwrót. Nic nie jest aż takie ważne.

Pankholzer wyminął młodą osóbkę, podszedł do drzwi, otworzył je i zatrzasnął za sobą. Na drzwiach wisiała tabliczka: „Dla mężczyzn”.

Kiedy wyszedł po kilku minutach, dziewczyna wciąż jeszcze stała i patrzyła na niego błagalnym wzrokiem, a jednocześnie rozkazująco. — Czego pani jeszcze chce?! — zawołał. Zamówił u swojej gospodni obiad na wpół do pierwszej. O pierwszej chciał się położyć spać, by około piątej z nowymi siłami rozpocząć wędrowkę, która prowadziła go do owych makabrycznych nocy, kiedy to jako prawnik postawił działające wówczas prawo na głowie; mimo to był przekonany, że dobrze je postawił.

— Niech pani przyjdzie w poniedziałek rano.

— Wtedy minie trzydzieści sześć godzin, panie prokuratorze.

— W ciągu trzydziestu sześciu godzin może pani dwukrotnie się wyspać. Nabierze pani dystansu i ujrzy swoją sprawę w innym świetle, a i nerwy się uspokoją.

— Panie prokuratorze, sprawiedliwość nie zna godzin urzędowania. Chodzi tu o człowieka, a nie o sprawę.

Pankholzer był zaskoczony. Nie był przyzwyczajony, by ktoś rozmawiał z nim takim tonem. Na ogół skamlano, rozmawiając z nim. Dziewczyna mu się spodobała.

— Po co pani tu przyszła?

— Z powodu Mutscha!

— Ach! — zawołał prokurator niechętnie. — Akurat on! Od dwóch dni męcę się nad tą sprawą. To uparty facet. Taki naprawiacz świata, ale z gatunku tych, co to sądzą, że czaszki innych ludzi są po to, aby w nie bębnić; tacy myślą, że w ten sposób przekonają innych do swojej racji.

— Pan go nie zna. On jest niewinny.

— Znam morderców, którzy nie byli winni, a zostali skazani na śmierć. Rzeźnicy, którzy brodzili w kałużach krwi, zostali bohaterami. Ten świat to nie raj. Chce mi pani wmówić, że pani spokój ducha zależy od tego, czy niejaki Mutsch będzie dziś spał w swoim domu, czy w celi, która, jak słyszałem, jest całkiem nieźle wyposażona. Niech pani wraca do domu.

Dziewczyna ani myślała usłuchać. — Panie prokuratorze — rzekła — niech mi pan poświęci dziesięć minut i oszczędzi tych trzydziestu sześciu godzin. Jeśli pan tego nie zrobi, to...

— To co?

— To będę pana uważała za bezdusznego biurokratę.

— A to dobre — rzekł Pankholzer rozbawiony. — Tego mi jeszcze nikt nie powiedział. Bardzo mi się to podoba. Proszę, chodźmy do mojego gabinetu.

Zawrócił i długim krokiem podążył z powrotem do swojego gabinetu. Dziewczyna szła radośnie za nim. Pankholzer ominął wzrokiem zdziwione miny swoich współpracowników, zatrzasnął za sobą drzwi i cisnął aktówkę na biurko. Wskazał dziewczynie krzesło i sam również usiadł. Zdjął z ręki zegarek i położył przed sobą. — No to słucham!

— On jest niewinny.

— Proszę o fakty! Jak się pani nazywa?

— UlrykaLoos.

— Czy jest pani z nim spokrewniona?

— Nie. Poznałam go przed pięcioma laty. Kochaliśmy się.

— Proszę dalej!

— Potem on poszedł do więzienia i rozstaliśmy się; taka była jego wola. Tymczasem poznałam Sebastiana Sempera.

— I tego też pani kochała?

— Tak.

— No więc dalej!

— Urodziłam dziecko Sebastiana mniej więcej przed rokiem. Potem on umarł. Napisał do mnie list pożegnalny, z którego wynika, że nie chce dłużej żyć, gdyż nie czuje

się na siłach, aby troszczyć się o mnie i o dziecko. Oto ten list.

Prokurator bez słowa wziął list do ręki i przeczytał go. Otworzył dokumenty leżące obok na biurku, porównał niektóre daty. List pisany był tego samego dnia, kiedy nastąpiła śmierć Sempera, nawet stempel pocztowy się zgadzał. Porównanie charakteru pisma z dowodami znajdującymi się w aktach Sempera wskazywało, że list jest autentyczny.

Prokurator wciąż jeszcze milczał. Odchylił się na krześle i spoglądał na dziewczynę siedzącą przed nim. Za nią, na szarą ścianę padały promienie słońca. Nic nie zakłócało ciszy.

— Czy Mutsch wiedział o tym liście?

— Tak, powiedziałam mu o tym wkrótce po śmierci Sebastiana Sempera. Spotkałam go na cmentarzu.

— Dlaczego dał się bez słowa zamknąć i milczał, choć wskazanie na ten list wystarczyłoby, aby unieważnić nakaz aresztowania?

— Chciał mnie oszczędzić.

— Jak mam to rozumieć?

— Nikt nie wiedział o moim związku z Sebastianem; nikomu też nie powiedziałam, kto jest ojcem mojego dziecka. Wiedziałam, że byłoby to dla Sebastiana zbyt wielkim obciążeniem i chciałam mu tego oszczędzić. Mutsch jest jedyny, któremu to wyznałam.

— Więc to tak. A ponieważ nikt nie wiedział o pani związku z tym Sebastianem Semperem, nikt też pani o nic nie pytał. Oczywiście policja także nie. Dopiero kiedy padło podejrzenie na Mutscha i został aresztowany, pani zastanowiła się, czy...

— Dopiero dziś się o tym dowiedziałam. Nie było się nad czym zastanawiać.

— Nie było się nad czym zastanawiać. Patrzcie państwo! Nagle wszystko stało się dla pani obojętne. Plotki, dochodzenie, które nastąpi, nieuchronne konsekwencje — to wszystko już pani nie przeszkadza?

— Nie.

— Moje drogie dziecko — czy ten Mutsch na to zasługuje?

— Tak.

Prokurator pokręcił głową. — Ach, dziewczyno, dziewczyno! — powiedział ostrzegawczo. — Chyba nie zdaje pani sobie sprawy, w co się pakuje. Proszę posłuchać. Dołączę list i szczegółowe przesłuchanie do akt. Dokładne śledztwo uwiarygodni pani zeznanie. To śledztwo nie pozostanie w tajemnicy i opinia publiczna dowie się o wszystkim ze zdumieniem. W ten sposób wyjaśnione samobójstwo wywoła ogólne zaskoczenie, czego zainteresowanym osobom z całego serca życzę. Ale pani, drogie dziecko, zostanie wciągnięta w wir plotek. Z powodu dziecka będzie pani miała przeprawę z rodziną Semperów i chyba też z własnym ojcem. Dziecko pozostanie dzieckiem samobójcy. Nasi drodzy współobywatele będą wytykali panią palcami. Będzie pani musiała opuścić Wahlheim.

— Najważniejsze, żeby on został uwolniony. Prokurator Pankholzer uśmiechnął się. — A jeśli on się już więcej o panią nie zatroszczy? Co wtedy?

— Wtedy — rzekła Ulryka — stracę coś, czego tak na prawdę wcale nie posiadałam.

Prokurator wstał. — A więc dobrze — rzekł. Podniósł słuchawkę telefonu. — Proszę natychmiast o połączenie z komisariatem! — zawołał. Odłożył słuchawkę. Ulryka Loos spoglądała na niego wielkimi oczami pełnymi łez.

Zadzwoił telefon. Prokurator odebrał. — Chcę mówić z Pulverem — powiedział. — To pan, panie Balk? Co robi Pulver? Odsłonięcie pomnika? Śledztwo? Niech mu pan powie, żeby wykazywał mniej gorliwości. Tak, niech mu pan to dosłownie powtórzy. A teraz proszę posłuchać: Pan Mutsch ma być natychmiast zwolniony. Natychmiast! Niech pan wszystko przygotuje. Za kwadrans otrzyma pan pisemny nakaz. To, co nazywacie materiałem dowodowym, to czysty idiotyzm. Co? Naturalnie, mam na myśli Pulvera. Kogóż by innego? Pan jest w porządku.

Pankholzer odłożył słuchawkę, uśmiechnął się do Ulryki i wezwał naczelnika biura. — Zażądałem natychmiastowego zwolnienia pana Mutscha. Proszę przygotować odpowiedni dokument. Czekam. Ta młoda kobieta zabierze go ze sobą.

— Uwolnić z aresztu z powodu braku dowodów?

— Z powodu dowiedzionej niewinności. Niech pan zabierze te akta. A więc raz dwa! Proszę się pospieszyć. Chcę wyjechać z Wahlheimu i odetchnąć świeżym powietrzem.

Naczelnik wycofał się służbiście. Pankholzer wstał, ciężko dysząc. Ulryka spoglądała na niego rozpromieniona.

— Dziękuję panu.

— To ja pani dziękuję. — Ukłonił się. — I żeby nie było nieporozumień. Przyjmuję do wiadomości tylko ten list; nie interesuje mnie adresatka, ani w jakim celu został napisany. Teraz jeszcze tylko podpis i do poniedziałku Wahlheim mnie nie zobaczy.

Wieczór koleżeński w przeddzień odsłonięcia pomnika zapowiadał się bardzo dobrze. Było to zasługą dobrego piwa i miłej atmosfery w gospodzie „Pod Czarno-Białym Bykiem”. Członkowie komitetu, sympatycy i protektorzy siedzieli wygodnie przy stolikach, ustawionych w kształcie podkowy. Komitet zajmował honorowe miejsca, reszta porozsia-dała się swobodnie, stosownie do wysokości składek, przy poszczególnych stolikach. W lokalu rozbrzmiewały donośne głosy. Panowała przyjemna atmosfera.

— U nas w Niemczech — rzekł stary nauczyciel Kuhn swoim przyjemnie brzmiącym głosem, który jego uczniowie znali z lektury „Wilhelma Telia” — zawsze duży nacisk kładziono na honor. Nawet w naszych czasach ulicom i mostom nadaje się imiona zasłużonych obywateli naszej ukochanej ojczyzny i wystawia się im pomniki i tablice pamiątkowe. Ale w tym, czego dokonaliśmy tu, w Wahlheimie, nikt nam nie dorówna.

Kuhn zebrał brawa. Uniósł kieliszek w kierunku tych, którzy chcieli się z nim trącić. Potem wypił do dna, mocno się przy tym zachłyszawszy. Burmistrz Reisser zabrał głos

jako przewodniczący, jednak niezbyt patetycznie. Wskazał na doniosłość chwili, która jutro osiągnie swoje apogeum, przypomniał ofiary, jakie trzeba było ponieść, by dokonać wielkiego dzieła. Potem udzielił głosu kompetentnym członkom komitetu, którzy mieli zdać pokrótce sprawę z realizacji projektu pomnika; następnie zapowiedział, że końcowe przemówienie wygłosi wiceprzewodniczący komitetu, pułkownik Gumpel.

Jako pierwszy zabrał głos honorowy kurator komitetu, naczelny redaktor „Gońca”. Porównał siebie, zrazu ostrożnie, z Demostenesem, przy czym nie było sprzeciwu, ponieważ oprócz Kuhna nikt dokładnie nie wiedział, kim był Demostenes. — Kierowanej przeze mnie gazecie — rzekł Bremer z właściwą sobie skromnością — nie tylko udało się przemówić do czytelników, ale także zdobyć ich serca. Uznali za swój obowiązek współdziałanie w sprawie Sebastiana Sempera, piewcy naszej ojczyzny.

Bremer także otrzymał oklaski, zwłaszcza od stolika, gdzie siedział Flammer, który robił oczywiście notatki dla „Gońca”. Następnie była krótka przerwa; wykorzystano ją dla napelnienia kufli. Obsługa lokalu miała pełne ręce roboty; otwierano lufciki, by wpuścić świeżego powietrza. Potem mistrz ślusarski Miegalka, jako kierownik reklamy i doradca handlowy, mówił o oszczędnościach i kalkulacji kosztów transportu, wzbudzając powszechne zainteresowanie. Udało mu się potraścić twórcy tablic z końcowej kwoty dwadzieścia procent z tytułu wypłaty gotówką i z powodu drobnego wyszczerbienia w tyle głowy jednej z postaci. — Nie można było dopuścić, by stołeczni artyści bogacili się na porządnych obywatelach — powiedział Miegalka. — Rzeźbiarz co prawda powiedział, że jest to ogólnie przyjęte, ale ja mu odparłem, że z nami mu się tak nie uda.

Nagrodzono go brawami. Starszy sierżant Pulver, który przez całe popołudnie w przeddzień uroczystości nie pokazał się w komisariacie, przepił do Gümpla; pułkownik ostatnio traktował go z uprzejmą życzliwością. Flammer poszedł do kuchni, znajdującej się tuż obok sali, i odbył

krótką naradę z przyjaciółmi, którzy przez szparę w drzwiach słuchali przemówień.

Tymczasem kupiec towarów kolonialnych Scheuwitz — kasjer komitetu budowy pomnika — złożył obszerne sprawozdanie, z którego wynikało, że wpływy były co prawda wysokie, ale wydatki wcale nie takie małe. Dzięki doskonałej organizacji i właściwemu planowaniu pozostała jeszcze suma w wysokości stu czterdziestu siedmiu marek i osiemdziesięciu trzech fenigów, którą trzeba rozdysponować.

— Przepić! — zawołał ktoś z głębi sali.

Kuhn poprosił o głos, wzmocnił się piwem i rzekł: — Tak jak morskie fale napływają jedna za drugą, tak teraz powinien nastąpić dalszy ciąg starań o estetykę otoczenia. Należy zrobić ogrodzenie, klomby kwiatowe lub zasadzić dekoracyjne drzewo dające cień.

— Dąb! — zawołał Gumpel spontanicznie.

Pomysł z zasadzeniem pamiątkowego dębu przyjęto prawie jednogłośnie. Zastanawiano się, czy nie nazwać go dębem Sebastiana Sempera.

Następnym mówcą był protokolant, właściciel sklepu pierniczego i księgarni, Hohlhander. Zgodnie ze sporządzonym przez niego protokołem odbyło się siedem zebrań komitetu w pełnym składzie i osiemnaście narad roboczych w mniejszym gronie. Opublikowano siedem artykułów w „Gońcu” na temat działalności komitetu, pięć dalszych artykułów poświęconych było życiu i twórczości poety Sebastiana Sempera. Cztery większe gazety i jedna duża zamieściły szczegółowe notatki. Rozgłośnia radiowa w cyklu: „Z naszych landów” na*dała informację trwającą dwadzieścia pięć sekund. Zdjęcia tablic znalazły się trzykrotnie w prasie. Z okazji święta przygotowano pismo specjalne. „Goniec” planował ilustrowany dodatek nadzwyczajny po odsłonięciu pomnika.

Również Hohlhandera oklaskiwano. Piwo pieniało się w kufkach. Gęste kłęby dymu unosiły się do sufitu. Na stołach w porozlewającym piwie leżały niedopałki i popiół.

Członkowie komitetu pili dużo, byli zadowoleni z siebie i swoich dokonań, a oklaski, jakich im nie szczędzono, spo-

tęgowały ich dobre samopoczucie. Pułkownik Gumpel skoncentrował się na swoim przemówieniu. Starał się, by mu za bardzo nie przeszkadzano.

Tylko Reisser był jakby nieobecny duchem. Popijał małymi łykami piwo i więcej słuchał niż sam mówił, co u niego było czymś niespotykanym. Nie czuł się zbyt dobrze, nie odpowiadała mu atmosfera zgromadzenia. Przyłapał się na tym, że wolałby być teraz w domu z żoną.

Spoglądał na twarze, na których malowało się oddanie, które gotowe były uśmiechać się do niego, gdyby tylko dał choć najmniejszy znak. Spoglądał na ręce leżące w pobliżu kufla; ręce te natychmiast by się uniosły, gdyby tylko zechciał się z nimi trącić. Ale on nie chciał. Pragnął tylko, by ta komedia wreszcie się skończyła.

Gumpel upił potężny łyk z kufla, po czym stuknął w szkło sygnetem. Dał znak Reisserowi, by go zapowiedział. Zebrani zamilkli pełni oczekiwania. Pułkownik Gumpel wstał, krygując się nieco.

— Drodzy koledzy! — zawołał i spojrzał serdecznie na zebranych.

— Drodzy koledzy! Wszystko, co wielkie, wywodzi się ze wspólnoty. Gdyby nie było wspólnoty, nie byłoby wielkości. Najszlachetniejszą wspólnotą jest jednak koleżeństwo frontowe. Należą do tej wspólnoty nie tylko ci, którzy ramię przy ramieniu spoglądali w oczy wrogowi, lecz także ci, którzy byli duchem z nami, którzy na tyłach frontu spełniali swój święty obowiązek.

Gumpel czuł wyraźnie, że jego wystąpienie się podoba. Pulver, siedzący obok, patrzył na niego z oddaniem. Burmistrz wyglądał, jakby starał się opanować wzruszenie. To wszystko skłoniło Gümpla do tego, aby mowę przewidzianą na jutro wygłosić na próbę już dziś.

— Każdy kulturalny naród, mający własną historię, tak jak nasz, żyje swoją tradycją. Jest niczym bez swej przeszłości. A jeśli ktoś wstydzi się swej przeszłości, to tak, jakby wstydził się własnych rodziców. Możemy być dumni z tego, czego dokonaliśmy. Niemiecki żołnierz jest wciąż jeszcze najlepszy na świecie. Wskutek zdrady we własnych szeregach, wskutek prymitywnej przewagi gospodar-

czej naszych przeciwników, wskutek niedołęstwa kierownictwa, z powodu obcych elementów w wojsku, przegraliśmy co prawda wojnę, ale zachowaliśmy nasz honor.

Gümpel wziął do ręki kufel, by zwilżyć usta. Wiedział, że moment był właściwy, bo jak wskazywało jego długoletnie doświadczenie, teraz powinny nastąpić głośne brawa. I rzeczywiście zagrzmiały. Ktoś nawet tupał nogami.

— Było kilka lat hańby, kiedy to szerzący rozkład agita torzy, opłacani obcymi pieniędzmi, mogli bezkarnie deptać szacunek dla naszych żołnierzy. Ale to się wkrótce gruntownie zmieni. Już dziś można powiedzieć: te czasy minęły bezpowrotnie! Stary duch znów się obudził. A kiedy weszliśmy mieszkańcy naszego miasta, których po stawa zawsze była wzorowa, do składania datków na po mnik, nie*zawiódł nikt, kto ma serce i honor.

Gümpel zrobił sztuczną pauzę i powiódł dokoła wzrokiem. Nikt nie odważył się teraz pić.

— Bo to, co się tu dzieje — wołał Gümpel — nie jest niczym innym jak rehabilitacją. A Sebastian Semper — czyż nie jest on symbolem naszych czasów? Poszedł na wojnę, tak jak wymagał tego obowiązek, a miliony Niemców poszły razem z nim. Dzielnie bronił ojczyzny. Jego pierś zdobiły odznaczenia. Uniknął bohaterskiej śmierci i czystym sercem wierzył w zwycięstwo słusznej sprawy, ale został zdradziecko pozbawiony laurów zwycięstwa.

Zapanowało ogólne wzruszenie.

Tylko Flammer siedział na końcu sali, przy drzwiach prowadzących do kuchni, gdzie znajdowali się jego przyjaciele; nie będąc widocznymi, przysłuchiwali się przemówieniom i tylko czekali na odpowiednią chwilę, by się pokazać.

— Walczył i cierpiał jako dzielny żołnierz — mówił dalej Gümpel. — Wpadł w ręce wroga, przed którym pragnęliśmy uchronić Zachód. Chory, ale nie załamany, wrócił do domu. Przeszedł przez burzę wojny i wskutek tych wszystkich przeżyć osiągnął dojrzałość. Żołnierz Semper wrócił do miasta jako świadomy narodowo poeta. Śpiewał hymny pochwalne na cześć niemieckiej kobiety i opiewał piękno naszej ojczyzny. Zdązał ku nieśmiertelności jak Kleist, ów grecki Prusak. I oto padł ofiarą nieubłagane go losu. Oj-

czyzna, o którą walczył, została wydana na pastwę tworowi państwowemu, który nie znał wdzięczności; co myśli na ten temat najlepsza część narodu, okaże się podczas najbliższych wyborów. Ale nie tylko to: mordercy, te podle zbiry, wyzbyte wszelkich wyzszych uczuć i wartości etycznych, napadły na niego i położyły kres tak wielce obiecującemu życiu. Ale sprawiedliwość... sprawiedliwość...

Przemówienie Gümpla, dotąd tak płomiennie, nagle się załamało. Sprawiało to wrażenie, jakby skończyła się płyta gramofonowa. Pułkownik utkwiał wzrok w odległym końcu sali i wszyscy zebrani poszli jego śladem.

Stali tam Mutsch i Scheuermann, obaj przyjaźnie i pokojowo nastawieni. — Dobry wieczór państwu — powiedział Scheuermann.

Pulver wstał, nabrał głęboko powietrza i zapytał ostrym tonem: — Skąd pan się tu wziął?

— Zostałem zwolniony — rzekł Mutsch. — Samobójstwo Sempera zostało bezspornie udowodnione. Miał dość życia, poza tym spłodził dziecko, oczywiście nieślubne. Również za to nie chciał ponosić odpowiedzialności.

— To oszczerstwo! — wykrzyknął Gumpel, nie panując nad sobą.

— Materiał dowodowy jest w prokuraturze.

— Poza tym — odezwał się Scheuermann spokojnie — opublikowane wiersze wcale nie są pióra Sempera, tylko Goethego; po prostu je przepisał. — Podniósł książkę do góry. — Proszę popatrzeć. Chodzi o wiersze do Ulryki von Levetzow.

— On obraża pamięć zmarłego — wykrztusił pułkownik Gumpel.

— Wcale nie mam takiego zamiaru. Sebastian Semper wprawdzie przepisał te wiersze, ale nigdy nie twierdził, że jest ich autorem. Pod żadnym nie figurowało jego nazwisko. Były tylko napisane jego charakterem pisma. To, co dalej stało się z tymi wierszami, to naprawdę nie jego wina. Ja go wcale nie obrażam. On został po prostu wykorzystany. To pan popełnił nadużycie!

Powstało potworne zamieszanie. Niektórzy wrzeszczeli na całe gardło, inni śmiali się do rozpuku. Tręcali się tak,

że omal nie pospadali z krzesel; albo walili pięściami w stół, aż kufle podskakiwały. Sala drżała od hałasu.

W piwnicy pospiesznie napoczęto nową beczkę piwa. Mutsch i Scheuermann stali zadowoleni i uśmiechali się. Flammer również szczyrzył zęby w uśmiechu. Scheuermann podniósł książkę do wysokości piersi, potem opuścił ją w kierunku Flammera uroczyście jak miecz. Dziennikarz skwitował ten cichy znak uznania lekkim skinieniem głowy i poczerwieniał z zadowolenia.

Pulver jak oparzony opadł na krzesło. Reisser, pobladły aż do nasady włosów, wstał i wyszedł bez słowa. Pułkownik Gümpel wyprostował się, spojrział na szalejący tłum i uniósł dłoń w górę, wzywając do spokoju.

— Koledzy! — zawołał. — Koledzy! — Jego głos brzmiący niczym fanfary znalazł posłuch. Wydawało się, jakby ten ćwiczony przez dziesiątki lat organ sprawił, że kufle zaczęły brzęczeć. Przez chwilę Gümpel miał uczucie, że jego wspaniały głos na zawsze ucichł. Ale głośnie chrząknięcie dało mu pewność, że tak nie jest.

— Koledzy! — zawołał do podnieconego tłumu, gotowego już do słuchania i łatwego do przekrzyczenia. — Tylko nie traćcie odwagi! Nie bądźcie krótkowzroczni! Nie dajcie posłuchu tym, którzy zawsze starali się burzyć wszystko, co dla nas święte! Nie zapominajmy się, koledzy! Bo w gruncie rzeczy nie chodzi o pojedynczego człowieka, nie o Sebastiana Sempera, ale o słuszną sprawę. Jednostka jest niczym, naród jest wszystkim. Potrzeba nam symboli. I stworzyliśmy taki symbol. Nieważne, jakie nosi imię. Pomnik czci między innymi poetę. Słusznie, bo czyż nie jesteśmy narodem poetów i myślicieli? Czy wobec tego nie mamy prawa wznieść tego pomnika? Mamy nawet taki obowiązek. Poświęćmy go więc Goethemu, zwłaszcza że jego wiersze są w Wahlheimie takie popularne! Albo dedykujmy go po prostu niemieckiemu geniuszowi. Wystarczy, że nazwisko Sempera zastąpimy nazwiskiem Goethego i wszystko będzie w porządku. I tak też zrobimy. Nikt nie może nam tego zabronić! Poświęcenie pomnika odbędzie się. Jesteśmy to winni naszemu honorowi.

Niejeden nagrodził te słowa brawami.

Ksiądz Marcus spędzał wieczór w ogrodzie. Siedział na ławce i nasłuchiwał hałasów dochodzących z gospody; popijał czerwone wino, ale mu nie smakowało. Rozmyślał o swoich dokonaniach, o czasie, który go niszczył, o świecie, który go gnębił. I pytał sam siebie, czego Pan Bóg od niego oczekuje.

Łagodny wietrzyk rozwiewał jego przerzedzone włosy. Duchowny wziął do ręki butelkę wina i wszedł do swego gabinetu, zostawiając drzwi szeroko otwarte. Otworzył okno. Była upalna letnia noc. Zdjął marynarkę i usiadł w wyplatany fotelu.

Był sam na plebanii. Jego gospodyni pojechała na ślub siostry. Dwoje uciekinierów, których przyjął, choć byli innej wiary — dał im dwa pokoje na górze — uczestniczyło teraz w spotkaniu wypędzonych z ojczyzny.

Marcus cieszył się otaczającą go ciszą, popijał wino i zastanawiał się nad jutrzejszym kazaniem, którego motto brzmiało: Kochajmy się, bracia! Te myśli napełniały jego serce radością i koily wzburzone sumienie. Postanowił, że powie mniej więcej tak: Wszyscy jesteśmy grzesznikami, ale ten dozna łaski, kto przyzna się do swoich grzechów i będzie za nie żałował, kto przyrzeknie poprawę i będzie dążył do doskonałości. Nie bądźcie zbyt surowi dla grzeszników, bądźcie wielkoduszni; napisane jest bowiem, abyście się wzajemnie miłowali. A morał z tego jest następujący: być może pomysł budowy tego pomnika powstał wskutek słabości, a może nawet grzechu, ale błogosławieństwo Kościoła, o które prosicie i którego z radością pragnę udzielić, jest niewątpliwie rezultatem działania łaski Bożej.

Marcus był przekonany, że znalazł dobre rozwiązanie. Przysłuchiwał się hałasowi, który docierał z gospody i zakłócał wieczorną ciszę. — Oni są jak dzieci — rzekł sam do siebie. I upił łyk wina.

Zanim odstawił szklanekę, usłyszał kroki.

— Proszę, szczęść Boże! — zawołał Marcus, zawsze gotów udzielić pociechy duszom, które tej pociechy pragną. Spojrzał ku drzwiom.

Do gabinetu wszedł Scheuermann.

— Trochę niezwykła pora — powiedział wielebny niemile zaskoczony. — Czego pan chce ode mnie?

— Siły księdza — odparł Scheuermann. — Przychodzę prosto z tak zwanego wieczoru koleżeńskiego komitetu budowy pomnika. Osiągnięto punkt, w którym kończy się wszelka tolerancja.

Marcus cofnął się. — Wiedziałem — rzekł wyczerpany — wiedziałem, że to nastąpi, że znów zechce mnie pan wodzić na pokuszenie.

— Niech ksiądz posłucha — powiedział Scheuermann i zdał relację z wydarzeń, które zaszły w gospodzie; Marcus siedział zadumany. — Teraz już nie może się ksiądz wymigać. Musi ksiądz zająć stanowisko.

Marcus złożył ręce. — No dobrze — rzekł — jeśli jest tak, jak pan mówi, jeśli udowodniono bezspornie, że to było samobójstwo i nie ma wątpliwości co do pochodzenia wierszy, to nie poświęcę pomnika.

— I co dalej?

— To wszystko!

— Wszystko? — Scheuermann był mocno rozczarowany.

— Przecież nadużyto zaufania księdza, a ksiądz przyjmuje to tak spokojnie. Toleruje ksiądz w milczeniu fakt, że przy kra komedia została zamieniona w ohydną farsę, tak jakby nic się nie stało?

— Nie wtrącam się do tego. Przez to, że nie będę brał udziału w uroczystości, okażę im swoje stanowisko w tej sprawie.

— A więc zrezygnuje ksiądz?

— Odwracam się, panie Scheuermann. I to nie tylko dlatego, że chce mnie pan kusić. Wiem, do czego pan zmierza. Moje oburzenie trafiłoby w pańskich przeciwników, mój gniew sprzyjałby panu. Nie jestem właściwym partnerem w tej grze. Niech pan stąd odejdzie!

Scheuermann wstał i podszedł do drzwi. — Proszę księdza — rzekł — chciałem walczyć z tym szaleństwem, miałem nadzieję, że ksiądz mi w tym pomoże. Bo nie chodzi tu o nas. Chodzi o to, czy przyszłość naszego kraju znów będzie zależała od frazesów, od tumaniania wielkimi słowami, czy też od miłości bliźniego, wyrównującej różnice

społeczne. Ja nie zacieram różnic. Ale widzą także, co powinno być wspólne, co mogłoby być wspólne przy odrobinie dobrej woli. Ksiądz był moją ostatnią nadzieją. Gdyby to ode mnie zależało, byłbym księdza zmusił — dla naszego wspólnego dobra.

— Przykro mi — rzekł Marcus — że nie mogę panu pomóc.

Scheuermann jeszcze raz się odwrócił. — To mnie jest przykro, bo rezygnacja księdza zmusza mnie do rezygnacji z księdza, choć wiem, co należałoby zrobić.

Scheuermann wyszedł, zatrząskując za sobą drzwi.

Tej nocy w gospodzie zachowywano się hałaśliwie. Goście nie tylko pili dużo, ale pili pospiesznie. Tuż po północy niektórzy zataczając się, wracali do domu. Tłum otoczył pułkownika Gümpla przy bufecie, reszta siedziała w małych grupkach przy stolikach. Głos Gümpla brzmiał w uszach zebranych niby dźwięk fanfar. Po godzinie mówił o Nibelungach i ich nieśmiertelności. Kilka kwadransów później mówiłby zapewne o Fryderyku Wielkim „z czysto żołnierskiego punktu widzenia”. Tymczasem, kiedy groziła przerwa w rozmowie, śpiewano, oczywiście pieśni wojskowe lub takie, które nadawały się do marszu. W pustej prawie sali przy jednym stoliku siedzieli Reis-ser i Pulver, przy drugim Scheuermann i Mutsch. Dziennikarz Flammer biegał od jednych do drugich.

— Drogi panie — rzekł burmistrz do Pulvera — jeśli Pan Bóg chce kogoś pokarać, nadaje mu urząd publiczny.

— A jeśli kogoś kocha, chroni go przed polityką.

— Dlaczego właściwie zostałem w tym mieście burmistrzem?

— Bo pana wybrano.

— A dlaczego pozwoliłem się wybrać?

— By służyć ogółowi.

— Z pana jest głupie bydło, Pulver. To bardzo smutne, że dopiero dziś to panu mówię, choć wiem to od dawna.

— Pan burmistrz za dużo wypił — rzekł Pulver.

— Tak, jestem urzędną. A poza tym za długo tu jestem burmistrzem.

Flammer słuchał uważnie, a kiedy uznał, że mówi się coś ważnego, wtrącał się. — Jak mam to rozumieć? Czy cofa pan swoją kandydaturę?

— Obedrę pana ze skóry — powiedział Reisser — jeśli potraktuje pan tę rozmowę jako wywiad ze mną.

Flammer wycofał się. Usiadł obok Mutscha i Scheuer-manna i patrzył na nich życzliwie.

— Co jest najdziwniejsze — rzekł Scheuermann — to pański upór. Jak pan już coś robi, to robi pan dokładnie. Nie przepuści pan niczego.

— Za to ty jesteś całkiem inny — rzekł Mutsch z ironią — ty jesteś ustępliwy i łagodny.

— Przeciwstawiam się naszemu największemu wrogowi, występuję przeciwko błędom, w jakich uparcie tkwimy, przeciwko tym bohaterskim bezmózgowcom.

— Brawo, brawo!

— Postanowili odsłonić pomnik i teraz zrobią to. Dlaczego tak bardzo chcieli tego, to już teraz nieważne, prawie o tym zapomnieli. Najważniejsze, że pomnik stoi i teraz go poświęcą, gdyż tak sobie kiedyś postanowili. Nie, oni nie łamią danego słowa! Gotowi ponieść śmierć za swój pomnik. Pozwolili nawet zdrzwić z siebie. Ale wysoko dzierżą sztandar, nieważne w imię czego i za kogo.

Flammer wtrącił się: — Czy to znaczy, że pan skapitulował?

— Mam ochotę — rzekł Scheuermann i spojrzął chłodno na dziennikarza — podjąć ostateczną walkę, a potem zostawić pana na placu boju.

— Pan jest zdolny do tego — odparł Flammer — pan, stary, zmęczony wojownik.

— Chodzi mu o to — wtrącił Mutsch — żeśmy o nim zapomnieli. On już walczy w naszych szeregach, ale my tego nie dostrzegamy, bo ma na sobie czapkę niewidkę.

— Zgadza się — powiedział Flammer uprzejmie. — Jestem utajonym bohaterem.

— Salonowy Zygryd — rzekł Scheuermann. — Narobił pan szumu, zapełnił szpalty gazet i udawał współwalczące-

go tak długo, jak długo chodziło o wesołą gierkę. Ale kiedy sprawa nabrała powagi, wycofał się pan i tylko szczerzył zęby gdzieś z tyłu.

— Bo jestem tchórzem — rzekł Flammer nieporuszony. — Lubię regularne miesięczne pobory. To jest w duchu młodego pokolenia. Przepraszam, muszę iść do burmistrza.

Flammer przecisnął się pomiędzy pustymi stolikami i znów przysiadł się do Reissera i Pulvera.

— Zawsze spełniałem tylko swoje obowiązki — rzekł starszy sierżant Pulver. — I to z żelazną konsekwencją. Powiodła mi się niejedna sprawa, ale czasem spotykało mnie niepowodzenie. Muszę to szczerze przyznać i to jest całkiem normalne. Proszę sobie przypomnieć obławy w wielkich miastach. Całe ciężarówki były wypelnione ludźmi. By schwytać jednego czy dwóch osobników, zamykali najpierw setkę.

— My tu w Wahlheimie nie mamy dzielnicy przestępców, Pulver.

Policjant skinął głową. — Nieraz tego żałuję, panie burmistrzu. Tak trudno jest tu rozwinąć skrzydła. Moja wiedza kryminalistyczna nie ma tu pola do popisu.

— Powinien pan poprosić o przeniesienie — wtrącił Flammer uprzejmie.

Policjant nie poczuł się urażony; za dużo wypił. Był tylko smutny. — Pan ma na myśli Mutscha — rzekł ze zrozumieniem. — Ale laicy nie widzą tego, co się dzieje na zapleczu, prawnicy nie mają pojęcia o życiu wewnętrznym przestępców; tylko kryminolodzy patrzą głębiej. I powiadam panu, ten, kto dziś nie siedzi, jutro może już siedzieć!

— Nic podobnego, Pulver — rzekł pijany burmistrz. — Dopóki ja tu będę burmistrzem, nikt nie zostanie aresztowany. Nawet jeśli to będzie podpalacz, gwałcieciel czy morderca własnych rodziców. Nikt!

— Mutsch także nie?

— Nikt. Kiedy już przestanę być burmistrzem, może pan aresztować w Wahlheimie, kogo pan zechce.

— A kiedy to nastąpi? — zapytał Flammer ciekawie.

Burmistrz spojrział na niego znużonym wzrokiem. — Tylko żadnego wywiadu! — zawołał. — Jestem tu jako osoba prywatna, całkowicie prywatna!

— Panie burmistrzu — drażył Pulver uparcie; znów napił się piwa i wódki. — Ja muszę mieć tego Mutscha.

— Nie może pan zapomnieć swojej porażki — wtrącił się Flammer.

— My, ludzie piastujący publiczne urzędy — powiedział burmistrz — zawsze byliśmy kozłami ofiarnymi.

— Ale się jeszcze do tego nie przyzwyczailiśmy! — Pulver pochylił się nad stołem, przewrócił kufel, ale ponieważ był pusty, nie zwrócił na to uwagi. — Powiedzmy, że samobójstwo zostało udowodnione. Ale co poza tym? Co z obrażeniami ciała? I gdzie się podziały akta Mutscha z mojego biura? Kto zbezczeszczył pomnik? Już ja załatwię tego typa, jakem Pulver!

Flammer wstał pospiesznie. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Zapalił papierosa. Potem wrócił do stolika, przy którym siedzieli Mutsch i Scheuermann.

— Nie uśmiechaj się tak złośliwie — rzekł Scheuermann.

— Sprawa wygląda kiepsko, została skierowana na tor polityczny, a to automatycznie czyni ludzi krótkowzrocznymi. To znak czasu. Ponieważ dotychczas nie uprawialiśmy polityki, tylko stanowiliśmy narzędzie do jej uprawiania, wielu uważa, że wszystko, co choć z daleka pachnie polityką, służy ogłupianiu mas.

— A Gumpel, czy on nie uprawia polityki?

— Właśnie on nie uprawia polityki! On tylko odwołuje się do odwiecznych wartości. I oto my, ze swoją prymitywną mądrością, jesteśmy załatwieni.

— Jeśli dobrze zrozumiałem — wtrącił Flammer — to zostawia pan taczkę w gównie?

— To beznadziejne — rzekł Scheuermann z rezygnacją.

— Robiłem, co mogłem. A co z tego wyszło? Jedni ryczą bojowe pieśni, a drudzy wolą trzymać się z daleka.

— A pan wygłasza mowę pogrzebową — rzekł Flammer beztrósko. — Zna pan historię człowieka, któremu groziła na pustyni śmierć z pragnienia? Szukał wody, ale wkrótce zrezygnował i umarł, a jego ciało znaleziono tuż koło studni.

— Wiesz co, Mutsch — rzekł Scheuermann — ten młody człowiek chce nas sprowokować. Prawdopodobnie potrzebny mu materiał do gazety.

— Przecież widzę, co się dzieje. Burmistrz ma dość, a Pulver myśli o przeniesieniu.

— Do jutra wytrzeźwieją, a wtedy zrozumieją, że muszą dalej spełniać swoje obowiązki i służyć Wahlheimowi.

— Nie sądzę, Scheuermann, to tkwi głębiej.

— No dobrze, niech pan sądzi, co pan chce. Być może istotnie udało mi się wyłączyć tych dwóch. Ale co z tego! Jutro inni zajmą ich miejsca. Dopóki po tym wszystkim, co się wydarzyło, będzie się zbierało to towarzystwo śpiewacze i zagłuszało swym krzykiem każdą normalną rozmowę, dopóty nie ma dla nas miejsca na tym świecie.

Milczeli przez chwilę. Scheuermann spoglądał na Reis-sera i Pulvera, którzy siedzieli o kilka stolików dalej, głowa przy głowie. I nagle w to milczenie wdarł się mocny ryk zapalonych śpiewaków. Pieśń nosiła tytuł „Trzy lilie”. Chcieli je znów posadzić na grobie, ale nadjechał chwacki jeździec i je połamał.

— Dlaczego wy tak nie rykniecie? — zapytał Flammer impulsywnie. — Dlaczego wy nie wyjdziecie na ulicę, skoro oni wychodzą? Poturbujcie Gümpla tak, żeby nazajutrz nie był zdolny do chodzenia — wówczas niemożliwe będzie poświęcenie pomnika. A jeśli w ciemności przyłapie-cie kogoś innego, to z rana skrzyknijcie wszystkich swoich kumpli. Zakłóćcie im święto! Przygotujcie transparenty, wydrukujcie ulotki, podpalcie stóg siana i postarajcie się, żeby przyjechała straż pożarna. Wówczas odsłonięcie się nie odbędzie. Czemu tego nie zrobicie?

— Bo nie jesteśmy od tego, by dostarczać panu materiałów do gazety. W życiu należy przestrzegać pewnych reguł gry. Jestem przewodniczącym tutejszej organizacji partyjnej, a nie przywódcą bandy awanturników. Zrobiłem, co mogłem zrobić w granicach prawa. Gdybym miał pieniądze, ofiarowałbym je. Gdybym zajmował poważne stanowisko, rzuciłbym je niewątpliwie na szalę. Ale jestem bezsilny.

— A ksiądz Marcus?

— Tak, on mógłby z całą siłą Kościoła ruszyć do boju. Ale tego nie robi. Jedyne, co może zrobić, to poprosić Pana Boga o cud.

— Może należałoby — rzekł Flammer z namysłem — spróbować oddać się do dyspozycji jako narzędzie Boga?

— Jest pan najbardziej pozbawionym skrupułów człowiekiem, jakiego znam — powiedział Scheuermann z przy-ganą w głosie.

— Pan mi pochlebia — Flammer skłonił się z galanterią.

Wkrótce potem znów zjawił się przy stoliku, przy którym siedzieli Reisser i Pulver. Wsunął głowę pomiędzy ich głowy, co z miejsca wywołało protest Reissera.

— Czego pan znów chce? — zapytał burmistrz, co w jego obecnym stanie nie przyszło mu łatwo. — I tak nie udzielię wywiadu. Nie ma pan nic lepszego do roboty?

— Owszem — rzekł Flammer uprzejmie. — Oczywiście, że mam coś lepszego do roboty.

— Więc na co pan czeka?

— Na co właściwie czekam? — zastanawiał się Flammer głośno. A potem rzekł: — A więc dobrze! Do dzieła!

— Opuścił gospodę i wyszedł w noc.

Reisser i Pulver nie spojrzeli nawet za nim. Z zapamiętaniem prowadzili dalej poufną rozmowę. Spożywali przy tym alkohol w ogromnych ilościach.

— Urząd — rzekł Reisser — burzy moje życie rodzinne; masarnią również prawie się nie zajmuję-, tylko pasztetówkę osobiście przyprawiam. Jest najlepsza w całej okolicy.

— Ja, niestety, nie mam rodziny — rzekł Pulver.

— Tyle rzeczy ominęło mnie w życiu — wyznał Reisser — ponieważ całkowicie pochłania mnie mój urząd. A przecież mam wspaniałą żonę, Pulver, cudowną żonę.

— Jak cukierek — potwierdził Pulver rzeczowo.

— Zaniedbuję ją. Urząd czy kobieta — oto jest pytanie! Tylko czy w ogóle można stawiać podobne pytanie, jeśli idzie o taką kobietę? Pulver! Mój bracie! Na zdrowie! Lubię pana!

— Ja też pana lubię, panie burmistrzu. Bardzo pana lubię.

Reisser pochylał się coraz bardziej do przodu; jego ciężki tors leżał prawie na stole. — Pulver — rzekł tonem spiskowca — moja żona jest cudowna.

— To kobieta z klasą! — potwierdził Pulver.

— Na prawym udzie — powiedział Reisser rozmarzony — ma znamię.

— Na lewym — poprawił go Pulver, również rozmarzony.

— Zgadza się. — Reisser z trudem otworzył oczy. — Na lewym. — Nagle otrzeźwiał. Otworzył szeroko oczy, odsunął się od stołu i wyprężył.

— Skąd pan to wie, Pulver? — zapytał głucho.

Pulver musiał walczyć z wypitym alkoholem, ze zmęczeniem i ze źle funkcjonującą chwilowo pamięcią. Nie znalazł właściwej odpowiedzi i gapił się głupio na burmistrza.

— Żądam satysfakcji — rzekł Reisser i wyszedł, zataczając się.

Noc nad Wahlheimem.

Księżyc wisiał na niebie jak lampion. Żółty kogut na wieży kościoła lśnił matowo. Zegar włókł się przez czas.

Handlarz artykułami kolonialnymi, Scheuwitz, chrapał, aż łóżko drżało. Hohlhander, właściciel księgami i sklepu papierniczego, nie mógł zasnąć i przewracał się niespokojnie na skrzypiącym łóżku.

Mistrz ślusarski Miegalkę, konkurencja zawodowa Scheuermanna i jego polityczny przeciwnik, siedział na sedesie i drzemał. Bolała go głowa i żołądek; dużo śpiewał, a jeszcze więcej wypił; to mu zaszkodziło. Był zły na cały świat.

Dziennikarz Flammer wędrował przez Wahlheim. U burmistrza Reissera zapchał dziurkę od klucza, w szalecie publicznym wykręcił żarówkę. Potem wcisnął guzik dzwonka u naczelnego redaktora

Bremera. Z przyjemnością słuchał, oparty o ścianę domu, przeraźliwego dźwięku elektrycznego urządzenia.

Bremer na górze otworzył okno. — Kto tam? — zawołał śpiącym głosem.

— Czy to pan, panie Bremer? — zapytał Flammer zmienionym głosem.

— Tak, to ja.

— Czy aby na pewno?

Redaktor Bremer, oświetlony bladym światłem księżyca, znieruchomiał. Dzwonek dźwięczał bez przerwy. Bremer odszedł od okna i zbiegł szybko po schodach. Flammer oddalił się.

W dwóch oknach w gospodzie „Pod Czarno-Białym Bykiem” widać było przytłumione światło. Znajdowała się tam sypialnia Ireny Krampus. — Prawda — powiedziała Irena do Scheuermanna — że skończysz z polityką i przejmiesz gospodę?

— Nie mogę porzucić spraw, które mam we krwi.

— A mnie nie masz we krwi?

— Ciebie także — odpowiedział Scheuermann z wahaniem. — Ciebie także chcę mieć. Ale nie chcę twojej gospody. Możemy ją wydzierżawić.

— Wtedy zejdzie na psy.

— A jak jej nie wydzierżawimy, to ja zejdę na psy.

— Zawsze myślałam — powiedziała Irena — że jestem dobrą partią.

— Jesteś kobietą, z którą należy się ożenić.

— Ale ja jestem przywiązana do gospody, a ty do polityki.

— Więc z jednego trzeba będzie zrezygnować — rzekł Scheuermann.

Irena się wyprostowała. — Z twojej głupiej polityki.

Scheuermann rzekł łagodnie: — To całkiem możliwe. Jeśli się nie stanie cud, to całkiem możliwe.

Flammer włóczył się dalej po Wahlheimie. Gwizdał pod nosem. Deską, wyrwaną z ogrodzenia domu obok komisariatu, kilkakrotnie przejechał po metalowych żaluzjach sklepu kolonialnego, następnie uderzył nią w drzwi mieszkania ślusarza Miegalka.

Potem skręcił w ulicę Schillera i zatrzymał się przed domem, gdzie mieszkała Małgorzata von Habern. Przesadził parkan i dostał się na podwórze. Podniósł kilka kamyków i rzucił w szybę okna na pierwszym piętrze.

Małgorzata ostrożnie otworzyła okno. — Kto tam? — zapytała cicho. W świetle księżyca widać było, że jest w nocnej koszuli.

— To ja — powiedział Flammer jak najbardziej naturalnie.

— Czego chcesz?

— Wejść do ciebie.

— Nie — powiedziała Małgorzata stanowczo.

— To ty zejdz na dół.

— Nie, proszę cię, odejdz stąd. Co ty sobie myślisz?

— Że byłoby cudownie.

— Przecież nie możesz tak po prostu, w środku nocy...

— Owszem, mogę — rzekł Flammer przyjaźnie. — Jeśli zaraz nie zejdziesz, zacznę krzyczeć. Wtedy dostaniesz się na ludzkie języki.

— Jesteś niemożliwy.

— Liczę do trzech. Raz, dwa...

Zanim powiedział „trzy”, z otwartego okna obok chlusnął strumień jakiejś cieczy; ukazał się nocnik, którym wymachiwała gospodyni.

Flammer odskoczył na bok, Małgorzata się roześmiała. A gospodyni zawołała: — Co to za hałasy! Jazda stąd! Nie pozwolę sobie zakłócać nocnej ciszy.

Małgorzata zamknęła okno. Jeszcze przez szybę słyhać było jej śmiech. Flammer odszedł. — To dopiero kobieta — rzekł z uznaniem. — Ma zasady. Nie wpuści tak po prostu do siebie. Chylę czoła. — Potem raz jeszcze przeszedł przez rynek i spojrzął na kościół.

Mutsch szedł w cieniu domów. Jego kroki rozlegały się w nocnej ciszy i odbijały echem od murów. Kiedy zbliżył się do skraju miasta, kroki ucichły.

Minął park, dotarł do mostu, pod którym leniwie płynęła lśniąca srebrzyście Panza. Ale Mutsch tego nie zauważył. Usiadł na poręczy mostu i obserwował dom, w którym mieszkała Ulryka. Zaszczekał pies. Mutsch machał nogami i dla równowagi zaczął balansować rękami.

Jego wyobraźnia zaczęła pracować; księżyc stał się słońcem, łąki lśniły zielenią, a trawa była wysoka. Niebo nad nim jaśniało czystym błękitem. Powietrze było rześkie i czyste, śpiewały skowronki, a z daleka rozlegał się dźwięk dzwonka — wszystko było dokładnie tak, jak piszą w książkach. A przez pole wędrował on sam, przyzwoicie ubrany, witany z szacunkiem, życzliwie odpowiadający na pozdrowienia. Dokoła niego skakała gromadka dzieci. U jego boku szła Ulryka; spoglądała na niego z miłością, a jej biała dłoń spoczywała delikatnie na jego ramieniu.

— Ach! — westchnął Mutsch i wyprostował się przepelniony ogromem szczęścia. Nagle stracił równowagę i wpadł do rzeki.

Krzyknął zaskoczony. Wiosłował mocno rękami. Kował, który krążył dokoła swego domu, zaniepokojony szczekaniem psa, przybiegł i pomógł mu wydostać się z wody.

Na plebanii ksiądz Marcus, oblany potem, leżał w łóżku. Nasłuchiwał szmerów, jakie do niego dochodziły. Słyszał powolne tykanie kościelnego zegara, liczył godziny. Z niechęcią usłyszał hałas dobiegający z gospody. Wybiła pierwsza.

Trochę uspokoiło go to, że dość dokładnie przestrzegano godziny policyjnej i przez kilka chwil myślał z lekkim

wzruszeniem o niezawodnej pani Krampus, o jej życzliwości dla niego, o jej przyjemnej aparycji. Potem usłyszał głośnie krzyki wracających do domu pijanych mieszkańców Wahlheimu. Bez trudu rozpoznał ostry, rozkazujący głos Gümpla, który zgromadził wokół siebie ostatnich wiernych. Wybiła druga.

Powoli wszystko ucichło, tylko tykanie zegara stało się jakby głośniejsze, wydawało się wypełniać cały pokój, dudniło mu w uszach. Kroki mijających jego dom ludzi przerwały ten monotony szum. Potem jednak znów się nasilił. Wybiła godzina trzecia.

Marcus sięgnął po tabletki nasenne leżące na nocnym stoliku. Rozpuścił w wodzie trzy sztuki i wypił. Zanim zasnął, przesunął się przed jego oczami obrazy parafii, w których dotychczas pracował.

— O Boże — powiedział do poduszki — pomóż mi!

Teraz tylko w dwóch oknach w Wahlheimie paliło się światło. Dwa sąsiednie okna lśniły ciemną czerwienią. Burmistrz Reisser siedział w bawialni w fotelu i wpatrywał się w drzwi sypialni, gdzie leżała jego żona.

Ręce opadały mu bezwładnie z oparcia fotela. Na podłodze stała butelka wódki. Im więcej pił, tym bardziej zdawał się trzeźwieć. Jego wzrok wędrował od szachownicy dywanu do drzwi sypialni; wzdychał ciężko.

— Nie zasłużyłaś na mnie — rzekł głucho.

Potem z trudem wstał, podszedł do drzwi sypialni, postął tam chwilę ze spuszczoną głową, odwrócił się i powlókł do okna. Oparł się o framugę i spoglądał w noc, jeszcze oślepiiony światłem bawialni.

Powoli jego oczy przyzwyczajały się do ciemności. Spoglądał na rynek, na kolumnę pomnika; kiedy ją zobaczył, drgnął. Wyteżył wzrok i spostrzegł pod drzewem cień człowieka, który zdawał się spoglądać ku niemu w górę.

Pomyślał, że to chyba Pulver, jego rywal Pulver, ten bezczelny, podstępny drań.

Zamknął okno. Podszedł do drugiego i również je zamknął. Zasuwał ciężkie zasłony.

Potem stanął pod drzwiami sypialni.

— Zdradzałeś mnie — powiedział. — Nie waż się zaprzeczać. Ale ja ci za to zapłacę, zapłacę w okrutny sposób. Będę cię pilnował. Nie ruszę się od twego boku. Nie pozostawię cię samej ani na chwilę. Zawsze będziesz czuła, że jesteś moją własnością.

Drzwi się otworzyły. — Chodź spać — powiedziała żona.

Mutsch owinięty ogromnym prześcieradłem siedział w kuchni u Loosów; jego odzież suszyła się przy ogniu. Spoglądał czule na Ulrykę, a co jakiś czas rzucał uważne spojrzenie na kowala, który pilnował obojga.

— Potrzebne było panu orzeźwienie — rzekł Loos; w zmarszczkach wokół oczu czaił się leciutki uśmiech. — To oczywiście potrwa dobrą chwilę, nim pańska odzież wyschnie.

— Mam dużo czasu — powiedział Mutsch i mrugnął do Ulryki, która starannie rozwieszała jego ubranie nad płytą kuchenną.

— I tak nie będzie pan tu nocował.

— Oczywiście, że nie — zapewnił Mutsch.

— Jednak będzie pan musiał trochę poczekać.

— Jak pan sądzi, ile to potrwa?

Stary Loos, zadowolony, mruzczał pod nosem: — Nie chciałbym wyjść za pana, panie Mutsch.

— Ale ja chcę, ojczy! — Ulryka zarumieniła się, czego nie należało przypisywać jedynie żarowi, jaki szedł od kuchni.

— Moja droga córko — rzekł Loos — zasłużyłaś na surową karę. I dlatego nie mówię „nie”.

Zanim noc zalegająca Wahlheim ustąpiła przed nadchodzącym dniem, osłoniła raz jeszcze małe miasteczko. Chmury zakryły księżyc. Złoty kogut na dachu kościoła już nie lśnił. Flammer szedł, pogwizdując, pustymi ulicami. Potem zapadła cisza. Powoli nadciągał nowy dzień.

To, co ujrzał ten nowy dzień, wstający nad Wahlheimem, było alarmujące i niejednego śpiocha wyrwało przedwcześnie z łóżka.

Wielebny Marcus wstał, zataczając się, gdyż miał wrażenie, jakby strzelano z armat; ale był to tylko hałas spowodowany waleniem pięściami w jego drzwi. Marcus przycisnął końce palców do oczu. W głowie mu dudniło; był to skutek zbyt dużej dawki środka nasennego.

— Proszę księdza! — wołały podniesione głosy. — Proszę księdza!

— Już idę — rzekł Marcus przeciągle i niechętnie, jeszcze oszołomiony głębokim snem, z którego tak brutalnie go wyrwano. Potykając się, podszedł do szafy, narzucił na siebie sutannę i poczłapał do drzwi.

Tam, w słabo oświetlonym korytarzu, stał kościelny i wymachiwał rękami. Z tyłu wlepiła w niego z ciekawością wzrok kobieta, która zastępowała jego gospodynię i miała mu przygotować śniadanie. Na dole, w sieni, stało kilka osób.

— Co się stało? — zapytał Marcus zatrwożony.

— Profanacja kościoła — powiedział kościelny cały drżąc. — Potworna profanacja kościoła!

Marcus zamknął oczy. — To niemożliwe — rzekł cicho.

— Ale tak jest! — zawołał kościelny. Wydawał się oburzony, że podważa się wiarygodność jego słów. — Bardzo poważna profanacja kościoła. Kradzież i uszkodzenie dobra kościelnego!

— Do licha! — ryknął ksiądz potężnym głosem. Był to głos, jakiego już od dziesięciu lat u niego nie słyszano. Był to ów grzmiący głos, jakim w czasach swojej młodości potrafił bez trudu wypełnić kościół. Nie był już zaspany. Zapłonął w nim potężny gniew. — Zaraz tam będę — powiedział i tak mocno zatrzasnął drzwi, że aż tynk opadł z sufitu i posypał się na kościelnego.

Marcus pospieszył do okna, wyjrzał, po czym zdumiony przymknął oczy i zasłonił je dłonią. Następnie zebrał wszystkie siły i znów szeroko je otworzył.

Nie było złotego koguta.

Nie było złotego koguta, a zegar na wieży stał i wskazywał godziną dwunastą. Szara twarz Marcusa poczerwieniała z oburzenia. Podeszedł do kąta obok łóżka, gdzie wisiał krzyż, i pospiesznie odmówił modlitwę. Błagał, aby Pan dodał mu sił.

Następnie zanurzył siwą głowę w miednicy. Nawet się nie ogolił. Ubrał się pospiesznie, po czym niczym anioł zemsty zbiegł ze schodów i udał się przez ogród do kościoła.

Zbladł na widok tego, co ujrzał. Nieszczęście było większe, niż przypuszczał; brakowało nie tylko złotego koguta, nie tylko zegar na wieży został zatrzymany; o wiele gorsze było to, że zniknęły sznury trzech dzwonów. A więc nie można było wezwać wiernych na mszę.

Wielebny Marcus stał przed swoim ukochanym kościołem jak przed zbezczeszczonym grobem kogoś bliskiego. Zacisnął pięści.

Drżąc z wściekłości udał się do zakrystii. Tu usiadł na ławce. Potem zaczął zanosić modły do swego Pana.

— O Panie — modlił się — szarpia mnie jak linę. Jestem jako ten pionek na szachownicy. Jestem dla nich areną, na której rozgrywają swoje walki, a ja nie znam ich reguł. Proszę cię, Panie, oświeć mnie. Powiedz, w jakim celu zabrali koguta? Czy chcieli mnie wyzwać, czy ostrzec, a może to tylko żart albo pogróżka? I kto, o Panie, to uczynił? Nie zamierzam tego dłużej tolerować. Nie pozwolę, aby przedstawiciela Twojego Kościoła traktowano jak szmatę.

Kościelny przyprowadził Pulvera. Policjant był zmęczony i zdenerwowany, w głowie mu huczało, a jego zazwyczaj twarda postawa ustąpiła miejsca żalósnej niecierpliwości. Minioną noc mocno jeszcze czuł w kościach. Tak rozdrażniony i wymięty, jak tego ranka, nie czuł się chyba jeszcze nigdy. Teraz aż nazbyt jasno zdał sobie sprawę z tego, jak beznadziejne były jego wysiłki; ale wiedział też, że musi coś zrobić, obojętne co. A więc zaczął robić szum.

— Panie Pulver — rzekł Marcus z nie znaną dotąd u niego energią. — Co pan zarządził? Co pan zdziałał?

Pulver wzruszył ramionami. — To nie takie proste.

— To po prostu niesłychane świństwo — rzekł ksiądz wściekły. — Żądam, by zajął się pan tą sprawą z całą gorliwością.

— Robię, co mogę — powiedział Pulver zirytowany. — Ale ostatecznie nie jestem tylko na usługach Kościoła.

— Zdarzyło się coś niesłychanego!

— To dotyczy nie tylko kościoła. Czy widział ksiądz pomnik?

Wielebny wyszedł przed kościół i spojrzął na rynek. Dokoła pomnika chodził policjant, a na fundamencie, podparta deską z płotu, stała drewniana kukła z jaskrawo pomalowaną twarzą, odziana w stare, zniszczone ubranie robocze.

— Ta kukła — rzekł Marcus — jest własnością Scheuermanna.

— Tyle to ja też wiem — odparł Pulver obojętnie.

— Przeprowadzał z nią ćwiczenia pływackie w Panzie, by nam pokazać, jakie tam są prądy.

— Pan to wie i nic w tej sprawie nie robi?

Pulver znużony machnął ręką. — To bezcelowe. On twierdzi, że ktoś mu skradł tę kukłę ubiegłej nocy. Leżała na podwórku, łatwo więc było ją zabrać. Poza tym Scheuermann zapytał mnie, czy uważam go za takiego idiotę, by przedmiot, o którym całe miasto wie, że należy do niego, wykorzystał do takiego kawału.

— Niby słusznie — rzekł Marcus. — Ale ten wątpliwy pomnik wcale mnie nie obchodzi. Chcę tylko, by zostało wyjaśnione i ukarane przestępstwo, jakiego się dopuszczono wobec mojego kościoła. Musiało się to zdarzyć po godzinie trzeciej, bo słyszałem, jak zegar bił trzy razy. Tuż po piątej się rozwidnia. A więc stało się to w ciągu owych dwóch godzin.

— Ubiegłej nocy — rzekł Puhrer dość obojętnie — dziesiątki ludzi były na ulicach. Nie mogę przesłuchiwać każdego, kto nie spędzał tej nocy we własnym łóżku.

— Więc nie chce pan nic zrobić w tej sprawie?

— O tym nie ma mowy. Wypełniam swój obowiązek i trzymam się ściśle przepisów służbowych. Ale nikt nie może ode mnie wymagać, żebym znów ryzykował pomyłkę. A już z pewnością nie wobec tej samej osoby. Taka jest prawda, proszę księdza! Mówię to, aby wszystko między nami było jasne.

Marcus ruszył niemal biegiem. Jego sutanna powiewała na wietrze. Pulver spoglądał za nim, widział, jak przeciął rynek i pobiegł w kierunku domu Scheuermanna. Ziewnął. Czuł się potwornie zmęczony i pragnął tylko się wyspać. Ksiądz gwałtownie zburzył poranną idyllę w domu Scheuermanna. Wszyscy pili kawę i żywo rozprawiali o tym wydarzeniu. Ula była ogromnie dumna, że pomalowana przez nią kukła została ustawiona na tak pięknym miejscu. Mutsch cieszył się na ten widok jak dziecko. Scheuermann uważał, że to wcale nie jest takie zabawne.

Marcus pozdrowił obecnych skinieniem głowy. Potem rzekł do Uli: — Zostaw nas na chwilę samych, moje dziecko. Muszę coś omówić z twoim ojcem.

Ula odeszła niechętnie. Marcus zapytał z miejsca: — Czy to pan, panie Scheuermann? Czy to pan zdjął koguta z wieży, zatrzymał zegar i ustawił wskazówkę na dwunastej? Czy to pan zabrał sznury od dzwonów?

— Nie — odpowiedział Scheuermann.

— Ja również tego nie zrobiłem — dodał Mutsch skwapliwie.

— Przykro będzie księdzu to usłyszeć, ale ubiegłą noc spędziłem u Ireny Krampus — powiedział Scheuermann.

— A pan, panie Mutsch? Gdzie pan był między godziną trzecią a piątą rano?

— Ja — rzekł Mutsch uprzejmie — tuż po drugiej wpadłem do Panzy. I resztę nocy spędziłem w domu kowala Loosa. Ale nie z jego córką, jak ksiądz zapewne sądzi, lecz z ojcem. Mieliśmy ważne sprawy do omówienia.

Marcus był bezradny. — Ale przecież ktoś to zrobił! — zawołał z tłumionym gniewem.

— Tak jest — odezwał się Scheuermann — ktoś to zrobił. Ale to żaden z nas. Dlaczego tylko nas ksiądz podejrzewa? Nie rozumie ksiądz sytuacji. Sprawa z pomnikiem jest już

przegrana, a kompromitacja nieunikniona. My możemy teraz spokojnie czekać z założonymi rękami. Ale inni chcą koniecznie nas tym obciążyć; muszą, gdyż to by ich odciążyło. Czy ksiądz pragnie im w tym pomóc? Czy pozwoli ksiądz, by znów wykorzystali księdza dla swoich celów? Czego ksiądz właściwie od nas chce? Niech ksiądz nie ułatwia sobie w ten sposób sprawy.

Marcus nie wiedział, co odpowiedzieć, ale też nie chciał nic odpowiedzieć. Wyszedł bez słowa. Wrócił do kościoła i usiadł na ławce w zakrystii.

Liczny tłum zebrał się o zwykłej porze pod kościołem. Ale drzwi były zamknięte, dzwony milczały.

Ilość ludzi, którzy przyszedli na mszę, była większa niż zazwyczaj. Swą przynależność do Kościoła, który reprezentował wielbny Marcus, deklarowało ponad 73% mieszkańców Wahlheimu.

Tym razem wyglądało, jak gdyby wszyscy obywatele miasta zgromadzili się przed kościołem. Ale nie stali jak zwykle w grupach, rozmawiając. Stali w milczeniu, pełni oczekiwania.

Nikt nie umiałby powiedzieć, jakie to było oczekiwanie. Nie niepokoił ich szczególnie brak złotego koguta ani unieruchomiony zegar, ale raczej milczenie dzwonów kościelnych. Jedno było pewne: kazanie będzie ogromnie interesujące.

To, co budziło niepokój, to niezłomne zdecydowanie kilku wybitnych obywateli, spoglądających ponuro na wciąż zamknięte drzwi kościoła, albo na dziwną drewnianą kukłę stojącą na cokole, której pilnował uzbrojony policjant. Nie było burmistrza. Pulver również się nie pokazał. Za to byli obecni Scheuermann i Mutsch; stali razem z Ireną Krampus i kowalem Loosem; a jego córka, „ta z nieślubnym dzieckiem”, miała czelność spoglądać na zgromadzonych.

Pułkownik Gumpel stał na drugim stopniu schodów prowadzących do kościoła i obserwował z góry obecnych; wznosił się nad tłumem jak wieża. Kilku jego popleczników stało o stopień niżej i patrzyło na niego, również w milczeniu. Pułkownik ceremonialnie wyjął swój zegarek kieszonkowy i spojrział wymownie.

— Zaraz będzie pora — rzekł.

Wtedy drzwi się otworzyły. Gumpel szybko schował zegarek i chciał na czele parafian wejść do środka.

Przez otwarte drzwi jednak wyszedł Marcus i zastąpił mu drogę. Uniósł rękę, jak gdyby dawał sygnał oznaczający zatrzymanie ruchu.

— Nikt nie wejdzie do domu Bożego! — zawołał, a jego głos zabrzmiał chrapliwie.

Każdy dobrze słyszał słowa wielebnego. Spoglądano ze zdumieniem na nieogolonego mężczyznę w zniszczonym ubraniu i brudnych butach. Ale wszyscy widzieli tylko jego oczy, które spoglądały na nich ostro.

— Ksiądz wybacz — zawołał Gumpel stłumionym głosem, starając się zachować spokój. — Tego księdzu nie wolno.

— Niech pan milczy! — zawołał Marcus, a jego głos przybierał na sile. Wskazał wyciągniętą dłonią na pułkownika; a dziatwa szkolna przypomniała sobie, że kiedyś rysowała ten gest: w taki sposób archanioł wypędzał Adama i Ewę z raju!

— Za pozwoleniem, proszę księdza! — rzekł Gumpel wciąż jeszcze stłumionym głosem, ale bardzo stanowczo.

Wzrok księdza nie zatrzymał się na nim. Marcus spoglądał na tłum; wszyscy patrzyli na niego szeroko otwartymi oczami, jakby go widzieli po raz pierwszy.

— Jezus Chrystus wypędził przekupniów ze świątyni! — zawołał ksiądz. — Z całą stanowczością, naśladując go, zabraniam wstępu do domu Bożego tym, którzy są współwinni jego zbezczeszczenia.

Gumpel cofnął się. Tłum przysunął się bliżej. Scheuermannowi zablęskły oczy. Słońce świeciło jasno.

— Starłem się zachować łagodność — rzekł Marcus mocnym głosem — i stale byłem gotów przebaczać. Przez całe lata opiekowałem się tą parafią. Chrzcilem wasze dzieci, patrzyłem, jak dorastają, błogosławiłem ich związki i nieje dnemu zamknąłem oczy. Kiedy tu przybyłem, miałem dwa ubrania, a kiedy zostanę stąd odwołany, mój ziemski majątek nie będzie większy. Pracowałem przez te lata dla was ku chwale Pana. A nagrodą za to jest niewdzięczność!

Głos księdza stawał się coraz potężniejszy, grzmiał nad placem. Parafianie spoglądali na niego jak na niebo, z którego spada grom. Tylko Flammer, dla którego nie było nic świętego, robił wytrwale zdjęcia.

— Stawałem na ambonie tego kościoła setki razy i przemawiałem do waszych sumień. Wiele razy dodawałem wam otuchy jak chrześcijanin chrześcijaninowi, udzielałem rad, pouczałem, byście przestrzegali przykazań boskich. Zawsze się za was modliłem. Orałem, bronowałem i siałem, ale nigdy nie dane mi było zbierać żniwa. Przemawiałem do was łagodnie, ale na próżno, teraz spadnie na was mój gniew.

Gümpel rozejrzał się, ale nikt na niego nie patrzył. Jego przyjaciele wtulili głowy w ramiona. Najwyżej jeden z nich mógł nie poczuwać się do winy.

— Wiem, że wszyscy jesteście grzesznikami. Potrafię zrozumieć, że brakowało wam sił, aby się poprawić, bo taki jest los ludzki. Ale że wielu spośród was, świadomych własnych win, gotowych jest szkalować innych słowem i piórem, poniżać, gwałcić ich prawa — tego nie mogę w milczeniu tolerować. Pozwoliliście na to, aby zbłąkany człowiek, który przedwcześnie zakończył życie, stał się ofiarą waszej demagogii. Zainicjowaliście i poparliście wzniesienie wątpliwego symbolu, tolerujecie ogłupianie ludzi, przyzwoliliście także na zbezczeszczenie kościoła.

Marcus był czerwony z gniewu i wysiłku, na czole wystąpiły mu krople potu. Kolana pod nim drżały, ale głos brzmiał jasno i donośnie.

— Jakim tonem on do nas przemawia — powiedział ci cho Gümpel z nutą uznania w głosie.

Scheuermann trącił Mutscha: — Jak tak dalej pójdzie, będę miał nieczyste sumienie.

— Ty masz nieczyste sumienie — odparł Mutsch.

— Moja cierpliwość się skończyła! — zawołał Marcus. — Jestem sługą Bożym i waszym kapłanem, a nie błaznem, którym chcecie manipulować jak marionetką. I dlatego powiadam wam: musicie wybierać pomiędzy kościołem a całym zamieszczeniem związanym z poświęceniem pomnika.

Kto wybiera poświęcenie, nie ma wstępu do Domu Bożego! I zapewniam was również, że dopóki sznury od dzwonów nie znajdą się na miejscu, dopóki zegar nie zostanie uruchomiony, dopóki złoty kogut nie zalśni ponownie na wieży kościoła i dopóki sprawca nie przyzna się do swego czynu — nie przebaczę wam i nie pozwolę wejść do tego zhańbionego kościoła! Amen!

Ksiądz umilkł wyczerpany. Tłum milczał zaskoczony. Nikt się nie poruszył.

Scheuermann rzekł cicho: — Ja tego nie chciałem.

— Mocne słowa — rzekł Gumpel zgnębiony, ale ze szczerym smutkiem.

Marcus czuł, jak pot spływa mu po twarzy. Złożył ręce i przycisnął je do piersi, przerażała go ogromna odpowiedzialność, jaką przyjął na siebie. Pochylił głowę i czuł się nieszczęśliwy. Teraz, jak sądził, nikt mu już nie może pomóc.

— Na Boga, ja tego nie chciałem — powtórzył Scheuermann.

Wtedy Mutsch opuścił grupę, z którą stał, lekko się uśmiechnął, wszedł po schodach i stanął przed Marcusem.

W pełnej napięcia ciszy rzekł: — To ja poczuwam się do winy.

Wielebny cofnął się, usta mu drżały. Podniósł ręce ruchem obronnym. — Nie — rzekł — nie!

— Dlaczego nie? — zapytał Mutsch.

Wtedy twarz księdza się rozpromieniła. Zrozumiał, co to znaczy. Rozpostarł ramiona i uściskał Mutscha.

— Ten człowiek — zawołał, pokazując go zgromadzonym — jest tak samo niewinny i tak samo winny jak ja i jak niejeden spośród was. Wiem to. Chciał się poświęcić; znów chciał się poświęcić; tym razem po to, aby kościół znów mógł należeć do wiernych i aby mógł służyć nie przerywając jako Dom Boży.

Otoczył ramieniem Mutscha i rzekł: — Wejdźcie do kościoła, drodzy bracia i siostry w Panu. Podziękujcie Bogu. Ale to jedno wam powiem: wejdźcie do tego Domu Bożego z jak najlepszą wolą!

I wszyscy poszli za nim. Nikt nie pozostał na placu.

Odsłonięcie pomnika nie odbyło się.

Tablice z płaskorzeźbami zostały przetopione i powróciły do Wahlheimu jako pokrycie dachu kościoła. Kilka tygodni później, decyzją nowo wybranych władz miasta, kolumna została ustawiona w parku jako ozdoba. Otaczała ją kilka klombów, a w pobliżu stała ławka, na której spotykały się zakochane pary. Nazwano kolumnę „Cierpliwość”. A wtajemniczeni uzupełniali: „Cierpliwość do Wahlheimu”. Małe miasteczko nad Panzą rozkwitało. „Gońcowi Wahlheimskiemu” przybywało miesięcznie piętnastu abonentów, co było notarialnie potwierdzone. Ten wyraźny wzrost popularności zawdzięczało pismo wyłącznie dzielności i mądrości redaktora Flammera. Duże uznanie przyniosło mu odkrycie — dzięki niezwykłej intuicji — kryjówek, gdzie znajdowały się sznury od dzwonów. Znalazł również złotego koguta, który był po prostu wsunięty za ołtarz. Zatrudnienie Małgorzaty von Habern jako jego sekretarki zyskało ogólne uznanie.

Zanim jednak Flammerowi udało się przejąć w swoje ręce kierownictwo „Gońca” — dotychczasowy naczelny redaktor, Bremer, zadowolili się skromnym tytułem wydawcy i edytora — Mutsch i Scheuermann zmusili przedsiębiorczego przyjaciela, by poprosił księdza Marcusa o prywatną audiencję. Ksiądz przyjął początkowo z przerażeniem, potem ze współczuciem spowiedź skruszonego winowajcy. Udzielił mu rozgrzeszenia. Następnie ogłosił z ambony z dumną pokorą: — Człowiek, który popełnił to przestępstwo, wyznał mi całą prawdę i mogę wam powiedzieć, że motywy jego postępków nie były natury politycznej czy też światopoglądowej; chodziło tu po prostu o młodzieńczą lekkomyślność. Nie wymienię jego nazwiska, pragnę zapomnieć o tym, co się stało. Żyjmy odtąd w zgodzie.

Po tym wszystkim wpływ Marcusa na „Gońca” był dość znaczny. Aktywność duchownego była teraz wprost zadziwiająca. Ożywił się, zaróżowił na twarzy, przyszedł do siebie, a głos jego stał się na powrót donośny. Jednym z jego najszcześniejszych dni był dzień, kiedy udzielił ślubu

Konstancji Kuhn i kierownikowi rzeźni. Swym zwierzchnikom udzielał teraz budujących informacji i trzymał w ryzach swoją trzódkę. Był przy tym dobroduszny i sprawiedliwy, tylko jego sporadyczne wtrącanie się z ambony w sprawy polityki lokalnej nie podobało się żadnej z partii.

Poglądy polityczne mieszkańców Wahlheimu znacznie się zmieniły. Wybory, które miały miejsce wkrótce po planowanym poświęceniu pomnika, przyniosły klęskę narodowym liberałom; socjaliści natomiast, którzy ostatnio stali się aktywnymi chrześcijanami, zyskali znaczny wzrost poparcia. To było nieuniknione, ponieważ jeden z najmocniejszych koni wypadł z wyścigu. Burmistrz Ottokar Reis-ser ustąpił z urzędu i poświęcił się życiu rodzinnemu.

Pasztetówka Reissera, którą w dalszym ciągu osobiście przyrządzał, stała się najlepszym towarem wielu sklepów delikatesowych we Frankfurcie, Monachium i Hamburgu. Podobno nawet sam kanclerz Niemiec jadł ją i nie powiedział o niej złego słowa. Ale nie tylko jego firma prosperowała znakomicie, również jego żona kwitła. Czuli się do siebie nawet publicznie. Reisser bez cienia zazdrości patrzył na swego następcę na urzędzie.

Nowy burmistrz Wahlheimu nazywał się Scheuermann. Wniósł wiele niepokoju do tego małego miasta, ale usprawnił handel i ulepszył komunikację. Jego działalność na polu socjalnym robiła wrażenie i już po krótkim czasie urzędowania otrzymał nominację na posła do Landtagu z ramienia swojej partii. Niewielu było ludzi w Wahlheimie, którzy byli przeciwni tak szybkiemu rozwojowi.

Ze swymi politycznymi przeciwnikami Scheuermann zadziwiająco szybko się uporał. Tylko z pułkownikiem Gümplem miał kłopoty. I tak już pozostało.

Kiedy Scheuermann został burmistrzem, dla nikogo nie było niespodzianką, że Pulver musi odejść. Starszy sierżant sam poprosił o przeniesienie i został policjantem drogowym w jednym z większych miast.

Wkrótce po swym wyborze na burmistrza Scheuermann ożenił się z Ireną Krampus. Ale nie zamknął swojego warsztatu, tylko ograniczył liczbę klientów, co zapewniło mu życzliwość mistrza ślusarskiego Miegalka, który robił, co

mógł, aby umacniać pozycję Scheuermanna. Irena wydzierżawiła gospodę i przeniosła się do Scheuermanna.

Dyrektor Seebaum nie czuł się już w Wahlheimie dobrze. Nie służył mu klimat i szukał wypoczynku w południowych regionach. Zbudował sobie komfortową willę w górach i śliczną drewnianą daczę nad morzem. Miał też przyjaciółkę, którą poznał w jednym z barów. Pomogła mu ona skutecznie roztrwonić pieniądze. Fuchs, jego kierowca, wkrótce został wyrzucony z pracy, gdyż pod nieobecność szefa zbyt długo przebywał w sypialni jego panienci z baru.

Mutsch opuścił dom Scheuermanna. Przejął jako dzierżawca gospodę. Jego żona Ulryka, z domu Loos, pomagała mu w pracy. Jednak ciężar prowadzenia gospody spoczywał na jego barkach, gdyż Ulryka spodziewała się drugiego dziecka, które miało mieć na imię Karol. Mutsch czuł się zdumiewająco dobrze jako gospodarz i jako ojciec. Ksiądz był jego ulubionym gościem, burmistrz najczęstszym, a Flammer najwytrwalszym.

Pewnego dnia zarząd miasta polecił zburzyć cokół, na którym kiedyś miał stanąć pomnik; ziemię wyrównano i wybrukowano, tak że miejsce to nie różniło się od reszty placu na rynku. Prawie nikogo to nie dziwiło.